Gilbert Keith Chesterton

Nowe Jeruzalem

chestertonpolska.org

Gilbert Keith Chesterton

Nowe Jeruzalem

The New Jerusalem: 1920

Przekład: Maciej Wąs

Wydanie drugie, poprawione

Chesterton Polska

2018

Okładka:

Manifestacja antysyjonistyczna pod Bramą Damasceńską 08.03.192, domena publiczna.

CHESTERTONPOLSKA.ORG

Spis treści

Słowo do wydania drugiego

Każdy kto ma swojego ulubionego pisarza, ma również jedno takie jego dzieło, które, choć obiektywnie nie najważniejsze, dla niego znaczy bezwzględnie najwięcej, zazwyczaj ze względu na przeżycia osobiste – w tym sensie, że przeczytał je w jakiejś ważnej dla siebie chwili, i odnalazł w nim treści, które poruszyły go, może nawet porwały, a może nawet w pewien sposób ukształtowały i pozwoliły mu stać się tym, kim jest. W moim przypadku taką książką jest właśnie *Nowe Jeruzalem* Gilberta Keitha Chestertona.

Rozprawiając o podobnie osobistych zjawiskach, w świecie współczesnym, świecie post-utylitarystycznym (czyli stanowiącym najdojrzalszy i zgniły zarazem owoc tego, co sam Gilbert nazywał „kompromisem wiktoriańskim"), traktowanych bardzo pogardliwie, zawsze mam wątpliwość, kto jest tutaj, jak to się mówi, „głupi"; i czy nasz młody poeta widzi więcej, czy właśnie mniej od reszty ludzkości. Choć przeczytałem o Chestertonie całe mnóstwo książek, artykułów i krótkich rozpraw (rzeczy tak efemerycznych jak komentarze internetowe, notatki na „facebooku", podłym Lewiatanie, i tym podobnych nawet nie liczę), i niemal cały świat przemierzyłem wirtualnie w poszukiwaniu bratniej duszy, nigdzie nie znalazłem nikogo, kto w choćby minimalnym stopniu podzielałby mój

entuzjazm co do tego dzieła; zazwyczaj się o nim raczej milczy; Dale Ahlquist poświęcił mu ledwie kilka zdań i nazwał „filozoficznym dziennikiem z podróży”; inni z kolei bardziej skupiają się na pamiętnikach żony Gilberta, Frances, która towarzyszyła mu w jego podróży po Ziemi Świętej i czyniła swoje spostrzeżenia, że tak powiem, „równolegle” (to ewidentny motyw feministyczny – zresztą potencjalnie zapalny, bo czytelnik tego w książce nie znajdzie; Frances nie życzyła sobie, by Gilbert wprowadzał ją w jakikolwiek sposób do swojej publicystyki – debata publiczna, wbrew pozorom, nie zmieniła się aż tak bardzo do naszych czasów, i na początku XX wieku zjawisko „hejtu” również się w Anglii zdarzało, czasami przybierając bardzo brutalne formy). Bardziej dogłębnej analizy, być może z wyjątkiem streszczenia zaproponowanego przez niezastąpionego księdza Kera, próżno szukać.

No i cóż rzec; moim zdaniem szkoda. Bo *Nowe Jeruzalem* naprawdę jest książką niezwykłą, i to w więcej niż jednym sensie. Niezwykła jest sama jej forma, bo właściwie trudno ją jasno sklasyfikować; i choć w teorii miała stanowić reportaż podróżniczy, Gilbert jak zwykle opowiada swoją historię raczej w kategoriach idei, niż wydarzeń, stosując jednocześnie środki pisarskie charakterystyczne dla ulubionego przezeń gatunku „próby”, względnie naprawdę bardzo swobodnego eseju, w którym myśli krążą bez żadnych przeszkód,

zdania ciągną się w nieskończoność, a każdy wywód okraszony zostaje mnóstwem dygresji, celowo spowolniony, i celowo – jeśli mogę tak powiedzieć – „stępiony”, tak by niczego właściwie nie komunikował wprost, i stanowił – zasadniczo – jak najgrubszy węzeł aluzji (rzadko zresztą mógł sobie pozwolić Gilbert na podobną zabawę). Nie oznacza to, rzecz jasna, że to jest pisanie chaotyczne; Chesterton był mistrzem, i dowodzi tego również (a może i przede wszystkim) w takich wypadkach, w wypadkach, w których nie musiał się dostosowywać i miał zupełnie wolną rękę (w życiu kochał przede wszystkim niezależność). Natomiast niewątpliwie ma to swój specyficzny koloryt i atmosferę, do której niektórzy być może będą musieli się dopiero przyzwyczaić. Jeśli tak, gorąco do tego zachęcam – warto przemóc pierwszą niechęć i poświęcić chwilę czasu na zapoznanie się z tym niezwykłym człowiekiem („styl to sam człowiek”), bo zestaw tematyczny przygotowany przez Gilberta w związku z jego wędrówką jest przynajmniej równie, o ile nie bardziej, fascynujący i niecodzienny; trudno ująć to tak krótko, jak by tutaj trzeba. O wymiarze politycznym, czy ściślej biorąc: nacjonalistycznym, tej pięknej książki wspomniałem już w słowie do wydania pierwszego, więc nie ma sensu tego powtarzać; jest to nacjonalizm lekki, otwarty, nieco jak na swoje czasy archaiczny (co wcale, dodajmy, nie stanowi wady), żywy tradycją Rewolucji Francuskiej, wojen napoleońskich, Wiosny Ludów, poczuciem

braterstwa wolnych i równych narodów świata – lecz również niezłomnie realistyczny, i unikający wygodnych uproszczeń pospolitego kosmopolityzmu; czy naprawdę trzeba nazywać ten pogląd nacjonalizmem, czy lepiej pozostać przy „bezpiecznym" patriotyzmie – absolutnie mnie nie obchodzi, bo nie lubię wojenek o słowa (choć, przyznaję, zawsze uważałem, że lepiej używać pojęć konkretniejszych i bardziej komunikatywnych, szczególnie jeśli można przy tym iść pod prąd stereotypów i „wiedzy popularnej"). Natomiast na tym nie koniec, i istotnie, niekiedy przechodzi Gilbert do zagadnień pozornie bardzo niepolitycznych, jak kwestie tzw. „zjawisk paranormalnych", historia biblijna i antyczna, stosunek religii i nauki, a wreszcie wprost apologetyka, której mistrzowski popis stanowi rozdział IX, słynna „Bitwa ze smokiem", która wywarła tak wielkie wrażenie na Wacławie Borowym. Nigdy wszakże nie są to przejścia przypadkowe; i – by skrócić ten wywód tak, jak tylko się da – przy uważniejszej lekturze okazuje się *Nowe Jeruzalem* lekkim, ale zaskakująco spójnym i szczegółowym traktatem cywilizacyjnym, propozycją tego, co Europa, w dobie swego największego kryzysu od czasów reformacji, powinna uczynić, aby zachować spoistość i tożsamość, co wybrać, co odrzucić, co łączyć, co pamiętać – a o czym zapomnieć, i w jaki sposób przygotować życie przyszłym pokoleniom, aby wielki eksperyment europejski, eksperyment wolności społecznej, mógł nadal trwać.

Trudno nie odnieść wrażenia, że choć warunki bardzo się przecież zmieniły, nie tylko na lepsze, i pewne rzeczy mówi się dzisiaj i rozumie trudniej, niż wtedy, dzieło to może okazać się dla współczesnego czytelnika niezmiernie pożyteczne. Ja tak w każdym razie uważam.

Co do kwestii samej translacji powiem zaś tylko tyle, że podczas mojej drugiej wędrówki przez Palestynę z miłym zaskoczeniem mogłem stwierdzić, iż wersja pierwotna stanowiła całkiem dobrą robotę, szczególnie w wypadkach tych fragmentów, które szczególnie mnie porwały, i z którymi zmagałem się w momentach żywszej motywacji (ewidentnie niezadowolony byłem tylko z rozdziału X, przy którym się nie popisałem). Nie oznacza to jednak, że była pozbawiona wad; człowiek się rozwija, szczególnie człowiek raczej młody i zostawiony w spokoju przez Wielkich Literatów ze starszych pokoleń, tak też poza usunięciem niedopatrzeń czysto technicznych (bo jeśli można zrobić jakąś literówkę, w dziewięciu na dziesięć przypadków na pewno ją zrobię) pozwoliłem sobie ingerować w strukturę tekstu jako takiego, przekształcając ją przy wykorzystaniu nowszych narzędzi warsztatowych, które wypracowałem sobie w toku moich skromnych wysiłków i dzięki naturalnej owocności doświadczenia (skądinąd łagodząc sporo literalistyczny „fanatyzm” pierwszej wersji

przekładu); mam nadzieję, że będzie to zmiana na lepsze. I że pozwoli czytelnikowi na tym owocniejsze obcowanie z Chestertonowskim pisarstwem, tym skuteczniej odsłoni prawdziwą wielkości tego twórcy, i że projekt Chesterton Polska będzie działał dalej, zdobywając coraz to nowych sympatyków – bo, krótko mówiąc, uważam, że ta myśl, to pióro i wielka tradycja, którą reprezentują, są Polsce współczesnej bardzo potrzebne.

Maciej Wąs,

Sosnowiec, 18 II 2018, Św. Bernadety Soubirous

Słowo od tłumacza

Można mieć wrażenie, że Gilbert Keith Chesterton to postać w Polsce ciągle bardzo mało znana. Co więcej, mocą jednego z owych paradoksów dziejowych, do rozumienia których sam Gilbert miał tak niedościgły talent, często układa się to w ten sposób, że najmniej znają owego pisarza ci, którzy mieli okazję jakieś jego dzieło przeczytać. Zwykła i nieszkodliwa niewiedza tych, którzy z autorem *Ortodoksji* mieli do czynienia mało albo wcale, i czasami go z tego względu nie lubią, plotąc bzdury na temat jego rzekomego „antysemityzmu" czy „teokratyzmu", w porównaniu ze złowrogą i porażającą ignorancją niektórych jego czytelników (a czasem nawet zwolenników), wydaje się śmieszną zabawką, fraszką zwyczajną, czymś równie poważnym, co obrady „parlamentu europejskiego" (lub innej politycznej humoreski, która nam wszystkim humor poprawia – i nic więcej). Błędy tych pierwszych można zbić bardzo prosto; zbijanie błędów tych drugich – to wysiłek heroiczny i, w wielu wypadkach, zupełnie beznadziejny Dziwne? Prawdopodobnie. Nie na darmo jednak pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że „niebezpiecznie jest wiedzieć mało".

O Chestertonie zaś, powiedziano już bardzo wiele rzeczy. W jednym miejscu na przykład miałem okazję wyczytać, że jest on najbardziej

znany ze swoich powieści. On, który po wielokroć jasno stwierdzał, że *nie jest* powieściopisarzem. Gdzie indziej (to akurat więcej niż raz – i z każdym razem, rzecz ciekawa, wydawało mi się to bardziej niedorzeczne) – że był „konserwatystą". On, nienawidzący arystokracji i monarchii *demokrata*, całe życie piszący peany na cześć Rewolucji Francuskiej. Jeszcze indziej, że „błaznem literatury angielskiej". On, który całą twórczość poświęcał *wyłącznie* sprawom bardzo poważnym. W innym jeszcze tekście, że „snuł utopistyczne wizje społeczne". On, który w całej swojej publicystyce promował *wyłącznie* bardzo konkretny, realistyczny i w pełni wykonalny projekt reform politycznych, o mocnym ugruntowaniu w historii Europy. Gdyby czasu i miejsca starczyło, można by tu przywołać jeszcze znacznie więcej podobnej jakości sądów krytycznych; sądzę, że w niedalekiej przyszłości zagadnienie to znajdzie jakieś systematyczne opracowanie w dobrej pracy naukowej (temat na pewno czegoś podobnego godny, bo nie dość, ze ciekawy, to jeszcze komiczny). Jak by jednak na sprawę nie spojrzeć – problem jest poważny. Na szczęście – istnieją jeszcze środki, pozwalające sobie z nim poradzić.

Pierwszy i podstawowy z nich – stanowi czytanie. Ale czytanie zorientowane w sposób szczególny. Jeżeli bowiem pragniemy zapoznać się z twórczością Gilberta, musimy pamiętać o jednej,

podstawowej przesłance; że Gilbert – był *dziennikarzem. I* choćbyśmy dwadzieścia razy przeczytali *Ortodoksję,* piętnaście – *Człowieka wiekuistego, a* trzydzieści trzy – *Człowieka, który był czwartkiem,* nie osiągniemy dostatecznego poziomu rozumienia, o co w ogóle w całej sprawie chodzi, jeżeli nie zmierzymy się przynajmniej raz (a najlepiej więcej razy), z książkami, które powstawały jako owoc jego codziennego, żmudnego rzemiosła, którym zarabiał na życie. Pan Hugon Kenner, skądinąd jeden z lepszych krytyków Chestertonowskiego pisarstwa, określił je kiedyś mianem „pism efemerycznych". Czy jednak fakt, że w wypadku tego konkretnego człowieka, granica między tym, co efemeryczne, a tym, co trwałe, między centrum a peryferium, między powagą a niepowagą, zaciera się niemal całkowicie, może w ogóle kogokolwiek zaskakiwać?

Pewnie tak; może nie. Nie chciałbym zajmować się tutaj tym frapującym problemem psychologicznym. Niezależnie od tej kwestii, fakt pozostaje faktem, że jeśli ktoś rzeczywiście chciałby zapoznać się z Chestertonem prawdziwym i pełnokrwistym, innym od wszystkich powierzchownych uogólnień na jego temat, dobrze zrobi, biorąc do ręki właśnie *Nowe Jeruzalem.* Pisarstwo podróżnicze Chestertona to w ogóle temat na osobną rozprawę; tutaj wystarczy powiedzieć tylko tyle, że w książce niniejszej, Czytelnik znajdzie

wszystko, poza tym, czego się po Gilbercie spodziewa. Z zebranych tutaj esejów, pisanych w roku 1920, a więc ledwie dwa lata po zakończeniu Pierwszej Wojny Światowej, wyłania się postać człowieka bardzo twardego i twardo stąpającego po ziemi, którego poglądy polityczne mogą w dzisiejszych czasach stać się dla niejednego prawdziwym „kamieniem obrazy”. Gilbert nie słodzi; nie sentymentalizuje; nie ucieka w utopie i nic nie znaczące, przyjemne frazesy o „powszechnej tolerancji” i „społeczeństwie otwartym”. Innymi słowy: nie zbliża się ani na krok do czegokolwiek, co składa się obecnie na większość polityki, tak teoretycznej, jak i praktycznej, naszego kontynentu. Najbardziej wyrazistym, najmocniejszym, najgenialniej zarysowanym motywem tego dzieła, jest *świadomość istnienia różnic*. Różnic między religiami; między kulturami; i wreszcie – między *narodami*. Czasami chodzi tu o różnice w ubiorze; czasami – o to, że Europa jest silna, a Bliski Wschód – słaby; i że w pewnych krytycznych momentach historii, to cywilizacja większa i bardziej ludzka ma prawo wziąć stery dziejów w swoje ręce. Nie zajmuję się, bynajmniej, prawdziwością podobnych stwierdzeń. Odpowiedzialność za to wzniosłe zadanie pozostawiam Czytelnikowi. I jakkolwiek różnorodność tematyczna osiąga w *Nowym Jeruzalem* rozmiary nieznane normalnemu umysłowi (warto przywołać tutaj choćby esej „Bitwa ze smokiem”, absolutny majstersztyk Chestertonowskiej apologetyki, a także – jak śmiem

twierdzić – apologetyki w ogóle), to jestem głęboko przekonany, że w miarę postępu lektury, każdy Czytelnik zacznie uświadamiać sobie mocniej i mocniej jeden podstawowy dla całej kwestii fakt: że Chesterton *był* nacjonalistą. I że bez zaakceptowania tej podstawowej rzeczywistości, nikt nie zdoła jego pisarstwa w pełnym tego słowa znaczeniu zrozumieć.

Na koniec, pozostaje dorzucić jedną ważną uwagę. Jak doświadczenie dziejowe wskazuje, wielu może zrazić do Chestertona jedna jego myśl, zawarta w ostatnim, najdłuższym (i najbardziej chaotycznym) eseju tego zbioru. Pomny tej osobliwej prawidłowości, ośmielam sobie przywołać tutaj pewien fakt historyczny: otóż, na ile nam wiadomo, podczas obrad Sejmu polskiego, na których przegłosowano przyjęcie konstytucji marcowej, przedstawiciele społeczności żydowskiej w Polsce domagali się ustanowienia w naszej Ojczyźnie stref eksterytorialnych dla narodu żydowskiego. Jeżeli więc Chesterton domagał się czegokolwiek, to czynił to, jak się zdaje, w pełnej zgodzie z oficjalną linią społeczności żydowskiej w Europie. W związku z czym, trudno kogokolwiek posądzać w tym wypadku o antysemityzm – zwłaszcza, że wszystkie te projekty tworzone były zanim komukolwiek śniło się dojście do władzy niemieckich nazistów. Którymi, według własnych słów, Chesterton się „brzydził". I których nieodmiennie, jako jeden z nielicznych

angielskich intelektualistów przed wybuchem wojny, ostro i otwarcie potępiał.

***

Sądzę, że warto poświęcić jeszcze kilka słów samemu procesowi tłumaczenia. Otóż, jeżeli ktoś miał już przyjemność (lub nieprzyjemność, choć wolałbym, aby było inaczej) zapoznać się z moim tłumaczeniem *Irlandzkich impresji,* pierwszą częścią Chestertonowskiej „trylogii podróżniczej" z lat 1919-1922, dostrzeże zapewne wiele różnic w sposobie, w jakim oba teksty zostały potraktowane. Złożyło się na to wiele czynników; najważniejszy wszakże ze wszystkich stanowił, miło mi to powiedzieć, kontekst merytoryczny. Oto bowiem w trakcie lektury różnych poświęconych Gilbertowi tekstów, której oddawałem się w związku z pisaniem mojej pracy magisterskiej, dowiedziałem się, że przy każdej edycji swoich książek poświęcał on szczególna uwagę jednemu, wydawałoby się nieistotnemu zupełnie elementowi, jakim jest – średnik. Chesterton stosował średnik namiętnie i konsekwentnie, nawet tam, gdzie inni pisarze użyliby zwykłego przecinka albo kropki. Podczas edycji, wydawcy bardzo często zmieniali to rozwiązanie, tak, aby tekst wyglądał bardziej konwencjonalnie. Gdy więc tylko wyrobił sobie Gilbert pewną pozycję w świecie

angielskiego dziennikarstwa, wykorzystał ją, aby tę swoją niekonwencjonalność specjalnie zabezpieczyć. Uznałem, że skoro mu na tym tak bardzo zależało, to musi być w tym jakiś głębszy sens. I od tamtej chwili, starałem się zachować ów średnik, gdziekolwiek się tylko pojawiał. Ku mojemu zdziwieniu (i jak gdyby w odniesieniu do tego, co powiedziało się już wcześniej odnośnie Chestertonowskiej relacji centrum i peryferium), ta malutka, wydawać by się mogło, modyfikacja, wypłynęła znacząco na całość procesu translacji; i teksty zaczęły wyglądać zupełnie inaczej. „Od jednej przyszło aż więc do dziewiąci" – i tak, stojąc, jak każdy tłumacz, między przeciwstawnymi biegunami „egzotyzacji" i „asymilacji", w zupełnej sprzeczności z przyjętymi wcześniej założeniami, samorzutnie przybliżałem się coraz bardziej do „egzotyki", czyli tego, co dla polskiego Czytelnika nowe i obce. Przyznam, że mi się to spodobało; dlatego też z czasem zdecydowałem się poddać temu biegowi dziejów i realizować to założenie jak najbardziej świadomie. Starałem się zatem zachować w przekładzie większość Chestertonowskich osobliwości, takich jak choćby pojawiające się w niektórych momentach szaleńcze wprost powtórki wyrazowe, paralelizmy, zdania bardzo wielokrotnie złożone, czy gry słowne, zazwyczaj w polskich przekładach elegancko „wygładzane", zawsze dbając o to, by reguł języka polskiego nie *przegiąć, a* ledwie je *nagiąć.* Oczywiście, nie mogę kompetentnie osądzić, czy mi się to udało. Moje skromne

doświadczenie każe mi mniemać, że na pewno nie w każdym wypadku. Mam jednak szczerą nadzieję, że przekład mój, sporządzany przy pełnej świadomości faktu, że tłumaczenie „idealne" to zupełna bzdura, pomimo wszystkich niedoskonałości pozwoli Czytelnikowi zapoznać się z Chestertonem „nieznanym", nie tylko co do kwestii ideowych, ale i formalnych. Że przybliży mu w pewien sposób tego giganta literatury, który nie miał, nie ma i nie będzie miał nigdy podobnego sobie w całej historii ludzkości. Na tym, jak sądzę, możemy zakończyć; a zresztą – może i nie?

Maciej Wąs

Sosnowiec, 04 IX, 2016 r. - we wspomnienie Najświętszej Maryi Panny, Matki Pocieszenia.

Wstęp

Książka niniejsza to ledwie nieporęcznie duży zeszyt; w związku z czym, niezależnie od tego, czy posiada jakieś łączące się z tą formą zalety, na pewno posiada wszystkie możliwe wady sporządzanych „tu i teraz" notatek. Ze względu na moje niespodziewane roztargnienie spowodowane różnymi innymi obowiązkami, notatki te publikowano w gazecie dokładnie w takiej formie, jaką otrzymały na miejscu; i w takiej formie, w jakiej zostały opublikowane w gazecie, powiela się je teraz w niniejszej książce. Jedyny wyjątek stanowi rozdział ostatni, poświęcony syjonizmowi; lecz nawet w tym wypadku wracam po prostu do zbioru pierwotnych zapisków. Różnica zdań, niepozwalająca autorowi porozumieć się z ogólną linią wspomnianej gazety, uniemożliwiła opublikowanie tego rozdziału razem z całą resztą. Zdaję sobie sprawę, że jakikolwiek skrót zafałszowałby w tym wypadku proporcje podjętej przeze mnie próby oddania sprawiedliwości temu bardzo trudnemu zagadnieniu; lecz nawet czytając efekt moich wysiłków *in extenso,* daleki jestem od jakiejkolwiek satysfakcji w tej sprawie. Spisywałem owe pierwsze wrażenia w Palestynie, gdzie każdy uznaje Żydów za lud odrębny od Anglików czy Europejczyków; i gdzie ich niepopularność pchnęła mnie nawet do podjęcia się ich obrony. Przyznaję wszakże, że powrót do bardziej konwencjonalnej atmosfery, w której niepopularności

owej ciągle się zaprzecza, a najmniejszą wzmiankę o niej traktuje w kategoriach prześladowań narodowościowych, stanowił dla mnie coś w rodzaju szoku. Czymś jeszcze bardziej szokującym był zaś fakt, że ów najbardziej obskurny ze wszystkich rodzajów obskurantyzmu ciągle jeszcze uznaje się u nas za liberalizm. Mówić o Żydach wyłącznie jako o prześladowanych, a nigdy jako o prześladowcach, to zwykły absurd; to tak, jak gdyby domagać się (bardzo rozumnie przecież) sprawiedliwości dla francuskich *émigres z* czasów Rewolucji lub zrujnowanych irlandzkich ziemian, ani słowem nie wspominając przy tym o jakichkolwiek szkodach, które mogli ponieść w całej sprawie irlandzcy i francuscy chłopi. Co więcej, Żydzi Zachodu wydają się nie tyle pytać – jak uczyniłem to, jakkolwiek bardzo ostrożnie, w niniejszej książce – czy zakrojona na szerszą skalę i mniej lokalna kolonizacja rzeczywiście może skutecznie przenieść większą część Izraela w bardziej niezależne formy bytowania, co raczej wprost żądać, aby pozwolono im nadal sprawować kontrolę nie tylko nad własnym narodem, lecz także – nad innymi narodami. Być może, że próba uregulowania problemu żydowskiego, z natury swej ryzykowna, stanowi dla Anglii rzecz wartą zachodu; lecz na pewno zachodu niewarte jest podejmowanie takiego ryzyka, które skończy się tylko pogorszeniem problemu arabskiego i zostawi problem żydowski bez rozwiązania.

Co do reszty, musiałem, ze względu na okoliczności, mylić się znacznie częściej, niż bym to sobie wymarzył; przypuszczenia historyczne, bo nie można ich uznać za cokolwiek więcej, opierałem na świadectwach ludzi, których uważałem za dostatecznie godnych zaufania; nigdy jednak nie udawałem, że mam wystarczającą wiedzę, aby sprawdzić, czy mówią oni prawdę. Zdaję sobie sprawę z tego, że dotykam wielu kwestii kontrowersyjnych; jak choćby w wypadku domniemanego związku Gerarda, owego płomiennego templariusza, z angielskim miasteczkiem Bideford. Zdaję sobie również świetnie sprawę z faktu, że niektórzy ludzie przywiązują wielką wagę do poprawnej pisowni; i że sami korektorzy bardzo często buntują się i zmieniają słowo „Mahomet" na „Mohammed". W tej kwestii jednak, niczego nie żałuję; jako iż nigdy nie mogłem zrozumieć, jaki sens ma zmienianie jednej formy imienia, mającej w naszym języku znaczenie historyczne, a wręcz heroiczne, na inną, tylko po to, aby przy pomocy ułożenia naszych liter w określonej kolejności oddać coś, co tak naprawdę pisze się innymi literami i, prawdopodobnie, wymawia z zupełnie innym akcentem. Mówiąc o tym wielkim proroku jestem niniejszym zdeterminowany nazywać go

Mahometem; a tym bardziej – bo na użytek wstrętnej prowokacji – Mahoundem[1].

1 *Mahound* – obraźliwe określenie na Mahometa, które znaleźć można u średniowiecznych kronikarzy angielskich. Obraźliwość bierze się od znaczenia angielskiego słowa „hound" – pies.

Rozdział I: Droga przez miasta

Tak się złożyło, że to właśnie w okresie świąt Bożego Narodzenia opuściłem mój mały, położony w rozciągającym się między wzgórzami Chilterns[2] a Tamizą „zagajniku bukowym" ogródek i zacząłem cofać się w czasie, zdążając do miejsca, w którym owe święta wzięły swój początek. Często bowiem w podróży musimy się cofać – podobnie jak ktoś, kto zawraca z mylnej drogi i szuka znaków, aby odnaleźć dobrą. Człowiek współczesny przypomina jednak raczej podróżnika, który nie pamięta nawet gdzie idzie i aby sobie przypomnieć, musi wrócić tam, skąd wyruszył. Niewielu zaprzeczy temu, że świat się zgubił; mnie zaś zdawało się, że oto znalazłem przynajmniej coś rodzaju znaku drogowego, o niespotykanym i pełnym znaczenia kształcie, dzięki któremu ujrzałem przez moment oczyma duszy prawdziwą mapę wędrówek naszej epoki; czy wszakże uda mi się ubrać w słowa cokolwiek z tego, co widziałem, opowieść niniejsza pokaże.

Pożegnałem się z przyjaciółmi, w każdym razie – z tymi, którzy dysponowali podobną jak ja, ograniczoną liczbą nóg; i nic żywego zgoła nie pozostało przy mnie, poza psem i osiołkiem. Niespodzianką

2 Pasmo wzgórz na południu Anglii.

będzie zapewne dla Czytelnika fakt, że w pierwszej chwili instynktownie ucieszyłem się przede wszystkim z psa; i wiem bardzo dobrze, że niebezpiecznie jest igrać w ten sposób z nieokiełznanym żywiołem dowcipu. Pies w znacznej mierze przypomina osła, a przynajmniej jego małą karykaturę z wielką, czarną głową i długimi uszami. A jednak nastrój tamtej chwili podkreślał przede wszystkim raczej moralny kontrast niż to wizualne podobieństwo. Mój pies bowiem rzeczywiście zdawał się wtedy streszczać w sobie dom i w ogóle wszystko, z czym tak trudno było mi się rozstać – szczególnie ze względu na czas, w którym musiałem to zrobić. Po pierwsze – nazwaliśmy go na cześć pana Winkle'a, świątecznego gościa pana Wardle'a[3;] i, istotnie, jest coś Dickensowskiego w sposobie, w jaki spokój domowego zacisza łączy się w nim ze szczerą gwałtownością przeżyć. Skakał naokoło mnie, robiąc przy tym tyle hałasu, co karabin maszynowy, zapewne w przekonaniu, że idziemy na spacer; niestety, tamtego dnia nie mogłem zabrać go ze sobą na moją przechadzkę po Palestynie. Przypadkowo, raczej nie komponowałby się w tym kraju z otoczeniem; bo Wschód nie przyznaje psom należnego im miejsca w społeczeństwie; to zaś zdawało się jeszcze mocniej podkreślać symboliczną rolę, którą strażnik mojego domu pełnił w stosunku do kultury Zachodu.

3 Aluzja do *Klubu Pickwicka* Dickensa.

Z drugiej strony, Wschód pełen jest osłów – bardzo często mających ogromne poczucie godności; i kiedy zwróciłem wzrok na drugiego z moich groteskowych czworonogów, zdawało mi się, że spoczął na nim nagle głęboki cień tajemnicy Orientu. Nie mam pojęcia, dlaczego te dwa absurdalne stworzenia tak uporczywie przeplatały się ze sobą w mojej myśli, niczym smoki ze średniowiecznego woluminu; czy też fikały w niej koziołki na kształt gargulców po obu stronach bramy, wiodącej do dalszej części moich przygód. A jednak w pewnym sensie, i mimo wszystkiego, naprawdę stanowiły one symbole dwóch stron globu. Charakterystyczna dla psów samowola stanowi przecież jedynie ekstrawagancką wersję lojalności; a zwierz ów potrafi oszaleć z radości trzy razy na dzień, tylko z tego powodu, że weźmie się go na spacer wzdłuż tej samej drogi. Świat współczesny pełen jest najdziwniejszych form animizmu; religii zwyczajowo łączącej się ze składaniem ofiar z ludzi. Niemniej, rzadko kiedy można usłyszeć w nim cokolwiek na temat prawdziwych zalet naszych „braci mniejszych"; jedną z nich jest na pewno owa całkowita odporność na nudę; być może, że to cudowny skutek bezgrzeszności. Sam wykształciłem w sobie przecież niejakie poczucie obowiązku bycia zaskoczonym; i patrzenia na starą drogę w taki sposób, żeby jawiła się jako coś zupełnie nowego. Nie mógłbym wszakże z czystym sumieniem twierdzić, że ilekroć udaję się na przechadzkę z rodziną i przyjaciółmi, wybiegam na czoło grupy, jazgocząc w euforii jakbym

postradał zmysły; ani nawet, że skaczę po najbliższej okolicy desperacko próbując polizać wszystkich po twarzach. Właśnie ze względu na tę zdolność podejmowania raz po raz z nową energią rzeczy swojskich i dobrze znanych, pies stanowi wiecznotrwałą figurę cywilizacji Zachodu. Osioł zaś jest tak inny od tego wszystkiego, jak Orient. Sama jego skłonność do anarchii jest tajemnicą; sam jego bunt to sekret. Do skakania nie motywuje go chęć towarzyszenia komukolwiek w jego wędrówce, ale tylko pragnienie chodzenia własnymi drogami: w zupełnej samotności, na kształt dzikiego osła z Biblii. Mój osobisty osiołek niezbicie dowodzi prawdziwości tej powagi – bo jest naprawdę bardzo dziki. Nazwałem go „Trucki" – bo rzadko truchta, przeważnie biega albo stoi. Mianowicie: biega po łąkach, gdy koniecznie trzeba go złapać i uwiązać, a stoi w miejscu jak słup soli, gdy musi coś gdzieś przewieźć. Trudni się także niszczeniem płotów i wyjadaniem warzyw z grządek. Nie wspominając tu nawet o jego wielu innych, ważnych zainteresowaniach; swym oscylującym między opóźnianiem ważnych spraw i sianiem zniszczenia rozkładem zajęć mógłby spokojnie zrujnować ubogiego człowieka w dwadzieścia cztery godziny. Dobrze by było, gdyby uwzględniano ten fakt przy okazji osądzania różnych okrucieństw, które ubodzy ludzie wyrządzają czasem swoim osłom. Zapewniam jednak mojego Czytelnika, że sam nie jestem wobec mojego zwierzęcia okrutny – ta

sfera życia należy wyłącznie do niego. Ma bowiem w zwyczaju kopać tych, którzy próbują go złapać; i znów: przywodzi mi to na myśl niejasną analogię z relacjami między ludźmi. Wydaje mi się, że wielu z nas, brzydząc się zwyczajnie tą niegodziwą zagrywką, jaką jest wyrządzanie zwierzętom krzywdy, wyrobiło w sobie ogromną do tych stworzeń cierpliwość; większą, obawiam się, niż zazwyczaj mają do innych ludzi. Załóżmy, że co rano musiałbym wybiegać na łąkę, by złapać moją sekretarkę; a także, że sekretarka owa lubiłaby rozpocząć nowy dzień swojej pracy od kopnięcia mnie w brzuch; zastanawiam się, czy każdy taki dzień przebiegałby po czymś podobnym normalnie, jakby nic się nie stało. Nic poważniejszego ponad te groteskowe spekulacje nie przyszłoby mi na myśl w tamtym momencie, mimo iż w głębi duszy ciążył mi przecież niewyrażalny do końca żal i gorycz rozstania. Podczas wszystkich wędrówek, które miałem odbyć, pies ów obecny był w mojej pamięci jako Dickensowski i rodzimy herb Anglii; jeśli zaś trudno traktować osła poważnie, to przynajmniej w wypadku człowieka wybierającego się do Jerozolimy, coś podobnego powinno przychodzić nieco łatwiej.

Typowa dla okresu Bożonarodzeniowej pogody chmura spowijała rozległą szarość bukowych lasów i srebrny krzyż miejscowych rozdroży. Cztery trakty, które spotykają się na rynku mojego miasteczka, stanowią jeden z największych i najprostszych

przykładów obecności tego symbolu w angielskiej kartografii; i kształt ów, lśniący na tle tej lesistej okolicy, zawsze wywierał na mnie wyjątkowe wrażenie. Widok skrzyżowania dróg stanowi bowiem w najprawdziwszym sensie tych słów znak krzyża. Znak prawdziwie chrześcijańskiej sprawy; wyrazistego połączenia wolności i ograniczenia, które zwykło się nazywać wyborem. Skręt w prawo lub w lewo, podobnie jak dobro i zło, to kwestia swobodnej decyzji. Gdy po raz ostatni zwróciłem swój wzrok na te blade pod ciężkim obłokiem ulice, wiedziałem bardzo dobrze, że nasz świat naprawdę znalazł się na rozdrożu. W miarę zaś, jak ścieżka, którą szedłem, stawała się coraz bledsza wobec gęstniejących cieni, czułem, że – ściślej mówiąc – zwyczajnie zgubił on swoją drogę w ciemnościach otaczającej go puszczy.

W tamtym okresie dosyć powszechnie mówiło się o groźbie końca świata, nie w sensie apokaliptycznym, ale astronomicznym; spowijająca zaś malutkie miasteczko Beaconsfield chmura całkiem dobrze mogłaby wpasować się w podobną fantazję. Rozwiała się ona jednak, gdy tylko oddaliłem się od tego miejsca na większą odległość; i w Londynie widoczność, pomimo rzęsistego deszczu, w porównawczej skali była naprawdę wysoka. Prawie tak, jakby Beaconsfield przeżyło swój własny Dzień Sądu i koniec czasów, niedotyczący reszty kuli ziemskiej. W pewnym sensie moja

miejscowość, podobnie jak świat, rzeczywiście ma swoje cztery strony, nazywane „przedmieściami" czterech najbliższych miast. Mnie interesowało jednak wyłącznie „przedmieście" londyńskie; i sama ta nazwa zdawała się stanowić jakby wizję dziwnej pustki, naraz ostatecznej i nieokreślonej. Zwrot „Londyńskie Przedmieście" przywodzi na myśl skojarzenia z peryferiami niebytu, albo – co gorsza – przeciwnie: z peryferiami całego kosmosu. Sugeruje on coś w rodzaju szyderczej zagadki; „Gdzie kończy się Londyn?" Kiedy przemierzałem niezmierzoną głuszę londyńskiej *suburbii,* właśnie owa koncepcja naszej stolicy jako bezkształtnego i bezgranicznego chaosu najmocniej wybrzmiewała w moim umyśle. Zdawało mi się, że chmura z Beaconsfield przemieszcza się razem ze mną; za każdym zaś razem, gdy podnosiłem wzrok ku niebu, niemal spodziewałem się ujrzeć kominy splątane ze sobą, niby wierzchołki drzew.

Tymczasem nie było już wcale żadnej materialnej mgły – unosiła się ona wyłącznie w sferze umysłowej i moralnej. Cała symbolizowana przez Londyn, przemysłowa rzeczywistość, doszła już bowiem w tamtym momencie do komplikacji i zamętu tak ogromnych rozmiarów, że trudno byłoby znaleźć dlań jakiekolwiek adekwatne porównanie historyczne. To nie kwestia różnicy zdań – ale raczej różnicy interesów. Przechodząc obok Charing Cross natknąłem się na labourzystowski plakat polityczny straszący podjęciem „działań

bezpośrednich”[4] i wzywający do nacjonalizacji przemysłu. Bez żadnego związku z moralną szlachetnością tej sprawy wpadło mi wtedy go głowy, że owe „działania bezpośrednie” tak naprawdę tylko bardzo pośrednio dotykają głównego problemu, jego realne rozwiązanie zaś jest bardzo odległe od tego, co pragną zrobić labourzyści. Wszystko to stanowi część szerszej gmatwaniny, w której pojęcia i rzeczywistości zachodzą na siebie i mieszają się ze sobą. Pracodawcy mówią o „prywatnej przedsiębiorczości”, zupełnie jakby we współczesnych wielkim biznesie było cokolwiek, co można by nazwać „prywatnym”; jego kombinaty są większe niż niejedno państwo; rzeczom zaś, które reklamuje się wielkimi, świecącymi na nocnym niebie literami, nie da się przypisać nic z niepozornego luksusu prywatności. Na podobnej zasadzie, Partia Pracy głosi potrzebę „nacjonalizacji” kopalni czy ziemi, jak gdyby nacjonalizacja rządu, a nawet narodu, nie była największym marzeniem każdej plutokracji. Kapitaliści wychwalają konkurencję i tworzą monopole; socjaliści natomiast nawołują do strajków, dzięki którym klasa pracująca zmieniłaby się w klasę urzędników i żołnierzy; czyli, logicznie rzecz biorąc, strajków skierowanych przeciwko strajkom. Wspominam o tym wyłącznie jako o przykładzie zadziwiającej niekonsekwencji naszych czasów i bez żadnej intencji polemicznej.

---

4 Oryg. *Direct Action* – termin odnoszący się w kontekście społecznym do czynnego oporu wobec tzw. „systemu.” Prawdopodobnie w tym wypadku chodziło o strajki.

Moje osobiste sympatie leżą po stronie socjalistów; na tyle, na ile można powiedzieć cokolwiek na ich obronę, na obronę kapitalizmu nie można bowiem powiedzieć niczego. Chodzi mi tu jednak o to, że dzisiaj jeśli tylko rzeczywiście dałoby się ukuć na obronę określonego poglądu jakiś solidny argument, to zazwyczaj używa się tego argumentu w obronie poglądów wprost przeciwnych. Od momentu, gdy w pewnej nonsensownej opowiastce tłum ludzi krzyczał: „Mniej chleba! Więcej podatków!" nie widziano na ziemi sytuacji podobnie absurdalnej jak ta, w której lud domaga się od rządu kontroli nad gospodarką, rząd zaś denuncjuje własny aparat administracyjny jako czystą anarchię. Tłum zebrany pod murami pałacu ryczy: „Tyranie piekielny, żądamy, abyś rozszerzył zakres swych despotycznych prerogatyw!"; tyran ów grzmi zaś z balkonu: „Nikczemna gawiedzi, jak śmiesz sugerować, że mógłbym mieć więcej władzy?!" Może mi się wydaje, ale chyba doszło tutaj do małego nieporozumienia.

Prawdę powiedziawszy, wszystko, co widziałem, upewniało mnie w przekonaniu, że do nieporozumienia owego doszło nie tyle „gdzieś", co wszędzie; i że nieporozumienie owo było duże, tak duże, że osiągające status zupełnego pomieszania pojęć. To właśnie stanowiło ostatnie wrażenie, jakie wywarł na mnie Londyn: a zatem wrażenie, które nosiłem potem w sobie w związku z ogólniejszym problemem całej cywilizacji Zachodu, jako zagadkę, czy może wręcz węzeł, który

trzeba rozwiązać. Rozwiązanie go jest konieczne do tego, by ująć go z właściwej strony, szczególnie: z jego drugiej strony. Musimy bowiem zacząć na początku: powrócić do źródeł naszej historii, jak w filozofii wraca się do pierwszych zasad. Musimy dociec, jak to się stało, że robimy to, co robimy i mówimy akurat to, co mówimy. W obecnej sytuacji, terminy, którymi się posługujemy, są całkowicie wyzute ze znaczenia, a może nawet więcej – sprzeczne same ze sobą. Tak to dokładnie wygląda, na przykład, w wypadku wypowiedzi obu stron wspomnianego wyżej konfliktu politycznego, którym zająłem się powierzchownie w tym miejscu tylko ze względu na fakt, że rozpalał on Londyn akurat w dniu mojego wyjazdu. Kapitaliści mówią „bolszewizm" w taki sposób, że równie dobrze mogliby mówić „boojum".[5] Dla nich jest to po prostu mistyczne i nieprawdziwe słowo, oznaczające grozę. Może ono jednak znaczyć bardzo wiele rzeczy – między innymi: rzeczy zupełnie racjonalnych i sprawiedliwych. Z drugiej strony, nie ma i być nie może ani krzty sensu w sformułowaniu: „dyktatura proletariatu". To tak, jakby powiedzieć: „wszechmoc kierowców autobusów". Oczywistością chyba jest twierdzić, że gdyby kierowca autobusu stał się nagle wszechmocny, to prawdopodobnie zapragnąłby kierować czymś więcej, niż tylko autobusem. Cokolwiek twierdzą na ten temat propagatorzy tego

5 Aluzja do wiersza :The Hunting of the Snark" Ludwika Carrolla.

zjawiska, jego sens jest zdecydowanie inny, niż im się wydaje; i nawet ta werbalna czysto niespójność, zwyczajna pomyłka terminologiczna, stanowi znak powszechnego dziś zamętu myśli. Dokładnie ze względu na to, Londyn wydawał mi się być otchłanią straconych słów, a może także straconych zmysłów. I wobec tej właśnie rzeczywistości możemy zrozumieć prawdziwą wartość tego, co uprzednio nazwałem cofaniem się w czasie.

Jedną z nielicznych zalet współczesnego, mechanicznego sposobu podróżowania jest to, iż pozwala on bardzo szybko porównać bardzo różne od siebie miasta. Kolejne etapy mojej wędrówki wyznaczane zaś były właśnie przez najważniejsze miasta różnych krajów; i chociaż tracąc możliwość obcowania z krajami jako takimi traci się bardzo wiele, coś jednak zyskuje się na podobnej analizie porównawczej ich stolic. I znów – wielką zaletą mojego osobistego postępu stanowił fakt, że postępowałem wstecz; że, jak już wspomniałem, jego celem było odtworzenie dziejów przez odwołania do coraz starszych i starszych rzeczy; do Paryża, do Rzymu, do Egiptu, stamtąd zaś – niemal do Edenu. Ostatecznie zaś, jednym z wybitnych walorów tego powrotu było to, że pozwolił mi on zacząć skutecznie rozwiązywać współczesny problem pomieszania nazw i pojęć. Pierwszy raz uświadomiłem to sobie, gdy, opuściwszy Gare de Lyon, minąłem rząd miejscowych kawiarenek i ujrzałem po raz kolejny

z pewnej odległości kolumnę, ze stojącą na jej cokole, roztańczoną postacią; postacią owej wolności, która tańczyła na zburzonych murach Bastylii. Tutaj przynajmniej, pomyślałem, dane mi było zobaczyć jakieś źródło, jakiś ideał, którego tak bardzo brakowało mi w pustym chaosie przemysłowego oportunizmu. W świecie współczesnym nie ma ani krzty demokracji; a jednak powszechnie uważa się, że jest on demokratyczny, albo że chociaż dąży do tego, aby stać się demokratycznym. Wiek dziewiąty, czas inwazji plemion nordyckich, nie był świątobliwy w tym sensie, że nastąpił w nim wysyp świętych Boga; wręcz przeciwnie – był to czas piratów, lokalnych watażków oraz pierwszych symptomów feudalnej anarchii. Świętość wszakże stanowiła jedyny ideał, jakim dysponowali ci barbarzyńcy, jeżeli dysponowali jakimkolwiek w ogóle. Podobnie – jeśli współczesne, proletariackie masy mają jakikolwiek ideał, to jest nim demokracja. Świętość była światłem wieków ciemnych lub, jak kto woli, marzeniem tej epoki. Demokracja zaś, to marzenie ciemnych wieków industrializmu; nawet jeśli, istotnie, jest ona, tak jak marzenie, ulotna. Prorocy ją obiecują, politycy udają że do niej dążą, poeci jej pragną, a czasem – tylko pragną jej pragnąć. Krótko mówiąc, równość praw obywatelskich to prosta odwrotność współczesnego stanu rzeczy. Niemniej – to także naprawdę ideał naszych czasów. W każdym razie – nie mamy żadnego innego. Jeżeli jaśniejąca nad Placem Bastylii postać to

naprawdę duch wolności, aż dziw, że wobec owych milionów różnych tendencji, według których rozwijają się współczesne miasta, nie uleciała ona jeszcze na powrót do nieba. Gdyby zaś to nastąpiło, nasze laickie społeczeństwo bardzo dobrze wiedziałoby, jaką boginią ją zastąpić.

Kiedy spoglądałem na to rzeźbione bóstwo klasycystycznej kolumny, myśl moja zwróciła się ku innemu jeszcze okresowi historii i spytałem sam siebie o miejsce, z którego wziął się cały ów starożytny ideał republiki. Odpowiedź była równie jednoznaczna. Wziął się on bowiem dokładnie stamtąd, gdzie akurat zmierzałem – z Rzymu. I dopiero, gdy udało mi się tam dotrzeć, zrozumiałem wystarczająco dobrze kolejną wielką rzeczywistość, świadomość której znacznie upraszcza problem – nie tylko w jego ogólności, ale nawet w tym szczególnym wypadku. Nie znam zjawiska bardziej przykuwającego uwagę od tej zaskakującej stromości uliczek, jak gdyby zrywających się gwałtownie do lotu, z której wyrasta owa niewielka skała, obecnie pokryta warstwą cegieł i bruku, w zamierzchłych dniach ocieniająca swym większym nad jej fizyczną małość ogromem całą ziemię; Kapitol. Tutaj właśnie, o szarym świcie naszych dziejów, miała swoją stolicę potężna republika, która zgięła do ziemi karki monarchów; i stąd też jej duch wzleciał wysoko niczym orzeł, by zapłonąć na szczycie kolumny

w dalekim kraju Galów. Powinno się bowiem pamiętać o tym, o czym tak często się dziś, niestety, zapomina: że jeżeli Paryż rzeczywiście odziedziczył to, co można by nazwać powagą i potęgą Rzymu, to sam Rzym przepowiadał również w jakiś sposób to, co można by nazwać anarchią Paryża. Rozrostowi Imperium Rzymskiego towarzyszyło coś w rodzaju nieustannej „rzymskiej rewolucji", tak samo gwałtownej jak Rewolucja Francuska. Tak długo, jak system owego imperium był naprawdę silny, co i rusz wstrząsały nim zamieszki, protesty tłumu i demokratyczne konflikty – i bardzo wiele Bastylii zburzono, budując świątynie zwycięstwa. Mimo że mogłem pozwolić sobie tylko na takie pobieżne przemyślenie tych spraw, znalazłem wśród nich także coś, co mogłoby posłużyć jako pomoc w rozwiązaniu poruszanego tu problemu. Widziałem bowiem także późniejsze i większe fizycznie osiągnięcia Rzymian; płynący zaś z nich morał jest przecież ciągle aktualny. Widziałem Koloseum, ów pomnik kultu wizualnej strony zmagań sportowych, uważanego dziś za znak rzymskiej dekadencji i angielskiej energii. Widziałem Termy Karakalli, hołd złożony obsesji czystości ciała, którą daje się za przykład rzymskich zbytków i anglosaskiej prostoty życia. Tymczasem świadczą one wyłącznie o umiłowaniu kolektywnych kąpieli; co może z kolei sugerować, że Karakalla, jak wielu innych cesarzy, był szalony. A jednak podobne rzeczy świadczą także, nawet jeśli tylko pośrednio, o czymś znacznie bardziej istotnym. Ukazują

one bowiem nie tylko szczerość społecznego ducha, ale i sprawność służby publicznej. Krótko mówiąc: w Rzymie było wiele rewolucji. Nie było wszakże strajków. Obywatele bardzo często buntowali się przeciw władzy; wielu innych ludzi nie mogło się jednak buntować: ponieważ nie byli obywatelami. Świat starożytny, zanim pozwolił bardziej uprzywilejowanym walczyć o zmianę tych, którzy nad nim panowali, przymusił znaczną część swoich mieszkańców, aby utrzymywała go własną pracą. Ten fakt to oczywiście pospolity truizm; a imię jego: *servitus*. Imię to zaś nie oznacza przestępstwa, jak słowo „symonia", ale raczej pewien projekt, jak „socjalizm." Istotnie, czasami naprawdę bardzo „jak socjalizm".

Stojąc sobie spokojnie na jednym z pokrytych trawą kopców rozpościerających się w cieniu zrujnowanej kolumnady, zobaczyłem nagle oczyma duszy cały problem społeczny Londynu – znacznie wyraźniej, niż mogłem go zobaczyć na miejscu. Nie twierdzę przy tym, że zobaczyłem, kto miał rację, które rozwiązanie byłoby skuteczne, jakich błyskotliwych argumentów można by użyć w dyskusji, czy w ogóle cokolwiek, co tyczyło się bardziej szczegółowych aspektów sprawy. Chodzi mi o to, że zobaczyłem, czym ów problem, sam w sobie i w całości, właściwie jest. Dzisiejszy spór wokół kwestii zatrudnienia stał się prosty i spójny, na kształt górskiego szczytu, który, gdy spojrzy się nań z dystansu, zawsze

wydaje się regularny i masywny, choćby nawet przy bliższym kontakcie okazał się bezładnym rumowiskiem. Spór toczy się o to, jak mieć demokrację Paryża bez niewolnictwa Rzymu. W drodze od Republiki Rzymskiej do Republiki Francuskiej coś się wydarzyło. Jakiekolwiek byłoby tego czegoś znaczenie, obejmowało ono także sprzeciw wobec starożytnej i podstawowej dla rodzaju ludzkiego instytucji niewolnictwa; zwyczaju wydzielania ze społeczeństwa grupy osób, z góry przeznaczonych do wykonywania wszystkich koniecznych prac, nawet w wypadku, gdy w społeczeństwie tym wszyscy obywatele byli wolni i równi. Gdy idea równości społecznej wróciła do Europy, jej zwolennicy szybko przekonali się, że Stary Kontynent zmienił się pod wpływem egalitaryzmu znacznie bardziej tajemniczego, niż ten, który głosili. Na tej samej zasadzie, Londyn, przekazując dalej światło, które otrzymał tak od Paryża, jak i od Rzymu, musi zmierzyć się z nowym wyzwaniem dotyczącym starej konieczności: by odpowiednia ilość pracy zawsze, w ten czy inny sposób, była wykonana. A musimy założyć przy tym nie tylko to, że wszyscy obywatele są równi, ale również, że wszyscy ludzie są obywatelami. Kapitalizm próbował rozwiązać tę kwestię łącząc równość polityczną z nierównością gospodarczą; zakładano, że biedni zawsze będą mogli pracować u bogatych. Sądzę jednakże, że kapitalizm upadł; nie tylko jako skompromitowany system etyczny, ale, zwyczajnie, jako niewypłacalne przedsiębiorstwo. Czy wrócimy

do pogańskiego państwa niewolniczego, czy do ideału drobnej własności prywatnej, czy ustanawiając cechy, czy według jakiejkolwiek innej metody, która pozwoliłaby nam pracować na nowych zasadach, to w tym momencie nieistotne. Jedynym pytaniem, jakim się tutaj zajmuję, jest to, które zadałem sam sobie, stojąc na zielonym pagórku za złotą linią rzeki; odpowiedź zaś na nie leżała dokładnie naprzeciw mnie, wzdłuż wiodącej w kierunku wschodzącego słońca drogi.

Z czego brała się ta różnica? Co takiego wydarzyło się między powstaniem Republiki Rzymskiej i Republiki Francuskiej? Dlaczego równi sobie obywatele tej pierwszej brali niewolników za oczywistość? Dlaczego równi sobie obywatele tej drugiej za oczywistość brali zakaz niewolnictwa? W jaki sposób ta sięgająca niepamiętnych czasów instytucja zniknęła tak zupełnie, że nikomu nie przyszłoby nawet do głowy zasugerować jej przywrócenia, czy chociaż o niej śnić? Z jakiego powodu równość, gdy wróciła, nie mogła więcej oznaczać tylko równości obywateli i musiała obejmować swoim zasięgiem wszystkich ludzi? Odpowiedź jest taka, że równość wszystkich ludzi stanowi tajemnicę – i to w więcej niż tylko jednym sensie. Nad tą właśnie tajemnicą dumałem, stojąc w korytarzu jadącego na południe Włoch pociągu. Świtało i, tak to jakoś wyszło, nikt inny jeszcze nie podniósł się z łóżka. Patrzyłem

z długiego rzędu okien na rozpościerający się przede mną krajobraz, szary od drzew oliwnych i ledwie tylko muśnięty wątłym światłem jutrzenki. Sama jutrzenka przypominała zresztą coś w rodzaju cudownego rzędu okien; przejrzystych szyb, czystych i skrzących się pod okapem chmur. Było coś nadzwyczajnego w przejrzystości tego poranka, jak gdyby słońce zrobione było ze szkła raczej, niż ze złota. W tamtym momencie pierwszy raz w życiu ujrzałem, z tak bliskiej odległości i pokrywające tak wielki obszar, szare konwulsje i sędziwe listowie oliwek; i wszystkie te poskręcane drzewa przesuwały mi się przed oczami niczym smoki, zwarte ze sobą w jakimś onirycznym tańcu. Kołyszący się lekko pociąg i niknąca w oddali linia torów zdawały się zmierzać wprost na wschód – i jakby rozpływać we wdzierającej się na ziemię, świetlnej powodzi; i poza dźwiękiem pędzącej maszyny, nic zgoła nie było słychać w tej szarej i srebrzystej samotności; nawet śpiewu ptaka. A jednak miejscowe plantacje w większości dzieliły się na prywatne działki – i nosiły na sobie wszelkie znamiona troski ich właścicieli. Przyznaję, że rzadko zdarza mi się zaskoczyć świat, gdy jest pogrążony w tak głębokim śnie, nie wiem też, dlaczego moją odpowiedź otrzymałem samemu będąc jeszcze na poły tylko świadomym. Często zdarza się w takiej sytuacji dostrzec coś nowego i uderzającego w otaczającym człowieka krajobrazie; w moim wypadku wszakże zazwyczaj dzieje się tak, że rzeczy, do których zdążyłem się już przyzwyczaić, z nagła stają się

obce i pełne znaczeń. Z milion oliwek musiało przemknąć mi przed oczami, zanim zobaczyłem pierwszą oliwkę w życiu; pierwszą, z której, by tak rzec, mogłem zerwać gałązkę pokoju. Bo oto zdołałem w końcu przypomnieć sobie, do jakiej właściwie krainy zmierzam – i odgadnąć wreszcie to imię, które z pogańskich niewolników uczyniło prawdziwych gospodarzy i wniosło na świat nowe spojrzenie na pracę i wolność. Czułem się prawie tak, jakbym na tle porannego nieba zobaczył ową górę, która bierze swoją nazwę od gaju oliwnego – na niej zaś: ledwie widoczną postać, na którą nie miałem odwagi podnieść oczu. *Ex oriente lux;* i już wiedziałem, jaki to świt wstał onegdaj nad ruiną Wiecznego Miasta.

Z przynajmniej setki podobnych kwestii zająłem się tutaj ledwie jedną – kwestią pracy i wolności; i uznałem, że wartym zachodu zajęciem może być przemyślenie jej od krzykliwego i zadziwiającego plakatu z londyńskiej ulicy do poczesnego miejsca, które zajmuje w historii. Stanowi ona jednak tylko jeden z przypadków, w których tysiąc różnych rzeczy zorganizowało się w zbiór i ukazywało w odpowiedniej perspektywie w miarę, jak coraz bardziej się od nich oddalałem, przybliżając się jednocześnie do najbardziej życiodajnych źródeł cywilizacji. Nie twierdzę, że znalazłem rozwiązanie; przynajmniej jednak znalazłem problem. Dla szamba dziennikarstwa i wielosłowia polityki stanowi on rzecz zbyt skomplikowaną, aby

umiały go dostrzec. Dla przykładu, jeden z moich przyjaciół opisał swoją książkę, *Droga do Rzymu*[6], jako świadectwo z podróży po Europie ocalonej przez wiarę; ja zaś, równie dobrze, mógłbym opisać moją własną wyprawę jako podróż przez Europę ocaloną przez wojnę. W moim wypadku geograficzny przebieg niedawnych walk był aż nadto łatwy do odczytania; całe gaje bladych krzyży zdawały się wyrastać, niczym naprawdę żywe rośliny, na niemal każdym wzgórzu. I pierwsze z francuskich wiosek, przez które zdarzyło mi się przejeżdżać, słyszały w swoim czasie, przez całe dnie i całe noce, odgłos strzałów armatnich z długiej linii frontu, niby huk wielkiego morza nocy, uderzającego wściekle w brzegi samego świata. Czułem się prawie tak, jakbyśmy mijali słynne wieże Amiens, leżące tak niedaleko od miejsca, w którym przypływ barbarzyństwa osiągnął punkt szczytowy – w ową straszliwą noc, tuż przed tym, jak wszystko zaczęło się odwracać. Bo prawda, która w miarę mojej podróży stawała się coraz bardziej wyraźna, znajduje naprawdę dobre odzwierciedlenie w metaforze artylerii, widzianej jako fale morskie, przychodzące z gromem gdzieś spoza świata. Czymkolwiek ta wojna była, na pewno była starciem dwóch żywiołów – wielkim zmaganiem się czegoś, co swoją solidnością, a czasem też cierpliwością i inercją, przypominało ląd, z czymś, co w swej niestałości, słabości, ale

---

6 Książka autobiograficzna autorstwa Hilarego Belloca.

również i *sile* – dzikiej sile powodzi – podobne było wodzie. Stanowiła konfrontację kształtu i bezkształtu; ta właśnie wizja lub wersja tamtych wydarzeń zdawała się przemawiać do mnie coraz jaśniej i jaśniej, w miarę trwania mojej podróży. Obronę tych samych, starożytnych murów, za którymi stały kolumny rzymskiego forum, statua w Paryżu, a także wszystkich określonych w jakiś sposób miejsc, łącznie z zagrodą mojego osła i budą mojego psa. Wszystkie one bowiem mają taki sam projekt: prostego kwadratu, na którym można przeprowadzić eksperyment wolności; zarówno wolności starej, obywatelskiej, jak i nowej, uniwersalnej. Wiedziałem, że i tym razem, by posłużyć się tutaj metaforą z życia domowego, pies obronny Zachodu okazał się zbyt silny dla wściekłej watahy Orientu. Bo wrogami podobnych, twórczych ograniczeń, są tylko chaos i przedwieczna noc, nieważne, czy występują one pod postacią północnej dziczy, rzucającej plemienną dumę i prawo pięści przeciw społecznym ideałom Paryża, czy też wschodnich hord, które przybyły z odległych stepów Azji, by zasiąść na tronie Bizancjum. Podobnie jak w poprzednim wypadku, tutaj również to, co zrozumiałem, swoją prostotą i zakresem przerastało powszechnie dyskutowane szczegóły wojny i pokoju. Zwykłemu człowiekowi, podobnie jak mnie, może się wydać dziwnym fakt, że naturalny rozpad sztucznego Cesarstwa Niemieckiego na mniejsze państwa mógłby zostać zatrzymany przez jego wrogów w momencie, w którym nawet jego

przyjaciele pogodzili się z nim jako z nieuniknioną katastrofą. Czy nie staramy się bowiem teraz za wszelką cenę utrzymać ten pruski system, który przez cztery poprzednie, straszliwe lata, staraliśmy się za wszelką cenę zniszczyć? Zresztą, ów człowiek mógłby też pomyśleć sobie coś dokładnie odwrotnego – nie ma to większego znaczenia dla istotniejszego faktu, który mam teraz na myśli. Można twierdzić, tak jak ja, że zupełnym szaleństwem jest wyrzucić Turków z Turcji i zostawić ich w Konstantynopolu. Sprowadza się to bowiem do wysiedlenia barbarzyńców z ich własnych poletek i pastwisk, i osiedlenia ich w zamian w wielkim, europejskim i chrześcijańskim mieście; to prawie tak, jakby Rzymianie podbili Partię, ale oddali Rzym. Można też, jak już wspomniałem, twierdzić coś dokładnie odwrotnego; niemniej owa większa i prostsza prawda i tak się utrzyma. Wyglądało to tak, jakby chwast i dzika puszcza przedzierały się przez nasze granice, przewalały przez północny mur, przeciskały przez wschodnią bramę, by zamienić całe miasto w dżunglę. I niezależnie od tego, czy projekt został skreślony logicznie czy luźno, a poszczególne problemy rozwiązane według rozumnej konsekwencji czy kaprysu, w pewnym momencie powiedzieliśmy „dość" i zorganizowaliśmy, tak czy inaczej przeprowadzoną, wycinkę. Starożytny plan naszego miasta został ocalony – i nadal nadaje się ono przynajmniej do tego, aby mieszkali w nim ludzie. Czułem to w napotkanych przypadkowo pozostałościach walk. I czułem to

także, dwadzieścia razy mocniej, w pozostałościach po czymś jeszcze starszym, czego ta wojna nigdy nie dotknęła. Czułem zmianę, dokonującą się tak na niezmiennym Wschodzie, jak i Zachodzie, z jego nieustannym ruchem. Czułem ją, gdy przemierzałem inny jeszcze plac w Paryżu, aby popatrzeć chwilę na pewna statuę, którą ostatnio miałem okazję oglądać zdobną w krepę i wieńce, zazwyczaj używane do uczczenia pamięć umarłych. Teraz zaś na jej gładkim piedestale pozostało tylko jedno słowo: „Strasbourg". Czułem ją także w momencie, gdy zobaczyłem, nagryzmolone węgielkiem na ścianie jednego z domów w biednej uliczce Brindisi, słowa: *Italia vittoriosa.* Jednak czułem ją także równie mocno, o ile nie mocniej, przy kontakcie z rzeczami nieskończenie starszymi i bardziej odległymi – monumentami przeszłości, wielkimi jak góry i ciągle zdającymi się spoglądać z wysoka na całą współczesność. Ponieważ rzeczy te nie stanowiły tylko trofeów, które wzniesiono w tryumfie, ale raczej palladia, które odzyskano w walce. Ponieważ rzeczy owe po raz kolejny zostały ocalone przed chaosem, tak, jak stało się to już wcześniej, pod Salaminą czy Lepanto; i wiedziałem dobrze, czemu tak naprawdę zawdzięczały one swoje ocalenie, a przynajmniej formę, w której zostały ocalone. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że te rozproszone wspaniałości antyku nigdy by do nas nie trafiły, na swe przetrwanie lub koniec, gdyby cały tamten pogański świat nie skrystalizował się ostatecznie w *Christianitas*.

Przemierzając morze tak gładko, jakby było ono chodnikiem, wyłożonym płytami turkusu i lazuru, przyozdobionym białym marmurem gór, wielkich i słynnych niczym pomniki, z łatwością mogłem otworzyć się na to wszystko, co nawet w długi wieczór pogaństwa promieniało niezwykłą czystością; nie przeszkodziło mi to jednak pamiętać, jakie gwiazdy pocieszały swym mocnym światłem ziemię, gdy w końcu przyszła już nad nią nieunikniona noc. I niezależnie od tego, czy patrzeć na te wymarmurzone na horyzoncie miraże ledwie jako na „wyspy", wieczorne obłoki, na które spoglądały z daleka oczy proroków Izraela, czy też jako Wielką Grecję, ów potężny archipelag sztuki pokoju i wojny, wychwalany przez helleńskich poetów, morał dziejowy pozostaje taki sam; historyczne dziedzictwo obu tych ujęć prowadzi bowiem wyłącznie do wschodnich Ojców Kościoła. W tamtych dzikich i niepewnych czasach, zostały one zachowane przez jedyną rzeczywistość, która w ogóle mogłaby je zachować. Ta sama dokładnie opowieść rozwijała się przed nami, gdy mijaliśmy wiekowe szczyty, na których powstała pierwotna kultura Krety i przypomnieliśmy sobie, że mogły być one także pierwszym domem Filistynów. W tamtym momencie nie liczyło się aż tak bardzo to, czy najlepszym symbolem pogan jest Posejdon – bóg, czy Dagon – demon. Ani to, jakie bóstwa błogosławiły Greków w ich młodości; wiedziałem bowiem bardzo dobrze, jaki Bóg

pocieszał ich, gdy byli w rozpaczy. A także, pod jakim znakiem przetrzymali oni długą niewolę osmańskiego orientalizmu; oraz jakie imię przyzywali w ciemności, w której jedyne źródło światła stanowił ostry półksiężyc Mahounda. Jeśli chwała starożytnej Hellady przetrwała w jakiejkolwiek formie, zdawałem sobie sprawę, dlaczego w ogóle zdołała przetrwać. Owe niezmienne fundamenty naszej kultury czułem także równie mocno, gdy dotarłem do bramy, oddzielającej Azję od Afryki; i gdy z niebieskiej głębiny wyłonił się nagle wielki port Aleksandrii; skąd niegdyś splendor faraonów oświecał, niby słońce, całą Wielką Grecję i gdzie Hypatia wyjawiła swoim słuchaczom ostatnie słowa Platona. Wiem, że chrześcijanie rozdarli Hypatię na kawałki[7]; a jednak – nie rozdarli oni na kawałki jej mistrza. Tymczasem dzicy ludzie, którzy przybyli w te rejony z wojskiem kalifa Omara, nie mieli z tym najmniejszych problemów; bo cechą charakterystyczną tej całej nomadycznej anarchii jest to, iż z czasem rozszarpie ona na sztuki cokolwiek, czego tylko dotkną jej ręce. Nie ma w niej krzty instynktu tradycji i odpowiedzi na wiecznotrwałe potrzeby człowieka. W krajach, w których zapuściła korzenie, ruiny pozostają ruinami i nikt o nie nie dba; tam, gdzie dano jej odpór i zwyciężono, związki z naszą długą historią trwają przez wszystkie epoki. W miarę jak postępowałem naprzód, wizja naszej

7 W czasach Chestertona „fakt" ów uznawano za pewnik – teraz jest to kwestia mocno dyskusyjna.

cywilizacji w formie, w której osiągnęła ona długo wyczekiwaną jedność, stawała się coraz bardziej wyraźna; nigdy też nie rozumiałem jej wyraźniej, niż w momencie, w którym zostawiłem ją za sobą.

Otóż, wizja owa opierała się o jeden kształt, który pojawiał się raz za razem pomiędzy rzeczami całkowicie bezkształtnymi; a był to kształt znajomy. Zmusił on moją wyobraźnię, aby wzniosła się na wysokości nieskończenie wprost starożytne i zawrotne, sięgnęła niemal zimnych barw pierwszych poranków lub strzelistego i nieruchomego nieba światłości starszej nad słońce i księżyc. A jednak, wobec tego wszystkiego, ów centralny prześwit przebijał się mocniej z każdą chwilą – i pamięć moja zwróciła się na powrót ku domowi. Pomyślałem sobie, że jestem w sytuacji podobnej do tej, w której znajdowałby się pilot samolotu z miasteczka Norholt, przelatujący nad owym malutkim rynkiem, tak niedaleko od miejsca, gdzie mieszkam; on również bowiem nie widziałby pod sobą nic, oprócz bezmiaru szarego lasu – i wyblakłego lekko znaku krzyża.

Rozdział II: Droga przez pustynię

Zupełnie zgodnie z prawdą, a przynajmniej w jakimś związku z typem obecnej w Egipcie kultury, można powiedzieć, że kraj ten ma rodzimą klasę niższą, francuską klasę średnią i angielską klasę panującą. W każdym razie prawdą jest, iż wymienione wyżej cywilizacje ułożyły się w takie właśnie warstwy, względnie: zdominowały jedna drugą w takim właśnie porządku. Fakt ów narzuca się już przy pierwszym wrażeniu, wywoływanym przez kontrast ścisku i półmroku bazarów, ładu sąsiadujących ze sobą, jasnych kawiarni i oślepiającego blasku wielkich hoteli. Każdy zaś z tych trzech wypadków, a szczególnie wypadek wpływów francuskich, niesie ze sobą jeszcze głębsze treści. To jeden z pierwszych przejawów rzeczywistości, o którą mi chodzi, gdy twierdzę, że podziały Zachodu stają się wyraźniejsze w starożytnych centrach cywilizacji Orientu. Często mówi się, że naprawdę docenić osiągnięcia angielskiej kultury można tylko w takim miejscu, jak Indie. I w pewnym sensie tak się właśnie sprawy mają – niemniej skoro tak, to w takim samym sensie można powiedzieć, że naprawdę docenić osiągnięcia kultury francuskiej można tylko w takim miejscu, jak Egipt. Wszakże są to osiągnięcia osobliwej, a nawet paradoksalnej natury: zbyt praktyczne, aby się wyróżniały i uniwersalne tak bardzo, że ich nie widać.

Francuską koncepcję praw człowieka często nazywa się ideałem; niemniej, w praktyce jest ona bardzo konkretna, a wręcz prozaiczna. Francuzi jako jedyni na świecie znają bowiem pewną niezwykłą i bardzo skuteczną sztuczkę, dzięki której pomysłów ich nie traktuje się tak, jakby były francuskie – tylko, po prostu, ludzkie. Niezależnie od tego, jak wielu cudzoziemców grałoby w piłkę nożną i tak traktowaliby oni ten sport jako coś angielskiego. A jednak nikt nie traktuje szermierki jakby była czymś francuskim – pomimo że cała jej nomenklatura jest dokładnie taka. Gdyby jakiś Francuz zdecydował się nazwać swój zajazd pubem (prawdopodobnie pisanym jako „le pib"), pomyślelibyśmy sobie wszyscy, że padł on ofiarą raczej zaawansowanej anglomanii. Kiedy wszakże Anglik nazywa swój zajazd hotelem, nie budzi on w nas jakiejś specjalnej grozy, ani jako niebezpieczny intruz, ani jako niebezpieczny wariat. Nie jesteśmy skazani na niedostateczne zrozumienie wagi tej kwestii tylko dlatego, że nasze cechy charakterystyczne są inne, niż francuskie; zwłaszcza, że nasze cechy charakterystyczne mają więcej charakteru. Duchem Anglii jest przygoda; istotę przygód zaś stanowi to, że ich poszukiwacz zachowuje swoją odrębność od obcych mu plemion czy miast, które bada dokładnie ze względu na ich obcość. Nie upodabnia się do nich, jak stało się to w wypadku kilku Niemców, ani nie przekonuje ich, aby upodobniły się do niego,

jak stało się to w wypadku większości Francuzów. Niemniej niezależnie od tego, czy ta francuska umiejętność się nam podoba, czy nie podoba, czy po prostu jesteśmy w stanie należycie docenić ją tam, gdzie ma właściwe sobie miejsce, o żadnych wątpliwościach co do jej istnienia zwyczajnie nie może być mowy. Jej przyczyna tkwi w owym duchu, który tak bardzo często określa się mianem utopijnego lub oderwanego od rzeczywistości szaleństwa. Mianowicie: w abstrakcyjnej wierze w równość obywatelską; w filozofii politycznej, która przemawia do wszystkich ludzi. Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie patrzył na sukces Rewolucji Francuskiej dostatecznie z góry. Wszyscy przyjęli, że dotyczyła ona spraw możliwie najbardziej boskich i odległych, w związku z czym nie dostrzegli jej w sprawach najbliższych i najbardziej materialistycznych. Widzieli ją, gdy zasłabła w senacie, w związku z czym przeoczyli moment, gdy szła po ulicy; mimo że można ją zobaczyć zarówno na ulicach Paryża, jak i Kairu.

W Kairze wyjście do herbaciarni uważa się za angielski zwyczaj – a jednak nikt nie uważa wyjścia na kawę za zwyczaj francuski. Ludziom zaś, którzy chodzą do herbaciarni, angielskim oficerom i oficjelom, przylepia się etykietę nie tylko angielskiego, ale i urzędniczego sposobu bycia. Ogólnie mówiąc, są oni nader uprzejmi i nader hojni, niemniej mają w sobie także coś z obojętności,

charakterystycznej dla klasy panującej, a nawet garnizonu. Na pewno nie można ich wziąć za istoty ludzkie. Tymczasem ci, którzy mają w zwyczaju chodzić do kawiarni, są najzwyczajniej w świecie ludźmi, którzy chodzą do kawiarni, bo to ludzkie miejsca. Zapomnieli już, co w ich cywilizacji jest francuskie, a co egipskie; i myślą o niej po prostu jako o cywilizacji. Trzeba tę cechę starszej kultury Francji dobrze zrozumieć, ponieważ stanowi ona wskazówkę na drodze do rozwikłania wielu elementów tajemnicy współczesnego Wschodu. Nazywam ją starą kulturą, ze względu na to, iż faktycznie swoimi korzeniami sięga ona starożytnego Rzymu. Można powiedzieć, że Galowie naprawdę przejęli rzymskie dziedzictwo: w tym sensie, że tworzą oni rzeczy oficjalne, wręcz elitarne, które z czasem stają się częścią codzienności. Wielkim zaś, dotyczącym miast i prowincji Bliskiego Wschodu, faktem, o którym ciągle się zapomina, a o którym powinno się ciągle pamiętać, jest to, iż kiedyś były one w takim samym stopniu rzymskie, jak Galia.

Bardzo często spierałem się z jednym z moich przyjaciół w niepoważnej i fantastycznej kwestii dylematu, czy lepiej jest zgubić drogę, czy ją znaleźć, pamiętać jakiś szlak, czy go zapomnieć. Taka już moja uroda, że potrafię z powodzeniem zgubić się w wiosce, w której mieszkam, a niemalże również w moim własnym domu. Konsekwentnie utrzymuję, że ów przywilej ma prawdziwie poetycką

naturę. Jednakże, prawdę powiedziawszy, w razie potrzeby potrafię mimo wszystko przyznać, że obydwa te nastawienia są wartościowe i powinny istnieć obok siebie. Na tej samej zasadzie, mój przyjaciel i jak idziemy obok siebie po drogach świata. Dla niego to podróż pełna bogatych i ludzkich sentymentów – pamięta on bowiem, jak przechodził nimi od czasów dzieciństwa już z kilkaset razy; dla mnie zaś, istnienie to niekończąca się bajka – dokładnie z tego względu, że zdążyłem już zupełnie o nim zapomnieć. Ta sama lampa, która wyciska z niego łzę nostalgii za przeszłością, ze mnie wyciska krzyk zadziwienia; i ta sama ściana, która dla niego jest tak historyczna, jak piramida, mnie wydaje się tak porywająca i rewolucyjna, jak barykada. W tym względzie – i cieszę się bardzo, że mogę to powiedzieć – mam bardzo angielski temperament. Tak naprawdę, różnica ta jest nader typowa dla rozdzielności funkcji, jakie na tym świecie pełnią Anglicy i Francuzi. Niemniej w praktycznych kwestiach polityki, to Francuzi mają pewną przewagę, polegającą na tym, że wiedzą, gdzie się teraz znajdują, a także, gdzie znajdowali się w przeszłości. Mianowicie: w granicach Imperium Rzymskiego.

Sytuacja Anglików w Egipcie, a nawet w Palestynie, ma w sobie coś z paradoksu. Prawdziwych angielskich poglądów na ten temat nigdy nie da się usłyszeć w Anglii – i nigdy z ust Anglika. Można jednak spotkać się tam niekiedy z *fałszywymi* poglądami części naszego

narodu, a także z takimi, które są bardziej nieistotne, niż fałszywe. Słyszymy zatem czasami owe nadęte i obłudne sugestie, naznaczone nieomylnym piętnem tego, co tak bardzo często pociąga za sobą grzech pychy: słabości prowincjonalnego kraju. Sugestie, jakoby tylko Anglicy byli w stanie zaprowadzić gdziekolwiek rządy prawa, sprawiedliwości, miłosierdzia, czystości i całej reszty podobnych rzeczy. Można też usłyszeć opinie bardziej szczere i uczciwe, według których naród angielski mimo wszystko (tak, jak to rzeczywiście jest) wyruszył na porywającą i pełną emocji przygodę; i rozszerzanie władzy Imperium Brytyjskiego na coraz to nowe, nieznane lądy, ma w sobie coś z prawdziwego romansu. Ostatecznego jednak usprawiedliwienia okupacji tych bliskowschodnich terytoriów nie stanowi powiększanie Imperium Brytyjskiego o nieznane krainy – ale raczej odbudowa Imperium Rzymu tam, gdzie niegdyś sięgało. Nie chodzi tutaj tylko o wyjście z Europy w poszukiwaniu czegoś, co nie jest europejskie. Znacznie bardziej słusznie można stwierdzić, że chodzi tu raczej o składanie Europy w całość po tym, jak rozpadła się na kawałki. Można także powiedzieć o Anglikach, jako o najbardziej zachodnich z mieszkańców Starego Kontynentu, że zapominając swoją historię, zapomnieli swoje własne prawa. W każdym razie, na pewno zapomnieli wszystkie rozsądne uzasadnienia, które naprawdę dałoby się znaleźć dla ich czynów, ale o których oni sami nigdy by nawet nie pomyśleli. Nie mają najmniejszego pojęcia, na przykład,

dlaczego właściwie święty patron ich kraju pochodził z Egiptu albo dlaczego angielski król toczył wojnę w Palestynie. Wydaje się im, że Jerzy z Kapadocji[8] został naturalizowany mniej więcej w ten sam sposób, jak Jerzy z Hanoweru. Niemal na pewno sądzą, że Ryszard Lwie Serce spotkał na swojej drodze sułtana Egiptu w mechanizmie podobnym do tego, w jakim kapitan Cook spotkał na swojej drodze króla Archipelagu Ludożerców[9]. Aby zrozumieć związki, jakie Anglia miała w przeszłości z Bliskim Wschodem, należy odwołać się do tego, co stoi u podstaw Europy, a nawet u podstaw samego Cesarstwa Rzymskiego; czegoś, co oddać potrafi wyłącznie słowo „Śródziemnomorze". Gdy ludzie gadają, dla przykładu, że krucjaty nie były niczym więcej, niż brutalnym atakiem na islam, zdają się w najdziwniejszy sposób zapominać, że sam islam nie był niczym więcej, niż brutalnym atakiem na starą i uporządkowaną cywilizację tamtych krain. Nie mówię tego z prostej wrogości wobec religii

8 Jerzy z Kapadocji – żyjący w IV wieku, ariański biskup Aleksandrii, zabity przez pogan za panowania Juliana Apostaty, w akcie zemsty za zwalczanie ich kultów. Rzecz ciekawa, ale w czasach Chestertona powszechny był pogląd (podzielany tutaj najwyraźniej przez samego GKC), że to właśnie ten święty został później, na drodze jakiejś historycznej ewolucji, św. Jerzym żołnierzem (a wręcz rycerzem, przez antycypację). Oczywiście, to czysta fikcja (co ponoć, idąc ręka w rękę z intuicją niżej podpisanego, wierzącego prostaczka, wykazały poważne badania naukowe), ale daje niejaki wgląd w ówczesne poglądy na sprawy historii Kościoła.

9 Prawdopodobnie chodzi tu o Fidżi.

Mahometa; jak się później okaże, mam pełną świadomość jej wielu zalet i wartości, którą przedstawia; niemniej z pewnością to islam stanowił inwazję, a chrześcijaństwo się przed ową inwazją broniło. Arabski gentleman, napotkany w pół drogi do Paryża lub kołaczący do drzwi Wiednia, ma niewielkie podstawy do narzekania na to, że złożyliśmy mu wizytę w jego prostym namiocie na pustyni. Zdobywca Sycylii i Hiszpanii żadną miarą nie może dziwić się, że wzbudził zainteresowanie Włochów i Francuzów. W Kairze podróżnik może na własnej skórze doświadczyć wielu zalet, które mają muzułmanie, bez cienia wątpliwości może jednak także przekonać się o militarystycznym charakterze muzułmańskich momentów chwały. Koronę tego miasta stanowi cytadela, wzniesiona wprawdzie przez wielkiego Saladyna, ale na ruinach budowli pamiętających jeszcze starożytny Egipt; i sam ten fakt ma bardzo symboliczną wymowę. Ów człowiek był wielkim zdobywcą, z pewnością jednak zachowywał się jak najeźdźca; zniszczył kulturę Egipcjan niemal do gołej ziemi. Zburzył stare świątynie i grobowce, by na ich miejscu zbudować własne. Nie tylko wszakże w tym jednym sensie cytadela Kairu wznosi się wysoko, niczym znak na niebie. Znak ten ma bowiem jeszcze to znaczenie, że z jego zawrotnej wysokości podróżnik może pierwszy raz zobaczyć pustynię, z której ów wielki podbój wziął swój początek.

Każdy słyszał chyba tę wspaniałą opowieść o Grekach, którzy zakrzyknęli w tryumfie, gdy ujrzeli morze falujące daleko pod nimi; dziwniejszym wszakże doświadczeniem jest zobaczyć falującą daleko w dole ziemię. Bardzo niewielu z nas, mówiąc ściśle, kiedykolwiek naprawdę ową ziemię widziało. W żyźniejszych krajach jest ona zawsze, by tak rzec, odziana w zielone szaty. Pierwszy widok pustyni przypomina daleki widok nagiego olbrzyma. Obraz ten zyskuje na naturalności dzięki szczególnemu ukształtowaniu terenu, w każdym razie w tych częściach owych połaci piasku, które stykają się z wielkimi polami Egiptu i są widoczne z najwyżej położonych punktów Kairu. Ci, którzy widzieli pustynię wyłącznie na zdjęciach, zazwyczaj sądzą, że jest ona całkiem płaska. Tymczasem przynajmniej jej brzegi wznoszą się ku horyzontowi jako linia pofałdowanych i pooranych dolinami wzgórz, przypominających czaszki łysych mężczyzn; lub, co gorsza, łysych kobiet. Nie da się bowiem nie myśleć o podobnych, odpychających obrazach, nawet pomimo naprawdę wzniosłego charakteru poruszenia, jakie widok ten budzi w wyobraźni. Jest coś zadziwiająco wrogiego i nieludzkiego w pierwszym spotkaniu z tym skamieniałym sztormem tak suchych i przerażających mórz. Po pewnym czasie, gdy naszemu podróżnikowi zdarzyło się już zapodziać w tym lub tamtym z dalszych ich zakątków, gdy widział brytyjski obóz w Kantarze oraz cudownie wdzięczne i pełne ogrodów,

francuskie miasto Ismailię, zaczyna postrzegać pustynię jako tło tego wszystkiego – i to czasami jako tło nadzwyczajnej piękności; lustro mieniące się potężnymi obrazami i wielością barw prawie tak niezwykłą, jak kolory morza. Niemniej, gdy widzi się ją po raz pierwszy, jak napiera na pola i ogrody ludzkości, jak gdyby za moment miała zalać je i pochłonąć, wtedy naprawdę przypomina ona wroga – albo cały szereg wrogów; niby szereg brunatnych, dzikich bestii, które zatrzymały się w swoim marszu z uniesionymi głowami. Czuje się coś takiego, jak gdyby ten jałowy i bezduszny piasek naprawdę mógł nagle zmienić się w pasmo gór. Podróżnik zaś, podnosząc oczy na owe przeklęte wzniesienia, z których żadna pomoc nadejść nie może, przypomina sobie wszystkie tragedie pustyni.

To jednak zaledwie pierwsze spojrzenie, rzucone z położonego pomiędzy zielonymi polami miasta – i obejmuje ono raczej to, czym ta pusta kraina była w historii swoich związków z ludźmi, nie zaś, czym jest ona sama w sobie. Gdy umysł przyzwyczai się już do jej monotonii, zachodzi w nim zadziwiająca zmiana, której wytłumaczenia nigdy nie udało mi się usłyszeć z ust adeptów nowoczesnej psychologii. Stwierdzenie, że jednostajność jej natury przeobraża się nagle w nieustanną nowość, może się wydać dosyć dziwne. Gdyby wszakże ktoś spróbował przeprowadzić popularny

eksperyment, polegający na powtórzeniu tego samego, często spotykanego słowa, jak choćby „człowiek” albo „południe”, około pięćdziesięciu razy, zobaczy, że wyrażenie to stanie się nagle niezwykłe wyłącznie mocą samego powtarzania. Człowiek zacznie przypominać nieznane zwierzę o nazwie tak dziwacznej, jak „gnu”, południe zaś – coś tak potwornego, jak południca. Monotonia pustyni sprawia przynajmniej część skutków tej ogólniejszej magii; i podróżnik czuje się w tym miejscu tak, jakby wszedł w jakąś tajemnicę i widział wszystko z innej strony. Coś z tego uproszczenia przejawia się, jak sądzę, w religiach pustynnych krajów, szczególnie w religii islamu. Pozwala w pewnym stopniu zrozumieć nadludzkie nadzieje, które mieszkający w nich prorocy łączą z przyszłością; a także: ich barbarzyńską obojętność wobec rzeczy minionych.

Myślimy o pustyni i rozrzuconych po niej skałach jako o czymś starym; w pewnym sensie jednak, są one wręcz nienaturalnie nowe. Nikt ich do niczego nie używa, a być może nawet niczemu nie służą. Mogą stanowić surowy materiał świata; są wszakże tak surowe, że nic z nich nie można zrobić. Niełatwo nazwać tę dziwną właściwość: cechę rzeczy zbyt pierwotnych, aby mogły owocować. I istotnie, wiele elementów Orientu odznacza się pewną twardą prostotą, która jest tyleż brutalna, co archaiczna. Palma bardzo przypomina drzewa rysowane przez dzieci. Lub fanatycznych futurystów. Nawet

piramida podobna jest figurze geometrycznej, naszkicowanej na tablicy przez nauczyciela szkoły podstawowej; budzi zaś podziw w podobny sposób, w jaki budziłaby go najczystsza z abstrakcji Platona. Jest coś fascynująco prostego w kształcie, który nadano tym wielkim kryształom starożytnego piasku. Tylko jeżeli uda nam się poczuć cokolwiek z tego żywiołu, nie tylko prostoty, ale i nieokrzesania, a nawet, w pewnym sensie, nowości, będziemy mogli zacząć rozumieć zarówno potęgę, jak i biedę owej siły, która przyszła z tych pustych bezkresów: wielkiej religii Mahometa.

W czerwonym kręgu pustyni, w mrocznym i tajemnym miejscu, prorok odkrywa rzeczy oczywiste. I nie mówię tego wyłącznie ze złośliwości: ponieważ o rzeczach oczywistych bardzo łatwo zapomnieć; każda cywilizacja przemija dokładnie z tego powodu, że o nich zapomniała. Prawdą jest wszakże, iż w podobnej samotności ludzie mają skłonność do brania prostych idei za coś zupełnie nowego. Rodzi się osobliwa, wynikająca z braku porównania, miłość koncentracji. Gdy samotny człowiek przygląda się samotnej palmie, naprawdę dostrzega wszystkie jej elementarne treści; elementarne treści zaś, są bardzo treściwe. Dlatego widzi jasno, że jakkolwiek palma to bardzo prosty projekt, to jednak nie on ją zaprojektował. Może i wygląda, jakby narysowało ją dziecko – jednakże to nie dziecko ją narysowało. Nie ma on władzy nad ową magiczną

tabliczką, na której obrazki napełniają się życiem, ani ową magiczną kredą, z której wyrastają zielone kontury. Pojmuje od razu, że działa tu jakaś tajemnicza siła, przy której zarówno palma, jak i on sam, wydają się czymś zwyczajnie dziecinnym. Innymi słowy: człowiek ten jest na tyle inteligentny, aby wierzyć w Boga; i istotnie, muzułmanin, prawdziwy człowiek pustyni, naprawdę jest na tyle inteligentny, aby wierzyć w Boga. Niemniej, jego wierze brakuje pewnej wrażliwej na człowieczeństwo złożoności, która bierze się z porównania. Ktoś, kto spogląda na rosnącą wśród piasków palmę wie, że stworzył ją Bóg; podczas gdy kogoś, kto spogląda na latarnię uliczną można ostatecznie przekonać, przy zastosowaniu wyrafinowanego wielosłowia, że stworzył ją on sam. A jednak pierwszy z tych ludzi nie ma możliwości porównać swojej palmy z latarnią, a nawet z jakimkolwiek innym drzewem. Dlatego też jego religia, choć prawdziwa w tym wszystkim, co obejmuje, nie może pochwalić się żywotnością i wewnętrzną różnorodnością kościołów, wzniesionych przez ludzi, których ścieżki wiodły przez lasy i sady. Podkreślam, że mówię tu o muzułmańskim typie religii, nie zaś o znacznie starszym, orientalnym typie zdobnictwa. A jednak nawet owo wschodnie zdobnictwo, jakże często godne podziwu, ma się do zdobnictwa gotyckiej katedry jak skamielina do puszczy, rozbrzmiewającej śpiewem tysiąca ptaków. Krótko mówiąc, człowiek pustyni skłonny jest za bardzo upraszczać i brać pierwszą z prawd za

prawdę ostateczną – tak w sprawach wiary, jak i moralności. Kto wierzy w istnienie Boga, wierzy także w równość wszystkich ludzi. I wielką wartość religii Mahometa stanowi fakt, że we wszystkich wyczuwa ona człowieczeństwo, otwierając się na przedstawicieli różnych ras. Niemniej, także w tym wypadku jest to czucie tak twarde i surowe, że sam jej egalitaryzm przypomina raczej pustynię, niż łan. Samemu jej człowieczeństwu brakuje cech ludzkich.

Jakkolwiek ten humanistyczny sentyment odznacza się pewną prymitywnością, to jest on bardzo realny. Gdy człowiek spotka drugiego człowieka pośród tak wielkich połaci piasku, naprawdę jest on dla niego człowiekiem; przysłowiowym ptakiem dwunożnym bez pierza. Stanowi kształt absolutny i prosty, jak palma czy piramida. Odkrywca nie poświęca swojego czasu na dochodzenie poprzez jakie stopnie rozwoju jego bliźni mógł wyewoluować z wielbłąda. Gdy ktoś jest tylko małą kropką na horyzoncie, ten, kto go widzi, nie wykrzykuje do niego, czy aby na pewno skończył uniwersytet albo czy ma dostateczną pewność posiadania teutońskich, a nie przypadkiem celtyckich bądź iberyjskich, korzeni. Człowiek to człowiek; człowiek zaś, to coś bardzo ważnego. Jedna rzecz stanowi usprawiedliwienie muzułmańskiej moralności, leżącej w cieniu całej góry potencjalnych oskarżeń; spora doza zdrowego rozsądku. Pierwszym zaś postulatem zdrowego rozsądku jest powszechne

braterstwo ludzkości. Islam istotnie ma w sobie skłonność do popadania w fanatyzm, o którego groźbie będzie można powiedzieć coś niecoś na innym miejscu. Fanatyzm wydaje się wspomnianego wyżej, zdrowego rozsądku dokładnym przeciwieństwem; a jednak, co ciekawe, to tylko druga strona tego samego medalu. Fanatyk z pustyni jest niebezpieczny dokładnie dlatego, że uznaje swoją wiarę nie tyle nawet za prawdę, w naszym bardziej transcendentalnym sensie, ale za fakt. Kiedy wyznaje jakąś bardziej mistyczną ideę, traktuje ją w podobny sposób, jak palmę lub człowieka; to znaczy: całkiem dosłownie. Kiedy zaś rozpoznaje kogoś już nie tylko jako człowieka, ale jako muzułmanina, oddziela go od nie-muzułmanów dokładnie tak samo, jak oddziela ludzi od wielbłądów. Nawet wtedy jednak pojmuje on ogólnoludzką równość jako równość wyznawców islamu, nie wykoślawiając sobie sumienia czymś takim jak, na przykład, jakaś fikcyjna teoria rasowa. Pod tym względem posiada on coś w rodzaju przewagi intelektualnej nad Żydem, który w kwestiach umysłowych zazwyczaj stoi wyżej od niego; podobnie jak w niektórych kwestiach duchowych. Żydzi mają znacznie żywszą wyobraźnię moralną i więcej sympatii dla subtelniejszych ideałów duszy. Dla przykładu, mówi się, że wielu Hebrajczyków nie wierzy w życie przyszłe; niemniej, gdyby wierzyli, ich wiara byłaby godna geniuszu Izajasza i Spinozy. Muzułmański raj jest zaś bardzo ziemską odmianą raju. Wszakże, pomimo całej swej bystrości,

ziomkowie Mojżesza cierpią na skutek jednej katastrofy; tego, że są narodem wybranym. Niegodziwością każdej odmiany patriotyzmu czy religii opierającej się na rasie, jest to, iż jednostka sama w sobie stanowi w niej przedmiot kultu; stanowi ona swój własny ideał, a nawet swego osobistego bożka. Fantazja owa okazała się zabójcza dla Niemców; do dziś jest zabójcza dla Anglosasów, kiedykolwiek któryś z nich zdecyduje się porzucić chwalebne imię Anglika lub Amerykanina i podpaść po tę beznadziejną definicję. Zupełnie inaczej to wygląda, gdy naród czuje się jako szlachetną abstrakcję, z której jednostka czerpie abstrakcyjną dumę. Francuz jest dumny z Francji, dlatego też może czuć się owej Francji niegodnym. Wszakże duma Niemca bierze się z tego, że jest Niemcem; jeśli zaś jest się Niemcem, nie da się nie być godnym bycia Niemcem. Krótko mówiąc, zwyczajna duma rodzinna schlebia każdemu członkowi rodziny; zdążyła już ona zaowocować charakterystyczną arogancją Niemców – i ciągle może zaowocować znacznie subtelniejszą arogancją Żydów. W każdym razie, bardziej dziki człowiek pustyni pozostaje zupełnie wolny od tej szczególnej formy oszukiwania samego siebie. Nawet jeśli nie uznaje kogoś za muzułmanina, uznaje go za człowieka. Za cenę czegoś, co niepokojąco przypomina barbarzyństwo, został on przynajmniej ocalony przed etnologią.

A jednak również w tym wypadku rzeczy oczywiste są dla niego tyleż światłem, co ograniczeniem. Nie pozwalają one, na przykład, na jakąkolwiek delikatność czy subtelność w sprawach płci. Islam uznaje radośnie równość wszystkich ludzi – jednak jest to tylko równość wszystkich mężczyzn. Nikt, kto widział Arabów ściągających z pustyni do miast Kanaanu i Egiptu nie może zaprzeczyć, że szlachetna godność dostępna jest tam nawet dla najbiedniejszych. Nikt nie może negować faktu, że nawet ludzie w spadających z pleców łachmanach mogą chodzić w postawie, która byłaby godna ze wspaniałych opowieści Pisma. Nikt też nie może się dziwić, że tak wielu świetnych malarzy rozkoszowało się możliwością szkicowania podobnych modeli bez żadnego przygotowania, z czego powstawały potem realistyczne studia scen ze Starego i Nowego Testamentu. Na drodze do Kairu można zobaczyć i ze dwadzieścia grup ludzkich, dokładnie takich samych, jak ta na obrazach ucieczki Świętej Rodziny do Egiptu; z jedną wszakże różnicą. Bo to mężczyzna jedzie na ośle.

Na Wschodzie, to mężczyzna jest pełen godności – nawet godności rytualnej. Prawdopodobnie dlatego nosi suknie. Jakiś czas temu zwróciłem uwagę, że sukienki, uznawane przez niektórych za szatę upokorzenia dla kobiet, w rzeczywistości stanowią jedyny rodzaj szaty ceremonialnej, który mogą znaleźć dla siebie mężczyźni, gdy

zapragną być kimś więcej niż tylko mężczyznami. Noszą je królowie, kapłani i sędziowie. Mężczyzna wyznania muzułmańskiego, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę jego pozycję w rodzinie, jest właśnie królem, kapłanem i sędzią. Nie chodzi mi tutaj tylko o to, że stanowi on głowę owej rodziny, jak można by powiedzieć o mężczyznach wielu społeczeństw Zachodu, szczególnie tych prostszych i bardziej suwerennych. Mówię o czymś więcej; o tym, że nie tylko ma on królestwo i władzę, ale otacza go także chwała, a nawet pewien rodzaj splendoru. Przysługuje mu nie tylko ów specyficzny (i skądinąd „luźny") rodzaj przywództwa, który bardzo często przypada w udziale męskiej części ludzkości, ale także jakaś przedziwna odmiana społecznego piękna i dostojeństwa, którego my spodziewalibyśmy się wyłącznie po kobietach. U nas mówi się, że każdy ambitny mężczyzna pragnie, aby u szczytu jego stołu zasiadała piękna kobieta – świat islamu wyraża tę myśl ambicją, by na tronach wszystkich jego domów zasiadali piękni mężczyźni. Nawet na ulicach przypominają oni pawie, przyćmiewające bogactwem swego upierzenia biedne pawice. Nawet w stonowanych i częściowo europejskich strojach, przed kawiarniami Kairu i innych wielkich miast, promieniują oni nie tylko jakąś niedefiniowalną godnością, ale wręcz przepychem. Cechę tę da się dostrzec nawet w tarbuszu[10,] tym

10 Tradycyjna, czerwona czapeczka turecka.

minimum tureckiego stroju, noszonym przez przedstawicieli wszystkich bogatszych klas. W Anglii częściej nazywa się je fezem. Otóż, fez to coś bardzo różnego od popularnej u nas czapeczki, zakładanej przy okazji palenia. Stanowi on szkarłatną wieżę, bardzo często wysoką tak bardzo, że spokojnie mogłaby ona służyć za nakrycie głowy kapłana. Jest to także jedyna czapka, której nie można zdjąć w obecności kobiety.

Fakt ów wystarczająco często przewija się w ogólnych rozmowach na temat muzułmańskiego i orientalnego świata; przywołuję go tu tylko po to, aby zrozumieć go w świetle wspomnianego wyżej uproszczenia, które stanowi zarówno zaletę, jak i wadę filozofii pustyni. Rycerskość nie jest oczywista. Nie cechuje się taką prostotą jak włócznia czy drzewo palmowe. Stanowi ona delikatną równowagę między płciami, sprawiającą możliwie najbardziej poetycką przyjemność tym, którzy potrafią sprostać jej wymaganiom. Niemniej, nie będzie ona sama z siebie jasna dla barbarzyńcy tylko z tego względu, że barbarzyńca ów to także zdrowy umysłowo człowiek. Bardzo często uznaje on za postulat swojego surowego rozsądku przeświadczenie, że cała sława i radość życia powinny należeć się płci, która jest silniejsza i sprawniejsza fizycznie, podobnie jak cała władza powinna należeć do rodziców, a nie dzieci. Może zrozumieć litość dla słabości – i rzeczywiście, muzułmanie

bardzo często zdolni są do iście królewskiej jałmużny na rzecz niepełnosprawnych czy sierot. Ale oddawanie owej słabości czci to dla niego całkowity bezsens. Ta mistyczna idea stanowi dla niego nieprzeniknioną tajemnicę. Podobnie wszakże rzecz się ma z tym, co można nazwać mniej poważną stroną bardziej cywilizowanych sentymentów. Tak twardy i dosłowny pogląd na życie nie zostawia ani trochę miejsca na ów wielkoduszny i delikatny element aktorstwa, który przejawia się we wszystkich wielkich opowieściach miłosnych Zachodu. Gdziekolwiek jest rycerskość, jest tam także uprzejmość; gdzie zaś uprzejmość, tam i komedia. Na pustyni natomiast, nie ma ani krzty komedii.

Kolejny nader logiczny element owego nader logicznego i spójnego wyznania, które nazywamy mahometanizmem, stanowi postawa, określana słowem „wandalizm". Skoro liczy się tylko kilka oczywistych rzeczy i skoro osobliwy, pół-artystyczny, a pół-antykwaryczny afekt z jasnych względów nie może zostać zaliczony do ich grona, w znacznej mierze zupełnie się go pomija. Trudno w kilku dobrze dobranych słowach wyrazić, do czego dokładnie służą dziś piramidy. Z tego też względu Saladyn, wielki saraceński wojownik, gdy zechciał zbudować wojskową fortecę na wyżynach Kairu, po prostu kilka z nich rozwalił. Ciężko dokładnie wyjaśnić, jakie zobowiązania ma człowiek wobec Sfinksa; dlatego też

Mamelukom Sfinks ów służył wyłącznie za tarczę strzelniczą. Niewiele było w nich z tego skomplikowanego uczucia, pełnego zarówno patosu, jak i ironii, które nurtowało serca pierwszych chrześcijan wobec pogańskich dzieł sztuki. Nie mówię przy tym tutaj o zdarzających się po obu stronach, brutalnych aktach odwetu, ani o rycerskich wybrykach tolerancji, również będących udziałem tak jednych, jak i drugich; zajmuję się wyłącznie najbardziej wewnętrzną mentalnością dwóch religii, którą trzeba zrozumieć, aby obydwóm móc oddać sprawiedliwość. Umysł wyznawcy islamu nigdy nie miał skłonności do owego mistycznego nastawienia „kocham, ale opuszczam", które płakało nad antyczną pięknością ze świętym Augustynem lub wspólnie z Dantem żegnało Wergiliusza, pozostawiając go w przygotowanym dla pogan limbo. Muzułmańskie tradycje, inaczej niż średniowieczne legendy, nie przywołują na myśl obrazu rycerza, który całuje Venus przed zadaniem jej śmiertelnego ciosu. W całych dziejach chrześcijaństwa dostrzec możemy to szczególne połączenie, będące nie kompromisem, ale raczej złożonością, sprawianą przez dwa przeciwne sobie porywy serca; jak choćby wtedy, gdy wieki ciemne przepisywały starożytne wiersze, potępiając starożytne legendy; lub gdy papieże renesansu budowali świątynie wzorowane na greckich modelach, odrzucając greckich bogów. Ta wzniosła niespójność zupełnie nie potrafi spoić się z wiarą Mahometa. Islam, jak już wspomniałem, traktuje wszystko dosłownie,

dlatego też niczym nie potrafi się bawić. Powód zaś tego kontrastu ma podłoże historyczne, o czym warto by pamiętać przy okazji wszystkich możliwych studiów na tym polu. Kościół Chrześcijański od samego początku miał za swój cel odbudowanie całej cywilizacji, nawet cywilizacji bardzo złożonej. Była to próba stworzenia nowej równowagi, bardzo różnej od spokoju starożytnych stoików Rzymu; a jednak – równie delikatnej. Różnica polegała na tym, że stary system godził wiele religii pod jednym władcą – nowy: wielu władców pod jedną wiarą. Niemniej, idea jedności w różnorodności pozostała, jakkolwiek sens jej został odwrócony. Instynkt historyczny sprawił, że ludy Europy starały się jak mogły zmieścić w owym systemie dosłownie cały świat, niezależnie od tego, jak wielu rzeczy odmawiano jednostkom. Chrześcijanin mógł stracić wszystko – chrześcijaństwo wszakże: musiało wszystko zachować, jeżeli tylko było to możliwe. Sama natura islamu, nawet w swoich najlepszych elementach, całkowicie się od tego różniła. Nikt, choćby podświadomie, nie zakładał, że Mahomet stawiał sobie za cel odbudować starożytny Babilon na podobnej zasadzie, na której średniowiecze w mglisty sposób starało się odbudować Rzym. Nikt nie sądził, że budowniczy meczetu Omara patrzyli na piramidy w ten sam sposób, w jaki budowniczy Bazyliki świętego Piotra mogli patrzeć na Partenon. Islam zaczął się na samym początku: wystarczyło mu mieć świadomość, że odkrył wielką prawdę; i,

istotnie, była to wielka prawda. Właśnie ze względu na jej wielkość trudno dostrzec, że stanowi ona zaledwie pół-prawdę.

Islam był ruchem społecznym; dlatego też ustał. Bo każdy ruch społeczny to zaledwie pewien nastrój. Ruch ten może mieć w sobie niewzruszoną konieczność i wyrastać z nastroju szlachetnego ponad wszelką wątpliwość – prędzej czy później wszakże, musi on znaleźć swoje miejsce w ogólniejszej filozofii i zostać zrównoważony przez inne jej elementy. Doktryna Mahometa stanowiła pęd ku prostocie; gwałtowny proces upraszczania, który zabrnął za daleko. W jednej ze swoich książek, Stevenson zapisał doskonałą definicję bezmyślnego człowieka, mianowicie: że jest to ktoś, kto w oczekiwaniu na przyjazd pociągu nie znajdzie nawet jednej myśli, którą mógłby potrzeć o drugą. Muzułmanin miał właśnie jedną myśl: myśl o wielkości Boga, która czyni wszystkich ludzi równymi. Nie mógł jednak potrzeć jej o żadną inną – z tego prostego powodu, że żadnej innej nie było. Tarcie dwóch duchowych rzeczywistości: tradycji i innowacji, albo substancji i symbolu, daje iskrę, od której umysł staje w płomieniach. Doktryny, które powszechnie potępia się jako przesadnie skomplikowane, mają w sobie coś z tajemnicy płci; poczynają nowe idee.

Pewien idealistycznie nastawiony inteligent zauważył niedawno, że dla wielu elementów *Credo* zwyczajnie nie potrafi znaleźć zastosowania. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że nie potrafi znaleźć zastosowania dla wielu elementów *Encyclopaediae Brytannicae.* Być może zaświtałoby mu wtedy, że omawiane tu dzieło zostało przygotowane z myślą o całej ludzkości, a nie tylko o nim. Wszakże nawet w wypadku wspomnianej encyklopedii, bardzo ciekawym zajęciem mogłoby okazać się szukanie punktów wspólnych w dwóch, zupełnie niezwiązanych ze sobą artykułach. Bo naprawdę, wiele interesujących rzeczy można by powiedzieć na temat owego słynnego bohatera *Klubu Pickwicka,* który najpierw poczytał coś o Chinach, potem o metafizyce, a potem zaczął łączyć zebrane informacje. Jakkolwiek jednak wyglądałoby to w wypadku osławionej metafizyki Państwa Środka, metafizyce arabskiej brakuje w znacznej mierze dokładnie tego elementu. Cierpi ona, jak wspomniałem już przy okazji opisu rosnącego na pustyni drzewa palmowego, z braku życia, które bierze się ze złożoności i złożoności, która bierze się z porównania. Cierpi z powodu tego, że stanowiła jeden ruch w jednym kierunku; że zaczęła się jako nastrój i skończyła raczej jako coś w rodzaju stylu, czyli, po prostu, zwyczaju lub mody. Jednakże, wielu współczesnych chrześcijan, krytykujących społeczny ruch muzułmanów z tego punktu widzenia, zrobiłoby dobrze, gdyby zdecydowało się skrytykować także samych siebie

i własną rzeczywistość. Bo, prawdę powiedziawszy, większość zjawisk współczesnego świata to właśnie, w dokładnie takim samym sensie, ruchy. W najlepszym wypadku stanowią one mody, wyolbrzymiające jedną rzecz dlatego, że w przeszłości była ona lekceważona. W najgorszym – monomanie, gotowe dla wyolbrzymienia jednej rzeczy lekceważyć absolutnie całą rzeczywistość. Dobre czy złe – są one tylko ruchami, które z definicji mogą trwać tylko przez jakiś określony czas – potem zaś muszą się zatrzymać. Feminizm, na przykład, to ruch społeczny: dlatego też musi w pewnym momencie ustać. Niemniej, sufrażystkom z ich feminizmem nie bardziej udało się stworzyć jakąś udaną filozofię płci, niż Arabom z ich dyskryminacją. Nie łatwiej, a trudniej chyba nawet jest kobiecie znaleźć dla siebie dom na akcji wyborczej, niż w haremie; podobne zrywy nie są wszakże w najmniejszym stopniu zainteresowane znajdowaniem stałego schronienia komukolwiek lub czemukolwiek. Bolszewizm to również ruch społeczny; i to, w mojej ocenie, bardzo naturalny i sprawiedliwy ruch społeczny, jeżeli pojmować go jako rewolucję przeciwko okrucieństwom kapitalizmu. A jednak na widok bolszewika, ustalającego właśnie, że „dramat musi służyć zbudowaniu proletariackiego ducha", mania, a wręcz – i o to mi tutaj chodzi – monomania ludzi wygadujących podobne rzeczy staje się dla nas zupełną oczywistością. Spróbujmy tylko wyobrazić

sobie stosowanie tej zasady do, powiedzmy, *Cioci pana Karola.*[11] Żadne z tych dwóch zjawisk nie dąży do wytworzenia jakiejś spójnej filozofii, podobnej do tej, którą św. Tomasz z Akwinu ukuł w oparciu o dorobek Arystotelesa. Jedyni przedstawiciele współczesnego świata, którzy poważyli się na coś takiego, to Comte i Spencer. Spencer, jak sądzę, był zbyt małym człowiekiem, aby mu się powiodło; Comte zaś był człowiekiem dostatecznie wielkim, aby pokazać, jak trudno dokonać tej rzeczy w dzisiejszych czasach. Żaden z tych dwóch ruchów nie może robić nic poza poruszaniem się; żaden nie odkrył, gdzie powinien osiągnąć kres.

Fakt ów prowadzi nas z powrotem do człowieka pustyni, który ciągle gdzieś zmierza i nigdy się nie zatrzymuje; ale który pod wieloma względami przewyższa niespokojnych mieszkańców przemysłowych miast. Ludzie, którzy w 1860 roku należeli do ruchu manchesterskiego, a w 1880 stali się fabianami[12], nie mają podstaw szydzić z nastroju religijnego, który przetrwał osiemset lat. A ci,

---

11 Oryg. *Charlie`s Aunt,* angielska farsa w trzech aktach z 1892 roku, autorstwa Brandona Thomasa, ciesząca się w Anglii rekordową popularnością. Główną osią fabuły jest podszywanie się przez młodego mężczyznę pod kobietę w średnim wieku oraz perypetie miłosne dwóch jego kolegów.

12 Aluzja do tzw. Towarzystwa Fabiańskiego, założonego w 1880 roku przez Sidneya Webba, Beatrycze Webb i Jerzego Bernarda Shawa, mającego na celu stopniowe przekształcenie kapitalizmu w socjalizm.

którzy tolerują upadlającą bezdomność slumsów, nie mogą pogardzać posiadającą znacznie więcej godności bezdomnością pustyni. Niemniej, nadal jest to bezdomność, a nie dom; w związku z czym nie sposób nie dostrzec w niej duszy nomadyzmu. Muzułmanin traktuje wzniosłą prawdę o tym, że nie mamy na tym świecie stałej ojczyzny, podobnie jak wszystko inne, to znaczy: zupełnie dosłownie. Nie potrafi dostrzec żadnego sensu w mistycyzmie rzeczy materialnych, w owej idei sakramentu, którą pewien francuski poeta wyraził tak szlachetnie, pisząc, że nasza ziemska ojczyzna to ciało niebieskiej ojczyzny Boga. Nie ma autentycznej koncepcji budowania domu, w naszym zachodnim sensie, polegającym na rozpoznaniu podobieństwa gniazda rodzinnego i nieba. Nawet wyjątek od tej reguły to wyjątek naraz wzruszający i straszny. Jest jedna konstrukcja, którą muzułmanin wznosi naprawdę jako budynek, a nawet dom; często z prawdziwymi ścianami, dachem i wejściem. Grób. Mahometański cmentarz całkiem dosłownie przypomina wioskę. Wioskę, po której, jak to się mówi, strach po nocy chodzić. Tak bardzo dziwne osiedle domków z drzwiami wejściowymi, w których może nagle stanąć zmarły, ma w sobie coś rzadko upiornego. W mniej fantastycznym sensie wszakże, jest w tym także coś nadzwyczajnie wzruszającego i ludzkiego; oto bowiem tutaj, w jedynym porcie, który mógłby zechcieć nazwać domem, żeglarz naprawdę znajduje odpoczynek po

swoich długich podróżach. Tutaj koczownik uznaje powszechne pragnienie rodzaju ludzkiego. Ale nawet w tym wypadku czuć wyraźnie obecność pustyni i zalegających ją, suchych kości rozumu: nie zaakceptuje on bowiem niczego pośredniego między namiotem, a grobowcem.

Filozofia pustyni może się tylko wciąż od nowa zaczynać. Nie potrafi rosnąć; nie ma tego, co protestanci nazywają postępem, a katolicy – rozwojem. Gdy zaś zaczyna się ona po raz kolejny, przechodzi przez pustynię śmierć i ogień piekieł. Zawsze może się zdarzyć tak, że jakiś nowy prorok odkryje na nowo starą prawdę; że odnajdzie po raz kolejny, wypisaną na czerwonych piaskach, tajemnicę oczywistości. Zawsze jednak będzie to ta sama tajemnica, za którą tysiące tych prostych, poważnych i cudownie mężnych ludzi odda swoje życie. Najbardziej wzniosłą nowiną Mahometa jest nadprzyrodzona tautologia. Zawołanie, że Bóg jest Bogiem jako takie stanowi powtórzenie tego samego słowa, podobne kosmicznym powtórzeniom połaci piaszczystej ziemi i przetaczającą się nad nią głębią nieba. Przypomina ono wiecznotrwałe echo, które nigdy nie może przestać wypowiadać tego samego, świętego imienia; i kiedy jakiś czas później miałem okazję zobaczyć największe i najpiękniejsze ze wszystkich meczetów tego kraju, przekonałem się, że inskrypcje na ich ścianach mają dokładnie taki sam charakter

celowej i prowokacyjnej identyczności. Starożytny alfabet arabski sam w sobie odznacza się naraz tak wielką elegancją i precyzją, że może służyć za normalną ozdobę, jak wole oczy[13] czy meander[14]. Tak, jakbyśmy mogli opracować heraldykę stylów pisma albo dekorować ściany podpisami. Styl literacki tego języka odznacza się wszakże taką samą monotonią, jak jego styl dekoratywny; może dlatego sam w sobie również nadaje się na dekorację. Określone wyrażenie powtarzają się w nim jak ornamentalne gwiazdy czy kwiaty. Wielu współczesnych ludzi wyobraża sobie na przykład, że atanazjańskie wyznanie wiary pełne jest pozbawionych znaczenia powtórek; myślą tak jednak tylko dlatego, że są zbyt leniwi, aby rzeczywiście go posłuchać albo za mało bystrzy, aby je zrozumieć. Używa się w nim ciągle tych samych terminów – tak jak w twierdzeniach Euklidesa. Ale poszczególne etapy rozumowania są również tak ścisłe i logicznie wynikające z poprzednich, jak w twierdzeniach Euklidesa. W inskrypcjach z meczetów natomiast, całe zdania wydają się funkcjonować nie jako kolejne części argumentu, ale refren piosenki. Oto właśnie wrażenie, sprawiane wszędzie przez owego ducha piaszczystych nieużytków; oto głos pustyni, wyraźny nawet mimo tego, że muezin śpiewa z wysokiej wieży, stojącej wśród gęstej

13 Ornament kolumn porządku jońskiego.

14 Charakterystyczny, ciągły ornament, złożony z układów kilku linii, załamujących się pod kątem prostym.

zabudowy miasta. Istotnie, człowiek zmuszony jest powtarzać się nawet na temat samych powtórzeń – tak bardzo zniewalającą moc ma ów widok strzelistych horyzontów nad jakże wielkim ogromem tutejszych równin, przygniatający duszę całą surową powagą oczywistości.

Jest jeszcze inny aspekt pustyni, jeszcze bardziej starożytny i doniosły, o którym mógłbym mówić; w tej chwili zajmuję się wszakże wyłącznie wpływem tego miejsca na wielka religię prostoty. Bo właśnie przez atmosferę tej religii współczesny pielgrzym, podobnie jak wielu pielgrzymów przed nim, zdąża do celu swojej wędrówki. Tę konkretną cechę zapamiętałem tym wyraźniej jeszcze ze względu na to, jak nagle udało mi się uciec spod wpływu, jaki wywiera ona na duszę człowieka. W ogóle nie spodziewałem się takiego kontrastu; i wszystkie moje późniejsze doświadczenia mogły przybrać w jakimś stopniu jego wielobarwność. Wysiadłem z pociągu w Ludd[15], które wyglądało jak duży, pustynny obóz; rzecz jak najbardziej odpowiednia, biorąc pod uwagę, że tradycyjnie uważa się to miasto za miejsce narodzin św. Jerzego. W pierwszym wszakże momencie, nie miało ono w sobie nic z romantyzmu czy wzniosłości. Może wyglądało bardziej posępnie, niż zwykle; spadł właśnie bowiem

15 Prawdopodobnie chodzi o izraelskie miasto Lod (zwane też Al-Ludd), położone mniej więcej w środku tego kraju, na równinie Szaron.

rzęsisty deszcz; i woda zalegała wokoło w kilku wielkich bajorach (bo raczej nie dało się nazwać czegoś podobnego poetyckim imieniem kałuży). Przysłany przez moich przyjaciół samochód zatrzymał się obok peronu; ja zaś wsiadłem doń z bardzo mętnym pojęciem na temat tego, gdzie właściwie mamy się udać; i po przebyciu grząskiej, krętej ścieżki wjechaliśmy na nieco bardziej pofałdowany teren, z rosnącymi gdzieniegdzie kępami kaktusów. I właśnie w tamtym momencie, z jakąś przedziwną gwałtownością zdałem sobie sprawę, że oto cała ogromna pustynia zniknęła i byłem już w innej ziemi. Mroczne, czerwone bezkresy urwały się jak zmora nocna; i znalazłem się nagle w samym środku świeżego i niezmiernie przyjemnego snu.

Wiem, że zabrzmi to mało wiarygodnie – ale przez pewien moment naprawdę zdawało mi się, że wróciłem do domu; a może raczej: do tego domu poza domem, za którym wszyscy tęsknimy. Utracone wspomnienie o nim to życie naraz wiarą i bajką. Żarzące się pomarańczami sady wyrastały zza groteskowych żywopłotów z kaktusów lub opuncji; które rzeczywiście wyglądały niczym zielone smoki, strzegące złotych jabłek Hesperyd. Po obu stronach drogi rosły kwiaty, których nigdy wcześniej nie widziałem pod słońcem; bo, istotnie, wydawały się one mieć promienie słoneczne w sobie raczej niż na sobie. Gęste kępy zawilców czerwieniały w sposób, którego nie zdołałby oddać nawet symbol krwi lub wina; prędzej już czerwonego

szkła, jaśniejącego w witrażu wykonanym ku pamięci męczennika. Tylko w jakiejś fantastycznej opowieści Wschodu mógłby znaleźć się obraz pielgrzyma czy podróżnika, odkrywającego podobnie cudowny ogród w samym sercu pustyni; i przyszła mi na myśl opowieść najstarsza ze wszystkich i ogród, z którego wszyscy przyszliśmy. Było w tym jednak coś jeszcze subtelniejszego; coś, co musi ujawnić się w każdej chyba podobiźnie ziemskiego raju. Kluczowe dla tego snu jest przeplatanie się ze sobą rzeczy znajomych i fantastycznych; jak w wypadku, gdy w prawdziwym śnie widzimy nagle twarze starych przyjaciół. Wróble, które wszędzie zdają się wyglądać dokładnie tak samo, latały chyżo w tę i z powrotem pomiędzy kwiatami; i zdawało mi się, jakby były to dusze wróbli Londynu i innych zadymionych miast, które trafiły tam, gdziekolwiek idą po śmierci dobre wróbelki. Niedaleko zaś przede mną, na widocznym pomiędzy dwoma rzędami kaktusów wzgórzu, po drodze dreptał osioł; i niemal mogłem przysiąc, że to ten sam zwierzak, którego zostawiłem w Anglii.

Szedł przede mną jeszcze jakiś czas, a jego długie i elfie uszy odznaczały się wyraźnie czarnymi konturami na tle jasnego nieba. Ewidentnie zmierzał gdzieś z wielką determinacją; ja zaś bawiłem się myślą, że dobrze znam cel jego wędrówki i że moim przeznaczeniem jest podążać za nim, niby za jakąś ruchomą wizją. Nieco później

jednak straciłem go z oczu, ponieważ ostatni etap mojej podróży musiałem odbyć koleją; pociąg jechał wszakże w dokładnie tę samą stronę, wjeżdżając coraz to wyżej i wyżej, po coraz bardziej stromych wzgórzach. Zacząłem wyraźniej rozumieć, gdzie właściwie się znajduję; i przypominać sobie, że ów ogród, który tak niespodziewanie rozkwitł wokół mnie, dla wielu wędrowców z przeszłości nosił miano Ziemi Obiecanej. W miarę, jak skały po obu stronach torów stawały się coraz potężniejsze, wisząc nad nami niczym przerażające i stężałe chmury, ujrzałem na rozpościerających się pod nimi, wyblakłych halach coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej: tęczę, która najwyraźniej spadła na ziemię, jako że żadna z części jej łuku nie dotykała nieba i tylko kępy kwiatów oraz falujące trawy przeświecały przez płomień jej barw. Pomyślałem, że to również przypomina wizję – i właśnie wtedy, gdy ogarnął mnie taki leniwy i mistyczny nastrój, przydarzył mi się kolejny przypadek, który kontent byłem policzyć jako trzeci element jednej całości. Bo oto kiedy pociąg nasz zatrzymał się wreszcie na swoim ostatnim przystanku w strugach padającego deszczu i na ostatni etap podróży nie miałem już żadnego środka transportu, pewien bardzo uprzejmy oficer, chirurg w brytyjskim wojsku, zaproponował mi miejsce w ambulansie; i wjechałem do Jerozolimy pod czerwonym znakiem krzyża.

Ponieważ nagle, pomiędzy posterunkiem, przy którym stała ciężarówka, a strzępem deszczowej chmury, ujrzałem je: wyniesione wysoko i zamknięte pod strzelistym niebem swej historii, samotne tak w błogosławieństwie, jak bluźnierstwie. Miasto położone na górze, które nie może się ukryć.

Rozdział III: Bramy do miasta

Wracający z Jerozolimy ludzie, których zdarzyło mi się spotkać, zwierzali się z najróżniejszych i zupełnie sprzecznych ze sobą wrażeń, jakie to miasto na nich wywarło – a jednak moje osobiste wrażenie przeczyło im wszystkim naraz. Niewątpliwie, ich odczucia są równie prawdziwe, jak moje; pozwalam sobie jednak opisać moją perspektywę właśnie dlatego, że jest prawdziwa, a także ze względu na to, iż wydaje się ona wskazywać na pewną zaniedbaną, dotyczącą tego miejsca prawdę. Nie oczekiwałem, że prawdziwe Jeruzalem okaże się Nowym Jeruzalem, miastem miłości i pokoju, nie bardziej w każdym razie, niż że okaże się ono miastem z chryzolitu i pereł. Bardziej zasadnie już mogłem spodziewać się, że zastanę miejsce surowe i ascetyczne, przygniecione ciężarem swego przeznaczenia, w którym nie byłoby żadnych gospód poza klasztorami, pogrążonymi w straszliwym milczeniu trapistów – przerażające miasto, w którym na ulicach trzeba porozumiewać się znakami. Nie potrzebowałem tych wszystkich niezliczonych dowcipów, które opowiada się dzisiaj o stolicy Dawida, aby strzec się podobnych oczekiwań. W każdym razie: nie miałem ich – i zdecydowanie nie znalazłem niczego, co mogłoby je potwierdzać. Nie znalazłem wszakże również niczego, co mogłoby potwierdzać oczekiwania wprost przeciwne, do których miałem znacznie większą skłonność. Wiele z tych opowieści kazało

mi spodziewać się miejscowości prawdziwie kosmopolitycznej – to znaczy: prawdziwie podbitej. Oczekiwałem czegoś w stylu Kairu, miasta w którym znajdzie się kilka starszych i interesujących zabytków, ale otwartego również z każdej strony na rzeczy nowe i prostackie, pełnego naciągaczy, którzy wydają się być wprost stworzeni dla turystów i turystów, którzy wydają się być wprost stworzeni dla naciągaczy. W Jerozolimie można znaleźć podobnych zjawisk więcej, niż podobałoby się to tym, którzy ją idealizują. Sądzę jednak, że także znacznie mniej, niż można by zazwyczaj przypuszczać w reakcji na podobny ideał. Nie oferuje ona, inaczej niż Kair, ekscytujących doświadczeń z dwudziestoma przewodnikami toczącymi bój o jednego turystę lub młodymi Turkami, popijającymi amerykańskie koktajle w proteście przeciw chrześcijańskim winopilcom. Miasto owo jest na tyle zapyziałe, że stanowi miejsce odpowiednie dla pielgrzymów. Albo też przyjezdny mógł wyobrażać sobie coś jeszcze mnie zachodniego, niż Kair, jedną z tych palestyńskich wiosek, którą opisują stare, zakurzone opracowania z zakresu biblistyki. Mógł pamiętać jeszcze różne rysunki, na przykład diagramy przedstawiające studnię lub prasę winiarską, albo raczej wyschłą studnię i prasę winiarską, którą bardzo trudno byłoby skojarzyć z winem. Te surowe, czarno-białe wykresy nigdy nie oddawały sprawiedliwości kolorom Wschodu, lecz nawet gdyby nadać im jego malowniczość i tak byłoby to za mało, aby oddać

sprawiedliwość Jerozolimie. Niemniej, gdybym oczekiwał, że zobaczę Bagdad wszystkich naszych marzeń, gąszcz bazarów, lśniących wspaniałościami najróżniejszych dóbr, znowu popełniłbym błąd. Dosyć znajdzie się z tej barwności w mieście Dawida, nie ona jednak jest tym, co w pierwszym rzędzie przyciąga tam uwagę – i na pewno nie ona w pierwszym rzędzie przyciągnęła moją. Dzielę się osobistym wrażeniem jako faktem, na ile ma ono w sobie jakąś wartość i dokładnie w takim porządku, w jakim pojawiły się we mnie poszczególne, składające się nań elementy. Nie spodziewałem się go i zdałem sobie zeń sprawę dopiero po jakimś czasie. Gdy tylko zacząłem przechadzać się wewnątrz jerozolimskich murów, ogarnęło mnie takie uczucie, jakbym szedł przez miasteczko Rye[16] dokładnie przez tę jego część, z której za płaskimi łąkami nadbrzeża widać Winchelsea[17].

Podczas moich prób wytłumaczenia samemu sobie tego przedziwnego sentymentu, cały czas zdawałem sobie sprawę z innego jeszcze uczucia, które tyleż mu przeczyło, co go uzupełniało. Nie chodziło tylko o wspomnienie Rye, łączyło się z nim bowiem

---

16 Małe miasteczko na południowym wschodzie Anglii.

17 Również małe miasteczko na południowym wschodzie Anglii, leżące nieco na wschód od Rye.

jeszcze coś z Góry Świętego Michała[18] stojącej pośród piasków Normandii po drugiej stronie wąskiej linii morza. Pierwszą część ogólnego wrażenia stanowi to, iż podróżnik, chodząc po kamienistych uliczkach wewnątrz murów miejskich, czuję się tak, jakby znajdował się w środku fortecy. A jednak swoistym paradoksem tego typu miejsca jest to, że, wobec nastroju odpowiedniego, w pewnym sensie, dla pobytu w więzieniu, wydaje mu się także jakby stał nad przepaścią. Owo poczucie bycia porwanym i wyniesionym na wysokość, przychodzi doń przez najwęższą nawet szczelinę lub najbardziej przypadkowe pęknięcie w kamieniu czy skale. Ze szczególną mocą zaznacza się ono przy kontakcie z owymi wysokimi, wąskimi oknami w murach starych fortyfikacji, tymi nacięciami w kamieniu, przez które średniowieczni żołnierze razili przeciwnika z łuków, a średniowieczni artyści jeszcze bardziej owocnie patrzyli na świat. Zielone przebłyski pól daleko w dole lub nizin na horyzoncie, zachwycające, lecz jednocześnie przyprawiające o zawroty głowy (przez to, że są zarówno daleko, jak i blisko), które możemy zobaczyć przez okna Memlinga[19], bardzo często zobaczyć można także z okien Jeruzalem.

---

18 Skalista wyspa pływowa w Normandii, ze słynnym sanktuarium św. Michała Archanioła.

19 Jan Memling (1435-1494) – malarz niderlandzki, czołowy przedstawiciel renesansu.

W tamtym właśnie momencie przypomniałem sobie, że na tych samych pasmach średniowiecznego krajobrazu zawsze da się dostrzec, w tym lub innym miejscu, wzgórze ukoronowane miastem strzelistych wież. I wiedziałem, że oto miałem mistyczną i podwójną przyjemność zarówno widzieć podobne wzgórze, jak i na nim stać. Miasto wzniesione na górze nie może się ukryć; jeszcze ciekawszą jest jednak sytuacja, w której samo wzgórze również nie może się nigdzie ukryć, nawet przed mieszkańcami położonego na nim miasta.

W tamtym momencie naprawdę zdałem sobie sprawę, że to, co zobaczyłem, to Jerozolima krzyżowców – albo przynajmniej krucjat. Był to średniowieczny gród z murem, bramami i cytadelą, zbudowany na wzniesieniu, aby mogli bronić go łucznicy. Lwią część współcześnie stojących tam murów postawili w późnym średniowieczu muzułmanie; niemal zupełnie przypominają one jednak te projektowane w tamtym okresie, lub trochę wcześniej, przez chrześcijan. Podobne fortyfikacje wznosił bardzo daleko, pośród deszczowych wzgórz Walii, Edward Krzyżowiec, później zwany Edwardem I. Nie wiem, które z ich elementów miały pochodzenie gotyckie, a które saraceńskie. Krzyżowcy i Saraceni nieustannie ze sobą walcząc, nieustannie się naśladowali – jest to zresztą nader typowe dla podobnych konfrontacji. To jeden z tych

argumentów przeciwko wojnie, które naprawdę są ludzkie – i dokładnie dlatego nigdy niewykorzystywane przez humanitarystów. Przekleństwo konfliktów zbrojnych zasadza się na tym, iż prowadzą one do coraz bardziej międzynarodowej imitacji – podczas gdy w czasach pokoju i wolności ludzkość może pozwolić sobie na narodową różnorodność. Niemniej, niektóre przynajmniej rzeczy w tym kraju na pewno zostały skopiowane od chrześcijańskich najeźdźców, a nawet jeśli nie są chrześcijańskie, to mają w sobie coś dziwnie europejskiego. Mury i bramy, które tu dziś stoją, niezależnie od tego, co je poprzedziło i co przyjdzie po nich, niosą ze sobą wspomnienie owych przybyszów z zachodu, którzy przyszli tutaj szaleni i żądni przygód, i którzy wspięli się na tę skałę, aby trzymać się jej straceńczo od zwycięstwa Gotfryda do tryumfu Saladyna. To właśnie stanowiło powód, dla którego krótkie, orientalne wygnanie w tak zadziwiający sposób przywodziło mi na myśl wzgórze Rye i mój dom.

Zdaję sobie przy tym, rzecz jasna, sprawę, że wszystkie te jawne oczom mury i wieże to zaledwie blanki i iglice pogrzebanego pod ziemią miasta, czy też wielu takich miast. Nie zapominam o tym, że osiedla takie mają fundamenty, które nam przedstawiają się już bardziej jako skamieliny – gigantyczne skamieliny z zamierzchłej epoki geologicznej. Później będzie można powiedzieć coś więcej na

temat owych zniszczonych imperiów, których największe arcydzieła stanowią dla nas najwyżej skamieniałe monstra. Z tej wysokości, na końcu długich, niespisanych nigdzie dziejów, upadł zapomniany idol Jebuzytów, tamtego dnia, w którym oszczepnicy Dawida przeszli przez cytadelę, niosąc na barkach, ukrytego w mroku za kolorowymi zasłonami, bożka, którego obraz nigdy nie został uczyniony przez człowieka. To tutaj toczyła się pozbawiona końca wojna między rzeźbionymi bogami równin a niewidzialnym Bogiem gór. To stąd noszący złotą rybę Filistynów pachołkowie zostali przegnani precz aż do morza, z którego wziął się ich kult. Ci, którzy modlili się na tym wzniesieniu, wyszli z niewoli egipskiej, by dostać się później do niewoli babilońskiej. Ich kraj był mały, a jednak przetoczyło się przezeń całe niemal widowisko starego świata pogan. Wszystkie jego dziwaczne kształty i prawie że brutalnie jaskrawe barwy trwają wciąż w księgach proroków, których najlżejsza fraza wydaje się cięższa niż wszystkie piramidy Egiptu, a których każde słowo to kroczący dumnie, skrzydlaty byk. Wszystkie te historyczne i prehistoryczne dziwy można będzie omówić w odpowiednim czasie; teraz wszakże nie chodzi mi o tajemnice historii, odkryte przez prowadzone w tym miejscu badania, ale raczej o historyczne skojarzenia, wywoływane przez owego miejsca widok. Podróżnik znajduje się tutaj w sytuacji słynnego, fikcyjnego bohatera, który przywiązał w zimie swojego konia do stojącego wśród śniegów,

przydrożnego krzyża, by potem zobaczyć, jak koń ów dynda z wieży kościoła na środku rynku – w mieście, które ukazało się nagle, gdy śnieg się roztopił. W tym wypadku jednak krzyż nie pełni takiej funkcji, jaką tradycyjnie ma na szczycie kościelnej wieży, ale raczej taką, którą ma na szczycie egipskiego monumentu w Rzymie – gdzie księża umieścili symbol swojej wiary na pogańskim pomniku ze strachu, że zacznie on chodzić. W pełni rozumiem tę reakcję – później zaś postaram się wyjaśnić, dlaczego uważam ów symbol za logiczną kulminację nie tylko chrześcijańskiej, ale i pogańskiej kultury. Nasz podróżnik z fantastycznej opowieści spojrzał wreszcie do góry i ujrzał wieżę i krzyż, górujące nad gotyckim miastem. Gdybym natomiast ja spojrzał wzwyż w jakiejś mistycznej wizji i ujrzał je górujące nad przesłaniającą niebo straszliwymi pałacami i świątyniami zabudową Babilonu, uznałbym ich górowanie za coś zupełnie naturalnego. Chodzi mi tutaj jednak o to, że zabudowa, którą zobaczyłem nad ziemią, była nie tyle babilońska, co właśnie raczej gotycka – i przywodziła mi na myśl szczególnie jeżeli nie sam krzyż, to przynajmniej żołnierzy, którzy ów krzyż przyjęli.

Zdaję sobie również sprawę ze wszystkich długich wieków, które przeminęły nad tym miejscem po tym, jak owe mury zostały wzniesione – równie wyraźnie, jak ze wszystkich, znacznie bardziej interesujących stuleci, które minęły, zanim to się stało. Ale każdy, kto

uważałby je za podstawę do stwierdzenia, że zdarzają się wyjątki, których mój opis nie obejmuje, równie dobrze mógłby zorientować się, po pewnym zastanowieniu, że są to tylko wyjątki potwierdzające regułę. Tureckie rządy mają w sobie coś bardzo negatywnego; słowem zaś, które ujmuje zarówno to, co w nich najlepsze, jak i najgorsze, jest „zaniedbanie”. Wszystko, co żyło pod władzą nierealnego, „rozmytego” niemal imperium Konstantynopola, żyło jakby w zawieszeniu, nie gnijące, ale ścięte lodem, pogrążone we śnie, lecz wciąż nie bez ducha. Było to coś w stylu arabskiego zaklęcia, podobnego temu, które zmieniło księcia i księżniczkę w marmurowe statuy w *Księdze tysiąca i jednej nocy.* Cała ta część historii tego miejsca to jakiś rodzaj snu – i to snu kogoś, kto nie wie, czy przespał godzinę, czy sto lat. Kiedy znalazłem się pierwszy raz a Bramie Jafy, wzrok mój padł na coś, co zobaczyć można właściwie wszędzie, ale co tam właśnie zdawało się nabierać zupełnie specjalnego znaczenia. Większość ludzi ma jakiś zwyczajny całkiem przedmiot, który ciągle wydaje im się niezwykły – jakby był fantastyczną ilustracją w księdze natury. Osobiście, do dziś nie potrafię uwolnić się od wrażenia pewnej prawie że nieziemskości, gdy widzę trawę, porastającą wzniesione przez ludzi budynki. Podobne jest to jakiejś dzikiej, a nawet straszliwej fantazji, jak gdyby domom mogły rosnąć włosy. Jakoż kiedy ujrzałem to zielone owłosienie na potężnych blokach skalnych cytadeli, pomimo iż widziałem je już przecież wiele

razy wcześniej na niezliczonej liczbie ruin, uderzyły mnie one jak omen albo wizja świata naraz rozpadającego się na kawałki i pogrążonego w głębokim śnie. Mówi się, że gdzie Turek postawił swą stopę, tam trawa nie wzejdzie – drugą wszakże stroną tej prawdy jest fakt, iż zazwyczaj wschodzi ona wszędzie poza miejscem, w którym powinna. I mimo iż w tym wypadku stanowiła ona zaledwie przypadek i symbol, to był to symbol bardzo prawdziwy. Często ostatnio rozmawiamy o wszystkich tych momentach historii, w których Turek zatknął swoją zieloną flagę na wieży tej lub tamtej twierdzy – zapewne po sensacyjnym zwycięstwie, odniesionym dzięki niezrównanej odwadze. Ostatecznie jednak, to właśnie jest ów sztandar, który prędzej czy później zaczyna powiewać nad wszystkimi jego wyniosłymi miastami.

Z tego też względu, moja świadomość tego, co wydarzyło się przed i po okresie średniowiecza nie przeczyła wcale pierwszemu wrażeniu, które odniosłem, patrząc na mur i bramy Jerozolimy. Pozostało ono kwestią zasadniczo muru i bram – kwestią może mniej zrozumiałą dla świata współczesnego niż dla wieków średnich. Zawiera się w niej cała idea definicji, z lubością nazywana przez tych, którzy za nią nie przepadają, dogmatem. Mur przypomina regułę – bramy: wyjątki, które ją potwierdzają. Budowniczy musi wyznaczyć owej regule kształt i zdecydować, gdzie znajdzie się w niej miejsce

dla wyjątków. Nie może otoczyć ludzkiego osiedla samymi bramami, podobnie jak nie może wznieść ścian domu z samych okien. Na podobnej zasadzie, nie da się mieć prawa złożonego z samych swobód. Starożytne ludy i religie, które walczyły o to miasto, zgadzały się ze sobą przynajmniej w tym punkcie, nawet kiedy różniły się we wszystkich innych sprawach. Praktycznie wszystkie z nich, kiedy budowały domy, budowały także fortecę. To znaczy: niezależnie od tego, jak dziwne rzeczy tworzyły, traktowały je jako coś, co trzeba zdefiniować i czego należy bronić.

Z tego punktu widzenia, miasto święte było miastem szczęśliwym: nie miało przedmieść. Oczywiście, poza jego murami znaleźć można całe mnóstwo budynków – niemniej stoją one właśnie *poza murami*. Każdy ma świadomość bycia w obrębie pewnego ograniczenia lub poza nim. Całą zaś treść prawdziwych, wyrastających naokoło wielkiego miasta przedmieść stanowi to, że wyrastają one, by tak rzec, nieświadomie i na ślepo, na podobnej zasadzie, na której trawa zarasta nakreśloną na ziemi linię. Ta nieokreślona ekspansja nie podlega żadnej kontroli: ani tej wewnętrznej, sprawowanej przez duszę miasta, ani zewnętrznej, którą mógłby narzucić jej opór okalających owo miasto ziem. Niszczy ona naraz tak godność terenów miejskich jak i wolność wsi. Ludzie są zbyt liczni i obcy, aby mogli stać się w swym mieście prawdziwymi obywatelami,

prawdziwymi politykami w swym prawdziwym *polis*; a jednak – nie potrafią już nauczyć się tego, co trzeba, ze starożytnych tradycji rolnictwa. Pierwszy widok wyraźnego zarysu Jerozolimy stanowi jakby wspomnienie starszych modeli ograniczenia i własności. Szczęśliwe owo miasto, posiadające bramy – szczęśliwsze jeszcze, jeśli jest urwiskiem.

Jakoż Jerozolimę można nazwać miastem schodów. Wiele z jego ulic jest stromych i wyciosanych w schodki. Jak mi się wydaje, element sporu wokół jaskini w Betlejem, tradycyjnie łączonej z wydarzeniem narodzenia Pańskiego, stanowi podnoszona przez sceptyków wątpliwość, czy jakiekolwiek juczne zwierzę mogłoby wdrapać się do stajni po podobnie wysokich stopniach. Istotnie, dla jakiegokolwiek mieszkańca nowoczesnej metropolii w rodzaju Londynu czy Liverpoolu naprawdę może wydawać się to czymś dziwnym, podobnym do obrazu dorożkarskiego konia, wchodzącego gdzieś po drabinie. Fakt jednak pozostaje faktem, że gdyby osły Jerozolimy nie potrafiły wchodzić i schodzić po schodach, w ogóle nie mogłyby się nigdzie przemieszczać. Jakkolwiek by z tym się sprawy miały, wspominam o tym tutaj tylko w celu dookreślenia kwestii odczuć, wywoływanych przez ową kanciastość sylwetki. Osobliwie, łączy się z nimi w pewien sposób nawet górski labirynt, przez który wije się prowadząca do miasta droga. Wzgórza wokół Jerozolimy jako takie

nader często wyciosane są w tarasy, niby w jakieś gigantyczne stopnie. W większości wypadków służą one w ten sposób praktycznej i nader zyskownej sprawie winnic – a także jako świadectwo tego, że starożytny tron cywilizacji nie stracił swojego związku z tradycyjnym miłosierdziem i chwałą winorośli. W zarysie swoim podobna góra wygląda jednak niczym słynny Czyściec z wizji Dantego, wznoszący się piętro po piętrze, niczym jakieś tytaniczne schody, ku Bogu. Kształt ów również ma znaczenie symboliczne – tak dobitne, jak wyrazisty profil Świętego Miasta. Bo wiara jest jak drabina, a ewolucja – jak stok. Duchowa zaś i społeczna ewolucja to zazwyczaj stok nader śliski – błotniste zbocze, po którym bardzo łatwo można zjechać tam, skąd się przyszło.

Tak właśnie mniej więcej przedstawia się wyraźne i gwałtowne nawet wrażenie, wywoływane przez to górskie osiedle, a zwłaszcza przez jego mury, z bramami, przypominającymi domowe okiennice. Brama bowiem, podobnie jak rama okienna, jest w pierwszym rzędzie ramą obrazu. Obrazy, które można w owych ramach znaleźć, są bardzo różne i czasami także bardzo obce. Mieszczą się zaś na nich najprzeróżniejsze rzeczy, ślady Azji, islamu i nomadów pustyni. Sama Jerozolima jednak nie ma w sobie ani krzty nomadyzmu. Nic nie mogłoby być bardziej odmienne od prostego obozowiska namiotów, które rozbijają Arabowie. Nic nie mogłoby być bardziej

odmienne od zwykłego chaosu kolorów tymczasowego i kiczowatego bazaru. Są tutaj i Arabowie, i kolory, i naprawdę składa się to wszystko na przepiękny obrazek – obrazek ów ma jednak gotycką ramę i widzi się go, by tak rzec, przez gotyckie okno. Znaczenie tego faktu zaś, to po prostu znaczenie właściwe oknom, w szczególności gotyckim. Chodzi o to, że nawet światło jest najbardziej boskie w pewnych granicach – i że nawet ten, który jest światłem, jaśnieje najmocniej, gdy przyjmie jakiś kształt.

Podobny system murów i bram, tak jak wiele innych rzeczy, które uważa się za nieokrzesane i prymitywne, jest tak naprawdę bardzo racjonalistyczny. Zamienia on miasto, że tak powiem, jakby w plan samego siebie, a nawet w przewodnik po sobie samym. W sposób szczególny dotyczy ów fakt, jak się zaraz okaże, wychodzących zeń dróg. W każdym razie, człowiek musi zdecydować, którą z nich owo miasto opuści – nie może zwyczajnie płynąć sobie z prądem, na podobnej zasadzie, na jakiej daje mu się wynieść z nowoczesnych metropolii przez śmietniska slumsów. Nie ma zaś lepszej metody sporządzenia wstępnego planu jakiegoś miejsca, niż odtwarzanie w pamięci przebiegu jego murów i położenia bram. Załóżmy, na przykład, że ktoś zacząłby na południu, od Bramy Syjońskiej, na której wypisana jest starożytna nazwa „Jeruzalem”. W pierwszym rzędzie, spotęgowałoby to jego odczucie, że obcuje z czymś średniowiecznym,

a nawet wprost zachodnim, ponieważ to właśnie miejsce wyzwala najżywsze sentymenty związane z przeciskaniem się przez wąskie korytarze jakiegoś zamku – także jednak z tego powodu, że to południowo-zachodnie wzgórze otrzymało miano „Syjonu” od Godfryda i Tankreda w okresie istnienia królestwa łacińskiego. Wydaje mi się, że jedną z trapiących uczonych wątpliwości jest to, dlaczego właściwie właśnie temu wzniesieniu przypisano ową biblijną nazwę, podczas gdy w oczywisty sposób należało się ono drugiemu z nich. Jerozolimę dzieli się tradycyjnie na cztery wzgórza, z przyczyn praktycznych wszakże zawęża się ich liczbę do dwóch – niższego, wschodniego, na którym stała niegdyś Świątynia Salomona, teraz zaś – Wielki Meczet, oraz zachodniego, na którym znajduje się cytadela, a na którego południowym zboczu mieści się właśnie Brama Syjońska. Nic mi zupełnie nie wiadomo na temat podobnych dylematów; nie przypisuję również żadnego szczególnego znaczenia koncepcji, która i mnie samemu przeszła przez myśl, a którą wspominam tutaj tylko przelotem, bo zdaję sobie sprawę, że można by podnieść przeciwko niej setki zarzutów. Wiadomo wszakże, że Jerozolimę nazywano „Syjonem” zanim zdobył ją Dawid; i że nawet po jego zwycięstwie Jebuzyci pozostali na zachodnim wzgórzu i, jak się wydaje, wypracowano z nimi pewien rodzaj kompromisu. Czy można przypuścić, tak się zastanawiam, że jakieś lokalne wspomnienie o odróżnianiu jebuzyckiego Syjonu od

żydowskiego Salemu przetrwało aż do wieku dwunastego? Niemniej, Brama Syjońska to w całej układance zaledwie punkt wyjścia; jeśli pójdzie się na południowy wschód od niej, zacznie się schodzić po stromej i kamienistej ścieżce, z której rozciąga się pierwszy i najwspanialszy widok na to, co znajduje się na drugim wzgórzu. Wielki Meczet sułtana Omara wznosi się w niebo niczym paw, w całym przepychu swoich mozaik, przypominających czerwono-niebieskie pióropusze.

Uczeni, muszę w tym miejscu odnotować, pedantycznie protestują przeciw nazywaniu tego budynku „Meczetem Omara" z tego tylko powodu, że nie jest to meczet, ani nie zbudował go Omar. Lojalnie uprzedzam: otóż zamierzam dalej nazywać go Meczetem Omara i *będę* nazywał go Meczetem Omara. Mam na to pozwolenie Wielkiego Muftiego. Przecież to głowa całego islamu – jeżeli on się na tym nie zna, to kto? Powiedział mi, we wspaniałej francuszczyźnie, dorównującej wspaniałości jego manier, że wcale nie aż tak wielką niedorzecznością jest stosować właśnie tę nazwę, jako że wielki kalif naprawdę pragnął zbudować, a nawet zaprojektował podobną budowlę, mimo iż ostatecznie nie wprowadził swego planu w życie. Wydaje mi się, że to tak, jakby Świątynię Salomona nazywać Świątynią Dawida. Omar był wielkim człowiekiem, Meczet zaś – to wielkie dzieło i obie te sprawy zostały złożone w jedną całość przez

cudownie zdrowy rozsądek gminnej tradycji. Nie ma przykładu, który lepiej pouczałby podróżników o wielkiej prawdzie, że ludowe podania nigdy nie są tak bardzo słuszne jak wtedy, gdy się mylą; pedanteria zaś – tak bardzo mylna, jak wtedy, gdy ma rację. Odnośnie drugiej wątpliwości, mianowicie: że Kopuła na Skale (by użyć tu jej innej nazwy) tak naprawdę nie pełni funkcji meczetu, odpowiadam, że Opactwo Westminsterskie tak naprawdę nie pełni funkcji opactwa. Niemniej współczesny Anglik byłby nader zaskoczony, gdybym nazywał je Kościołem Westminsterskim; by nie wspomnieć tutaj o wielu współczesny Anglikach, dla których bardziej odpowiednim byłoby nazywać je Muzeum Westminsterskim. I niezależnie od tego, do czego może służyć muzułmanom ich wielkie i piękne sanktuarium, przynajmniej nie pozwolili mu stać się domem prywatnym jednego, bogatego człowieka. My zaś nie zdołaliśmy uniknąć tego nieszczęścia – jeżeli nawet nie w wypadku Opactwa Westminsterskiego, to na pewno w wypadku Opactwa Welbeck[20].

Meczet Omara (powtarzam niezłomnie) mieści się na rozległym, wschodnim płaskowyżu, gdzie kiedyś stała Świątynia; a w wysokim murze, otaczającym go od południowej strony miasta, znajduje się tylko Brama Gnojna, którą wyobraźnia nie musi się zajmować. Na

20 Opactwo w środkowej Anglii, które po kasacie zakonów stało się rezydencją hrabiów Portland.

całej długości muru, po jego drugiej stronie, grunt opada w południową dolinę; na posępnym zaś i kamienistym zboczu naprzeciwko, leży miejsce, określane jako Hakeldama[21]. Mur i dolina skręcają wspólnie za rogiem wzniesienia, na którym stoi wielka świątynia i vis-a-vis wschodniej części murów, za wąwozem, wzbija się w niebo potężna ściana Góry Oliwnej. Po tej stronie miasta, kilka bram jest zamurowanych, najsłynniejsza z których, Złota, samą swoją bezużytecznością świadczy o poległych rycerzach krzyża. Istnieje bowiem dziwna, muzułmańska legenda, że to właśnie przez tę bramę, tak uroczyście zapieczętowaną, wjedzie chrześcijański król, który będzie panował w Jeruzalem. W samym środku tej kwadratowej płaszczyzny wznosi się ciemna sylwetka Kopuły na Skale; stojąc zaś blisko niej, po raz pierwszy można dostrzec w oddali inną jeszcze kopułę. Leży ona kawałek drogi na zachód, tylko trochę bardziej ku północy; i wieńczy ją nie półksiężyc, ale krzyż. Wielu bohaterów i świętych królów pragnęło ujrzeć właśnie ją – a nie ujrzeli.

Jakże charakterystyczną cechą tego miasta, z całą jego średniowiecznie gęstą i różnorodną zabudową, jest to, iż Kościół Grobu Pańskiego, leżący na zachodnim jego krańcu, zobaczyć można po raz pierwszy tylko udając się najdalej jak to możliwe na wschód.

---

21 Po polsku: Pole Krwi.

Wszystkie widoki to przebłyski; rzeczy dalekie mogą być widoczne, bliskie zaś – niewidzialne. Podróżnik wpada na muzułmańską kopułę, skręcając za rogiem – chrześcijańską spostrzega zaś, by tak rzec, za własnymi plecami. Jeżeli jednak uda się dalej wzdłuż muru, do południowo-wschodniej części dziedzińca świątynnego, znajdzie kolejne wejście: Bramę Świętego Szczepana. Na stoku po zewnętrznej stronie, dziwnym i fortunnym zbiegiem okoliczności, leżące luzem na każdym zboczu góry kamienie zdają się być usypane w stosiki; za położoną zaś przy obrzeżach Góry Oliwnej doliną znajduje się wielki, szary gaj Getsemani.

Po północnej stronie dolina przemienia się w sztuczny rów, ze względu na to, że grunt jest tam nieco wyższy; kolejna zaś z bram, brama północna, nosi imię Heroda – chociaż równie dobrze mogłaby nosić imię Gotfryda lub Saladyna. Ponieważ zaraz za nią stoi sosna, za sosną zaś – surowy masyw skalny, na którym ci dwaj wielcy dowódcy stali kolejno, zanim zdobyli Jerozolimę. Potem mur biegnie dalej, aż do Bramy Damasceńskiej, z wyrzeźbionymi na niej, z nieznanych mi powodów, dużych rozmiarów różami, w stylu zupełnie heraldycznym i zachodnim, które w żaden sposób nie mogą przypominać wspaniałych róż Damaszku; mimo że ich nazwa weszła do naszego angielskiego języka i rodzimej tradycji, wspólnie z innym jeszcze słowem, oznaczającym subtelną dekorację mieczy. Na

pierwszy rzut oka w każdym razie, trudno jest uwierzyć, że kwiaty na murach to nie zachodnie róże Lancasteru lub Yorku, lub że miecze, które ich strzegły, nie były prostymi mieczami Anglii czy Francji. Niewątpliwie, głębsze i bardziej uroczyste wspomnienie powinno nasunąć się w miejscu, w którym z bramy tej rozciąga się widok na rozległą, wychodzącą z niej drogę – jak gdyby dało się dostrzec stamtąd, zawieszoną na wieki pod niebem, chmurę, przesłaniającą rozbłysk słońca, jaśniejący nad drogą do Damaszku. Zwierzam się tutaj jednak wyłącznie z faktów i fantazji, dotyczących mojego pierwszego wrażenia – i znów, myśl, która nasunęła mi się w zupełnie pierwszej chwili, nie miała żadnego związku z jedną choćby spośród tych wielkich i wzniosłych spraw. Nie rozważałem wcale kwestii adamaszku czy damaskinażu, czy potężnego, arabskiego miasta – a nawet nawrócenia św. Pawła. Przypomniałem sobie natomiast mój własny domek w Buckinghamshire i to, że zakątek miasta, w którym się on znajduje, nazywa się Przedmieściem Aylesbury – tylko dlatego, że leży najbliżej tej właśnie miejscowości. Dokładnie o to mi chodzi, gdy mówię, że owe starożytne zwyczaje są bardziej racjonalne, utylitarne nawet, niż różne mody współczesności. W wypadku, gdy ulica jakiegoś nowego przedmieścia nazywa się Aleją Pretoriańską, żyjący na niej urzędnik nie wyrusza ze swojej willi w radosnej nadziei odnalezienia drogi, która zaprowadziłaby go do Pretorii. Lecz człowiek żyjący na

Przedmieściu Aylesbury wie, że dotarłby stamtąd do Aylesbury; a człowiek wychodzący z Jerozolimy przez Bramę Damasceńską wiedział, że dojdzie do Damaszku. To samo tyczy się także kolejnego i ostatniego ze starych wejść do Miasta Dawida – Bramy Jafy na wschodzie; niemniej, kiedy ją zobaczyłem, zobaczyłem również coś jeszcze innego.

Słyszałem, że wejście do pewnej słynnej kaplicy stanowią bardzo niskie drzwi, nazywane Bramą Pokory; istotnie jednak, w tym sensie wszystkie w ogóle bramy są bramami pokory, szczególnie jeśli należą do tego właśnie rodzaju. Każdy, kto kiedykolwiek miał okazję podziwiać jakiś pejzaż spod kamiennego łuku zrozumie, co mam na myśli, gdy mówię, że wyostrza on płynącą z tego zajęcia przyjemność dziwnym poczuciem uprzywilejowania. Dodaje on do uroku przestrzeni coś, co sprawia, że jest on nie tylko urokiem, ale też darem. Tak właśnie przedstawiają się obrazy dalekich miejsc, pojawiające się w niskich bramach gotyckiego miasta; jak gdyby każda z nich wiodła do odrębnego świata; i prawie tak, jakby każda wykonana z nieba kopuła była sklepieniem osobnej komnaty. Lecz każdy, kto wędruje po tym mieście w podobnym nastroju, natrafi z nagła na jeden wyjątek, który zaskoczy go niczym trzęsienie ziemi. Wygląda on w każdym razie jak efekt takiego trzęsienia – trzęsienia ziemi z idiotycznym poczuciem humoru. Zaraz obok jednego z takich

pokornych i ludzkich wejść, znajduje się wyrwa w murze, przez którą biegnie szeroka droga. Przypomina to jedną z szalonych opowieści o wielkich dziełach słynnych Mędrców z Gotham[22]. Przywodzi na myśl stary dowcip o człowieku, który wybił małą dziurę w drzwiach dla kociaka i dużą dla kota. Wszyscy do tego czasu zdążyli już o owym wyjątku przeczytać; bezpośrednie wszakże wrażenie to nie tylko skutek lektury, czy nawet rozumowania. Całość wygląda nader koślawo – niczym dzieło jednookiego olbrzyma. A jednak wykonał ją nie kto inny, tylko ostatni książę wielkiej mocarstwowej maszynerii Prus, w czymś, co prawdopodobnie stanowiło najbardziej pyszny moment w jego pełnym pychy życiu.

Cokolwiek jest prawdziwe, może zabrzmieć tuzinkowo; co zaś jest tuzinkowe, może zabrzmieć jak fałsz. Niedługo prawdopodobnie zamęczymy świat nazywaniem Niemców barbarzyńcami, podobnie jak niedawno zamęczyliśmy go nazywaniem ich kulturalnymi, postępowymi i oświeconymi. Niemniej, sformułowanie to pozostaje prawdziwe nawet gdy wypowie się je tysiąc razy. I komukolwiek, kto życzyłby sobie zrozumieć sens jego prawdziwości, wystarczy

22 Oryg. *Wise Men of Gotham* – prześmiewcze przezwisko, nadane mieszkańcom wioski Gotham w hrabstwie Nottingham w związku z pochodzącą jeszcze z czasów średniowiecza tradycją układania różnych niedorzecznych opowieści, traktujących o ich legendarnej głupocie.

porozmyślać nad ową wykutą w skale fantazją i pomyleniem; bramą i otwartą drogą leżącą zaraz obok. Wszakże jakość, którą próbuję tu opisać, nie zasadza się wyłącznie na tym konkretnym kontraście; jak gdyby ktoś postawił drzwi w szczerym polu. Chodzi również o samą przyczynę rzeczy, warunki jej możliwości oraz całą jej historię. Ponad wszystko wybija się tutaj nieomylna pieczęć barbarzyńcy – poświęcenie trwałości na rzecz spraw tymczasowych. Gdy mury Świętego Miasta zostały rozburzone na cześć niemieckiego cesarza, nie szło nawet o ową nieprzemijającą sławę, która tak często staje się wizją i pokusą wielkich ludzi. Szło o chwałę jednego dnia. O coś, co bardziej przypominało festyn, niż cokolwiek, co choćby w najbardziej metaforycznym sensie można by nazwać dziedzictwem. Celu nie stanowił tutaj zwyczajny pomnik, czy choćby trofeum. Wręcz przeciwnie: celem było rozwalić pomnik i umożliwić zorganizowanie procesji. A nawet: zniszczyć trofeum i zorganizować tryumf. Jest coś prawdziwie barbarzyńskiego w owej kompletnej nieświadomości kwestii, jak będzie wyglądać Jerozolima sto lat, rok, albo choćby dzień po tym przedsięwzięciu. To właśnie odróżnia dzikie plemię, które po swoim zwycięstwie rusza w dalszą drogę, od cywilizowanej armii, która po swoim zwycięstwie tworzy rząd, nawet jeśli jest to rząd tyrański. Z tego też względu, skutek tych działań, podobnie jak skutek całej w ogóle pruskiej przygody z historią, ma charakter ściśle negatywny, a nawet nihilistyczny. Chrześcijanie zbudowali Bazylikę

Grobu Pańskiego, a muzułmanie Meczet Omara; lecz tylko tyle potrafiła wykrzesać z siebie najbardziej naukowa kultura świata pod koniec jego naukowej ery. Zrobiła wielką dziurę. Jedyny twórczy wkład wieku dziewiętnastego w kształt tego miejsca stanowi nieprawdopodobnie brzydki zegar na szczycie orientalnej wieży – czy też raczej wieży, która miała wyglądać orientalnie. Wzniesiono ją, o ile pamiętam, aby upamiętnić panowanie Abdüllhamida[23] – i faktycznie, do tej roli pasuje on wprost wybornie, podobnie jak jeden z sonetów Sir Williama Watsona o tej samej tematyce[24]. Niemniej, przedmiot ten dodaje zaledwie szczyptę banału do znacznie bardziej zawrotnej negatywności, którą niesie ze sobą wyrwa w murze. Pozostaje ona zarówno przypowieścią, jak i zagadką, pod ogromem zmieniającego się nieba dni i nocy; wobec cieni, kładących się pod

---

23 Abdüllhamid II (1842-1918) – sułtan Imperium Osmańskiego w latach 1876-1909. Nadał swojemu państwu konstytucję, stworzył parlament i pozwolił przeprowadzić do niego pierwsze, wolne wybory. Niedługo potem jednak, cofnął wszystkie reformy i zaczął rządzić absolutnie. Konstytucję przywrócił dopiero w 1908 roku, pod naciskiem zwolenników ruchu Młodej Turcji i wobec fatalnej kondycji ekonomicznej i finansowej państwa. W 1909 roku został zdetronizowany ze względu na podejrzenie przygotowywania konserwatywnego zamachu stanu i internowany. Z powodu twardej ręki i prześladowań politycznych, skierowanych m.in. przeciwko Macedończykom i Ormianom, nazywany „krwawym sułtanem."

24 Sir William Watson (1858-1935) – angielski poeta o zacięciu wyraźnie politycznym. We wspomnianym tu sonecie nadał tureckiemu sułtanowi przydomek „Abdul przeklęty."

wąską Bramą Pokory; oraz leżącej obok niej, pustej niczym świt i urwistej niczym otchłań, szerokiej drogi, która, jak już się okazało, prowadzi do zniszczenia.

Wyrwa ta pozostaje czymś na kształt rozcięcia, rany w linii murów; niemniej ostatecznie podkreśla ona tylko, na zasadzie kontrastu, ogólne poczucie ich ciągłości. Poza wypadkiem tego jednego kąta, w który wtargnął wiek dziewiętnasty, mgliste wrażenie obecności wieku trzynastego i czternastego raczej wzmaga się, niż mija. Nawet ludzkie postaci, pojawiające się w bramach lub przechodzące procesyjnie wzdłuż murów, przydają doń więcej, niż wielu mogłoby przypuszczać. Brązowi franciszkanie i biali bracia św. Dominika sami wystarczyliby, aby nadać dokładnie takie same barwy wspomnieniu łacińskiego Królestwa Jerozolimy; wskazać zaś można więcej podobnych przykładów i efektów, na Zachodzie znacznie trudniejszych do wyobrażenia. Tak też patrząc na ulicę, widzę wyłaniającą się spod łukowego sklepienia postać kobiety, w wysokim, białym nakryciu głowy, bardzo podobnym do tych, które wszyscy mieliśmy okazję zobaczyć na setkach obrazków, przedstawiających turnieje rycerskie, polowania, pielgrzymki do Canterbury czy dwór Ludwika IX. Ma ona cerę tak jasną, jak kobiety północy; i nie całkiem od rzeczy jest, jak sądzę, dopatrywać się jakiejś specyficznej wolności i godności w jej ruchach, zupełnie w każdym

razie odmiennych od ciężkiego chodu opatulonych szczelnie muzułmanek. To córka Betlejem, gdzie, jak mówią, tradycja wciąż jeszcze przypisuje sobie związek, jako z bohaterskim dziedzictwem, z krwią łacińskich rycerzy krzyża. Oczywiście, to ledwie jeden aspekt Miasta Dawidowego; lecz taki, który bardzo wcześnie da się zauważyć i który generalnie nader często się lekceważy. Jak wspomniałem, spodziewałem się po Jerozolimie bardzo wielu rzeczy, czegoś podobnego jednak – na pewno nie. Spodziewałem się kompletnego rozczarowania tym miejscem, jako zupełnie zbezczeszczonym i upadłym zbyt nisko, by mogło ono pełnić swoją misję. Oczekiwałem onieśmielenia; istotnie, myślałem, że mnie ono przerazi, jako pełne żaru i poniekąd skazane przez ową misję na upadek. Nigdy jednak nie wyobrażałem sobie, że można by je polubić; tak, jak można by polubić małe, otoczone murami miasteczko, położone między sadami Normandii czy polami chmielu hrabstwa Kent.

Dokładnie w tamtym momencie zdarzył się coś, co – jak się miało później okazać – stanowiło początek katastrofy. Patrzyłem leniwie jak owo nakrycie głowy, należące do chrześcijanki pochodzącej z miasta, w którym narodził się Chrystus, niczym biała wieża z draperii, przemieszcza się wzdłuż jednej z wąskich uliczek w kierunku zacienionych drzwi jakiegoś domu. Po tym, jak zniknęło ono w ciemnościach jednego z ganków, przez chwilę jeszcze

spoglądałem na miejsce, w którym straciłem je z oczu, myśląc, że równie dobrze mogłoby ono być gotyckim portalem w jakimś starym zakątku Rouen, czy nawet Canterbury. W dwudziestu podobnych konstrukcjach w Jerozolimie dostrzec można detale, odwołujące się do takich samych skojarzeń, jakże innych i jakże dalekich. Słynne „zęby," które sprawiają, że każdy z okrągłych normańskich bram wygląda jak otwarta paszcza rekina. Wyraźne, wyrzeźbione w ścianach wnęki w kształcie okien, pełniące poniekąd funkcję nawiasów, w których znajdować się miały święte obrazy, być może usunięte potem przez muzułmanów. Mały dziedziniec, z zasadzonymi nań orientalnymi drzewami i stojącym pośrodku posągiem, który niezawodnie przywodzi na myśl coś z małego, francuskiego miasteczka. Nie ma tu gotyckich wież, jest wszakże niezliczona ilość gotyckich drzwi i okien – i ten, kto w pierwszej chwili widzi Jerozolimę w takim właśnie świetle, nader łatwo może zacząć postrzegać element północny jako rdzenny, wschodni zaś – jako obcy. Gdy rozmyślałem nad tymi wszystkimi sprawami, wydarzyło się coś, co w tamtym miejscu stanowiło nieledwie omen.

Było bardzo zimno; niebo zaś mieniło się przedziwnymi barwami. Od czasu do czasu padały chłodne deszcze; i gdziekolwiek by pójść, w powietrzu czuło się coś ostrzejszego, niż tylko zwykły chłód. Tak, jak gdyby w północnej części niebios otwarto drzwi; wpuszczając

przy tym do środka siłę żywiołu, która zmienia oblicze ziemi. Znad pól czy też znad morza nadchodziły potężne, szare chmury, otoczone aureolami bladej zieleni i upiornego, perłowego światła, zasnuwając coraz bardziej i bardziej firmament rozpościerający się nad sterczącymi z miasta sylwetkami wież. Pośrodku tej ruchomej masy mgieł dało się zauważyć jakby nieco bledszą plamę; nikłą, białą chmurę, której białość wydawała się poniekąd bardziej złowroga niż ciemności. Przyleciała ona nad cytadelę niczym dzika, biała gęś; i kilka jej miękkich piór spadło na ziemię.

To był śnieg – i padał on cały dzień i całą noc, aż to wschodnie miasto zostało odcięte od świata jak jakaś wioska w Norwegii albo na północy Szkocji. Gromadził się on na ulicach, aż dało się w nim prawie utopić, niczym w morzu stężałej piany. Miejscowi zaś mówili mi, że podobnej rzeczy nie odnotowano w żadnym z opisów najnowszych dziejów Jerozolimy. Albo wręcz w żadnym z opisów czterech tysięcy lat jej historii.

Stało się to jednak dopiero później; w tamtym zaś momencie, gdy spoglądałem na całe to zajście w tak bardzo sennej atmosferze, wydało mi się ono zaledwie dramatycznym zakończeniem mojego snu na jawie. Ot, osobliwość, potwierdzająca pewną obserwację. Niemniej potwierdzała ona ją w sposób nadzwyczajnie, a wręcz

nadnaturalnie kompletny. Białe światło z okna północy leżało na wszystkich dachach i wieżyczkach tego górskiego miasta; bo śnieg ma do siebie coś takiego, dzięki czemu wygląda raczej jak zakrzepłe promienie słońca, niż zamrożona woda. W miarę, jak go przybywało, przybywało również wszędzie tych cudownych całkiem skutków mrozu, które wydają się tak dobrze komponować z fantastyczną formą średniowiecznej architektury; i które sprawiają, że sopel lodu wygląda jak wariacja na temat gargulca. To właśnie ta atmosfera sprawiła, że tak wielu pisarzy romansów uczyniło średniowieczny Paryż ledwie czarno-białym studium nocy i śniegu. Tajemnicza i niewidzialna dłoń wyrysowała w srebrze wszystkie surowe ozdoby wiekowych bram, prowadzących ku zmarszczkom na prastarych wzgórzach Moabu. Pokryte śniegiem pola, wciąż nakrapiane tu i ówdzie zielenią, schodziły w dół, w kierunku dolin, leżących pomiędzy nami a masywem gór; wysoko zaś nad nimi, Miasto Święte wznosiło swoją głowę ku zasnutemu przez groźne chmury niebu, przystroiwszy ją wcześniej, niczym córka krzyżowców, w białe przybranie z draperii.

Rozdział IV: Filozofia wycieczek krajoznawczych

Różni wysoce kulturalni krytycy mówili mi, że powinienem rozczarować się Jerozolimą; i obawiam się, że niemało rozczarują się oni faktem, że tak się nie stało. Odnośnie miasta jako miasta postaram się powiedzieć coś na innym miejscu; niemniej sprawy, o które owym krytykom chodziło, mają naturę znacznie bardziej ogólną i wewnętrzną. Tyczą się jakiegoś elementu jarmarku, tandety i przesądu, który mają w sobie tutejsze kapliczki oraz modlący się w nich ludzie. Otóż, problem krytyków nie leży w tym, że krytykują oni świat; ale w tym, że nigdy nie są samokrytyczni. Porównują to, co obce, z ideałem; a jednak nie porównują oni z tym ideałem także samych siebie; raczej wprost się z nim identyfikują. Spotkałem kiedyś pewnego turystę, który widział wielką piramidę i powiedział mi, że wydała mu się trochę mała. Zapewniam, turysta ów wydawał się sporo mniejszy. Istotnie, istnieje też drugi typ podróżnika, w sensie moralnym czy mentalnym wcale nie małego, który przyznaje się do podobnych zawodów całkiem szczerze, jako do przejawów realizmu wobec osobistych wrażeń. W tym wypadku, cierpi on zazwyczaj na standardową przypadłość większości realistów; to znaczy: jego sądom brakuje realizmu. Tak naprawdę nie przemyśliwa on swoich wrażeń do końca; gdyby tak było, stwierdziłby, że generalnie nie są one wcale aż tak bardzo

rozczarowujące. Pewien obdarzony poczuciem humoru żołnierz powiedział mi kiedyś, że pochodzi z Derbyshire i nie ma najlepszej opinii o piramidach, ponieważ nie są one tak wysokie, jak wzgórze Peak[25]. Zwróciłem mu wtedy uwagę, że porównując go do góry, składa on wytworowi rąk ludzkich możliwie największy hołd; nawet jeżeli sądzi, że wytwór ten to jako góra jest raczej niewielki. Zasugerowałem, że tak naprawdę to raczej spory nagrobek. Starałem się dotrzeć do moich rozmówców z tamtego dystryktu pytając ich, czy przypadkiem nie byliby choć trochę zaskoczeni, gdyby natknęli się na podobną budowlę podczas spokojnej przechadzki po wiejskim cmentarzu. Lub czy gdyby taki nagrobek należał do kogoś z ich rodziny, nie uważaliby za rzecz naturalną, nawet jeśli całkiem niekonieczną, pokazywać go innym; i to nie bez pewnej dumy. Ta sama zasada wyższego realizmu znajduje zastosowanie w wypadku rozczarowanych widokiem Sfinksa. Tymczasem on naprawdę przechodzi wszelkie oczekiwania – dlatego właśnie, że się im wymyka. Na ogół pomniki wyglądają imponująco wtedy, gdy są wysokie i często tylko z odległości. Sfinks jest rzeczywiście nieoczekiwany, ponieważ trafia się na niego nagle, w niecce, a do tego znajduje się on wtedy bardzo blisko. Twarz ma zwróconą

---

25 Prawdopodobnie wzgórze w tzw. *Peak District,* pofałdowanej mocno wyżynie w centralnej i północnej części Anglii. Obecnie większa jej część znajduje się w granicach angielskiego Parku Narodowego.

w drugą stronę; i skutek tego jest dosyć upiorny, jakby weszło się do pokoju, który wygląda na pusty, by niespodzianie dostrzec w nim kogoś zastygłego w bezruchu na kształt mebla. Albo jak gdyby w tym dołku w piasku odkryć nagle herbowy symbol lwa w pozycji leżącej; jako że istotnie, zakopana pod piaskiem część tego potwora ma przecież dokładnie formę leżącego króla zwierząt. Gdyby był to prawdziwy lew, jego bliskość prawdopodobnie nie umniejszyłaby ogólnego zaskoczenia; również pierwszej emocji spotykającego go podróżnika nie dałoby się chyba określić mianem rozczarowania. W tego typu wypadkach zazwyczaj w pewien sposób korzystne jest spojrzeć na pomnik jeszcze drugi raz, lub nawet drugi raz przyjrzeć się naszym własnym odczuciom. W ten oto sposób argumentowałem, spierając się z nieokiełznanymi krytykami w nieokiełznanej dziczy; jedyną wszakże istotną w tym momencie część tamtej dyskusji wyrazić mniej więcej tal: otóż uważam piramidę za dużą, z tego głębokiego i prostego powodu, że jest większa niż ja. Tym, którzy czuli się rozczarowani widokiem Sfinksa sugerowałem delikatnie, że Sfinks równie dobrze mógł się rozczarować nimi. Widział przecież Juliusza Cezara; bardzo prawdopodobne, że widział również św. Franciszka, gdy ten przywiózł do Egiptu płomień swojej miłości; z pewnością spoglądał, w pierwszych, górnych dniach zwycięstw Rewolucji, na oblicze młodego Napoleona. Czy nie jest choć trochę możliwe, próbowałem dać do zrozumienia moim przyjaciołom

i pozostałym turystom, by po wszystkich tych doświadczeniach widok ciebie lub mnie wpędził go w lekki dołek? Jednakże, jak mówiłem, przywołuję tu moje uwagi wyłącznie w związku z problemem szerszym, niż wszystkie te martwe sprawy pustyni; w związku z grobem, przy którym nawet piramidy to zaledwie kolosalne rupiecie i obecnością większą niż Sfinks, bo stanowiącą nie tylko zagadkę, ale i odpowiedź.

Zanim przejdę do bardziej gruntownej obrony podobnego kultu czy kultury, pragnę zaproponować tutaj swego „poradnik impresyjny" dla zwykłych turystów, takich jak ja, którym wiele z tego, co pełne jest archaicznej siły, może wydać się po prostu sztywne – lub też wiele z tego, co łączy się z głęboką psychologią pobożności, może wydać się po prostu nienormalne. Krótko mówiąc, chciałbym postawić się na chwilę w sytuacji przeciętnego wykształconego Anglika, zazwyczaj bez złej woli mającego Jerozolimę za miasto bałwochwalców. Przypadkowo zupełnie, nadmieniam, to właśnie on jest tutaj poganinem. To on czci miejsce, nie mając przy tym krzty czci dla samej tej czci. To on właśnie zajmuje się przede wszystkim tym, czy jakiś martwy przedmiot jest stary czy nowy, złoty czy złocony. Innymi słowy: to on właśnie ceni rzeczy widzialne ponad niewidzialne; bo żaden zdrowy umysłowo człowiek nie może wątpić,

że odwiedzający te kapliczki księża i pielgrzymi naprawdę widzą to, czego nie widać.

Pośród wiru emocji, które wyrzuciły cały świat z drogi, po której dotychczas kroczył, rozsypanych wokół tłumów, które za jedną definicję potrafią zginąć lub dopuścić się mordu, wykształcony Anglik w swojej ślepocie kłania się drewnu i kamieniom. Ponieważ jedyną złą cechą tego godnego podziwu jegomościa jest jego ślepota na samego siebie.

Nikt na serio nie spróbuje opisać, co czuł, gdy pierwszy raz stanął na progu Grobu Chrystusa. Jedyny istotny tutaj zapis historyczny dotyczy faktu, że ja sam nie doświadczyłem niczego z niechęci, by nie powiedzieć: wstrętu, który uderza tak wielu na widok oficjalnego otoczenia tego miejsca.

Albo miałem nadzwyczajne szczęście, albo inni są nadzwyczajnie wybredni. Przewodnik, który pokazał mi Grób Pański, nie zachowywał się wcale jakoś szczególnie głośno, nie bluźnił, nie wyglądał na pospolitego najmitę; przejawiał więcej raczej niż mniej ogólnego zrozumienia niż wielu z tych, którzy oprowadzali mnie choćby po Opactwie Westminsterskim czy Stradford-on-Avon. Był to niski, poważny, starszy mężczyzna o sowiej twarzy, z wyznania

rzymski katolik; dobrze znał Biblię – a jeśli grzeszył czymkolwiek, to dziwnym przeświadczeniem, że nikt oprócz niego jej nie zna. Jeśli w tak świętych okolicznościach cokolwiek zasługiwało na uśmiech, to umyślna prostota, z którą opowiadał podstawowe fakty z Ewangelii, jak gdyby nawracał poganina. W każdym razie, nie mówił w stylu tandeciarza ze straganu; ale raczej nauczyciela ze szkoły podstawowej. Pieczołowicie wyjaśnił, że Jezus został ukrzyżowany, na wypadek, gdyby ktoś myślał, że został ścięty; bardzo często też przerywał tok swojego wywodu, aby jeszcze raz zaznaczyć, że bohaterem tej opowieści jest właśnie Jezus Chrystus, na wypadek, gdyby zdawało się nam, że Nabuchodonozor albo książę Wellington. W żadnym wypadku nie przeszkadza mi fakt, że mnie tym rozbawił; nie mam jednak także żadnego powodu wątpić, że mógł on być lepszym człowiekiem niż ja. Ofiarowałem mu to, co mógłbym ofiarować każdemu przewodnikowi z mojej ojczyzny; rozstałem się z nim tak grzecznie, jak rozstałbym się z każdym z moich rodaków. Zgodnie z przyjętym zwyczajem, ofiarowałem także pieniądze różnym, opiekującym się kaplicami zakonnikom; nie widzę w tym wszakże niczego zaskakującego. Nie jestem do tego stopnia ignorantem, aby nie zdawać sobie sprawy, że bez zgromadzeń zakonnych, wspomaganych podobną dobroczynnością, dziś w Jerozolimie nie byłoby czego oglądać. Istnieje jedna ledwie klasa ludzi, których stałe zmartwienie, od czasów pogan i herezji po czasy

Turków, stanowiła opieka nad tymi wszystkimi miejscami; i na pewno nie mam zamiaru szydzić z nich za to, że nie wykonują żadnej pożytecznej pracy, żeby potem nie płacić im za całą pożyteczną pracę, którą wykonują. Co do reszty, nawet sprawa zniszczeń architektonicznych jest przesadzona – kościół spłonął i został odbudowany w nowożytnej i niekorzystnej dla tego epoce; niemniej starsze części, szczególnie kruchta krzyżowców, są tak wspaniałe, jak ludzie, którzy je wykonali. Zachodzące tu i ówdzie niezgodności stanowią kwestię lokalnego kolorytu. Na marginesie – w związku z tym, co powiedziałem na temat zwierząt jucznych, samemu również pokonałem w pewnym momencie kilka rzędów stromych schodów, wiodących na dach mieszczącego się za Grobem Pańskim, żeńskiego klasztoru. Kiedy zaś osiągnąłem już kres mojej wędrówki, znalazłem się we flegmatycznej obecności dwóch wielbłądów. Nader ciekawym przeżyciem byłoby spotkać dwie krowy na dachu wiejskiego kościoła. Niemniej, jedynym morałem wtrąconej tu opowieści jest to, iż także w naszym własnym kraju możemy zobaczyć równie interesujące rzeczy.

Kiedy jakiś snob peroruje, że Jerozolima to wielkie rozczarowanie, zazwyczaj chodzi mu o to, że pobożność ludowa jest tutaj nędzna i zdegenerowana, a sztuka religijna – krzykliwa i groteskowa. I choć podobne stwierdzenie ma w sobie coś z prawdy, faktem jest również,

że krytyk ten rzadko widzi prawdę w całej jej okazałości. Problem z krytykantem polega na tym, że nie krytykuje on sam siebie. Nie próbuje uczciwie porównać tego, co w tym konkretnym świecie idei słabe, z tym, co jest słabe w jego własnym świecie idei. Posłużę się przykładem z osobistego doświadczenia. Jeśli mam jakieś gniazdo rodzinne, to z pewnością będzie to High Street w Kensington, z której wyrasta dom mojego dzieciństwa. Dorastałem właśnie przy owej wielkiej arterii, którą pan Max Beerbohm, z przychodzącą mu tak łatwo precyzją frazy, określił jako „ruchliwą, z niejaką skłonnością do sztuk pięknych". Być może mnie samego nigdy nie dało się opisać przez odwołanie do „ruchliwości"; lecz zupełną prawdą jest, iż ludziom, wśród których się wychowałem, zawdzięczam pewne zamiłowanie do sztuki. Zgadza się również, że podobne zamiłowanie obecne było dosyć powszechnie, w różnych postaciach i z różnym natężeniem, w świecie, którego symbol stanowić może High Street w Kensington. I niezależnie od tego, czy uwaga ta to hołd, czy nie, na pewno trzeba przyznać, że większość wrażliwych artystycznie mieszkańców tej ulicy, biorąc pod uwagę ich poczucie przyzwoitości, doznałoby niemałego szoku, gdyby zdarzyło im się ujrzeć ludowe kapliczki Jerozolimy; ich fałszywe złoto, odpustowe kolory, fantastyczne opowieści i pełną podniecenia wrzawę. Czego wszakże domagam się od podobnych ludzi, a czego oni nigdy nie robią, to żeby odwrócili oni tę prawdę do góry nogami. Pragnę, żeby wyobrazili

sobie nie to, jak pewien esteta z Kensington przemieszcza się ulicą króla Dawida do Grobu Pańskiego, ale to, jak pewien grecki mnich albo rosyjski pielgrzym przemieszcza się po High Street w Kensington do ogrodów królewskich. Nie zamierzam upierać się tutaj przy przywoływaniu wszystkich tych idących w setki oznak plutokratycznej zarazy, które naprawdę mogłyby zaskoczyć chrześcijańskiego chłopa; szczególnie owego przekleństwa społeczeństw bezreligijnych (w społeczeństwach religijnych, tak islamu, jak chrześcijaństwa, zgoła nieznanego): ohydy odmawiania wszelkiej godności ubogim. Nie mówię teraz o zagadnieniach moralnych, tylko artystycznych; o konkretnej sytuacji sztuki i rzemiosła w pobożności ludowej. Cóż, mój wyimaginowany pielgrzym szedłby wzdłuż ogrodów królewskich w Kensington, aż zostałby nagle uderzony widokiem cudu. Wtedy albo padłby na kolana, jak gdyby ujrzał kapliczkę, albo zasłonił twarz na widok świętokradztwa. Zobaczyłby Memoriał Alberta[26]. W Jerozolimie nie znajdzie się niczego, co aż tak bardzo przykuwałoby uwagę. Ani niczego podobnie krzykliwego i kapiącego od podobnych ilości złota. Poza wszystkim, nie ma tam również niczego, co byłoby naraz tak

---

26 Oryg. *Albert Memorial,* pomnik księcia Alberta, męża królowej Wiktorii, znajdujący się w ogrodach królewskich w Kensington. Ma on cztery metry, wykonany jest z brązu, złocony, przykryty strzelistym, neogotyckim, bogato rzeźbionym baldachimem zwieńczonym krzyżem.

ogromne i wykonane w tak stylu tak banalnie radosnym, i tak bijącym w oczu. Mój prosty mieszkaniec Europy Wschodniej niemal na pewno zawołałby głośno: „Ku czci jakiego nadczłowieka wzniesiono tę wspaniałą świątynię? Tuszę, że dla Chrystusa; boję się jednak, że dla Antychrysta”. To właśnie, pomyślałby, może być potężny i złoty wizerunek księcia tego świata, ustawiony na wielkiej, otwartej przestrzeni, by tym łatwiej przychodziło składać mu pogańskie ofiary i wznosić doń pogańskie modły upadłej ludzkości. Sądzę, że poczułby przemożne pragnienie, aby znaleźć się na powrót w domu, pośród skromnych kapliczek Syjonu. I w ogóle nie potrafię wyobrazić sobie, *co* takiego by poczuł, gdyby dowiedział się, że ten złocony idol to nie bożek, ani demon, tylko mało znaczący, niemiecki książę, który wniósł drobny wkład w przekształcenie nas w powolne narzędzie Prus.

Osobiście, przyznaję ochoczo, obecność owej potworności w ogrodach królewskich w Kensington odbieram jako coś zupełnie naturalnego. Jest tak z tego względu, że w pewnym sensie wychowałem się w jej cieniu; i spoglądałem na rzeźbione podobizny Rafaela i Szekspira właściwie zanim poznałem ich imiona; i na długo zanim zacząłem dostrzegać cokolwiek komicznego w fakcie, że wizerunki tych postaci, o znacznie mniejszym rozmiarze, znajdują się także pod stopami księcia Alberta. Czerpałem nawet z widoku

pozłoty baldachimu i wieżyczki pewną dziecinną przyjemność, jak gdyby były one złotym pałacem pośrodku czegoś, co dla Piotrusia Pana i wszystkich w ogóle dzieci stanowiło magiczny ogród. Na tej samej zasadzie, jerozolimscy chrześcijanie czerpią przyjemność, bardzo możliwe, że również dziecinną, z pozłoty zacniejszego przecież pałacu, położonego za znacznie bardziej godnym czci ogrodem, ozdobionego dla poniekąd lepszej sprawy. Chodzi tu wszakże o to, że mieszkańcy Kensington, niezależnie od tego, co sądzą na temat Grobu Świętego, na temat Memoriału Alberta nie mają w ogóle żadnego zdania. Zupełnie nie są świadomi tego, jak bardzo dziwny to twór; z tego prostego powodu, że się doń przyzwyczaili. Grupy religijne w Jerozolimie przyzwyczaiły się za to do swojego kolorowego otoczenia; i jeżeli lepiej czują znaczenia barw, z pewnością nie wychodzi im to na złe. Można powiedzieć, że zachowują one swoje dziecinne złudzenia co do *własnego* Memoriału Alberta. I uważam, że w Palestynie akurat, obecność takich ludzi – ludzi, którzy potrafią stać się jak małe dzieci – nie powinna nikogo dziwić. Nigdy też nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego krytycy, którzy zgadzają się co do faktu, że Królestwo Boże odziedziczą właśnie dzieci, mieliby nie zgadzać się na to, aby było ono jedynym rodzajem królestwa, który naprawdę dałby się im lubić; takim z prawdziwymi koronami – ze złota, albo nawet ze złotka. To wszakże inna kwestia, którą zajmę się na innym miejscu; w tym momencie chodzi tylko o to,

że ludzi owych znaczenie złotka w naszym życiu zaskoczyłaby równie bardzo, jak nas zaskakuje znaczenie złotka w ich życiu. Jeśli my jesteśmy krytyczni wobec błahych rzeczy, które robią ku uczczeniu rzeczy wielkich, oni znaleźliby równie dużo materiału do krytyki (jak choćby w ogrodach królewskich w Kensington) w tych wszystkich wielkich przedsięwzięciach, które uskuteczniamy w hołdzie zupełnym błahostkom. I jeśli my nie możemy nadziwić się temu, że pozłacają lilie, oni w tym samym stopniu nie mogliby się nadziwić temu, że pozłacamy chwast.

Oczywiście, przykładów tej zasady samokrytycyzmu jako podstawy wszelkiej krytyki można by znaleźć jeszcze nieskończenie wiele. Obowiązuje ona, choćby, z taką samą mocą w wypadku kolejnego wielkiego protestu, który mój kolega z Kensington niezawodnie podniósłby po zamknięciu tematu fatalnej jakości ozdób; tej, dotyczącej zjawiska, potocznie znanego jako bakszysz[27]. W tym wypadku również naprawdę jest na co utyskiwać; choć wielka część winy za ten stan rzeczy spada nie na Jerozolimę, tylko Londyn i Nowy Jork. Najgorszy przesąd miasta Dawidowego, podobnie jak najgorsza rozrzutność Paryża, to rzecz w tak wielkim stopniu odpowiadająca

27 Rodzaj zastępującego jałmużnę napiwku, dawanego w krajach islamskich ubogim za zupełnie symboliczne przysługi. Do dziś staje się on okazją do wielu nadużyć i bywa dosyć natarczywie wymuszany na turystach.

Anglosasom, że można by ją wręcz nazwać anglosaską instytucją. W tym jednak wypadku również, krytyk byłby w stanie sądzić sprawiedliwie tylko wtedy, gdyby zdał sobie sprawę, z jakimi nadużyciami jego własnej ojczyzny powinien porównać to konkretne nadużycie zagranicy. Powinien sobie wyobrazić, na przykład, to, co poczułby rosyjski chłop, gdyby naprawdę zdarzyło mu się zrozumieć treść wszystkich kolorowych reklam, pokrywających ściany dworca kolejowego w Kensington. Doprawdy, widok biedaków nagabujących o trochę pieniędzy jest znacznie mniej odrażający, niż widok bogaczy, nagabujących o jeszcze więcej pieniędzy. A reklamy to właśnie nic innego, niż bogacze, nagabujący o jeszcze więcej pieniędzy. Człowiek, który znalazłby się w tłumie milionerów, z których każdy nadstawiałby swój jedwabny kapelusz w oczekiwaniu na drobniaki, albo krzyczał wielkim głosem „Dawaj forsę!" zapewne poczułby się nieco zirytowany. Niemniej, reklamy naprawdę drażnią oczy dokładnie w ten sam sposób, w jaki podobne krzyki drażniłyby uszy. „Buty od Budge'a są najlepsze" znaczy po prostu: „Dawaj forsę". „Używaj mydła marki *Seraphic*" znaczy po prostu: „Dawaj forsę". To nie prości ludzie pogrążają nasze miasta w prostactwie, i to nie oni potrafili wymyślić coś równie szkaradnego, jak plakat reklamowy. Ci, których towary rozlepia się w ten sposób dosłownie wszędzie, to bardzo zamożni gentlemani, z diademami na głowach i latyfundiami na wsiach, prawdopodobnie bardzo

wymagający w kwestii artystycznego wystroju własnych domostw. Oszpecają oni całe miasta, aby upiększyć prywatne mieszkania. Widok podobnych osób tłoczących się i wrzeszczących o więcej piniędzy byłby zdecydowanie bardziej niesympatyczny, niż widok szarpaniny biednych przewodników; niemniej ten właśnie obrazek roztoczyłby się przed oczami każdego, kto po raz pierwszy ujrzałby i pojął całą krzykliwą jaskrawość reklamy. Dla nas wszakże, którzy jesteśmy już z nimi obznajmieni, krzykliwe plakaty wtapiają się w otoczenie, podobnie jak krzykliwe orientalne wzornictwo wtapia się w otoczenie dla księży i pielgrzymów tego miasta Orientu. Dokładnie tak samo, jak niewinny gentleman z Kensington nie zdaje sobie sprawy, że jego wysoki, czarny kapelusz zyskuje poniekąd nową wyrazistość, czy też może nawet coś w rodzaju aureoli, na tle żółtego billboardu poświęconego musztardzie, ubogi przewodnik też czasem nie zauważa, że jego drobne przekręty wyróżniają się, niczym ciemna plama, na tle bledszego i bardziej ulotnego złota, w którym dostrzec można zarysy wyłącznie znacznie skromniejszych aureoli dwunastu Apostołów.

Wszystkie te błędy to wszakże zaledwie poręczne ilustracje i wstępne przedstawienia sprawy, prowadzące ostatecznie do wielkiego faktu głównego nieporozumienia. Nieporozumienia, dotyczącego całej historii i filozofii tego, czym jest znaczenie; to właśnie cała opowieść

i cały morał tej opowieści. Krytykowi jerozolimskiego chrześcijaństwa w drastyczny sposób nie udaje się utrafić w jej sedno. Nauka, którą powinien z niej wynieść, jest tym, czego nowoczesny człowiek Zachodu potrzebuje najbardziej, nie wiedząc przy tym, że tego potrzebuje. To nauka o stałości. Ci ludzie mogą przyozdabiać swoje świątynie tak złotem, jak i złotkiem; niemniej ich złotko jest trwalsze, niż nasze złoto. Mogą budować rzeczy tak kosztowne i brzydkie, jak Memoriał Alberta; niemniej pozostaną one memoriałami, nośnikami nieśmiertelnej pamięci. Nie wznoszą ich oni pod wpływem przelotnej mody, by potem o nich zapomnieć albo usilnie się o to starać. Mogą namalować obraz świętego tak kiczowaty, jak reklama mydła; ale jeden święty nie wypiera z rynku drugiego świętego na tej zasadzie, na jakiej jedno mydło wypiera z rynku drugie. Nie puszczają oni w niepamięć swoich niedawnych przejawów bałwochwalstwa tak, jak wykształceni Anglicy starają się teraz puścić w niepamięć swój bardzo niedawny, bałwochwalczy kult dla wszystkiego, co niemieckie. Te chrześcijańskie wspólnoty istnieją w Jerozolimie od co najmniej półtora tysiąca lat. Poza krótkim okresem po rządach Konstantyna i krótkim okresem po pierwszej krucjacie, praktycznie cały czas były one prześladowane – przynajmniej pod panowaniem pogańskich władców, rządzących ręką twardą jak stal i z całego serca nienawidzących wszelkiej religii. Nikt z żyjących na Zachodzie nie potrafi w nawet najbardziej mglisty

sposób zdać sobie sprawy, co znaczyło żyć w samym sercu Wschodu, podczas długiej i, jak się zdawało, niemającej końca ery muzułmańskiej potęgi. Człowiek mieszkający w Jerozolimie żył i pracował się w samym sercu Imperium Osmańskiego; miasto Dawida było Rzymem sułtana. Absolutne panowanie Islamu rozciągało się od wschodu aż do zachodu słońca; na zachód, aż do gór Hiszpanii i na wschód, aż do Chińskiego Muru. Tym, którzy w tym położonym na skałach mieście odnowili swoje beznadziejne świadectwo o Chrystusie musiało się zdawać, że cała ziemia należy do Mahometa. Pytanie, które powinniśmy sobie zadać nie dotyczy tego, czy zgadzamy się z nimi we wszystkich szczegółach, ale czy znajdując się w ich położeniu zgodzilibyśmy się sami ze sobą. Nie chodzi o to, w jakiej mierze ich religia jest przesądem, ale raczej – w jakiej mierze nasza własna religia jest tylko konwencją; ile w niej ze zwykłego obyczaju, a może nawet ze zwykłego kompromisu z obyczajem; ile z łatwości, sprawianej przez stabilność naszego społeczeństwa i sukces naszego państwa. Takie rzeczy to potężne oparcie; i oświecony Anglik z miasta katedralnego albo podmiejskiej kaplicy przemierza te dzikie rejony Wschodu z pewnym poczuciem poręki i bezpieczeństwa. Człowiek taki lubi wyobrażać sobie, że nawet po wiekach tureckiej dominacji nie popadłby w tak beznadziejną zabobonność. Nie walczyłby o święty ogień albo wykłócał z żebrakami w Grobie Pańskim. Nie wieszałby

fantastycznych lamp na przedziwnych kolumnach ormiańskich ołtarzy i nie spoglądał w głąb pozłacanej klatki, aby ujrzeć brązową Madonnę Koptów. Nigdy nie stałby się ofiarą podobnych, zdegenerowanych bajeczek; Boże uchowaj. Nie płaszczyłby się przed podobnymi, groteskowymi kapliczkami; rzeczywiście, z pewnością nie. Znajdowałby się bowiem kilkaset metrów dalej, ceremonialnie kłaniając się znacznie odleglejszemu miastu; tam, gdzie, ponad jedynym uroczystym i posiadającym oficjalny status z otwartych miejsc w Jerozolimie, dumne mozaiki Meczetu Omara ogłaszają dolinom zwycięstwo i chwałę Mahometa.

Taka właśnie jest nauka, którą oświecony podróżnik powinien z tego wszystkiego wyciągnąć; nauka o nim samym. To właśnie próba, której poddani powinni zostać ci wszyscy, którzy twierdzą, że chrześcijaństwo Jerozolimy jest zwyrodniałe. Po tysiącu lat tureckiej tyranii, religia modnego w Londynie kaznodziei nie zwyrodniałaby. Zostałaby zniszczona. Zwyczajnie by nie istniała i nie mogłaby służyć za etatowy przedmiot drwin każdego bogatego turysty, oglądającego ją z *train de luxe.* Warto zatrzymać się chwilę nad tym zagadnieniem; jako że w naszym nowoczesnym systemie ideałów religijnych niczego nie brakuje w takim stopniu, jak ideału wytrwałości. Modę nazywa się postępem. Każdą nową modę z kolei nazywa się nową wiarą. Każda zaś wiara, to wiara, która oferuje wszystko, z wyjątkiem

wierności. Nigdy jeszcze nie było tak koniecznym obstawać przy prawdzie, że większość z naprawdę istotnych i wartościowych idei świata, włącznie z chrześcijaństwem, nigdy by nie przetrwała, gdyby nie przeżyła własnej śmierci; nawet śmierci ponoszonej na nowo każdego dnia. Ideały takie stawały się przeżytkiem niemal w momencie pojawienia się na świecie; dokładnie z tego względu są one nieśmiertelne; ponieważ wszystko, co ma datę, skazane jest na zgubę. Co do naszego obecnego społeczeństwa, jeśli utrzyma ono obecne tempo postępu i doskonalenia, nie zachowa się po niej choćby jeden ślad czy wspomnienie. Niektórzy sądzą, że samo to byłoby już postępem. Moralnie przyszło nam mieszkać według zupełnie dosłownego wzoru Japończyków – w domach z papieru. Nasze domy wszakże, to pawilony wzniesione z gazet porannych, które trzeba palić wraz z ukazaniem się gazet wieczornych. Cóż, za tysiąc lat to Japończycy mogą rządzić w Jeruzalem; współcześni Japończycy, którzy nie mieszkają już w domach z papieru, ale w spotniałych fabrykach i slumsach. Oni, wespół z Chińczykami (ludem znacznie bardziej szlachetnym i demokratycznym), wydają się stanowić ostatni naród o jakim-takim ciężarze gatunkowym, który jeszcze nie rządził w mieście Dawida. Niemniej, nawet jeśli zaczniemy uważać tutejsze kapliczki chrześcijan za tak prowizoryczne, jak japońskie herbaciarnie, zawsze będą one chrześcijańskie; i nawet jeśli zaczniemy uważać wiszące w nich święte lampki za tak tandetne, jak

chińskie lampiony, nie przestaną one płonąć przed ukrzyżowanym stwórcą świata.

Oprócz wszakże owej potrzeby traktowania obcych kultów jako sprawdzianów dla nas raczej, niż dla nich samych, napotykane w Jerozolimie widoki świetnie ilustrują inną jeszcze aspekt filozofii wycieczek krajoznawczych. Prawdą jest, jak już zdążyłem napomknąć, że Sfinks to mimo wszystko rzecz większa ode mnie; i że, na tej samej zasadzie, malowani święci są świętsi niż ja, a cierpliwi pątnicy mają ode mnie więcej stałości. Równie prawdziwe, podobnie jak w wypadku wspomnianej wyżej, mniej istotnej kwestii, jest jednak także to, że ludzie, którym Sfinks wydaje się mały, na ogół nie zauważają tego, co w nim rzeczywiście niewielkie. Nie zdają sobie oni nigdy sprawy nawet z interesującej strony własnego rozczarowania. Analogicznie, nawet ci, których w miejscu takim, jak Jerozolima, rzeczywiście drażnią nieznane im formy kultu, zwyczajnie nie wiedzą, jak odkryć interesującą stronę samego istnienia przyczyn ich irytacji. Mówią oni na przykład o bizantyjskim zepsuciu i barbarzyńskich zabobonach, i w większości wypadków wracają do siebie z wrażeniem, jakoby rytuał i symbolizm narodziły się w wiekach ciemnych. Gdyby jednak naprawdę zwracali uwagę na szczegóły otoczenia, a wręcz tylko własnych wrażeń, z pewnością zauważyliby tę cechę zdobnictwa Bazyliki Grobu Pańskiego i innych,

podobnych miejsc, o której faktycznie można powiedzieć, że jest poniżej ich godności. Zdaliby bowiem sobie sprawę, że zjawiska, które instynktownie odrzuciliby jako zwykły zabobon, wcale nie mają swojego początku w epoce, którą uważają za z definicji zabobonną. Istotnie, zdarzają się tutaj obrazy biedne – ale nie barbarzyńskie; to kwieciste i późne popłuczyny wyblakłego realizmu odrodzenia. Istotnie, zdarzają się dekoracje sztywne i niezdarne, nie są to jednak dekoracje hiszpańskiego klasztoru; znacznie bardziej przypominają one patetyczne acz frywolne ozdoby paryskiego hotelu. Krótko mówiąc, jeżeli rzeczywiście któraś z kapliczek została kiedyś oszpecona, to na pewno nie przez wieki ciemnoty, ale jeśli już, to przez wieki oświecenia. To światły wiek osiemnasty, mający się za samo południe naturalnego wyrafinowania i zdrowego rozsądku, pośrednio wprawdzie, niemniej rzeczywiście, położył swoją niezdarną dłoń na mrocznej, lecz dostojnej, bizantyjskiej świątyni. Mnie to jakoś szczególnie nie przeszkadza; ponieważ nie sądzę, żeby w sprawach tej wagi decydował gust. Jeżeli jednak gust naprawdę ma tu decydować, już w samym tym fakcie znajdzie się dosyć materiału na krótką refleksję; jako że jest to kolejny dowód na słabość tego, co zwykło nazywać się modą. Wolter, o ile wiem, wzniósł Bogu jakiś rodzaj świątyńki we własnym ogrodzie; i możemy mieć absolutną pewność, że była ona w najwyborniejszym guście swojej epoki. Nic nie zaskoczyłoby go bardziej, niż wieść o tym, że pięćdziesiąt lat po

tryumfie Rewolucji Francuskiej dla każdego wyrobionego artystycznie wolnomyśliciela świątyńka owa będzie znacznie mniej interesująca niż najpospolitszy gargulec na Notre Dame. Tak oto za większość podobnych rzeczy winę ponosi postęp; my zaś nie powinniśmy odwracać się od tego, co przestarzałe, z pogardą, ale raczej rozpoznać, z szacunkiem, a nawet pewnym niepokojem, wieczystą pułapkę idei bycia nowoczesnym. Morał niniejszej opowieści jest zatem dokładnie taki sam, jak poprzedniej; to znaczy: że powinniśmy rozmawiać nie tylko o tym, czy te kiczowate kapliczki się nam podobają, ale także (i przede wszystkim), czy nasze upodobania aby na pewno są jakoś specjalnie nieomylne lub nieprzemijające. W kapliczkach owych bowiem przetrwało chociaż to, co najistotniejsze; i nawet jeśli są one tak nieruchome, jak idole, to przynajmniej nie tak efemeryczne, jak gazetki dla modnisiów.

Wydało mi się czymś pożytecznym wstawić tutaj niniejszą notatkę o filozofii wycieczek krajoznawczych, jakkolwiek niepotrzebnie dygresyjna i nieproporcjonalna w stosunku do reszty może się ona wydawać. Dlatego, że żywię szczególne i absolutne przekonanie, że jeśli nie da się, w ten czy inny sposób, zrozumieć tych spraw z odpowiedniej perspektywy historycznej, w ogóle nie warto się nimi zajmować. I niech mi będzie wolno tutaj powiedzieć, w ramach konkluzji, że potrafię nie tylko docenić szczerość, ale wręcz

zrozumieć sentymenty człowieka, który twierdzi właśnie to: że w ogóle nie warto się nimi zajmować. Wycieczki krajoznawcze to sprawa znacznie trudniejsza i bardziej niejednoznaczna, niż się wielu wydaje; i ktoś, kto zupełnie je odrzuca, może mieć całkiem dużo zdrowego rozsądku, a nawet wyobraźni. Wielki Wordsworth nie chciał wybrać się ponownie do Yarrow; mały Wordsworth ostatecznie zdecydował się to zrobić. Pamiętam pierwszy wspaniały widok początku mojej podróży po Bliskim Wschodzie, który rozciągnął się przede mną, gdy przypadkowo wyjrzałem za okno pociągu do Kairu i ujrzałem majaczący w dali za świetlistą płaszczyzną trójkątny kształt; piramidy. Mógłbym zrozumieć, gdyby ktoś, ujrzawszy je, odwrócił się na pięcie i tą samą drogą, którą przebył, wrócił do swojego domu i ojczyzny, mówiąc: „Dalej nie pójdę; jako iż dane mi było zobaczyć w oddali ostatnie domostwa królów". Mogę zrozumieć człowieka, który, dostrzegłszy Jeruzalem zaledwie z dystansu, ze szczytu jakiegoś wzgórza, na którym akurat siedział, zdecydował się nie iść dalej i zachować tę wizję na zawsze. Powiedziano by o nim, rzecz jasna, że absurdem jest przyjechać w tak dalekie strony i zobaczyć z nich tak niewiele. Na zarzut ten odpowiem tylko tyle, że absurdem jest w ogóle w owe strony przyjeżdżać. Nie bardziej fantastyczną rzeczą jest odwrócić się od podobnej fantazji, niż się po nią wybrać. Nie da się zjeść piramid; kupić lub sprzedać Miasta Świętego; w podróży tak w jedną, jak w drugą stronę, nie ma żadnego

praktycznego aspektu. Jeśli nie przyjechało się tutaj dla poetyckiego nastroju, przyjechało się po nic; jeśli zaś przyjechało się właśnie po taki nastrój, nie ma niczego głupiego w dochowaniu wierności własnym postanowieniom. Sposobem na naprawdę udaną głupotę, jest próba praktycznego ustosunkowania się do rzeczy niepraktycznych. To tak, jakby chciało się zbierać chmury lub oszczędzać trawę jak pieniądze. Wiele można powiedzieć na korzyść tezy, że poszukiwanie nastrojów to w swojej istocie mowa-trawa. Można rzec, iż sąd ten jest szczególnie prawdziwy w warunkach tłoku i banału, w których chcąc nie chcąc trzeba odbywać większość wycieczek krajoznawczych. Istotnie, trzydziestu turystów idących razem zobaczyć nagrobek to zjawisko być może równie absurdalne, jak trzydziestu poetów idących razem pisać wiersze o słowiku. Byłoby coś nader depresyjnego w tłumie podróżnych, przemierzającym góry i doliny w poszukiwaniu osławionej chmury Wordswortha; zwłaszcza, że często sam ów tłum przypomina chmurę – i jeśli kiedy rusza się, rusza się jeno cały. Wielka tłuszcza, zgromadzona na Równinie Salisbury w celu wsłuchiwania się w Shelleyowego skowronka prawdopodobnie (po godzinie lub dwóch) zorientowałaby się, że wcale nie robi się przy okazji tej czynności cała w skowronkach. Można twierdzić, że próba uprzedniego ustalenia nieprzewidywalnych skutków działania człowieka jest czymś równie nielogicznym, co próba uprzedniego

ustalenia nieprzewidywalnych skutków działań natury. Oczekiwanie nieoczekiwanego można uznać za wewnętrznie sprzeczne. Przewidywanie zaskoczenia lub wyprawę w poszukiwaniu niespodzianek zaś – za zwykłe szaleństwo. Na wszystkie te zarzuty można dać jedną ledwie odpowiedź; tę mianowicie, że podobne przewidywania okażą się absurdalne i uświadomienie sobie tego stanu rzeczy będzie wielkim rozczarowaniem, że wizerunki będą przypominać bałwany, bałwany zaś – bałwany śniegowe, o ile nie zdobędziemy się choćby na minimum wysiłku umysłowego, który starałem się opisać w tym rozdziale. Żadne wielkie dzieło nie wyda się wielkie, a żaden cud świata cudowny, jeżeli perspektywa, z której na nie popatrzymy, nie będzie perspektywą historycznej pokory.

Można dodać tu jeszcze słowo z zakresu kwestii bardziej praktycznych. W miejscu, w którym skupiają się najbardziej żarliwe przekonania planety, na której przyszło nam mieszkać, z politycznego punktu widzenia nie będzie nigdy przejawem najwyższej mądrości obnosić wszędzie naszą plutokratyczną protekcjonalność i sceptyczne poczucie wyższości. W okolicach owej niezwykłej kaplicy, w której święty ogień wybucha żywym płomieniem, aby zaświadczyć o tym, że Chrystus zmartwychwstał, działy się już bardzo dziwne sceny; i niezależnie od tego, czy wierzymy w świętość tego miejsca, nie może być żadnych

wątpliwości co do faktu, że jest ono naprawdę punktem zapalnym. Niezależnie od tego, czy wyższa cywilizacyjnie osoba ma słuszność, spodziewając się niespodziewanego, zupełnie możliwe jest przecież, że kiedyś naprawdę odsłoni się przed nią coś, czego nie oczekiwała. I niezależnie od tego, co myśli ona na temat filozofii wycieczek krajoznawczych, wydaje się dosyć prawdopodobne, że zdarzy jej się poznać, z pewnej strony, jakiś kraj.

Rozdział V: Ulice miasta

Gdy Jeruzalem już dwa czy trzy dni leżało pogrzebane do połowy pod śniegiem, w rozmowie z jednym z moich przyjaciół stwierdziłem, że od teraz będę nareszcie dostatecznie przygotowany, by stawać w obronie wszystkich kartek świątecznych. Te, na których Betlejem skrzy się od śniegu, przez wykształconych ludzi uważane są zazwyczaj za prostackie kłamstwa. W najlepszym wypadku za ludowe fantazje, podobne do tych, które jasełkowych pasterzy wyposażyły w pospolity dialekt z hrabstwa Somerset. W swoim najgłębszym sensie, ta demokratyczna tradycja ma oczywiście więcej z prawdy niż znaczniejsza część opracowań historycznych. Ale nawet w sensie bardziej przyziemnym i konkretnym, tradycja grudniowego śniegu wcale nie jest aż tak fałszywa, jak się to dziś sugeruje. Anglicy przedstawiający sobie Dzieciątko Jezus w burzy śnieżnej to zupełnie co innego, niż londyńczycy przedstawiający sobie owo Dzieciątko jako spowite londyńską mgłą; to nie tylko taka lokalna iluzja. W Jerozolimie może padać śnieg; w Betlejem – również; i jeśli wnikniemy w treść kryjącej się za tym obrazem idei, łatwo zrozumiemy, że to nie tylko kwestia możliwości, ale wręcz prawdopodobieństwa. W Palestynie, a przynajmniej w tych jej górskich częściach, co do pór roku panują generalnie dokładnie takie same sentymenty, jak na Północy czy Zachodzie. Śnieg to rzadkość,

ale zima – to rzeczywistość. Niezależnie od tego, czy uznamy to za sprawę Bożej tajemnicy, czy ludzkiego mitu, cel organizowania podobnego święta właśnie w zimę będzie dokładnie taki sam w wypadku Betlejem, jak Balham. Każdy, kto przyjąłby, że Dziecię Jezus narodziło się w grudniu, rozumiałby pod tym dokładnie to samo, co my; to znaczy: że Chrystus to nie tylko letnie słońce dla tych, którym się dobrze wiedzie, ale zimowy ogień dla tych, którzy mieli w życiu nieco mniej szczęścia.

Innymi słowy, na poły tropikalny charakter tego miejsca, podobnie jak pleniącą się w nim wulgarność i świętokradztwo, można – i rzeczywiście, nader często się to robi – potężnie wyolbrzymić. Zawsze jednak trudno jest poprawić wyolbrzymienie bez wyolbrzymiania poprawki. Absurdem byłoby negować, że Jeruzalem to miasto wschodnie; można wszakże powiedzieć o nim również coś takiego: że to miasto wschodnie, które się sporo zwesternizowało – ale nie zmodernizowało. Albo chociaż że zanim się zmodernizowało, to się „zmediewizowało". Na tej samej zasadzie, absurdem byłoby negować fakt, że to miasto Południa – w tym sensie, że zazwyczaj zawieje śnieżne omijają je szerokim łukiem – niemniej to nie cała prawda; bo prawdą jest również, że zawsze znało ono śnieg, że tak powiem, „jakościowo" – choć na pewno nie ilościowo. Tymczasem, ilości śniegu, które spadły na nie w tamte dni, wywołałyby zupełne

zaskoczenie, więcej nawet – sensację, także w Sussex czy Kencie. Inaczej można jeszcze powiedzieć tak (żeby było chociaż względnie adekwatnie): że Jeruzalem było oblegane częściej i przez więcej ludów, niż jakiekolwiek inne miasto na ziemi; przez Żydów, Asyryjczyków, Egipcjan, Babilończyków, Greków, Rzymian, Persów, Saracenów, Francuzów i Anglików; wszakże chyba nigdy wcześniej, podczas całej swojej trwającej długie stulecia udręki, nie było ono tak naprawdę oblężone przez zimę. W tym wypadku zaś, śnieg nie tylko na nie spadł – ale zwyczajnie je zasypał.

Przez kilka dni, miasto rzeczywiście znajdowało się w stanie oblężenia. Gdyby śnieg utrzymał się przez odpowiednio długi czas, mogłoby znaleźć się w stanie klęski głodu. Utracono połączenia kolejowe z najbliższą stacją. Drogi do najbliższej wioski, nawet do najbliższego przedmieścia, stały się nieprzejezdne. W niektórych miejscach śniegu spadło tak dużo, że mógł on spokojnie przysypać człowieka; i, niestety, naprawdę przysypał kilkoro małych dzieci; biednych, małych Arabów, których sztywne ciała leżały tam, gdzie upadły. Muły brodziły w nim wolno, jakby zmagały się z rwącą falą powodzi, a niezliczone drzewa łamały się pod nim, niczym pod uderzeniem pioruna. A kiedy zaczął się on w końcu topić, oblężonej twierdzy zaczęło grozić przekształcenie się w coś w rodzaju wyspy. Niemożliwa po ludzku do przekroczenia rzeka płynęła wartkim

nurtem pomiędzy Jerozolimą a Górą Oliwną. Nawet chodząc po ulicy można było wpaść do wody po kolana albo i po pas. Wszędzie leżały zaspy, przypominające coś w rodzaju systemu naturalnych barykad, wzniesionych na użytek jakiegoś nowego typu rewolucji. Zdążyłem już napomknąć, że tym, co z całego miasta uderzyło mnie najbardziej, były jego mury; teraz jednakże, miasto owo otoczone zostało nowymi, białymi umocnieniami; takimi, przez które ni przyjaciel, ni wróg, nie mógł się przedostać.

Niemniej stan oblężenia, przy wszystkich swoich niedogodnościach, dla krytyka lub obserwatora przedstawia się nader dogodnie. Tworzył ogólne wrażenie czegoś zwartego, co – w mniej tragicznych okolicznościach – można by wręcz nazwać przytulnym. Zamknął obraz w ramach wyraźniejszych nawet niż mury miejskie; i zwrócił spojrzenie wszystkich świadków do wewnątrz. Przede wszystkim, przez samą swoją nienormalność dodatkowo uwydatnił normalne podziały i zróżnicowania tego miejsca; i ułatwił opisanie ich jako *dramatis personas.* Role, które odgrywały one w tamtym śnieżnym kryzysie w ogromnej mierze przypominały te, które odgrywały w ogólnym kryzysie państwa. Sam zaś fason i kolory obecnych tam postaci, turbanów i tarbuszy, khaki, burnusów i gabardyny, zdawały się zaznaczać tym mocniej na pustym tle wszechobecnej bieli.

Faktem podstawowym był, oczywiście, fakt kontrastu. Kiedy powiedziałem, że pod względem historycznym w mieście owym zdziwiło mnie to, że stanowi ono w takim samym stopniu wspomnienie po krzyżowcach, jak po Saracenach, nie miałem rzecz jasna zamiaru zaprzeczać rzeczywistości przypadkowego kontrastu między cywilizacją Południa a cywilizacją Europy, zwłaszcza jej północnych części. Kiedy całe złoto i pstrokata wegetacja relatywnie bardzo przecież azjatyckiego miasta zadrżały pod uderzeniem obcego wichru z Północy, ta radykalna różnica stała się aż nadto oczywista. Wielka, zielona palma uginająca się pod ciężarem białej kupy śniegu sama w sobie była nader dziwnym widowiskiem; widowisko z kolei jeszcze dziwniejsze i znacznie bardziej przygnębiające, stanowili ludzie – przywykli do życia pod palmami i przygięci do ziemi przez podobnie nieziemską zawieruchę. Jednak sam sposób, w jaki ją znosili, to być może pierwszy z wielu składających się na zawiły problem Jerozolimy faktów, który trzeba zauważyć. Jakkolwiek dziwnie może to zabrzmieć, nieznajomość śniegu widać u prawdziwych mieszkańców Wschodu choćby po tym tylko, że go akceptują. Przyjmują do wiadomości – tak, jak my przyjęlibyśmy pożerające nas trzęsienie ziemi; ponieważ nie znamy odpowiedzi na trzęsienie ziemi. Ludzie pustyni zaś, nie znają odpowiedzi na śnieg – wydaje im się on czymś zupełnie niepodważalnym. Chrześcijanie wszakże, walczą z nim w dwojakim

sensie; walcząc ze śniegiem walczą ze śniegiem w rękach, rzucając się śnieżkami. Dla pozostawionego samemu sobie muzułmanina lepienie śnieżek miałoby tyle sensu, co robienie zabawek z pioruna. I to właśnie stanowi swoistą figurę prawdziwego problemu, podnoszonego przez samą obecność angielskiego żołnierza na jednej z miejskich ulic – nawet jeżeli żołnierz ów tylko ją odśnieżał.

Nie byłoby niczym złym, jak sądzę, gdyby całe dobro i zło tych biblijnych krajów przetłumaczyć od czasu do czasu na język Biblii. I proponuję to tutaj w żadnym wypadku nie dlatego, że jest to język religijny, ale tylko dlatego, że jest on prosty. Fakt, że rdzenne ludy Bliskiego Wschodu, ludy Egiptu i Arabii, nawiązały kontakt z kulturą Zachodu może być – i zapewne pod wieloma względami rzeczywiście jest – czymś całkiem pozytywnym; niemniej, jeśli będzie on oznaczał jedynie wejście w kontakt z zachodnim snobizmem, czy więcej nawet – zachodnią hipokryzją, okaże się zwyczajnym nieszczęściem. Już w swoim obecnym kształcie niesie on ze sobą zbyt wielkie ryzyko przekształcenia lokalnych utyskiwań na rząd w coś podobnego do oficjalnych wyjaśnień rządzących polityków; to znaczy: zwykłych zbitek długich słów, które prawie nic nie znaczą. Krótko mówiąc, jeżeli ludzie nauczą się mówić po angielsku, będzie to odświeżające wykończenie ich ogólnej kultury – pod warunkiem, że nauczą się nim mówić na ludzki sposób. Tutaj trudno zaś byłoby

znaleźć lepszy model niż to, co zwykło nazywać się angielszczyzną biblijną. Rzeczą dla wszystkich zainteresowanych niezmiernie korzystną byłoby opisywać wszelkie naprawdę niesprawiedliwe lub niepopularne urzędy przy wykorzystaniu terminologii wziętej z oskarżeń kierowanych pod adresem Jezabel i Heroda. Szczególnie korzystne byłoby to dla samego urzędnika. Gdyby oskarżenia te opierały się na prawdzie, byłyby zwyczajnie stosowne, w przeciwnym wypadku zaś – zwyczajnie absurdalne. Jeżeli ludzie naprawdę doznają ucisku, ich stan można opisać w bardzo zwykłych słowach, związanych z bardzo zwykłymi rzeczami; z chlebem, ziemią, podatkiem, dziećmi i kościołami. Jeśli imperialiści i kapitaliści naprawdę uciskają ludzi, jak zresztą bezdyskusyjnie bardzo często robią, kondycję tych potężniejszych jednostek również można opisać w bardzo krótkich i prostych słowach; takich jak „zbrodnia", „grzech", „śmierć" i „piekło". Kiedy jednak ktoś wyraża swoje skargi, jak czasem dzieje się w Palestynie i częściej w Egipcie, w górnolotnym i rozwlekłym stylu artykułu wstępnego jakiejś gazety, zachodzi prawdopodobieństwo, że empatyczny Europejczyk przypomni sobie przy tej okazji jak mało ufa on swoim własnym artykułom wstępnym. Jeśli podchodzi do mnie Arab i mówi: „Przybysz zza morza ucisnął mnie podatkiem i zabrał zboże z pól ojców moich", naprawdę czuję, że tym straszliwym odwołaniem do rzeczy wiecznych przewyższa on ogromnie mnie i całą moją niszczejącą cywilizację przemysłową.

Czuję, że stanowi on posąg trwalszy niż statua, niczym Nabot albo Natan. Wszakże kiedy ów prosty syn pustyni otwiera swoje usta i mówi: „Samookreślenie świadomości klasowej proletariatu pod kątem solidarności w takim stopniu, w jakim służy ono międzynarodowej odbudowie" i tak dalej, wtedy – no cóż – w przedziwny i natychmiastowy sposób, wyznaję ze wstydem, moja sympatia doń staje się cokolwiek bardziej oziębła. Jedyne, co czuję, to prosta potrzeba wytłumaczenia mu, że potrafię kaleczyć własny język znacznie lepiej niż on. Gdyby wzorował się na wielkich buntownikach i rewolucjonistach Pisma, przysłużyłoby się to przynajmniej literackiej jakości jego wypowiedzi. A jednak w gruncie rzeczy chodzi tutaj o znacznie więcej niż tylko walory stylistyczne. Rozróżnienie to jest sprawiedliwe i logiczne nawet w kontekście idei. Fakt, że większość ludzi od owego Araba znacznie bardziej wykształconych, i w związku z tym znacznie mniej usprawiedliwionych, zwyczajnie je ignoruje, bierze się tylko z tego, że w ogóle nie dbają oni o intelektualną treść pojęć i zadowalają się samą długością słów. Lubią demokrację, bo to długie słowo; i tylko z tego powodu.

Ludzie mają prawo do samorządu; to znaczy: do rządu takiego, który sami stworzą. Niekoniecznie zaś do specjalistycznej i wymyślnej maszynerii władzy stworzonej przez kogoś innego. Ich prawem jest

samemu go stworzyć, ich obowiązkiem jednak: samemu go wymyślić. Prostego typu samorząd istnieje do dziś w mnóstwie prostych społeczności – i zawsze uważałem, że ingerować weń to straszna odpowiedzialność. Rząd przedstawicielki wszakże, albo też rząd teoretycznie przedstawicielski, typu nadzwyczajnie wprost skomplikowanego, może istnieć w niektórych skomplikowanych społecznościach bez nakładania na nie obowiązku dzielenia się nim z innymi lub nawet podziwiania go na własnym podwórku. W każdy razie, na dobre czy na złe, wynalazły go one na własny użytek. I między podobnymi wynalazkami a samym przez się oczywistym zbiorem praw, o którym żaden człowiek nie mógłby powiedzieć, że go „wymyślił", zachodzi, ściśle racjonalna i demokratyczna, różnica natury moralnej. Jeśli Arab mówi mi: „Nie dbam o Europę; chcę chleba", wyrzut ten uderza mnie jako naraz straszny i prawdziwy. Jeśli jednak mówi: „Nie dbam o Europę; chcę francuskiej kuchni, włoskich cukierków, angielskiego piwa" i tak dalej, to myślę, że taki raczej niemądry z niego Arab. Jakby nie spojrzeć, to my wynaleźliśmy to wszystko; *in auctore auctoritas.*

Obecność śniegu w Palestynie dostarcza zaś praktycznego przykładu tego zagadnienia, szczególnie w kontekście starego powiedzenia „prędzej śnieg spadnie w Egipcie, niż" (i tak dalej). Palestyna jest dziksza, biedniejsza, mniej nowoczesna, bardziej religijna i

w związku z tym – bardziej realistyczna. Relacja między rzeczami, które może zrobić tylko Europejczyk, a rzeczami, których żaden Europejczyk nie ma prawa zrobić, to sprawa znacznie jaśniejsza i wyraźniejsza niż wszelkie nieporozumienia pustosłownej gadaniny. Z jednej strony, rzeczy, które Anglik może zrobić, to rzeczy bardziej realistyczne, jak choćby odśnieżanie; z tego tylko powodu, że Anglicy nie budują tutaj, by tak rzec, na francuskim chodniku, ale litej skale dzikich terenów Wschodu, ich kontakt z islamem i Izraelem jest prostszy i bardziej bezpośredni. Z drugiej strony, niezadowolenie i rewolty też są bardziej realne. Nie twierdzę, że Egipcjanie nie mają podstaw do narzekania – twierdzę tylko, że miewają również wady. Niemniej, rzecz ciekawa, ich wady wydają mi się znacznie bardziej rzeczywiste niż narzekanie. Prawdziwy argument przeciwko naszej egipskiej przygodzie został sformułowany dawno temu przez Randolfa Churchilla[28], kiedy potępił ją jako „wojnę akcjonariuszy"; to tylko element większej sprawy spowodowanego przez kosmopolityczny rynek finansowy zjawiska dziedziczenia długów. A jednak, przybysz z obczyzny słyszy w Egipcie bardzo niewiele utyskiwań na kosmopolityczne finanse i całe mnóstwo farmazonów

28 Lord Randolf Churchill (1849-1895) – angielski polityk konserwatywny, zwolennik tzw. „demokracji torysowskiej", ruchu politycznego w łonie Partii Konserwatywnej, głoszącego konieczność poparcia przez torysów demokratycznych reform w kraju i działania na rzecz tzw. „mas". Ojciec Winstona.

kosmopolitycznego idealizmu. Kiedy Palestyńczycy mówią, że lichwiarze to plaga ich ziemi, mają na myśli ziemię, w której kopią; starą rzeczywistość, a nie nową abstrakcję. Ich rewolta może być słuszna lub niesłuszna, niemniej jest prawdziwa; co zaś tyczy się ich rewolty, tyczy się także ich religii. Można zasadnie wątpić, czy Egipt jest narodem, nie ma jednak najmniejszych wątpliwości co do tego, że Jerozolima jest miastem – i że narody przyszły do jej światła.

Problem śniegu rzeczywiście okazał się dobrym materiałem na opowieść dotyczącą praktycznej polityki tego miasta. Angielscy żołnierze je odśnieżyli; Arabowie siedzieli spokojnie, zadowoleni (czy tylko stoiccy) wobec białego puchu blokującego ich drzwi lub gruchoczącego ich dachy. Żydzi natomiast, w swej własnej opowieści, po długich negocjacjach dali się przekonać i trochę pomogli, potem zaś zaczęli domagać się pokaźnego wynagrodzenia za odzyskanie możliwości użytkowania drzwi frontowych własnych domostw. Opowieść ta jest nie do końca sprawiedliwa; a jednak, nie jest ona także aż tak niesprawiedliwa, jak się wydaje. Każdy racjonalny antysemita zgodzi się jednak przynajmniej co do tego, że podobne historie, nawet jeśli są prawdziwe, niekoniecznie stanowić muszą alegorie żywej przecież u Semitów tradycji „gospodarki chciwości" – i czasem jedyne, o czym opowiadają, to owa bardziej ludzka i zdrowsza tradycja narodu żydowskiego, jaką jest

bolszewizm. Żydzi naprawdę domagają się wysokich wynagrodzeń, ale nie dlatego, że są, w starym sensie, pazerni na pieniądze, ale że są pazerni na pieniądze (jakby ujęli to nieprzyjaźni ludzie) w sensie całkiem nowym, to znaczy: mają mocne i gorzkie przekonanie o swoich prawach do części kapitalistycznej nadwyżki. Taki sam problem istnieje także w żydowskich koloniach okręgu wiejskiego; co widać szczególnie wyraźnie gdy sami Hebrajczycy próbują wytłumaczyć nam, dlaczego nie pracują, tylko korzystają z pracy Syryjczyków i Arabów. Sami zainteresowani twierdzą, że nie wynika ono z umiłowania leniwego życia klasy kapitalistycznej – ale ze szczerej troski o dobre zarobki klasy robotniczej. Tym wszystkim zajmę się wszakże przy okazji omawiania kwestii żydowskiej jako takiej. W tym momencie chodzi tylko o to, że epizod ze śniegiem rzeczywiście pozwolił mi zorientować się mniej więcej jakie role grają w tym całym dramacie wymienione wyżej grupy oraz opowieści, które się o nich snuje. I tak Anglicy na przykład zajmują się bardzo wieloma rzeczami, takimi jak odśnieżanie – ale tylko z tego powodu, że nie zajmuje się nimi nikt inny. Naprawdę uratowali oni rdzennych mieszkańców Orientu przed najgorszymi konsekwencjami klęski żywiołowej. Prawdopodobnie czasami ratują ich oni także przed skutkami tego, czego miejscowa ludność wcale nie uważa za klęskę. Niemniej zdarza się nader często, że wykonują pracę przynoszącą Arabom realne korzyści, o której jednak sami

Arabowie nigdy by nawet nie pomyśleli, o wykonaniu nie wspominając. Ten fakt zaś ma pewne ogólne znaczenie nawet w naszych pierwszych oględzinach sprawy, ponieważ wskazuje na pewną prawdę, której nader łatwo nadużyć, ale której, jak sądzę, nie można zignorować. Chodzi mi o to, że w moralności muzułmanów jest coś apolitycznego. Jakkolwiek przewrotnie może to zabrzmieć, przypuszczam, że z tej apolitycznej moralności bierze się większość ich ruchów politycznych. Stają się oni politykami, ponieważ wiedzą, że nie są polityczni; i czują, że ich proste i mniej więcej zdrowe życie, wobec politycznej dominacji Anglików i politycznej subtelności Żydów, znajduje się w sytuacji cokolwiek niekorzystnej.

Dla przykładu, tradycja tureckiego panowania to zwykły żart. Wszystkie traktujące o niej opowieści to żarty, często naprawdę bardzo dobre. Osobiście ulubionym przeze mnie przypadkiem jest ten, który do dzisiaj ma swoje upamiętnienie w postaci wielkiej dziury w podłodze angielskiej katedry. Turcy rozkopali posadzkę w poszukiwaniu ukrytej pod nią artylerii; ponieważ dostali cynk, że biskup pobłogosławił dwie armaty. Rzeczywiście, niedługo wcześniej wyznaczył on dwie armaty do służby kościołowi, niemniej nie ukrył ich przebiegle pod prezbiterium. Kolejne przyjemne wydarzenie tego typu miało miejsce wtedy, gdy tureckie władze, wiedzione jakimś spontanicznym porywem tolerancji religijnej, wezwały do siebie

greckiego popa, aby ten pochował swoich poległych w walce pobratymców, po czym powiedziały mu, że może ich sobie wybrać ze stosu zwłok ludzi wszystkich ras i wiar. Najciekawszy wszakże i zarazem najpowszechniejszy element komediowy stanowi tutaj nieznające końca zapoznawanie się na gruncie towarzyskim ze zdrowymi i uśmiechniętymi obywatelami, którzy z ledwością zdołali uniknąć tureckiego stryczka. Otóż tutaj każdy z tych w czepku urodzonych gentlemanów zdaje się uważać swoją historię za coś zupełnie zabawnego. Gdyby zostało się przedstawionym uprzejmemu Francuzowi, który właśnie zszedł był z gilotyny, albo życzliwie usposobionemu Arabowi, który przed momentem zwolnił miejsce na krześle elektrycznym, zapewne poczuło by się delikatne ukłucie ciekawości co do całej sprawy. Gdyby jakiś przyjaciel przedstawił nam kogoś mówiąc: „Mój wujek William, właśnie wrócił z więzienia w Dartmoor”[29], w umyśle naszym, a być może nawet i na wargach, natychmiast wykwitłyby dwie ciche sylaby: „Po co?” A jednak, najwidoczniej pod panowaniem Turków śmierć przez powieszenie przypominała coś w rodzaju potrącenia przez dorożkę; każdemu mogła się przytrafić. To tylko tak nawiasem, jako że w tym momencie zajmuję się wyłącznie powierzchownym doświadczeniem

29 Więzienie w angielskim mieście Davon, zbudowane na początku XIX wieku i przebudowane mniej więcej w jego połowie; w czasach Chestertona ucieczka stamtąd była zupełną niemożliwością.

stosunków panujących na ulicach, szczególnie tych przykrytych śniegiem. Dobrze będzie jednak zaasekurować się tutaj dodatkową uwagą, że owa niepolityczna beztroska i wszechstronność niezważającego na osoby Turka, oprócz strony komicznej, miała także tragiczną. W żadnym wypadku nie wszyscy uniknęli egzekucji; za Bramą Jafy rosło zaś drzewo, na widok którego mijających je przy świetle dnia ludzi może wciąż przechodzić dreszcz. Było ono tym, co pewien współczesny poeta rewolucyjny określił gorzkim mianem „drzewa ludzkiej roboty"; a co inny, średniowieczny poeta rewolucyjny nazwał drzewem owocowym królewskiego sadu. Stanowiło szubienicę; i wiatr strącał zeń życie ludzkie niczym listowie na jesień. A jednak patrząc nawet z tej bardziej ponurej strony, możemy dostrzec prawdę na temat muzułmańskiego fatalizmu, który wydaje się być tak obcy rzeczywistości polityki. Pewne ludowe porzekadło czy legenda głosiło, że drzewo owo wiązało się w jakiś magiczny sposób z dominacją Turków, a może i nawet muzułmanów w ogóle, nad znaczną częścią globu. Nie ma dziwniejszej cechy islamskiego fatalizmu nad tę ponurą wielkoduszność, domagającą się znaków i wyroczni przeciwko samej sobie. Niewiarygodne, jak często Turcy zdawali się dawać wiarę legendom czy proroctwom o ich własnym upadku. De Quincey[30]

30 Tomasz de Quincey (1785-1859) – angielski pisarz, myśliciel i krytyk literacki epoki romantyzmu, uznawany za jednego z prekursora ruchu dekadentystów.

wspomina jedno z nich, dotyczące ciosu, który przełamał na pół palladium Konstantynopola. Mówi się, że muzułmanie sami przepowiadają wjazd chrześcijańskiego króla przez Złotą Bramę Jerozolimy. Być może, że dlatego ową bramę zamurowali; w każdym razie, z owym fatalnym drzewem poradzili sobie oni dokładnie w takim stylu. Rozmyślnie obłożyli je nitowanym rusztowaniem z żelaza, jak gdyby uznali ludową przepowiednię mówiącą, że jak długo będzie ono stać, tak długo trwać będzie Imperium Osmańskie. To tak, jakby ów niezbożnik z Biblii podlewał codziennie wyniosły cedr Libanu, aby upewnić się, że będzie on kwitnąć.

W poprzednim rozdziale starałem się zarysować tło blankowanych murów z niskimi bramami i wąskimi oknami, które zdawało się dodatkowo uwyraźniać najżywszą z kolorowych grup miejscowej ludności zestawieniem z neutralnymi barwami północy, a także – jak zjawisko owo przybrało na sile w momencie, w którym owe neutralne barwy przyprószone zostały dodatkowo własną jaskrawością śniegu. W takim samym, ściśle impresjonistycznym, duchu, chciałbym tutaj podjąć się próby naszkicowania niektórych zewnętrznych cech aktorów biorących udział w podobnej scenie, chociaż nawet

---

Autor głośnych rozpraw *Wyznania angielskiego opiumisty* (1822) i „O morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych" (1827); druga z nich wywarła ogromny wpływ na rozwój gatunków thrillera, horroru i kryminału.

w kwestii powierzchownej malowniczości malunek taki jest rzeczą nadzwyczaj wprost trudną do wykonania. Istotnie, ciężko być wystarczająco powierzchownym; ponieważ na Wschodzie prawie każda z cech wierzchnich ma charakter symbolu. Większa ich część to zachwycający stos łachmanów arabskiego człowieczeństwa – nawet zaś w kontekście tej jednej sprawy o każdym z tych kolorowych łachów dałoby się wygłosić osobny wykład. Dużo słyszy się u nas o jaskrawości barw Wschodu; najbardziej jednak uderzającą ich cechą jest to, iż to tak naprawdę barwy nader łagodne. Rzadko widuje się tutaj czerwień, która byłaby prostą czerwienią skrzynki pocztowej albo niebieski tak niebieski, jak Reckitt's Blue[31]; tutaj czerwień występuje zawsze z domieszką lekko brunatnego wina czy czerwonych pomarańczy, niebieski zaś – barwy pawich piór lub morza. Krótko mówiąc, miejscowi mają naturę artystyczną w znaczeniu, które kiedyś przypisywało się słowu „estetyczny"; i jakiś nienazwany instynkt pozwala im zachować nienazwane odcienie wszystkich kolorów. Jak wszystkie podobne instynkty, może on stępieć pod wpływem terrorystycznego racjonalizmu; jak wszystkie dzieci, mieszkający tu ludzie nie wiedzą dokładnie, dlaczego chcą tego, co lepsze i z tego względu różnej maści sofiści

31 Rodzaj starego, angielskiego wybielacza, w kolorze akwamaryny, używanego w praniu ręcznym. Przeznaczony jest on do przeciwdziałania żółknięciu tkanin bawełnianych.

mogą przekonać ich, że tak naprawdę chcą tego, co najgorsze. Z tego barwnego tłumu da się wszakże wyłowić inne jeszcze elementy miejscowego kolorytu, bardziej istotne, a przez to i znacznie bardziej trwałe. Przybyszowi zupełnie nieobznajomionemu z tym światem widok otulonych welonem muzułmańskich kobiet, tych złowrogich postaci bez twarzy, zapewne zmroziłby krew w żyłach. To coś, jakby tutaj każda kobieta była oknem. Gdyby potem zdał on sobie sprawę, że to tak naprawdę wcale nie zamaskowane niemowy na makabrycznym pogrzebie, tylko po prostu przedstawicielki płci pięknej przestrzegające konwencji noszenia welonów w miejscach publicznych, najprawdopodobniej wybuchnąłby śmiechem. Naszłaby go ochota do niefrasobliwych żartów na temat tego, że to musi być bardzo nudne życie – nie tylko dla kobiet, ale i dla mężczyzn; i że istotnie ktoś, kto przed ślubem nie może nawet spojrzeć na swoją żonę, równie dobrze może zażyczyć sobie mieć tych żon aż pięć. Mądrze jednak byłoby z jego strony nie zadowalać się podobną niefrasobliwością – jako że pokutujący wśród muzułmańskich kobiet w Jerozolimie zwyczaj zupełnego zakrywania się, chociaż nie stoi wyżej od wolności betlejemskich chrześcijanek, prawie na pewno jest czymś szlachetniejszym od bardziej kokieteryjnego kompromisu uznawanego przez muzułmanki z Kairu. Znaczy on tyle, że zasady islamu są tutaj znacznie ściślej przestrzegane; to zaś z kolei stanowi element czegoś, co każdy w miarę życzliwy człowiek, jeśli przybywa

z owych bardziej komercyjnych miast Wschodu, natychmiast wyczuje w Jeruzalem; atmosfery zdecydowanie delikatniejszej i dostojniejszej duchowości, podobnej czystemu powietrzu tego górskiego miasta. Pomimo wszystkie ludzkie przywary, nie przez przypadek trzy wielkie religie uznają je za święte. Powiedziawszy wszystko, co było do powiedzenia, nasz bohater poczuje, że niektórych sztuczek nie dałoby się zrobić, niektórych zawodów – uprawiać, a niektórych sklepów – otworzyć, na obszarze o zasięgu rzutu kamieniem wokół Grobu Świętego. Ta niedefiniowalna powaga ma wprawdzie swoje własne fantazje fanatyzmu i formalizmu; jednak jeśli rzeczywiście są to wady, to na pewno nie przejawy wulgarności. Nie znajdzie się tutaj lepszego przykładu niż prawdziwi jerozolimscy Żydzi, szczególnie ci, pochodzący z gett Europy Wschodniej. Można ich od razu rozpoznać dzięki charakterystycznym kosmykom włosów, które noszą po obu stronach głowy, będącym czymś pomiędzy loczkami a bakami. Czasami wyglądają one dziwnie zniewieściale, niczym jakaś rokokowa parodia kręconych włosów kobiet ery wiktoriańskiej. Czasami zaś zdecydowanie bardziej przypominają rogi czarta; i nie trzeba być wcale antysemitą, aby stwierdzić, że twarz również nader często pasuje do tej konwencji. Niemniej, mimo iż bywają oni brzydcy, okropni nawet, to nie są tak ordynarni jak Żydzi z Brighton; ciągną za sobą, razem ze swoimi wspaniałymi, lecz często brudnymi od tłuszczu szatami z brązowego

lub fioletowego aksamitu, zbyt wiele pierwotnych tradycji i wypracowanych przez wieki więzów lojalności. Bardzo często noszą na głowach owe dziwne turbany z futra, które da się dostrzec na głowach rabinów z obrazów Rembrandta. I rzeczywiście, to wielkie nazwisko pojawia się tutaj nie bez powodu; bo cała prawda syjonizmu opiera się na różnicy między Żydem spod pędzla Rembrandta a Żydem spod pędzla Sargenta[32]. Dla Rembrandta rabin przedstawiał się, w podwójnym sensie, jako postać nieprzeciętna. Stanowił coś odmiennego od świata artysty, który malował go tak, jak malowałby bramina. Sargent wszakże zmuszony był traktować swoich modeli jako zwyczajnych obywateli Europy lub Ameryki; i dlatego właśnie jego obrazy to, po prostu, podżeganie do pogromów. Nie bez przyczyny na te dziwne, włochate aureole, które wciąż można dostrzec wokół krótko ostrzyżonych głów jerozolimskich Żydów, pada tak ukochane przez Rembrandta światło. Ja zaś boleję nad każdym pogromem, podczas którego choćby kosmyk czy kłaczek tych siwych włosów zniknął w ciemnościach grobu.

Rzeczywiście, cała ta scena mogłaby zostać uznana za fantazję dla fryzjerów; jako że różne sposoby strzyżenia włosów spokojnie

---

32 Jan Singer Sargent (1856-1925) – amerykański malarz i szkicownik, cieszący się w swoim czasie ogromną popularnością. Żydów przedstawiał na swoich obrazach praktycznie zawsze pozytywnie.

mogłyby służyć za symbole różnych ras i religii. I tak greccy popi Cerkwi prawosławnej, brodaci, odziani na czarno, ze strzelistymi wieżami na głowach, z jakiegoś powodu noszą swoje włosy spięte na modłę kobiecą. W każdym razie, ich przepych ma w sobie coś przywodzącego na myśl brodate byki asyryjskiego rzeźbiarstwa; i ten dziwny zwyczaj zakręcania, jeżeli nie natłuszczania, włosów asyryjskiego byka, rodzi w nowo przybyłym podróżniku nieopisywalne i nielogiczne wrażenie nienaturalnej wzniosłości sztuki archaicznej. W którymś z fragmentów Apokalipsy znajduje się inspirująco niezrozumiała aluzja do zstępujących na ziemię mężczyzn, których włosy są jako włosy kobiet, a zęby jako zęby lwów. Nigdy jeszcze nie ugryzł mnie pop, dlatego też nie mogę stwierdzić, czy jego zęby są tak zupełnie lwie; chociaż widziałem jak dwóch z nich konsumowało swój hotelowy lunch z godnością, acz w niejakim pośpiechu. Niemniej, zakręcanie włosów w kobiecym stylu naprawdę wygrywa nam w umyślę ową nutkę nienormalności, do której mistyk pragnął nawiązać w swojej poezji, a która innym kojarzy się raczej z dygresją o charakterze humorystycznym. Najpyszniejszy i ostatni element tego ogólnego galimatiasu stanowiła reakcja pewnej damy, która, obserwując jednego z tych czcigodnych gentlemanów, z jakiegoś powodu niemającego akurat tej osobliwej fryzury, z głębi rozdartego niepokojem i zaskoczeniem serca zawołała: „Och, on nosi kok!”

W tym wypadku rzecz jasna również nawet pobieżne spojrzenie na barwne widowisko ulicy nie powinno zadowalać się wyłącznie jego stroną komiczną. W zewnętrznym przepychu tych zwyczajnych księży z prawosławnych parafii zaznacza się wyraźnie jakaś intelektualna głębia i atmosfera dystyngowanej potęgi; szczególnie, jeśli porównać ich do relatywnie prozaicznego i przemieszczającego się lekkim truchcikiem, pogodnego usposobienia rzymskich mnichów, nazywanych w tym kraju łacinnikami. W tym samym tłumie, co owych odzianych w czarne szaty pontyfików, da się dostrzec także gładko ogolonych mężczyzn w brązowych habitach, którzy w bezpośrednim porównaniu wydają się naraz niezmiernie skromni – i niezmiernie ruchliwi. To synowie św. Franciszka, którzy przybyli na Wschód w duchu porażającej prostoty, z zamiarem zakończenia wypraw krzyżowych w miłej atmosferze. I postronny obserwator mądrze zrobi, jeśli przyjmie ten pierwszy wizualny kontrast z intelektualną bezstronnością; nie ma on, rzecz jasna, żadnego związku z cechami osobistymi – i prostota gustów wielu greckich kapłanów dorównuje swoim poziomem delikatności ich manier; księża rzymscy natomiast, mogą pławić się w przepychu i rytuale ile dusza zapragnie. Niemniej, generalnie mówiąc, prawdą

jest, iż rzymski i grecki katolicyzm[33] różnią się od siebie w tym kraju mniej więcej na takiej właśnie zasadzie; i różnica ta to proste przeciwieństwo schematycznych skojarzeń Zachodu. Na Wschodzie, to rzymski katolicyzm reprezentuje większą część tego, co my zwykliśmy utożsamiać z protestantyzmem. To on jest relatywnie surowy, praktyczny, wrogo nastawiony do przesądów i skupiony na pracy społecznej. To grecki katolicyzm, związany ściśle z historią antyczną i dziedzictwem Imperium, jest sztywny od złota i lśniący od świetności ceremoniału. W żargonie naszego własnego społeczeństwa moglibyśmy powiedzieć, że Rzymianin jest tym, który racjonalizuje, Grek zaś – tym, który romanizuje. To rzymski katolik nie ma już siły do rosyjskiej i greckiej dziecinności, i nieustannie odwołuje się do zdrowego rozsądku. To Grek broni owej dziecinności jako dziecięcej wiary i potępia zdrowy rozsądek jako pospolity sceptycyzm. Nie mówię tutaj o kwestiach teologicznych, ani nawet o głębszych emocjach z tą sprawą związanych, ale tylko – jak pisałem – o kontraście dostrzegalnym na samej ulicy. Całą zaś różnicę dostatecznie dobrze zarysowują dwa sformułowania, które zdarzyło mi się usłyszeć w odstępie kilku ledwie dni. Pewien wybitny anglokatolik, sam mający dużo sympatii do tradycji greckiego prawosławia, powiedział mi: „Ostatecznie, to rzymscy katolicy byli

33 Chesterton używa tu słowa „katolicyzm" w sposób typowy dla angielskiego ujęcia problemu, Polakom zgoła obcy.

pierwszymi purytanami". Słyszałem także, iż pewien franciszkanin, dowiedziawszy się, że ów Anglik, i w ogóle chyba większość Anglików, z trudnych do wytłumaczenia względów lubią trzymać się raczej z Cerkwią niż z Kościołem, rzucił krótko: „No i bardzo dobrze. Może w końcu Grecy zrobią coś pożytecznego".

Tak czy inaczej, pierwsze wrażenie jest tutaj takie, że Grek wygląda świetniej w czerni, niż Rzymianin w mnóstwie barw. Niemniej Grek oczywiście również może ubierać się kolorowo, szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę owe naraz lodowe i buchające ogniem formy kolorów, nazywane klejnotami. Widziałem greckiego patriarchę, wybitnego starszego gentlemana, jak szedł w dół ulicy niczym jakiś cesarz z *Opowieści tysiąca i jednej nocy,* obwieszony od stóp do głów drogimi kamieniami historycznej wartości, grubymi jak korale lub guziki, z gigantycznym krzyżem z wielkich szmaragdów, które równie dobrze mógłby dostać w podarku od zielonych geniuszy morza – oczywiście, o ile którekolwiek z owych geniuszy wyznają chrześcijaństwo. Wszystkie te rzeczy to zabawki – ja jednak jestem wielkim zwolennikiem zabawek; rubiny zaś i szmaragdy są prawie że tak rozkoszne, jak ów lśniący, kolorowy papier, który wkłada się do naszych Bożonarodzeniowych tubek z niespodzianką. Na Północy, piękno owo znajduje najpełniejszy wyraz w zestalonym świetle kolorowego szkła; i rzeczywiście, zdarzyło mi się widzieć okna

gotyckie, w których szaty męczenników naprawdę mogłyby wydać się komuś gigantycznymi rubinami, a rozgwieżdżone niebo – jednym, wielkim szafirem. Barwy Zachodu wszakże, są przejrzyste – Wschodu zaś: matowe. Wspomniałem o *Opowieściach...* – i rzeczywiście, nawet w kościołach da się tu znaleźć niektóre ich elementy, być może i zwielokrotnione przez wczesnochrześcijańską tradycję tajności. Tu i tam ujrzeć można przepych mozaik naściennych, niebieskie zasłony, zielone drzwi i złote komnaty wewnętrzne, do złudzenia przypominające wejście do jakiejś wschodniej baśni. Prawosławni są bardziej orientalni przynajmniej w tym sensie, że są bardziej ornamentalni; bardziej płascy i dekoratywni. Rzymscy katolicy zaś – bardziej zachodni, bardziej nowocześni nawet, można by rzec, w tym sensie, że zachowują w swoich rytuałach więcej realizmu. Krzyż grecki to po prostu krzyż; krzyż łaciński – to krucyfiks.

To jednak sprawy większej głębi; ja zaś staram się jedynie skonstruować coś w rodzaju zarysu tutejszego tłumu, podobnego zarysowi tego miasta, sylwetkę czy szkic głów i kapeluszy, niczym sylwetkę wież i ich strzelistych iglic. Wieża, która sprawia, że prawosławny ksiądz wygląda jak chodzący katafalk, w żadnym wypadku nie stanowi jedynego przykładu podobnych fantastycznie podniesionych rogów z Biblii. Jest tutaj także, na przykład, spiczasty

kaptur ormiańskiego kapłana; majestatyczny relikt dziwnej herezji monofizytów, która utrwaliła swe istnienie w przepychu i pięknie, głównie ze względu na ów „boski przypadek”, jakim okazały się wojny krzyżowe. Ten czarny stożek również wznosi się ponad tłum, przywodząc na myśl coś z nieśmiertelnego majestatu piramid; i słusznie, ponieważ w jakże typowy dla prehistorycznej poezji, którą wszystkie te miejsca żyją, sposób, niektórzy uważają go za wciąż żywe wspomnienie góry Ararat i Arki Noego.

Wysokie, białe nakrycie głów betlejemskich kobiet, albo – by być bardziej precyzyjnym – betlejemskich żon, zostało już wcześniej wspomniane w innym zgoła kontekście; dobrze jednak wspomnieć o nim także w kontekście kolorytu miejscowego tłumu, jako iż zabieg taki ma przynajmniej znaczenie jak najbardziej istotne dla wszelkiej podobnego tłumu krytyki. Większość zachodnich podróżników zdecydowanie zbyt jednoznacznie utożsamia miasto Wschodu z miastem muzułmańskim – niczym owa pani, spotkana kiedyś przez Maurycego Baringa[34], która, podróżując wzdłuż i wszerz po całej Rosji, wszystkie cerkwie brała za meczety. Niemniej, prawdę mówiąc, o Jeruzalem bardzo trudno generalizować – dokładnie

34 Maurycy Baring (1874-1945) – angielski pisarz, poeta, dziennikarz, korespondent wojenny. Postać niezwykła. W czasie I WŚ agent wywiadu. W 1909 roku nawrócił się na katolicyzm.

dlatego, że zawiera ono w sobie dosłownie wszystko, a wszystkie jego kontrasty są jak najbardziej prawdziwe. I jeśli ktokolwiek wątpi, że jego chrześcijaństwo to prawdziwe chrześcijaństwo, walczące o sprawę naszej kultury i naszej moralności na samej granicy Azji, jedyne, co musi zrobić, to zastanowić się nad konkretnym faktem istnienia i stroju betlejemskich niewiast. Nie ma potrzeby szydzić pogardliwie z domowych urządzeń islamu; płci nigdy nie są tak głupie, jak opisują to niektórzy feminiści; i ośmielam się sądzić, że kobieta bardzo często rządzi w haremie na tej samej zasadzie, na jakiej rządzi w domu. Nie zmienia to jednak faktu, że zachodzi tutaj ogromna różnica. I myślę, że jeżeli istnieje jedna rzecz, którą można bezpiecznie stwierdzić odnośnie całej Azji i wszystkich plemion Orientu, to właśnie ta; że jeśli kobieta zamężna nosi tutaj jakiś wyróżniający ją znak, w każdym wypadku jego zadaniem jest sprawić, aby nie stała się ona przedmiotem podziwu, lub choćby tylko uwagi, obcych mężczyzn. Często chodzi tylko o to, aby ją okryć; czasami – by ją wprost oszpecić. Rzecz może polegać tylko na zasłonieniu twarzy, jak u muzułmanów; albo też na ogoleniu głowy, jak u Żydów; albo, na ile mi wiadomo, na uczernianiu zębów i innych dziwacznych zabiegach ludów Dalekiego Wschodu. Nigdy jednak nie chodzi o to, by wyglądała ona wspaniale na forum; w przypadku betlejemskiej małżonki zaś, zamysł jest dokładnie taki: by wyglądała ona wspaniale na forum. Nie tylko odsłania ona całe piękno swojego

oblicza; a czasami jest naprawdę przepiękna. Nosi także na głowie strzelistą budowlę, z pewnością mającą przynosić skutki analogiczne jak w wypadku papieskiej tiary. Kobieta noszącą taką koronę, i to nosząca ją bez welonu, rzeczywiście reprezentuje – i z logicznego punktu widzenia, jest to jedyna rzecz, którą w ogóle może reprezentować – to, co nazywa się często zachodnią wizją kobiecości, lecz co powinno się raczej nazywać *chrześcijańską* wizją kobiecości. To godność, która w sposób konieczny łączyć się musi z jakimś mglistym wspomnieniem rycerstwa. Kobieta owa może, ale nie musi, być – zgodnie z legendą – w prostej linii potomkinią krzyżowców. Niezależnie jednak od tego, czy jest ona ich córką – to na pewno dziedziczką.

Można wymienić ją jako ostatnią z miejscowych postaci, które tutaj opisuję – z tego ważnego względu, że jej przypadek ma skądinąd głębsze znaczenie. Nie da się bowiem zadowolić faktem, że tutejszy tłum oferuje naszemu oku tak wiele przeróżnych kształtów i kolorów, w momencie, gdy oferuje on znacznie poważniejsze dystynkcje czy nawet dylematy naszej inteligencji. Czarna suknia muzułmanki i biała szata wierzącej w Chrystusa, jeśli wziąć tę sprawę na zimno, naprawdę mają się do siebie jak czerń do bieli. Symbolizują one autentyczne zasady, autentycznie sobie przeciwne; czerń zaś i biel nie znikną tak łatwo w nudnej szarości naszych własnych

kompromisów. Jedna tradycja będzie bronić tego, co uważa za skromność, druga – tego, co uważa za godność, z pasją znacznie gorętszą od większości naszych śmiesznie błahych, politycznych dążeń. Nie widzę także żadnego powodu, dla którego moglibyśmy odmówić komukolwiek prawa do podobnej obrony, nawet w wypadku tych, których uważamy za mniej oświeconych. Dodatkową trudność stanowi tutaj fakt, że ci, którzy mają się za pionierów oświecenia, zazwyczaj uważają się także za obrońców autochtonicznych ras i praw rdzennej ludności. Niezależnie od tego, jaką opinię na temat wyznającego islam Araba przyjmiemy, musimy przyznać przynajmniej tyle, że więcej zawiera w sobie mniej. Oczywistym absurdem jest twierdzić, że nie mamy prawa mieszać się w sprawy jego kraju, utrzymując przy tym, że mamy prawo rządzić w jego domu.

Najbardziej fascynujące w Jerozolimie jest to, że na jednej z jej ulic mogą istnieć obok siebie dwa wszechświaty. Tak naprawdę, jest ich tutaj dziesięć raczej niż dwa; i, jak mówi przysłowie, walka toczy się nie tylko między chrześcijaninem a islamistą, ale także między jednym chrześcijaninem a drugim chrześcijaninem. W tym momencie, trzeba przyznać, toczy się ona właściwie wyłącznie między sojuszem chrześcijan i muzułmanów a Żydami. O tym wszakże wypowiem się nieco później; w tym momencie chodzi mi tylko o to, że różnorakie kolory ulicy stanowią prawdziwy symbol

różnorakich kolorów duszy. To być może jedyne miejsce współczesnego świata, w którym wojny ideologiczne mają tak widoczną i wyraźną heraldykę.

I sam ten fakt w zupełności wystarczy, by sprowokować obserwatora do jednej, finalnej refleksji; jest to bowiem kwestia, w której współczesny świat może się nieco nauczyć od pstrokatej ciżby tego odległego, wschodniego miasteczka.

Sugestia, że tłum Bond Street czy Picadilly powinien wzorować się na tej religijnej maskaradzie, może się wydać cokolwiek dziwna. Rzeczą nader łatwą i fascynującą zarazem, byłoby zamienić ją w satyrę albo widowisko. Każdy prawy i niewinny umysł zachwyciłby się obrazkiem melonika proporcją kształtów odpowiadającego dokładnie Katedrze św. Pawła i zwieńczonego u góry kuleczką i krzyżykiem, symbolizującymi lojalność wobec Kościoła Anglikańskiego. Jeszcze rozkoszniejszy widok stanowić mogłaby ulica, zdominowana przez cylindry wzorowane na Wieży Eiffla i reprezentujące wiarę ich użytkowników w zwycięski pochód nauki lub też, być może, jakże często łączącej się z nim korupcji politycznej. To właśnie byłyby rzetelne zachodnie odpowiedniki jerozolimskich nakryć głowy; czapek wzorowanych na rzeczach takich, jak góra Ararat albo Świątynia Salomona – i w związku z tym (jak zapewne

wyzłośliwialiby się nieprzyjaźni ludzie) jak najbardziej obcych kulturze Londynu. Z dowolnego pana z bokobrodami nie dałoby się wydusić choćby słówka na usprawiedliwienie czy uzasadnienie zwyczaju noszenia bokobrodów, podczas gdy w wypadku Żyda i jego loczków nie byłoby z tym najmniejszego problemu; i nawet jeśli niejeden anglikański duchowny naprawdę może być bardzo lojalny w stosunku do swojej matki-kościoła, to jednak w wypadku, w którym owa matka zaczęłaby się od niego domagać, aby spinał swoje włosy, mógłby on zacząć mieć poważne wątpliwości. Niemniej, przy bardziej historycznym spojrzeniu na tłumy Londynu i Jerozolimy, przyswojenie sobie przez nas podobnej symboliki okaże się jak najdalsze od niemożliwości; pewnego dnia kobiece ozdoby z drogich kamieni mogą zacząć mieć znaczenie analogiczne jak ozdoby greckiego patriarchy, kobiece futra zaś – jak włochate turbany rabinów. Historia udowodni nam, że w żadnym wypadku nie przewyższamy ich w takim stopniu, w jakim nie dorównujemy samym sobie.

Kiedy krzyżowcy przybyli do Palestyny i skierowali się w górę owej wiodącej z Jafy drogi, po której obydwu stronach lśnią dziś gaje pomarańczowe, ich motywy mogły być bardzo zróżnicowane, na pewno zaś są obecnie mocno dyskusyjne. Wśród krzyżowców mogły panować bardzo różne teorie; podobnie jak ponad wszelką

wątpliwość panują one dzisiaj wśród tych, którzy ich krytykują. Wielu z nich szukało Boga, niektórzy – złota, inni być może – czarnej magii. Czegokolwiek innego jeszcze by jednak szukali, to z pewnością – nie zwykłej malowniczości. Nie zostali oni tu przywabieni z jednolicie burej cywilizacji Europy przez owo najprostsze pragnienie kolorów, które tak wielu nowoczesnych artystów przyciąga obecnie na bazary Orientu. W tamtych dniach Zachód był bowiem równie kolorowy, jak Wschód; i lśnił nie tylko o poranku, ale i o wieczorze. Wielu z tych, którzy tu przybyli dorównywało wspaniałością swojego stroju najcudowniejszym gajom pomarańczy i mogłoby stawać w szranki z najświetniejszym władcą tych okolic. Króla Ryszarda nawet w porównawczej skali nie dało by się nazwać abnegatem, gdy przybył tutaj w owym wspaniałym, czerwonym siodle udekorowanym złotymi wizerunkami lwów, ze swoją szkarłatną czapką i koszulą w srebrne księżyce. Możny z relatywnie nienachalnego rodu Joinville, odziany w poprzecinany żółtymi pasami szkarłat, z zupełną pewnością mógł (jeśli mogę się tak wyrazić) bić nimi miejscowych po oczach na najbardziej nawet okazałych z azjatyckich bazarów. Te zewnętrzne symbole nie były także w żadnym wypadku mniej głębokie, niż odpowiadające im symbole cywilizacji Orientu – jeśli już, to bardziej. Prawdą jest, iż heraldyka zaczęła jako piękna sztuka, by potem zwyrodnieć w naukę. Lecz nawet jako nauka, musiała mieć jakieś znaczenie; i barwy Zachodu rzeczywiście bardzo często miały

charakter alegoryczny, podczas gdy wschodnie – zaledwie przypadkowy. Do pewnego stopnia, to bardziej filozoficzne zdobnictwo niewątpliwie stało się przedmiotem imitacji; o czym wspomniałem już gdzie indziej w związku z parą wysoce heraldycznych lwów, wyrzeźbionych przez Saracenów na Bramie św. Szczepana. Czymś zaś zupełnie nadzwyczajnym, a nawet nieznośnym, jest fakt, że nie imitowano go w takim stopniu, w jakim imituje się najbardziej bezsensowne odmiany współczesnej wulgarności. Wielka, czerwona czapka Ryszarda Lwie Serce, z wyhaftowanym na niej zwierzem lądowym i ptactwem nie rzuciła na świat tak wielkiego cienia, jak melonik, którego nikt jeszcze nie uznał za stosowne udekorować podobnie naturalnymi i uniwersalnymi motywami. Turysta z Londynu nie tylko jest bardziej skłonny przyjechać tutaj bić miejscowych po oczach, ale rzeczywiście chyba uderzył ich w głowę; i mieszkańcy Orientu kopiują tweedy naszych turystów z większym zapałem, niż kiedykolwiek kopiowali pasiasty strój naszej szlachty. Ciekawy to, i być może nieco nawet melancholijny fakt, iż świat przejmuje od nas wszystko, co najgorsze, nasze zmęczenie i nasz nędzny upadek – odrzucił zaś wszystko, co w nas najlepsze, wraz z górnym czasem poranka naszych dziejów.

Być może cywilizacją można się zarazić dopiero wtedy, gdy stanie się ona chorobą. I możliwe, że dopiero, gdy stanie się ona bardzo ciężką chorobą, nabierze charakteru epidemicznego. I znów, możliwe, że takie jest właśnie znaczenie zarówno kosmopolityzmu, jak i imperializmu. Tak czy inaczej, ludy przy słonecznych fontannach Afryki siedzące nie przyłączyły się do nas, gdy św. Franciszek z Asyżu, stojąc na samym szczycie wieków średnich, śpiewał swoją „Pieśń słoneczną”. Gdy Michał Anioł stworzył rzeźbę ze śniegu, Eskimosi nie poszli za jego przykładem, pomimo nader pokaźnych zapasów materiału. Lapończycy nigdy nie zrobili kopi Marmurów Elgina[35], w której miejsce koni zajęłyby renifery; nigdy też Hotentoci nie próbowali malować Mambo Jumbo w taki sposób, w jaki Rafael malował Madonny. Wielu jednak z dzikich królów nosiło cylindry, niekiedy zaś barbarzyńcy owi degenerowali się tak bardzo, że dokładali do tego spodnie. Rzesze autochtonów aż się palą do produkcji wybuchowych pocisków i budowy brutalnego systemu fabrycznego. I ta właśnie refleksja, zrodzona na kanwie czysto wizualnej przyjemności, którą sprawiał mi kłębiący się przede mną, różnobarwny tłum, nakierowała moją myśl z powrotem na główny problem, i wielkie niebezpieczeństwo, naszego położenia w Palestynie, o którym wspomniałem już coś-niecoś we

35 Marmury partenońskie, przywiezione do Londynu przez Tomasza Bruce’a, zwanego także lordem Elginem, w 1799 roku.

wcześniejszych częściach tego rozdziału; niebezpieczeństwo, związane w znacznej mierze tak ze sprawiedliwymi, jak i niesprawiedliwymi argumentami przeciw syjonizmowi. Chodzi o strach przed tym, że Zachód, stosownie do warunków swojego obecnego, merkantylnego nastroju, przyniesie tutaj nie to, co w nim najlepsze, ale to, co w nim najgorsze. Ujmując problem rzemieślniczo, z punktu widzenia Arabów, powiedziałoby się, że Zachód reprezentować będą w ich ziemi nie angielscy kupcy, ale żydowscy lichwiarze. Na innym miejscu napiszę trochę na temat szlachetniejszych wcieleń Hebrajczyków i prawd, które rzeczywiście przedstawiają; żydowski lichwiarz wszakże naprawdę w złożony i zagadkowy sposób stanowi symbol całego paradoksu. Nie tylko jest on niepopularny tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie, ale jego niepopularność na Zachodzie wiąże się nierozerwalnie z powszechnym przeświadczeniem, że to człowiek Wschodu, na Wschodzie zaś – że to człowiek Zachodu. W Europie oskarża się go o azjatycką niejawność i krętactwo, w Azji zaś – o europejską wulgarność i chełpliwość. A *propos* Araba stwierdziłem, że godność mieszkańca Orientu tkwi w jego długiej szacie; zupełnie merkantylny Żyd to mieszkaniec Orientu, który swoją długą szatę zwyczajnie zgubił, co zaowocowało niebezpieczną ruchliwością nóg. Zdecydowanie za bardzo śpieszy się i stara; i w Palestynie niepopularność nawet zacniejszych przedstawicieli żydostwa po

znacznej części wynika po prostu z ich niespokojnej natury. Niemniej działa tutaj także zwykły strach, niemający nic wspólnego ani z zacniejszą częścią Izraela, ani z zacniejszą częścią wpływów brytyjskich. To samo haniebne prawo inwersji, ze względu na które wszędzie wyrastają dziś kominy fabryk bez wież kościołów, i każdy chce mieć u siebie londyński handel, lecz nie chrześcijańską kulturę, wywarło na wielu osobach wrażenie, że wpływ współczesnej cywilizacji przygniecie te wszystkie obdarte, ale kolorowe społeczności czymś tak posępnym i bezbarwnym, nienaturalnym i rozpaczliwym, jak nieznany im całkiem śnieg, pod którym drżały one w czasie, gdy je obserwowałem. Zdawało się, że w tych niespodziewanych odwiedzinach Północy, kryje się jakiś złowrogi omen; i rzeczywiście, kiedy wiatr północny wreszcie powiał, rozpylił nad nimi jedynie srebrny pył śmierci.

Być może, że ten bardziej melancholijny nastrój przybrał jeszcze na sile ze względu na blady krajobraz i nieprzejezdne drogi. Nie powiem, żebym miał coś przeciwko śniegowi; przeciwnie: uwielbiam śnieg; i gdyby nasypało go tyle samo w moim własnym kraju, przed moimi własnymi drzwiami, uznałbym to za przedziwny tryumf magii Świąt oraz rzecz tak komiczną, jak mój własny pies i osioł. Niemniej, ludzie odziani w kolorowe łachmany naprawdę mieli coś przeciwko niemu; i skutki, które sprawił, nie były komiczne, ale tragiczne. Wiadomości,

które do nas dotarły, w tym małym, samotnym miasteczku wydawały się traktować przynajmniej o jakiejś wielkiej wojnie, a może nawet – wielkiej klęsce. Ludzie zaczęli postrzegać je tak, jak – zdecydowanie zbyt prosto – postrzegają wojnę: jako totalne nieszczęście. W tym wszakże wypadku, nieszczęście naprawdę było totalne. Gdy śnieg zaczął się wreszcie topić, ludzkim oczom zaczęły ukazywać się ukryte w nim zwłoki, za miastem zaczęły schodzić lawiny, i nawet stopniowe uprzątanie dróg przynosiło coraz to nowe opowieści o samotnych, górskich chatkach, po których ślad zaginął. Wydawało się, że krążący po świecie wiew bezcelowego zniszczenia przeszedł przez tę okolicę i nic więcej nie pozostało ludziom poza mozolnym odbudowywaniem ruin i liczeniem umarłych.

I gdy tylko wyszedłem z miasta przez Bramę Jafy, pewien człowiek powiedział mi, że drzewo stu śmierci, figura wieczystego Kalifatu Półksiężyca, leży na ziemi, złamane pod ciężarem śniegu.

Rozdział VI: Mieszkańcy miasta

Palestyna to kraj w prążki; takie jest pierwsze wrażenie wzrokowe, wywoływane przez tutejszy krajobraz. Składa się on z wielkich linii równoległych, przechodzących raz w wysokie wzgórza, a raz w szerokie doliny, niemniej nigdy nie łamiących ogólnego schematu równoległości; jak gdyby ktoś narysował je zamaszyście, lecz dokładnie, gigantycznymi kredkami w kolorze zielonym, szarym, czerwonym i żółtym. Ich naturalne wyjaśnienie albo (żeby użyć mniej głupawego terminu) naturalny proces ich powstania, to sprawa nader prosta. Prążki to warstwy skał, spłukiwane wszakże przez tutejsze ulewy, w związku z czym wszystko musi rosnąć tutaj na półkach skalnych, odtwarzając na jeszcze jeden sposób układ tarasowy, widoczny w wypadku okolicznych winnic i schodkowych ulic miasta. Jakkolwiek jednak przyczyna rzeczy w pewnym sensie tkwi w pustoszącej sile deszczu, kolory owe, to nie ponure kolory spustoszenia. Tutejsza ziemia to zazwyczaj czerwona glina, bogatsza niż ta z okolic Devon; czerwona glina, co do której łatwo byłoby uwierzyć, że z niej właśnie ulepione zostały olbrzymie kończyny pierwszego człowieka. Tutejsze trawy zaś, są nie tylko jakby szklone szmaragdami, ale również dosłownie tłoczne od owych karmazynowych zawilców, które z dużym prawdopodobieństwem mogły stanowić natchnienie dla wzniosłej przypowieści o Salomonie

w całej jego chwale. Nawet tutejsze kamienie mienią się tysiącem, drugo- i trzeciorzędnych odcieni różnych barw, podobnie jak ściany miejskich uliczek, wzniesione z materiału pochodzącego z kamieniołomów, rozrzuconych pośród okolicznych wzgórz. Jako iż stare kamienie starego Jeruzalem są tak drogocenne, jak drogocenne kamienie Nowego Jeruzalem; i w niektórych momentach brzasku i zmierzchu, każdy tutejszy kamyczek może być perłą.

Każda zaś z tych kolorowych warstwic pnie się tak wysoko i rozciąga tak daleko, że mogłaby stanowić osobne niebo raczej, niż stok. To coś, jakbyśmy patrzyli na zamrożony zachód słońca; albo jutrzenkę, uchwyconą w wieczystym bezruchu wraz z ulotnymi pasemkami chmur idących przez całe niebo. I istotnie, podobna fantazja niepozbawiona jest symbolicznej sugestywności. To kraj rzeczy wiecznych; zbyt łatwo jednak zapominamy, że rzeczy, które się powtarzają, również są wieczne. Łatwo zapominamy, że subtelne odcienie i delikatne barwy były tak samo widzialne w czasach starożytnych mędrców i poetów, jak w naszych; proste zaś i pełne mocy słowa, w których je opisują, nie wskazują na to, że ich nie dostrzegali. Kiedy Wordsworth mówi o „chmurach, co wokół słońca kłębią się o zmierzchu”, natychmiast zakładamy, że wielki bard widział w swoim życiu każdy możliwy cień koloru i każdą krzywiznę formy; kiedy wszakże hebrajski poeta pisze: „za rydwan masz obłoki”;

nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że również był to człowiek pełen niemożliwych do opisania emocji, wzbudzonych przez niemożliwe do opisania widoki. Bezmyślnie zakładamy, że w czasach starożytnych niebo było bardziej bezbarwne. Zdaje się nam, że w kwestii zachodów słońca panowała moda; lub że świt w epoce kamienia łupanego był zawsze szary, w epoce brązu zaś – zawsze brązowy.

Niemniej jest jeszcze jedna przypowieść, wypisana w owych długich pasmach wielobarwnej gliny i kamienia. Palestyna to kraj rozwarstwiony w każdym możliwym sensie tego słowa. Dotyczy to nie tylko sensu naturalnego, jak tutaj, gdzie glina spłynęła, odsłaniając nagie żebra wzgórz. Dotyczy to także kamieniołomów, w których ludzie pracują, martwych miast, w których prowadzą wykopaliska, a nawet miast żywych, w których ciągle modlą się i walczą. Boleść Palestyny stanowi fakt, że jej zróżnicowanie kulturowe, polityczne i teologiczne jest dokładnie takie, jak jej zróżnicowanie geologiczne. Linia podziału przebiega poziomo, zamiast pionowo. Granica nie biegnie między państwami, ale warstwami, ułożonymi jedna na drugiej. Żyd nie przyszedł do tego kraju żyć spokojnie obok Kananejczyka; ale, że tak powiem, natychmiast zaczął wchodzić temu Kananejczykowi na głowę; tak samo Grek – natychmiast wszedł na głowę Żydowi; muzułmanin –

chrześcijaninowi. To dom rozdzielony nie tylko przeciwko sobie, ale w poprzek siebie. To dom, w którym pierwsze piętro walczy z drugim, w którym piwnica jest ciemiężona przez górę, a strych oblężony przez niższe kondygnacje. W podziemiach zaś jest sporo prochu; i nawet na dachu ludzie nie czują się z tym zbyt dobrze. W tych dniach rozpowszechnienia zjawiska, nazywanego przez niektórych bolszewizmem, można powiedzieć, że większość państw to domostwa, w których kuchnia wypowiedziała wojnę salonowi. Nie da to jednak najmniejszego pojęcia o owej walącej się pagodzie religijnych, politycznych i rasowych różnic, zwanej Palestyną. Aby to wytłumaczyć, podróżny musi bardziej szczegółowo zaprezentować swoje pierwsze wrażenia w ich własnym porządku, i zanim wrócę do owej koncepcji społeczeństwa jako pionowego układu wielu warstw, zmuszony jestem postawić problem w sposób bardziej praktyczny, tak, jak jawi się on w momencie, w którym ciągle wydaje się ono pokawałkowane w poprzek.

Zawsze mówi się nam, że Turcy utrzymywali pokój między różnymi wyznaniami chrześcijan. Czymś bliższym żywotnego nerwu prawdy byłoby powiedzieć, że to oni rozpętali pomiędzy tymi wyznaniami wojnę. Czymś jeszcze bliższym wszakże: że wojna ta to nie tyle zamysł Turków, co wymysł niewiernych. Turysta odwiedzający tutejsze kościoły bardzo często nie wierzy w dotyczące ich,

nieprawdopodobne opowieści; ma jednak pełną wiarę w najbardziej nieprawdopodobną ze wszystkich tych historii – tę, która owe kościoły zniesławia. Naprawdę wierzy, że jerozolimscy chrześcijanie mogliby przetrwać tyle wieków bez ustanku prowadząc ze sobą bezmyślną, bratobójczą wojnę. Spacerowanie po owych krętych i pełnych zaułków uliczkach w przeświadczeniu, że w każdej minucie można stać się świadkiem zaciętego pojedynku patriarchów Grecji i Armenii (prawdopodobnie na noże), rzeczywiście odświeża w człowieku poczucie przygody; podobnie, jak czymś korzystnym dla ogólnego romantyzmu Londynu byłoby przechadzać się w okolicy Lambeth i Westminsteru w nadziei, że ujrzy się zaraz arcybiskupa Canterbury splecionego w morderczych zapasach z przewodniczącym Konferencji Metodystów. I nawet jeśli wracamy do domu wieczorem nie ujrzawszy podobnych rzeczy, wizja owa mimo to naprawdę oświecała naszą drogę, pozwalając nam skręcić za tak wiele rogów z sercem pełnym czujności i nadziei. Niemniej jeśli chodzi o nagie fakty, religia nie bardziej łączy się z nieustającą wojną na Wschodzie, niż patriotyzm łączy się z nieustającą wojną na Zachodzie. Tym, z czym łączą się obie te rzeczywistości, jest nastawianie obronne; czujność na granicach. Wojny nie ma; panuje natomiast zbrojny pokój.

Wyjaśniłem już w jakim sensie mówię, że muzułmanie są ahistoryczni, a nawet anty-historyczni. Być może byłoby się bliskim prawdy, gdyby powiedzieć, że są prehistoryczni. Przywiązują się oni do kolosalnego truizmu, z którego ludzie mogli zdawać sobie sprawę na długo zanim przeżyli jakiekolwiek doświadczenie polityczne; który mógł być wypisywany prymitywnymi nożami z krzemienia na powierzchni prymitywnych naczyń glinianych. Mając naturę szczerą i prostą, nie wzbraniają się oni przed potrzebą legend; omal nie mógłbym powiedzieć, że nie wzbraniają się przed potrzebą kłamstw. A jednak nastrój ich nie jest historyczny, nie chcą mocować się z przeszłością; nie kochają się w jej skomplikowaniu; obca im jest zupełnie radosna ciekawość co do jej szczegółów, a nawet spory o to, co w niej wątpliwe. W tym wszystkim zaś, muzułmanie z takiego miejsca jak Jerozolima stanowią proste przeciwieństwo jerozolimskich chrześcijan. Chrześcijaństwo Jerozolimy jest wysoce historyczne i nie da się pojąć bez wyobraźni dziejowej. Nie jest zaś ona może na ogół najmocniejszą stroną tych z nas, którzy zapisują swoje wrażenia z pobytu w tym mieście. Jako iż wykształcony Anglik nie zna historii Anglii, czymś nierozsądnym byłoby oczekiwać od niego, że będzie znał historię Moabu czy Mezopotamii. Zwiedzając jerozolimskie kapliczki odnosi on wrażenie, jakby mnóstwo nic nieznaczących sekt sprzeczało się odnośnie nic nieznaczących spraw. Krótko mówiąc, widzi przed sobą gąszcz błahostek, takich jak

choćby Imperium Rzymskie wschodu i zachodu, dwa wielkie odłamy Kościoła Katolickiego, plemię żydowskie, wspomnienia starożytnej Grecji i Egiptu oraz cały świat muzułmański Azji i Afryki. Może być i tak, że uważa on te wszystkie sprawy za nieistotne; byłbym jednak nader zobowiązany, gdyby zechciał rzucić okiem na historię ludzkości i powiedział mi, jakie sprawy są w takim razie ważne. Prawda jest taka, że rzeczywistości spotykające się dzisiaj w Jerozolimie to najważniejsze sprawy, jakie świat dotąd oglądał. Jeżeli one nie są ważne, nic nie jest ważne pod słońcem, na pewno zaś nie wrażenia ludzi, którzy się tymi sprawami przypadkowo znudzili. Niemniej zrozumieć je, to rzecz konieczna, jeśli chce się mieć coś, co znacznie częściej spotkać można w Jerozolimie, niż w Oksfordzie; ów rodzaj historii żyjącej, który nazywamy tradycją.

Dla przykładu, przeciętny obserwator zazwyczaj zaczyna od zlekceważenia tych wszystkich konfliktów jako drobnych kwestii teologicznych. Nie uważam, żeby kwestie teologiczne były drobne. Teologia to po prostu myśl stosowana w religii; ci zaś, którzy preferują religię bezmyślną, nie powinni odnosić się z aż taką pogardą do obdarzonych bardziej racjonalistycznym gustem. Stary dowcip, jakoby sekty greckie różniły się między sobą jedną literą to chyba najbardziej kulawy i nielogiczny dowcip wszech czasów. Ateista i teista również różnią się tylko jedną literą; a jednak teologowie są

tak bardzo subtelni, że potrafią odróżnić jednego od drugiego. Niemniej mimo iż w żadnym wypadku nie zgadzam się co do tego, że zainteresowanie teologią jest rzeczą próżną, jeżeli chodzi o rzeczywistość, to w sporach owych wcale nie chodzi głównie o teologię. Tylko o historię. O sprawy, o które chodzi w jedynej naprawdę ludzkiej odmianie historii; o wielką pamięć o wielkich ludziach, wielkie bitwy o wielkie idee, męstwo, miłość piękna i wiarę, mocą której żyją umarli. Zupełnie zgodne z prawdą jest to, że wraz z tym poczuciem historycznym, ludzie dziedziczą także trudne zobowiązania i zemstę, furię, smutek i wstyd. Prawdą jest także, że bez niego umierają, i nie ma nikogo, kto by im chociaż wykopał grób.

Prawda jest taka, że spory te dotyczą raczej patriotyzmu niż religii, w sensie: teologii. To znaczy, stanowią one po prostu wyraz owych heroicznych namiętności do rzeczy minionych, które pospolicie nazywamy na Zachodzie nacjonalizmem; są one jednak również specyficznie uwarunkowane przez nadzwyczaj skomplikowane położenie narodów albo tego, co odpowiada tutaj narodom. My, ludzie Zachodu, jeżeli chcemy zrozumieć ten fakt, musimy wyobrazić sobie, że zachowaliśmy nasze lokalne miłości i wspomnienia rodzinne w niezmienionym stanie, natomiast miejsca, z którymi się one wiążą, pomieszały się i wywróciły pod wpływem jakiegoś niepojętego niemal wstrząsu. Musimy wyobrazić sobie, że miasta odwróciły się

do góry nogami na jakiejś niewidzialnej osi albo zostały przeniesione z miejsca na miejsce przez jakąś niewidzialną maszynerię, tak, że to, co nam najbliższe, stało się najdalsze, najbardziej odległy z naszych wrogów zaś – stał się naszym sąsiadem. Musimy wyobrazić sobie pomniki stojące nie tam, gdzie powinny i hrabstwa zasypane zabytkami innych hrabstw. Musimy także wyobrazić sobie w tym wszystkim wąskie, lecz mocne nici tradycji – wszędzie splątane, lecz nigdzie nieprzecięte. Musimy przedstawić sobie nową mapę, złożoną z nieregularnie pororzucanych fragmentów starej mapy; a jednak: pod warunkiem, że wszyscy będziemy pamiętać o starej mapie, nie zwracając uwagi na nową. Krótko mówiąc, musimy starać się wyobrazić sobie, albo raczej: musimy starać się mieć nadzieję, że nasza własna pamięć okaże się tak długa i nasza własna lojalność tak mocna, jak pamięć i lojalność małego tłumu Jerozolimy; i mieć nadzieję, że będzie nam dane, albo raczej: modlić się o to, aby było nam dane być tak twardogłowymi, zacietrzewionymi i bigoteryjnymi jak ci ciemni ludzie. Być może uda się nam dzięki temu zachować wszystkie nasze rozróżnienia dobra i zła w chaosie czasu i przestrzeni.

Musimy wyobrazić sobie grobowiec Napoleona w środku Stradford-on-Avon i kolumnę Nelsona na polach Bannockburn[36]; Opactwo Westminsterskie, które dostało skrzydeł i przeleciało na najbardziej romantyczne miejsce nad Renem i żaglowiec *Victory37* tkwiący, na kształt Arki Noego, na szycie wzgórza Tara; ludzi pielgrzymujących do Lourdes, zmuszonych do szukania sanktuarium na wyspie Runnymede[38], i jedyne istniejące statuy Bismarcka stojące w paryskim Panteonie. Ów nieznośny galimatias w żadnym wypadku nie stanowi przesadzonego obrazu sposobu, w jaki różne opowieści przecinają się, a różne miejsca zachodzą na siebie w historycznym chaosie Miasta Świętego. Na Zachodzie mamy wielkie szczęście widzieć nasze narody normalnie rozdystrybuowane pomiędzy swoje ziemie ojczyste; tak, że dobrzy patrioci mogą opowiadać o sobie, nie drażniąc przy tym nieustannie swoich sąsiadów. Niektórzy pacyfiści mówią nam, że granice i podziały między narodami są złe, ponieważ popychają nas do wojny. Czymś znacznie bardziej zgodnym z prawdą byłoby powiedzieć, że granice i podziały między narodami utrzymują

---

36 Miejsce bitwy pod Bannockburn, która miała miejsce od 23 do 24 czerwca 1314 roku, podczas wojny o niepodległość Szkocji; bitwa zakończyła się zwycięstwem Szkotów.

37 Żaglowiec brytyjskiej marynarki wojennej, wykorzystany w bitwie pod Trafalgarem w 1805 roku.

38 Podmokła łąka nad Tamizą, miejsce podpisania w 1215 roku Wielkiej Karty Swobód.

między nami pokój. Czymś znacznie bardziej zgodnym z prawdą byłoby powiedzieć, że możemy się zawsze nawzajem kochać, tak długo, jak się nie widzimy. Mieszkańcy Jeruzalem natomiast, skazani są na różnice bez podziałów. Zmuszeni są stawiać kolumnę naprzeciw kolumny w tej samej świątyni, podczas gdy my możemy stawiać miasto naprzeciw miasta na wielkich równinach świata. Podczas gdy dla nas kościół wyrasta ze swych fundamentów tak naturalnie, jak kwiat z kwietnika, oni muszą naraz błogosławić budynek i przeklinać kamienie, na których stoi. Podczas gdy ukochana ziemia naszych ojczyzn jest zwarta aż do centrum planety, oni zmuszeni są patrzeć na wszystko, co kochają i czego nienawidzą, nałożone na siebie warstwami jak przychodzące po sobie noc i dzień, naraz nieprzystawalne i nierozłączne. Ich zawikłania są tragiczne, niemniej wcale nie fałszywe czy przypadkowe. Wszystko ma tutaj znaczenie; są oni wierni wielkim imionom, podobnie jak inni ludzie wierni są wielkim narodom; różnią się między sobą w kwestiach, o które można spierać się tylko na śmierć i życie; jednak nawet w śmierci nie są rozdzieleni.

Jerozolima to małe miasteczko wielkich rzeczy; przeciętne zaś nowoczesne miasto to wielkie miejsce pełne rzeczy małych. Wszystkie najważniejsze i najbardziej interesujące moce dziejowe zebrały się tu na obszarze przeciętnej cichutkiej wsi; i jeśli nie

zawsze są sobie przyjazne, to zawsze są ze sobą po sąsiedzku. To kwestia intelektualnego napięcia, a wręcz intelektualnej nerwicy, z której zdecydowanie zbyt rzadko zdajemy sobie sprawę. Stały przedmiot współczesnego utyskiwania stanowi fakt, że w miejscu takim, jak Jerozolima, wyznania chrześcijańskie nie zawsze odnoszą się do siebie z chrześcijańskim uczuciem. Mówi się, że się one wzajem zwalczają; przynajmniej jednak udaje się im spotkać. Jak często udaje się im to w wielkich centrach przemysłowych, takich jak Londyn czy Liverpool? W dużych miastach żyje się w małych klikach, znacznie węższych niż klasy; w małych miasteczkach przynajmniej żyje się dzięki licznym kontaktom, nawet jeżeli są to konflikty. W kontekście codziennych nastrojów człowieka widać jednak wyraźnie, że nie zawsze są to konflikty. Słyszałem na własne uszy, jak pewien znakomity duchowny anglikański targował się o cenę mosiężnej lampki z Syryjczykiem należącym do Kościoła Greckiego, prosząc przy tym o pomoc franciszkanina, który stał sobie z uśmiechem w tym samym sklepie. Tego samego duchownego spotkałem także na oficjalnym lunchu z najradykalniejszymi żydowskimi syjonistami i wielkim muftim, głową religii muzułmańskiej. Przypuśćmy, że duchowny ów byłby również, jak spokojnie zresztą rzeczywiście mógł być, elokwentnym i popularnym duszpasterzem w Chelsea albo Hampstead. Jak często zdarzałoby mu się spotkać syjonistę lub franciszkanina? Nawet nie raz na rok. Jak

często zdarzałoby mu się spotkać prawosławnego Syryjczyka lub muzułmanina? Nawet nie raz na całe życie. Nawet gdyby był bigotem, Jerozolima zmusiłaby go do przekształcenia się w bardziej interesujący rodzaj bigota. Nawet gdyby jego poglądy były ograniczone, jego doświadczenia byłyby ogromne. W rzeczywistości nie jest on wcale bigotem, podobnie jak w rzeczywistości inni uczestnicy tego lunchu również nie są bigotami – w najgorszym zaś wypadku nie mogliby być nimi nieświadomie. Nie potrafiliby żyć w podobnie bezkrytycznym zadowoleniu z siebie, jakie często napotyka się w większym społeczeństwie, przy bardziej skomplikowanym ustroju społecznym. Nie potrafiliby wpaść w taką ignorancję, w jaką wpadają obdarzeni szerokimi horyzontami mieszkańcy rozległego przedmieścia. Istotnie, jest coś subtelnego i wyrafinowanego w samej delikatności, a wręcz ironii, ich dyplomatycznych związków. Jest coś rycerskiego i uprzejmego w ich zbrojnym rozejmie i wielką, zaiste, szkołę dobrych manier stanowi kluczenie w labiryncie tak wielkich różnic moralnych.

To aspekt ogólnie interesującego charakteru Jerozolimy, który łatwo zlekceważyć i który niełatwo opisać. Jej normalne życie jest nadzwyczajnie ekscytujące nie dlatego, że poszczególne frakcje toczą ze sobą nieustanne walki, ale dlatego właśnie, że tego nie robią. O nienormalnym momencie kryzysu, w którym naprawdę zaczęły

walczyć oraz nienormalnych motywach, które ich do tego skłoniły, powiem jeszcze coś-niecoś trochę później. Niemniej prawdą jest, że element malowniczy i pasjonujący przez większość czasu stanowiła tu nie wojna, lecz pokój. Dlatego wrażenia z pobytu w tym małym mieście przypominają raczej wrażenia z uczestnictwa w wielkim kongresie międzynarodowym. To coś, jak owa ruchoma i wielobarwna satyra społeczna, w której dyplomaci, którzy za chwilę mogą zacząć prowadzić ze sobą wyniszczającą wojnę, mogą także zatańczyć ze sobą walca. Ponieważ tutejsze stronnictwa religijne i polityczne mają z narodami jeszcze jedną cechę wspólną; tę mianowicie, że nawet na tak małej przestrzeni kręta linia dzielących ich granic jest mniej lub bardziej stała w swoim kształcie, na pewno zaś nie jakoś szczególnie zmienna. Prześladowanie to rzecz niemożliwa, nawrócenie zaś – wcale nieczęsta. Ten bardzo biegły anglokatolicki przywódca, o którym przed momentem wspomniałem, jednego dnia wtajemniczył mnie w pewien paradoks, stanowiącym również bardzo praktyczną prawdę o tej sytuacji. Powiedział mi, że tym, co głównie drażniło go w tutejszych chrześcijanach był nie fanatyzm – ale brak fanatyzmu. Chodziło mu o brak jakiegokolwiek żaru, a nawet jakiejkolwiek nadziei, w nawracaniu siebie nawzajem. Ormianin może być tutaj tak dumny z Kościoła Ormiańskiego, jak Francuz z Francji, nie bardziej wszakże może się on spodziewać, że zrobi chrześcijanina z wyznawcy islamu, niż Francuz mógłby się

spodziewać, że z Anglika zrobi Francuza. Gdyby, jak nam się wmawia, sprawa była przede wszystkim teologiczna, na pewno nie byłaby ani trochę logiczna. Niemniej, jak mówiłem: znacznie lepiej spojrzeć na ten problem z perspektywy narodowej; i istotnie, przywódcy wielkich religii naprawdę czują się tutaj bardziej jak ambasadorzy wielkich narodów. I jak już wspomniałem, tę ambasadorską atmosferę najlepiej wyraża słowo „ironia” – i to czasami ironia cokolwiek tragiczna. Na każdym spotkaniu przy herbacie czy w każdej ulicznej rozmowie, w której uczestniczyliby przedstawiciele rywalizujących społeczności, występuje naturalna tendencja do tego rodzaju dowcipu, który opiera się na czynieniu zawoalowanych aluzji do bardzo publicznych tajemnic. W każdej korespondencji wyczuwa się potężne siły, nurtujące pod powierzchnią najbardziej nawet trywialnych kwestii; tak jak czubek szpady, choć maleńki, stanowi jakby „sakrament” całej siły szermierza. W tym wypadku zaś, ostrze dowcipu może być zakończone tym ostrzej, że w polityce tego miasta, przynajmniej w czasie mojej wizyty, uczestniczyło kilku ludzi obdarzonych autentycznym zamiłowaniem i talentem do podobnie wyrafinowanego sposobu obcowania z innymi; mam tu na myśli szczególnie dwie osoby, których doświadczenie i kultura osobista wyróżniałyby się w każdej możliwej społeczności świata; amerykańskiego konsula oraz gubernatora wojskowego Jerozolimy.

Jeśli katalogując tutejsze warstwy społeczne zajmiemy się najpierw najwyższą sferą zachodniej biurokracji, posunięciem, istotnie, nie całkiem nieudanym, może okazać się potraktowanie tych właśnie dwóch ludzi jako reprezentantów najistotniejszych rzeczywistości, które się z nią wiążą. Dr Glazebrook[39], przedstawiciel dyplomatyczny Stanów Zjednoczonych, ma mniej do czynienia ze sprawami wewnętrznymi kraju; niemniej sama jego obecność i historia osobista to rzeczy tak malownicze, że spokojnie tylko ze względu na nie Jerozolima mogłaby wydać się komuś interesującym miastem. Obecnie to już starszy człowiek, jako iż swoją karierę zaczynał jeszcze w armii secesjonistycznego Południa i wciąż żyją w nim i działają nie tylko cnoty, ale same nawyki i subtelny gest dawnego, południowego arystokraty.

Później został on duchownym kościoła episkopalnego i posługiwał jako kapelan w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej[40], następnie zaś, w wieku, w którym większość przedstawicieli najbardziej pokojowych nawet profesji decyduje się przejść na emeryturę, został

---

39 Otis Glazebrook (1846(?) -1931) – amerykański dyplomata, pełniący w czasie wizyty Chestertona funkcję konsula USA w Jerozolimie, o raczej antysyjonistycznym nastawieniu.

40 Wojna między Hiszpanią a USA, która miała miejsce w 1898 roku; jej wynikiem było utracenie przez Hiszpanię posiadłości na Pacyfiku oraz na Karaibach.

wysłany przez prezydenta Wilsona na owo wieczyste pole bitwy, jakim jest Palestyna. Wspaniałe rzeczy, których dokonał tutaj dla ochrony amerykańskich i brytyjskich obywateli są interesujące głównie ze względu na to, iż rzucają sporo światła na nieziemski chaos minionych rządów tureckich. Z jego doświadczeń wyłania się bowiem taki element owych rządów, o którym prawdopodobnie, wobec popularnych wizji dostojnych książąt i mężnych wojowników Wschodu, nader łatwo zapominamy, coś bardziej nawet tyrańskiego, niż tępy upór prusactwa. Chodzi mi tutaj o najbardziej nieludzką ze wszystkich możliwych tortur – tę, która nazywa się „kaprys”. Wyczuwamy go w owych arabskich opowieściach, w których nikt nie wie, czy sułtan jest dobry, czy zły i w których uszczęśliwia on tego samego wezyra albo tysiącem funtów albo tysiącem batów. Słyszałem, jak dr Glazebrook opisywał trwające cały dzień, odrażające wahanie, w związku z którym jeńcom wojennym, za którymi się wstawiał, cztery razy pozwolono wejść na mający ich zabrać statek i cztery razy zawrócono do więzienia. Jest w tym coś nie tylko mrocznego, ale i oszałamiającego, jakiś wir wodny w samym sercu Azji; i coś straszniejszego nad najgorsze nawet z naszych rodzimych nadużyć w przerażającym położeniu tych wszystkich ludzi, którzy, wznosząc w górę oczy, widzieli tylko przerastającą wszystko potęgę azjatyckiego oręża, i których wszystkie nadzieje zawisły na cienkim włosku chwiejnego umysłu maniaka. Tyran ostatecznie puścił ich

wolno, nie kryjąc, że robi to tylko ze względu na sentyment do białych włosów konsula oraz ów dziwny szacunek, jakim wielu muzułmanów darzy duchownych wszystkich religii. Przynajmniej jeden raz jednak, chybotliwy głaz barbarzyńskiego panowania omal nie spadł na niego i nie pozbawił życia. W nagłym wybryku bezprawia tureckie władze wojskowe posłały doń domagając się wydania im brytyjskich dokumentów, pozostawionych pod jego pieczą. Odmówił; i wiedział, co robi. Jego nieustępliwości nie da się porównać nawet do nieustępliwości siostry Cavell[41], która przeciwstawiła się zorganizowanym Prusom, potępianym przez całą zorganizowaną Europę. On przeciwstawiał się raczej zbójcom w ich jaskini, większość zaś z owych zbójców nie słyszała absolutnie nic o łamanym przez nich prawie międzynarodowym. Ostatecznie, wiedzeni kolejnym, nienormalnym porywem życzliwości, zostawili go i jego papiery w spokoju; niemniej starszy pan musiał czekać całe dnie pełen wątpliwości, nie wiedząc, co się dalej stanie – ponieważ oni sami tego nie wiedzieli. Nie wiem, co wtedy myślał, i czy myślami

41 Edyta Cavell (1865-1915) – angielska pielęgniarka, wsławiona tym, że pracując w Belgii podczas I Wojny Światowej udzielała pomocy rannym wszystkich stron. W 1915 roku pomogła około 200 żołnierzom Ententy w ucieczce z niemieckiej niewoli, za co została aresztowana, osądzona i skazana na śmierć. Pomimo międzynarodowych protestów, została rozstrzelana 12 października tego samego roku. Święta wspólnoty anglikańskiej.

swoimi był daleko od Palestyny i wszystkich możliwych scenariuszy, w których tyrania powróciłaby i zapanowała już na zawsze. Czasami jednak wyobrażam sobie, że w owej upiornej ciszy mógł on słyszeć ponownie tylko grzmot artylerii generała Lee i zgiełk ostatniej bitwy w dziczy[42].

Jeżeli jednak wspominając o amerykańskim konsulu dotykamy ledwie problemów minionych, wspominając o gubernatorze wojskowym z całą pewnością dotykamy problemów czasu obecnego. W tym momencie szkicuję zaledwie jerozolimskie frakcje takimi, jakimi pierwszy raz ujrzałem je w teraźniejszości; i trzeba pamiętać, że moja ówczesna teraźniejszość należy już do przeszłości. Wszystko to działo się przed ostatnią zamianą rządu wojskowego na cywilny, samo niemniej nazwisko pułkownika Storrsa[43] podnosi kwestię, której, w stosunku do samej tej zmiany, raczej się dzisiaj nie rozumie. Wielu naszych dziennikarzy, szczególnie w ostatnich i najgorszych

---

42 Bitwa w dziczy – bitwa między oddziałami Północy i Południa podczas wojny secesyjnej, która miała miejsce w gęstym lesie za rzeką Rapidan w Wirginii, w dniach 5-6 maja 1864. Siłami Południa dowodził generał Lee, Północy natomiast – generał Ulisses Grant.

43 Sir Ronald Storrs (1881-1955) – angielski żołnierz i urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kolonii; gubernator wojskowy Jerozolimy, a także gubernator cywilny Cypru i Rodezji Północnej. W swojej polityce starał się zarówno wspierać syjonistów, jak ochraniać społeczności arabskie.

dniach zamieszek, pisało takie rzeczy, jakby miała to być zamiana sztywnego militaryzmu na politykę liberalną, przypominającą niemal rządy parlamentarne. Uważam to za błąd, i to błąd wcale częsty w dziennikarstwie, będącym rzekomo bardzo na bieżąco, faktycznie zaś: nieprawdopodobnie zacofanym. W rzeczywistości, podobne myślenie jest cofnięte o około cztery lata, ponieważ opiera się na starych kategoriach niewielkiej armii zawodowców. Pułkownik Storrs to ostatni człowiek, którego można by nazwać militarystą, w wąskim sensie tego słowa; to szczególnie liberalny i oświecony typ angielskiego gentlemana, który wiernie służył swojej ojczyźnie na wojnie, lecz który raczej szczególnie nadaje się do służenia jej w dziedzinie literatury i polityki. Rzecz jasna, wielu ściśle zawodowych żołnierzy obdarzonych jest liberalnym i artystycznym gustem; taki generał O'Shea, jeden z autorów naszego zwycięstwa w Palestynie, ma bardzo dobry gust poetycki, pułkownik Popham zaś, zastępca gubernatora Jerozolimy, znakomite wyczucie w sprawach malarstwa. Niemniej jakkolwiek dziwne jest zapominać, że większość żołnierzy to normalni mężczyźni, obecnie czymś jeszcze dziwniejszym jest zapominać, że większość mężczyzn to żołnierze. Nie sądzę, aby znalazło się teraz na świecie wiele instytucji bardziej reprezentatywnych, niż armia brytyjska; na pewno zaś, jest ona bardziej reprezentatywna, niż brytyjski parlament. Nikt z ludzi

pracujących pod zwierzchnictwem generała Bolsa[44] w siedzibie władz na Górze Oliwnej, których poznałem, a których wspominam tutaj z tak wielką wdzięcznością, nie wykazywał żadnego z ograniczeń typowych dla zawodowych żołnierzy, a wprost przeciwnie – jeśli już, to dało się dojrzeć w ich zachowaniu ograniczenia typowe dla bardzo różnych zawodów. Jednym z nich był bardzo bystry i obdarzony świetnym poczuciem humoru prawnik, zatrudniony w związku z problemami z legalnym statusem nieprzyjacielskiej własności, drugim – młody nauczyciel, z radykalnymi i jasno sprecyzowanymi ideami, czy raczej ideałami, powszechnej edukacji, dostępnej dla wszystkich ludów Palestyny. Ludzie owi nie przestali być sobą tylko dlatego, że wszyscy nosili mundury w kolorze khaki; jeżeli zaś pułkownik Storrs pojawia się w tych wspomnieniach jako pierwszy, to nie dlatego, że dorobił się w swoim wojskowym rzemiośle rangi pułkownika, ale dlatego, że stanowi on typ człowieka, który mógłby wypowiadać się równie trafnie na temat każdego z tych rzemiosł – i jeszcze jakichś dwudziestu innych. Przypadkowo zupełnie, i tytułem przykładu, mógłby wypowiadać się o nich w około dziesięciu językach. Krąży tu

---

44 Sir Ludwik Bols (1867-1920) – brytyjski generał-major. Służył głównie w koloniach. Podczas I Wojny Światowej został przeniesiony na front w Europie. Później dostał się do niemieckiej niewoli, z której udało mu się zbiec. W czasie wizyty Chestertona kierował brytyjską administracją wojskową w Palestynie.

pewna anegdota – prawdziwa czy nie, na pewno bardzo typowa – według której jeden z przywódców ruchu syjonistycznego wygłaszał kiedyś patriotyczne przemówienie po hebrajsku i przerwał na moment, aby przypomnieć sobie jakiś element tego wskrzeszonego niedawno języka narodowego; wobec czego gubernator Jerozolimy skończył to przemówienie za niego, oczywiście również po hebrajsku, czy wszakże ze skutkiem odpowiadającym pierwotnej intencji autora – niegrzecznie byłoby dopytywać. To typ człowieka bardziej przypominającego, ze swoim zamiłowaniem do dowcipu i klasycznego wykształcenia, osiemnastowiecznego arystokratę; jeden z przedstawicieli owej niewielkiej grupy spośród klasy rządzącej, do której należy także jego stryj, Harry Cust[45], i która to ubogaciła świat szlachetną kulturą osobistą Jerzego Wyndhama[46]. Czysto mechaniczna zamiana rządu militarnego na cywilny nadałaby podobnym postaciom sztywność nielegalnego sądu wojskowego. I nawet ci, którzy się z nim nie zgadzali, w praktyce oskarżali go nie o militarystyczny brak współczucia w stosunku do

45 Harry Cyst (1861-1917) – angielski polityk i wydawca, członek Partii Konserwatywnej; bardzo aktywny patriotycznie podczas I Wojny Światowej.

46 Jerzy Wyndham (1863-1913) – angielski polityk konserwatywny, imperialista, Główny Sekretarz Irlandii w latach 1900-1905. Autor reformy uwłaszczeniowej z roku 1903, zwolennik samostanowienia Irlandii w ramach Imperium Brytyjskiego.

tych, którymi rządził, ale o zbyt wybujałe współczucie w stosunku do części z nich. Czytać angielskie gazety po rozeznaniu się, przynajmniej minimalnym, w tych sprawach, to zajęcie samo w sobie wystarczająco zabawne; wspomniałem tutaj jednak o tej kwestii tylko z tego powodu, że podobne nieokrzesane rozróżnienie niesie ze sobą także prawdziwe niebezpieczeństwo. Czymś groźnym byłoby zastąpienie rządu wojskowego w formie, ale reprezentatywnego w rzeczywistości, rządem reprezentatywnym w formie, ale w rzeczywistości – finansowym. Tego właśnie boją się Arabowie, a także wielu Anglików; wspominając zaś o strachu, dochodzimy do następnej warstwy społecznej po urzędnikach. Trzeba pamiętać, że w tym momencie owych grup nie osądzam – wyłącznie szkicuję je bardzo pośpiesznie, jak postaci i stroje widziane na ulicy.

Grupa znajdująca się najbliżej urzędników, to syjoniści; o których zazwyczaj mniema się, iż zajmują jakieś miejsce przynajmniej w oficjalnej naszej polityce. Pośród nich również, szczęśliwy jestem, że mogę to powiedzieć, mam przyjaciół; i mogę ośmielić się nazwać oficjalnego zwierzchnika syjonizmu nawet starym przyjacielem, i to w związku z kwestią od samego syjonizmu dosyć zgoła odległej. Dr

Eder[47], przewodniczący Komisji Syjonistycznej[48], to człowiek, do którego nabrałem najgłębszego szacunku dawno już temu, kiedy protestował on, jako zawodowy lekarz, przeciwko oddaniu biednych pod nadzór medyczny, niszczący ostatecznie wszelką niezależność moralną. Z bardzo dobrym skutkiem krytykował te projekty legislatorów, które miały im dawać prawo do porywania dzieci wszystkich podejrzanych o tępotę umysłową, której sami w swoich tępych umysłach nie potrafili zdefiniować. Broniono jej, jakże charakterystycznie, mieszaniną odwołań do precedensów i postępu; i wmawiano nam, że jedynym jej skutkiem będzie zwiększenie zakresu obowiązywania ustaw o chorobach psychicznych; to znaczy, rozciągnięcie ich także na tych, których żaden zdrowy na umyśle człowiek nie nazwałby psychicznie chorymi. To coś takiego, jakby chcieć zamienić w prawie o kwarantannie wyraz „trędowaty" na wyraz „blondyn"; potem zaś powtarzać bez emocji, że ogólna zasada

47 Dawid Eder (1861-1936) – żydowski psychoanalityk i lekarz, działacz syjonistyczny. Podczas I Wojny Światowej wstąpił do armii brytyjskiej i służył jako psycholog wojskowy w randze kapitana. W roku 1932 został wybrany na przewodniczącego Brytyjskiego Towarzystwa Psychologicznego. W kwestiach politycznych nastawiony bardzo radykalnie, wykluczał wszelką możliwość równego traktowania ludności arabskiej.

48 Komisja Syjonistyczna – utworzona w 1918 roku komisja brytyjska, w skład której wchodzili żydowscy syjoniści z różnych krajów, mająca zbadać możliwości utworzenia w Palestynie państwa Izrael.

pozostała ta sama. Pogodne usposobienie i ludzkie współczucie żydowskiego lekarza były nam szczególnie miłe w czasie, kiedy sami oskarżani byliśmy o antysemityzm, po wszystkim zapytaliśmy zaś doktora Edera o jego osobistą opinię na temat problemu żydowskiego. Okazało się, że był on w tamtym czasie zagorzałym syjonistą; i działo się to na długo zanim zyskał jakąkolwiek szansę na przywództwo w ruchu syjonistycznym. Wypadek ów jest natomiast bardzo istotny; potwierdza on bowiem szczerość małej grupki pierwszych syjonistów, sprzyjających temu narodowemu ideałowi w momencie, w którym wszyscy międzynarodowi żydowscy milionerzy byli mu przeciwni. Na mój gust, obecnie najważniejszym argumentem przeciw niemu jest fakt, że wszyscy ci milionerzy go popierają. W tym miejscu wszakże wolałbym się na ten temat nie rozwodzić, i pozostać myślami wyłącznie przy ludziach takich jak doktor Eder i doktor Weizmann[49], i – bez wątpienia – bardzo wielu innych. Jedyny mankament, o którym należy tutaj wspomnieć, to pewna przesadna czujność i zazdrość, oraz źle rozumiana konsekwencja, często stanowiąca przyczynę niepopularności autentycznych syjonistów wśród tych Anglików, którzy sami narażają się na niepopularność za udzielanie im poparcia. Ponieważ mimo iż nazywa się mnie

49 Chaim Weizmann (1874-1952) – żydowski chemik, przewodniczący Komisji Syjonistycznej, dwukrotny przewodniczący Światowej Organizacji Syjonistycznej oraz pierwszy prezydent Izraela.

antysemitą, naprawdę zdarzały się takie momenty, w których byłem niemalże jedynym filosemitą w całym towarzystwie. Gdy przychodziły, moja aktywność sprowadzała się zasadniczo do wyjaśniania różnym ludziom, w oczach Arabów na ogół uchodzącym za niewolników syjonistycznego spisku, dlaczego syjoniści naprawdę mogą mieć rację.

Charakterystyczną grupą antysemitów arabskich również można się teraz zainteresować, lecz tylko bardzo pobieżnie; jako iż problem ten jako taki, to kwestia na dalsze strony niniejszej książki; i jedyna rzecz, którą należy tutaj o niej powiedzieć, jest bardzo prosta. Nigdy się jej nie spodziewałem – i nawet teraz nie w pełni ją rozumiem. Niemniej faktem jest, iż rodzimi muzułmanie mają nastawienie bardziej antysemickie od rodzimych chrześcijan. Obydwie te grupy w mniejszym lub większym stopniu są antysemickie; wobec czego zawiązały nawet coś w rodzaju sojuszu. Napis na jednym z niesionych przez tłum transparentów głosił: „Muzułmanie i chrześcijanie są braćmi”. To tak, jakby maleńki klin syjonizmu zatkał wszystkie pęknięcia, które zostały po krucjatach.

O uczestniczących w tej spółce tłumach chrześcijan oraz doktrynach, które z taką dumą dziedziczą, wspomniałem już coś-niecoś jakiś czas wcześniej; warto jednak zauważyć, że umieściłem je poza miejscem

słusznie przysługującym im w porządku uwarstwienia historii. Zbyt często zapomina się, że w tych krajach kultura chrześcijańska jest starsza od muzułmańskiej. Ja w każdym razie żałuję, że Arabowie zerwali stary Pax Romana; i twierdzę, że na dłuższą metę więcej było życia w bizantyjskim upadku, niż w tej semickiej odnowie. Dodam zaś jeszcze to, czego nie mogę na tym miejscu rozwinąć ani bronić; że na dłuższą metę najlepiej byłoby, gdyby Pax Romana powrócił; i że przynajmniej zwierzchność polityczna nad tymi ziemiami będzie musiała być chrześcijańska, nie muzułmańska zaś, ani nie żydowska. Bronić tej tezy, to bronić pewnej filozofii; uważam jednak, że da się znaleźć w owej filozofii, pomimo wszystko, co mówi się o jej przeszłych nadużyciach, możliwość zrozumienia i wieloaspektowe poczucie solidarności, których brak w ciasnej zaciekłości tak Araba, jak Żyda. Chrześcijaństwo to w tym trójkącie naprawdę kąt prosty, dwa pozostałe zaś – to kąty rzeczywiście bardzo ostre.

Niemniej z tych wieców, które zamieniły się potem w zamieszki, pamiętam głównie bardziej muzułmańską część owych różnorodnych tłumów; co wskazuje na tę samą prawdę: że to chrześcijanie są potencjalnie bardziej tolerancyjni. Wielu wszakże z przywódców muzułmańskich to ludzie dokładnie tak godni i po prostu ludzcy, jak przywódcy syjonistyczni; nie mogę sobie wyobrazić, aby taki człowiek, jak wielki mufti, mógł kiedykolwiek

kogoś obrazić lub samemu stać się przedmiotem obelgi. Muzułmański burmistrz Jerozolimy to kolejna tego typu osoba, również należąca, o ile mi wiadomo, do jednego z arabskich rodów arystokratycznych (wielki mufti to potomek Mahometa), tego zaś co zrobił na pierwszym z niespokojnych wieców, na którym miałem okazję się znaleźć, nie zapomnę do końca życia. Jego uczynek opiszę tutaj jako pierwsze z dwóch ostatnich wrażeń, którymi zakończę niniejszy rozdział – obawiam się, że na zupełnie niemal anarchiczną nutę nieludzkiego dudnienia i ryku wschodnich gongów i rogów, należących do zwalczających się zaciekle, dwóch wielkich religii pustyni.

Najpierw ujrzałem z hotelowego balkonu tłum rozgorączkowanych demonstrantów przetaczający się w górę ulicy. Na ich czele znajdowały się dwie fantastyczne postaci, z których każda obracała się niczym bąk w jakimś niekończącym się tańcu i wywijała zakrzywionym, nagim sejmitarem, w taki sposób, w jaki Irlandczycy podobno wywijają maczugami shillelagh[50]. Pomyślałem, że to cudowna metoda otwarcia spotkania politycznego; i żałowałem, że nie możemy tego robić u siebie, na początku wyborów

50 Rodzaj irlandzkiej maczugi lub laski, wykonanej zazwyczaj ze śliwy lub dębu, zakończonej masywną gałką u samej góry.

powszechnych. Bardzo chciałbym, aby pan Bonar Law[51] i pan Lloyd George[52], zamiast, jak to jest w zwyczaju, oficjalnie otwierać zebranie i zwracać się do wszystkich zgromadzonych, wyłącznie podskakiwali i baraszkowali na przedzie wielkiej procesji, kręcąc się w kółko i w kółko aż do zawrotów głowy oraz energicznymi wymachami rąk krzyżując ze sobą na tysiąc niedostrzegalnych sposobów parę parasoli. Niemniej ten specyficzny rodzaj politycznej manifestacji (czy tylko politycznego marketingu), jakkolwiek inteligentniejszy od naszych rodzimych zabiegów, miał także, jak gotów jestem sądzić, drugie dno. Powiedziano mi, że pokaz taki stanowił częsty wstęp do zwykłych uroczystości, takich jak choćby śluby; i niewątpliwie jest pozostałością po jakimś starożytnym tańcu natury religijnej. Niemniej mogę sobie wyobrazić, że ludziom o bardziej racjonalnym guście mogłaby ona wydawać się nieco za bardzo religijna w swojej wymowie. Mogę sobie wyobrazić, że ci dwaj roztańczeni ludzie to tak naprawdę wirujący derwisze, których głowy obracają się w kółko w sensie bardziej irracjonalnym, niż ciała. Mogę sobie wyobrazić, że w niektórych wypadkach pod jej wpływem dusza

---

51 Andrzej Bonar Law (1858-1923) – angielski polityk konserwatywny i premier Wielkiej Brytanii w latach 1922-1923. Urodzony w Kanadzie: jak dotąd jedyny brytyjski premier, pochodzący spoza Wysp Brytyjskich.

52 Lloyd George (1858-1945) – angielski polityk liberalny i ostatni premier Wielkiej Brytanii (w latach 1916-1922) z ramienia Partii Liberalnej.

może wpaść w to, co metaforycznie nazwałem azjatyckim wirem, albo trąbą powietrzną świata smaganego uderzeniami szaleńczej monotonii; cyklonem wieczności. Nie jest to ten rodzaj rytmu ani ten rodzaj religii, przy pomocy którego osobiście miałbym nadzieję zbawić swoją duszę; niemniej jest to także rzecz nadzwyczaj wprost interesująca dla oka, zszedłem więc na dół i wbiłem się w tę gęstą i kłębiącą się prasę. Przelewała się ona przez szersze miejsce w okolicy bramy, gdzie różni ludzie wspinali się na latarnie miejskie aby wyrykiwać swoje przemówienia, szczególnie często zaś – mocnym i donośnym głosem recytować narodową poezję; z prawdziwie przejmującym skutkiem, przynajmniej w przypadku kogoś, kto nie rozumiał ani słowa z tego, co się tam mówiło. Emocje osiągnęły już poziom manifestujący się zazwyczaj w strącaniu Żydom kapeluszy z głów oraz innych, popularnych formach rozrywki, niemniej podobne hece zdarzały się jeszcze raczej sporadyczne; widziałem kilku staroświeckich Żydów, pomarszczonych i z loczkami po bokach głowy, rozglądających się ciekawie tu i tam; niektórzy mówili, że to szpiedzy i agenci syjonizmu, wysłani celem odebrania zgromadzeniu antysemickiego charakteru. Sądzę jednak, że to mało prawdopodobne; zwłaszcza, że raczej trudno byłoby go odebrać. Myślę, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że owi archaiczni Żydzi to byli tak naprawdę poniekąd rozbawieni i niepozbawieni zrozumienia widzowie; jako iż problem

syjonistyczny komplikuje dodatkowo prawdziwy spór, toczący się w getcie odnośnie syjonizmu. Starzy, religijni Żydzi nie witają nowych, nacjonalistycznych Żydów, z otwartymi ramionami; niekiedy nie byłoby przesadą powiedzieć, że jedna ze stron opowiada się tutaj za religią bez narodu, druga zaś – za narodem pozbawionym religii. Podobnie jak starzy, arabscy rolnicy nienawidzą syjonistów, ponieważ mają ich za narzędzia nowego, grabieżczego biznesu Zachodu z całą jego pozbawioną skrupułów praktyką; tak też i starzy, żydowscy handlarze, pedantyczni ale gorliwie religijni, nienawidzą syjonistów, ponieważ mają ich za narzędzia nowego, zachodniego ateizmu z całym jego przeklętym wolnomyślicielstwem. Obawiam się tylko, że kiedy rozpętuje się burza, zmiata ona podobnie delikatne rozróżnienia z powierzchni ziemi.

Na pewno zaś zbiera się na burzę. Za Bramą Jafy droga wznosi się stromo w górę i zostaje rozdzielona na dwoje przez klin wysokiego budynku, tak wąskiego jak wieża i sterczącego ostro niczym dziób statku. Jest coś niemal teatralnego w jego położeniu i wyglądzie, jego jednym oknie z wysokimi zasłonami oraz balkonie, z wystającym zeń czymś w rodzaju kija lub drzewca sztandaru; jako iż miejsce to ma charakter raczej urzędowy, niż municypalny. Tłum falował wokół niego, ze swymi pieśniami, wierszami i namiętną retoryką przechodzącymi jakby w crescendo, aż nagle zasłona okienna

podniosła się niczym kurtyna w teatrze i oczom naszym ukazał się czerwony fez i wysoka postać muzułmańskiego burmistrza Jerozolimy.

Nie rozumiałem jego wygłaszanych po arabsku obserwacji; potrafię jednak rozpoznać sytuację, w której jakiś człowiek uspokaja tłum – tłum zaś naprawdę stał się spokojniejszy. Było tak, jakby burza wzmagała się całą noc, aby stopniowo przeminąć o szarym poranku; nieustannie słychać wszakże jeszcze pomruki jej grzmotów. Chodzi mi tutaj o to, że wszelkie wybuchy gniewu mają swoją przyczynę w dwóch skrajnościach dwóch wielkich, semickich tradycji monoteizmu; z pewnością zaś nie w pierwszym rzędzie w działaniach owych biednych chrześcijan Wschodu, z których fanatyzmu nauczono nas się naśmiewać. Od czasu do czasu zdarzają się przebłyski szczytowej formy wschodniego fanatyzmu, dla zachodniego usposobienia niemal wprost potworne. Wydaje się, jakby pod ich ciosami kruszyła się gładka, wierzchnia warstwa godności arabskiej arystokracji i kultury osobistej z wyższej szkoły syjonizmu, odsłaniając ową wulkaniczną substancję, z której ulepione są orientalne religie. Jednego dnia wędruje z ręki do ręki radykalna odezwa żydowska, denuncjująca jakąś grupę nielojalnych Żydów, którzy nie chcą się uczyć hebrajskiego; wzywająca lekarzy, aby pozwolili im umrzeć i szpitale, aby pozwoliły im zgnić, brzęcząca

tym samym, niemożliwym do pomylenia akcentem, z którym wzywano kiedyś ludzi do roztrzaskania swoich dzieci o skały. Innego dnia całe miasto zostałoby oblepione plakatami napisanymi po damasceńsku, informującymi Żydów, którzy przybyli szukać w Palestynie swojej narodowej siedziby, że znajdą w niej najwyżej swój narodowy cmentarz. I kiedy okrzyki te zderzają się ze sobą, przypomina to szczęk tych dwóch, zakrzywionych wschodnich mieczy, które krzyżowały się ze sobą i rozłączały, obracając się niczym płonące koła na przedzie maszerującego tłumu.

Poczułem w pełni wagę tego problemu, kiedy po raz pierwszy przespacerowałem się po całym terenie rejonu Haram, dziedzińcach starej świątyni, gdzie wieże muezinów wznoszą się obecnie na każdym rogu, i usłyszałem czyste głosy, wzywające muzułmanów na modlitwę. Niebo było ciężkie od burzy, która później zmieniła się w burzę śniegową; i działo się to w czasie, w którym starzy Żydzi opłakują, tłukąc w nie rękoma, to, co uważają za ostatnie kamienie ich świątyni. W moim umyśle, dostrojonym do tego wszystkiego i pozostającym pod dużym wrażeniem ciasnych granic i stromych zboczy tej górskiej platformy, zaczął się jakiś ruch; ponieważ kryzys da się tutaj wyczuć nie tylko w płomienności ideałów, ale w samym kształcie rzeczywistości, rzeczywistości, od której niniejszy rozdział się zaczął. Jej brzemię zaś, to brzemię Palestyny; ciasnota przestrzeni

i uwarstwienie skał. Zdawało się, że jakiś głos – nie mojego rozumu raczej, ale wybrzmiewający ciężko w moim sercu, powtarzał różne zdania na kształt jakichś pesymistycznych przypowieści. Nie ma miejsca dla Świątyni Salomona poza ruiną meczetu Omara. Nie ma miejsca dla narodu żydowskiego poza krajem Arabów. Szepty te przyszły zaś do mnie z początku nie jako intelektualne konkluzje na temat okoliczności całej sprawy, co do których mam znacznie więcej nadziei i będę miał jeszcze znacznie więcej do powiedzenia; ale raczej jako znaki czegoś bezsprzecznie realnego i bezsprzecznie złowrogiego, a jednak – pozostającego pewną tajemnicą. Poczułem niemalże przelotny impuls ucieczki, jak ktoś, kto zobaczył omen. Ponieważ oto dwa głosy spotkały się w moich uszach; i w obrębie tego samego ciasnego miejsca, tej samej, mrocznej godziny, pełnej napięcia a jednak zaćmionej przez chmury, posłyszałem Islam wołający z wieży i Izrael zanoszący się płaczem u podnóża muru.

Rozdział VII: Cień problemu

Podróżnik dostrzega setki chaotycznie posplatanych ze sobą gałęzi drzewa na długo zanim znajdzie się na tyle blisko, by mógł dostrzec jeden, prosty pień; zazwyczaj widzi on chaotyczne lub ciągnące się bez końca przedmieścia danego miasta zanim zdoła zobaczyć jego świątynię lub rynek. Do tej pory zapisywałem tylko wrażenia najbardziej różnorodnych rzeczy tak, jak się one pojawiły, w chronologicznym, nie zaś logicznym, porządku; pierwszą przelotną wizję islamu przypominającego w pewien sposób morze, mającego coś zarówno z równości, jak i pustki, a także majestatu fioletowej tafli pustynnych piasków; pierwszy, ostry zarys Jerozolimy, wznoszącej, niczym Góra św. Michała, ponad wody tego muzułmańskiego potopu skalistą grań z koroną wież, zbudowanych przez krzyżowców; kalejdoskop ulic, z delikatną ledwie sugestią co do heraldycznego znaczenia kolorów; czysto osobiste wrażenie co do kilku ważnych postaci, które zdarzyło mi się spotkać jako pierwsze i jak najbardziej nieśmiałą sugestię co do grup, które reprezentowały. Póki co, nie uporządkowałem nawet swoich pierwszych wrażeń dotyczących tego miejsca; cóż dopiero powiedzieć o porządkowaniu miejsca jako takiego?

W każdym razie zacznijmy od tego, że w kwestii owego porządkowania bardzo łatwo wpaść w niepotrzebny pośpiech. Zostało to już stwierdzone w bardziej oczywistym przypadku całej tej sztuki religijnej, wszystkich tych płaskich i złoconych ikon, od których aż świecą się tutejsze kościoły, a które tak bardzo dezorientują biednych turystów. Wielu ludzi odniosło tutaj takie wrażenie, jakby znaleźli się w miejscu tak zatłoczonym jak galeria obrazów i tak daremnym jak lamus, wyłącznie z tego względu, że nie zdarzyło im dowiedzieć się, co właściwie jest tutaj wartościowe, przede wszystkim zaś – co się tutaj ocenia jako wartościowe. Ormianin czy Syryjczyk mógłby opisać swoją wizytę w Anglii, mówiąc, że nie dbamy w ogóle o bohaterów naszej marynarki wojennej i zostawiamy ich pamięć najgorszym mętom pospólstwa, jako iż wszystkie obrazy Benbowa[53] i Nelsona, jakie widział, malowane były na drewnie przez najbardziej nieokrzesanych i niekompetentnych artystów. Być może nie w pełni doceniłby subtelny ślad statusu społecznego i użyteczności, jaki da się odnaleźć w szynkarskim herbie. Mógłby nie zdać sobie sprawy, że wizerunek Nelsona można powiesić u nas wysoko dosłownie wszędzie, ponieważ jego reputacja również wszędzie jest wysoka, nie zaś dlatego, że jest ona niska; że ów strasznie zły portret stanowi tak

53 Jan Benbow (1653-1702) – angielski admirał marynarki wojennej. Brał udział w wojnie palatynackiej i wojnie o sukcesję hiszpańską.

naprawdę dowód nienaruszalności jego dobrego imienia. Niemniej zbyt prędki reformator łatwo przeoczyć może nawet prostą i powierzchowną paralelę między drewnianymi wizerunkami admirałów i drewnianymi wizerunkami aniołów. W jeszcze mniejszym stopniu doceni on ową atmosferę duchowego napięcia, która decyduje o prawdziwej różnicy pomiędzy ikoną a herbem zajazdu i sprawia, że wszystkie zajazdy Anglii, jakkolwiek szlachetne i narodowe, w porównaniu jawią się być może jako ślady dawnego chrześcijańskiego miłosierdzia – na pewno jednak nie żywej chrześcijańskiej wiary. Z ledwością potrafi uwierzyć, że Syryjczycy mogą w takim samym stopniu przepadać za religią, jak Anglicy za piwem.

Nikt, kto nie czuje choć odrobiny sympatii do siły owej mistycznej idei przekształcania najpodlejszych i najbardziej trywialnych przedmiotów przy pomocy pewnego rodzaju magii, nie będzie umiał oddać sprawiedliwości miejscowym kultom. Łatwo jest gadać o powierzchownym przypisywaniu znaczeń patykom i kamieniom, niemniej na przypisywaniu znaczeń patykom i kamieniom zasadza się cała poezja życia; i to nie tylko owym wielkim patykom, które nazywamy drzewami i owym wielkim kamieniom, którym nadajemy nazwę gór. Cokolwiek, co przydaje patykom naszych własnych mebli lub kamieniom na naszym własnym podwórku, nawet tylko na

zasadzie „światła odbitego” lub pośrednio, cechę boskości, to rzecz korzystna dla ogólnej godności życia; to zaś często uzyskuje się dzięki poświęceniu pewnej sprawie zwykłych i określonych rzeczy. W każdym razie powinniśmy przynajmniej chcieć, aby *sacrum* przemieniało sobą *profanum,* nie zaś *profanum* odbierało czar *sacrum*; i to właśnie wędrujący po murach tego górskiego miasta prorok głosił ludowi jak ujrzał w widzeniu, że wszystkie misy powinny być jak czasze przed ołtarzem, wszystkie zaś kotły Jeruzalem winny mieć na sobie wypisane „Święty” na cześć Pana.

Tak czy inaczej, to przejęcie się rzeczami trywialnymi nie zawsze jest rozumiane. Kilku całkiem empatycznych Anglików opowiedziało mi jako zwyczajną, śmieszną anegdotkę (i niech mnie Bóg broni, bym zaprzeczał, że rzeczywiście jest ona śmieszna) historię tego, jak Ormianie, czy jacyś inni ludzie tego rodzaju, dostali pozwolenie, aby przymocować do należącego do Greków filara kilka lampek przy użyciu gwoździa, następnie zaś wpadli w niejaki popłoch po tym, jak Grecy ów gwóźdź umyli; stanowiło to rodzaj symbolicznego przypieczętowania faktu, że gwóźdź ich bezpowrotnie przeszedł w ręce wroga. Wydaje nam się dziwne, że zwykły gwóźdź może być aż tak cenny lub do tego stopnia pobudzać wyobraźnię. A jednak, dla ludzi mieszkających tak blisko Kalwarii nawet gwoździe nie są czymś zupełnie zwyczajnym.

Wszystkie te sprawy, dotyczące przyzwoitej zwłoki oraz szacunku do religii, a nawet przesądów, stanowią oczywistość i zostały już omówione. Niemniej zanim przejdziemy do czegoś innego, możemy zauważyć, że ten sam argument działa także w druga stronę; chodzi mi o to, że nie bardziej powinniśmy narzucać innym nasze zdanie na temat tego, co jest poetyczne, niż tego, co jest praktyczne. Esteta czasami ma więcej z wandala niż autentyczny wandal. Proponowany projekt przebudowy Jeruzalem ogólnie rzecz biorąc cechował się rozsądkiem i dobrą wolą; niemniej z działaniami, czy mógłbym nawet powiedzieć: dziwactwami, tego typu antykwariusza, który śpieszy się bardziej od anarchisty, zawsze wiąże się pewne niebezpieczeństwo. Jeżeli ludzie mieszkający w podobnym miejscu buntują się przeciwko swoim własnym ograniczeniom, musimy darzyć ich bunt rozsądnym szacunkiem i zachowywać cierpliwość nawet do ich niecierpliwości.

To ich miasto; to oni muszą w nim żyć, a nie my. Na tej samej zasadzie, na jakiej tylko oni mogą być sędziami w sprawie, czy jego antyki są naprawdę antykwaryczne, tylko oni mogą być sędziami w sprawie, czy potencjalne jego unowocześnienia są naprawdę konieczne. Jak parokrotnie zwróciłem uwagę w rozmowach z moimi przyjaciółmi w Jerozolimie – czulibyśmy się mocno poirytowani,

gdyby jacyś estetycznie usposobieni podróżnicy z Azji tak samo szarogęsili się w Londynie. Czymś wystarczająco złym byłoby, gdyby zaproponowali przeprowadzenie wykopalisk w dzielnicy Pimlico albo Paddington, nie przejmując się przy tym zanadto mieszkającymi tam ludźmi; byłoby jednak czymś jeszcze gorszym, gdyby zdecydowali się uwolnić ich od nędznego utylitaryzmu mostu Chelsea czy stacji kolejowej Paddington. Załóżmy, że jakiś elokwentny abisyński chrześcijanin zatrzymywałby, ze wzniesioną do góry dłonią, autobusy jadące po Fleet Street, uzasadniając to tym, że arteria owa została uroczyście konsekrowana w celu upamiętnienia prostszych środków lokomocji, z których korzystał doktor Samuel Johnson[54]. Cieszylibyśmy się zapewne, że ów Afrykańczyk szanuje doktora Johnsona; jednak nasza przyjemność nie byłaby tak zupełnie czysta. Załóżmy, że w momencie, w którym ty lub ja wchodzilibyśmy właśnie do taksówki, jakiś łatwo wpadający w podniecenie Kopt wyskoczyłby na nas zza latarni i zaczął nas zaklinać, abyśmy ocalili od zniszczenia byt starego powozu lub dorożki, zwanej gondolą Londynu. Uznaję i doceniam poetycki wymiar dwukółki; uznaję i doceniam osobowość owego prawdziwego woźnicy starego czterokołowca, na którego przytłaczającą męskość

54 Samuel Johnson (1709-84) – angielski pisarz, i leksykograf, eseista, autor słynnego słownika języka angielskiego. Jeden z ulubionych pisarzy GKC.

spływało cokolwiek z kolosalnej tradycji Antka Wellera[55]. Nie jestem jednak tak pewny, jak bym chciał, że w podobnym momencie osobowość owego Kopta również stałaby się dla mnie źródłem radości. Z tych właśnie powodów wydaje mi się czymś naprawdę pożądanym, a przynajmniej uzasadnionym, odwlec w czasie jakąkolwiek przedwczesną rekonstrukcję rzeczy spornych i rozpocząć niniejszą książkę jak zwykły zeszyt czy szkicownik z opisami rzeczy takich, jakimi rzeczywiście są, a w każdym razie – na pewno takich, jakimi się jawią. Rzeczy owe zaś pojawiały się przede mną właśnie w takim nieregularnym porządku i w sposób tak nielogicznie dysproporcjonalny – i trochę czasu upłynęło, zanim zdołałem zdobyć się na jakąś względnie sensowną generalizację, która wprowadziłaby do moich chaotycznych doświadczeń przynajmniej trochę struktury. Dostrzegłem, że poszczególne stronnictwa się ze sobą nie zgadzają i, do pewnego stopnia, także dlaczego się one ze sobą nie zgadzają, na długo zanim mogłem na poważnie zastanowić się, co do czego byłyby one skłonne się zgodzić. Ograniczyłem więc pierwszą część tej książki wyłącznie do opisu, do prostego szeregowania wrażeń, przestudiowanie problemu zaś i próbę znalezienia rozwiązania zostawiłem sobie na część drugą. Pomiędzy nie wrzuciłem natomiast jeszcze coś w rodzaju szkicu na

---

55 Jeden z bohaterów *Klubu Pickwicka* Dickensa.

temat tego, co wydawało mi się najistotniejszymi wydarzeniami historycznymi, które uczyniły ów problem tym, czym jest. Co do nich powiem tutaj tyle tylko, że, niezależnie, czy to kwestia zbiegu okoliczności czy jakiejś głębszej przyczyny, osobiście mam wrażenie, że studium ich stanowi wypadek, w którym pierwsza myśl naprawdę jest najlepsza; i że pewne późniejsze dociekania historyczne utwierdziły mnie tylko w przekonaniu o prawdziwości moich pierwotnych intuicji, nawet jeśli z początku wydawały mi się zaledwie jakimś rodzajem wizji. Mógłbym niemalże powiedzieć, że zakochałem się w Jerozolimie od pierwszego wejrzenia; i że wrażenie ostateczne, słusznie czy niesłusznie, utrwaliło w mej wyobraźni jedynie ową przelotną fantazję, która kazała mi widzieć w zalegającym w mieście śniegu białą koronę betlejemskiej niewiasty.

Jest jednak jeszcze inna przyczyna, dla której wystarczy mi póki co ten zwykły chaos kontrastów. Istnieje bardzo realny powód, aby owe kontrasty uwydatniać – i aby zwalczać pokusę odwrócenia od nich wzroku, którą budzi w nas samo tylko rozważanie ich kontrastowości. Bezwzględnie należy upierać się, że kontrasty niełatwo zamienią się w kombinacje; że czerwone szaty Rzymu i zielone szale islamu nie zleją się łatwo w spłowiałą brunatność; że będzie potrzeba bardzo, bardzo gorącego pieca, aby w jakikolwiek

sposób stopić ze sobą złoto Bizancjum i mosiądz Babilonu. Powód tego stanu rzeczy jest bardzo podobny do tego, co mówiło się do tej pory o Jerozolimie jako węźle różnych rzeczywistości. To przede wszystkim węzeł rzeczywistości ludowych. Pomimo że to tak niewielkie miejsce, a raczej dlatego, że to tak niewielkie miejsce, stanowi ono dziedzinę i dziedzictwo mas. Demokracja nigdy nie jest tak do końca demokratyczna, o ile nie jest także bezpośrednia; nigdy zaś nie jest ona tak do końca bezpośrednia, o ile nie jest także mała. W momencie, w którym motłoch staje się na tyle duży, aby mieć delegatów, staje się on na tyle duży, aby mieć despotów; i istotnie, despoci często mają z tego duetu bardziej reprezentatywny charakter. W miejscu tak małym jak Jerozolima, ci, których nazywamy „członkami szeregowymi", naprawdę się liczą. I, ogólnie mówiąc, rzeczywiście, szczególnie w kwestiach religii, z prawdziwym entuzjazmem, a nawet fanatyzmem, można się zetknąć właśnie wśród szeregowców. We wszystkich głębokich religiach, to zawsze biedni są najbardziej religijni, bogaci zaś – najbardziej religijnie obojętni. Na pewno jest tak w przypadku przekonań i racji, które zderzają się ze sobą w Jeruzalem. Liczny lud żydowski całego świata przywitał deklarację pana Balfoura[56] czymś

56 Deklaracja Balfoura – list wysłany w 1917 roku przez lorda Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych do barona Rothschilda, zwierzchnika brytyjskiej

w rodzaju plemiennego tryumfu – tak, jak mógł przywitać w przeszłości moment, w którym perscy zdobywcy przecięli więzy jego babilońskiej niewoli. To raczej plutokratyczni książęta żydostwa długo wahali się i ociągali z udzieleniem poparcia syjonizmowi. Masy mahometan naprawdę gotowe są wchodzić w najrozliczniejsze sojusze przeciwko syjonistom, na podobnej zasadzie, na jakiej sprzymierzali się kiedyś przeciwko krzyżowcom. To raczej odpowiedzialni mahometańscy przywódcy w naturalny sposób prezentują bardziej wyważone i dyplomatyczne nastawienie. Ów ludowy duch może przybierać formy dobre i złe; motłoch może wykrzykiwać bardzo wiele różnych rzeczy, słusznych i niesłusznych. Niemniej motłoch krzyczy: „Przecz z papiestwem!”; a nie: „Nie tak wiele papiestwa!” albo, tym mniej, „Papiestwo tylko w umiarkowanych ilościach!”. Woła on: „Niech żyje Gladstone!”, nie zaś: „Niech zacznie się stopniowy i ewolucyjny rozwój społeczny ku ideałowi uosabianemu w jakiś sposób przez pana Gladstone’a!”. Prawdopodobnie miałby on niejakie trudności z wykrzyczeniem podobnego hasła; i dokładnie takie same trudności miałby on z wykrzyczeniem wszystkich owych wysublimowanych formuł na temat nacjonalizmu, internacjonalizmu i solidarności klasowej. Żadna gawiedź świata nie byłaby w stanie wrzeszczeć na całe gardło

---

społeczności żydowskiej, stanowiący deklarację poparcia dla planu utworzenia w Palestynie państwa żydowskiego.

kolektywistycznej maksymy o „nacjonalizacji wszystkich środków produkcji, dystrybucji i wymiany dóbr”. Jerozolimski tłum nie stanowi od tej reguły żadnego wyjątku, ale raczej jej bardzo skrajny przykład. Jerozolimski tłum krzyczał w swoim czasie rzeczy zupełnie niezwykłe; nie były one jednak ani równie intelektualnie pretensjonalne, ani równie wymijające. Zdarzył się taki dzień, w którym krzyczał jedno ledwie słowo: „Ukrzyżuj!”. Słowo to zaćmiło słońce i rozdarło zasłonę świątyni; nikt nie miał jednak wątpliwości, co właściwie oznacza.

Żyjemy w epoce mniejszości; mniejszości potężnych i dominujących, częściowo ze względu na potęgę pieniądza, częściowo ze względu na bałwochwalczy kult edukacji. Ich moc objawiła się podczas Wielkiej Wojny, kiedy członkowie małej grupki pacyfistów i internacjonalistów, w każdym kraju stanowiący mniejszość mikroskopijnych rozmiarów, nieustannie figurowali wszędzie jako dyplomaci, mediatorzy i osobistości, od których nastawienia zależeć mogą wielkie rzeczy. Ludzie podobni panu Macdonaldowi[57], który nie

---

57 Prawdopodobnie Jakub MacDonald (1866-1937) – angielski polityk i członek partii Pracy, pierwszy premier Wielkiej Brytanii z jej ramienia (był premierem łącznie trzy razy, w latach: 1924, 1929-31 i 1931-35, jako przewodniczący Rządu Narodowego). Przeciwnik zaangażowania Wielkiej Brytanii w pierwszą Wojnę Światową.

był ani robotnikiem, ani formalnym czy realnym reprezentantem robotników, stali na samym środku sceny, w świetle reflektorów; miliony prawdziwych robotników zaś, którzy pracowali i walczyli na froncie, widziano tylko kątem oka – i z tego względu wyglądali oni jak mgła. Na tej samej zasadzie, na jakiej działalność podobnych postaci może podsunąć komuś przedziwną myśl o „moralnej jedności" mas walczących za różne sztandary i kraje, działalność innych zgoła postaci może skłonić kogoś do równie – o ile nie bardziej – osobliwej wiary w „moralną jedność" mas wyznających różne religie. Istnieją już muzułmanie, którzy są modernistami; wśród Żydów od zawsze istniała klasa panująca o światopoglądzie materialistycznym. Być może w wypadku znacznej części sporów filozoficznych w Europie dałoby się powiedzieć, że wielu Żydów ma skłonność do materializmu, wszyscy jednak bez wyjątku skłaniają się ku monizmowi, najlepsi zaś z nich: ku monizmowi rozumianemu jako monoteizm. Najgorsi z nich są materialistami w sensie znacznie bardziej prostackim, a ich motywacje różnią się bardzo od suchego idealizmu ludzi pokroju pana Macdonalda, prawdopodobnie na swój sposób wystarczająco szczerego. Niezależnie jednak od kierujących nimi motywów, mediatorzy ci wszędzie przerzucają nad przepaściami rozdzielającymi od siebie różne religie, podobnie jak nad przepaściami rozdzielającymi od siebie różne kraje, wygodne mosty. Wszędzie nad zaangażowaną większość wynoszą oni obojętną

mniejszość. Podobnie jak pasowałby im kongres międzynarodowy, w którym uczestniczyliby zdrajcy wszystkich narodów świata, z chęcią zwołaliby sobór ekumeniczny, w którym uczestniczyliby heretycy wszystkich istniejących religii.

Poczciwi konstytucjonaliści z naszej własnej ojczyzny bardzo często dyskutują na temat możliwości wypracowania jakiejś metody tak zwanej „ochrony mniejszości". Jeżeli uda im się znaleźć przy okazji jakąkolwiek możliwą metodę ochrony większości, osiągną rzecz praktycznie współczesnemu światu w ogóle nieznaną. Większość zawsze znajduje się w niekorzystnym położeniu; większość trudno idealizować, ponieważ trudno ją sobie wyobrazić. Mniejszość tymczasem prawie zawsze jest idealizowana, czasami przez tych, którzy się jej wysługują, w każdym wypadku: przez samą siebie. Niemniej moje osobiste sympatie, wyznaję otwarcie, prawie zawsze są po stronie owej bezsilnej, a czasami nawet niewidzialnej, większości. I sympatie moje, jeżeli mówimy o rzeczach wykraczających poza obszar mojej własnej wiary, są także po stronie wszystkich ubogich Żydów, którzy autentycznie wyznają judaizm i wszystkich mahometan, którzy naprawdę wyznają mahometanizm, nie wspominając nawet o owym tak mało znanym plemieniu jak chrześcijanie, którzy naprawdę wyznają chrześcijaństwo. Czuję, że mam znacznie więcej wspólnego z tymi ludźmi, a nawet

z wyznawanymi przez nich z religiami, niż ze zbiorem owych wyniosłych negacji, składających się na większą część tego, co nazywa się u nas „oświeceniem”. Powinniśmy pamiętać o owych masach dosłownie wszędzie; szczególnie jednak powinniśmy pamiętać o nich w Jerozolimie. Przyczyna leży tutaj w rzeczywistości, którą zdążyłem już wcześniej opisać; w tym, że miejsce to podobne jest do greckiego polis albo średniowiecznej parafii; że jest ono na tyle małe i proste, aby mogło być demokracją. To nie uniwersyteckie miasto filozofów; to Syjon tysiąca bitew, wrzący od życia religijnego; to nie miejsce, w którym można przegłosowywać i poprawiać rezolucje – to miejsce, w którym koronuje się królów i krzyżuje proroków.

Jest jedna rzecz, którą powszechnie ignoruje się w całym naszym gadaniu na temat auto-determinacji; mianowicie – determinacja. Znacznie większa różnica, niż między większością wniosków i poprawek, zachodzi między rzeczami, nad którymi demokracja może głosować, a rzeczami, co do których jest zdeterminowana. Można by urządzić głosowanie, w którym Żydzi, muzułmanie i chrześcijanie będą mogli zdecydować, czy latarnie miejskie powinno się malować na zielono lub portrety polityków – malować w ogóle, i nawet ich zupełna jednomyślność mogłaby świadczyć tutaj wyłącznie o zupełnej obojętności. Tak też mają się sprawy

z większością tego, co nazywa się u nas auto-determinacją; niemniej nie ma w tym ani krzty auto-determinacji. Lud nie jest zdeterminowany. W wypadku, w którym lud jest zdeterminowany, nie można urządzić głosowania. Można tylko zaakceptować jego wynik – albo coś znacznie bardziej od wyniku głosowania oczywistego.

Może być i tak, że w Jeruzalem nie ma jednego ludu, ale raczej ze trzy albo cztery; niemniej każdy z nich to naprawdę lud, z własną opinią publiczną, własną flagą i prawie że, jak już nadmieniłem, własnym pograniczem. To nie kwestia namówienia miękkich i niestałych wyborców, aby w głosowaniu do parlamentu, w którym wszystko jest niejasne, dla odmiany opowiedzieli się za przedstawicielem drugiej partii, aby jeszcze raz wybierali pomiędzy dwoma dokładnie tak samo wyglądającymi gentlemanami, którzy różnią się od siebie wyłącznie opinią na temat jakiejś sprawy, o której nikt nic nie wie lub o którą nikt nie dba. To kwestia kontrastów, które prawie na pewno pozostaną kontrastami, chyba że w przyszłości będzie miało miejsce coś w rodzaju duchowego potopu konwersji, rzecz z natury swojej nie do przewidzenia i na pewno nie do narzucenia. Nie możemy podporządkować tych ludzi zasadom naszej religii – ponieważ takowej nie posiadamy. Możemy podporządkować ich naszej władzy – i jeśli rzeczywiście musimy to zrobić, oczywistym warunkiem jest

tutaj – podobnie jak w wypadku rzymskiego panowania z ery przedchrześcijańskiej lub angielskiej zwierzchności w Indiach – zachowanie bezstronności, nawet jeżeli oznaczałaby ona areligijność. Z tego właśnie powodu, z premedytacją zapisywałem do tej pory wyłącznie pierwsze wrażenia podróżnika w obcym kraju. Bo pierwszy warunek naszego bezpieczeństwa stanowi dostrzeżenie, że to naprawdę obcy kraj; i nasze pierwsze, wstępne ryzyko: wpadnięcie w nawyk myślenia o nim jako o kraju znajomym. Poukładanie faktów w sposób, który sprawia, że wydają się one zupełnie pozbawione związku, nie przynosi żadnej szkody. Bo pierwszy ze wszystkich faktów jest właśnie taki, że tego związku nie ma. I pierwsze ze wszystkich grożących nam niebezpieczeństw stanowi zgoda na to, aby jakieś międzynarodowe nonsensy lub dziennikarska paplanina zaczęły nam sugerować, że związek taki istnieje – podczas gdy go nie ma. Żadnej szkody, w każdym razie nie na początku, nie przynosi pokazanie pewnych różnic jako niemożliwych do przezwyciężenia. Ponieważ pierwszy i najbardziej egzotyczny fakt, z jakim Anglicy muszą się tutaj oswoić, jest taki, że różnice naprawdę mogą być nie do przezwyciężenia. I znów, największe zagrożenie stanowi to, iż dadzą się oni przekonać, że czysto werbalne kompromisy polityczne Zachodu mogą je przezwyciężyć; że podobne otchłanie da się zasypać śmieciem, a mosty nad podobnymi rozpadlinami – zbudować z pajęczyny. Jako iż wypracowaliśmy w Anglii coś w rodzaju

kompromisu, który do pewnego momentu rzeczywiście mógł się u nas sprawdzać; choć nawet w Anglii da się już dostrzec sygnały wskazujące na to, że moment ten właśnie nastał, albo wręcz – że minął. W każdym jednak wypadku, możemy żyć z tym kompromisem tylko dzięki temu, dzięki czemu możemy również żyć bez poboru; ponieważ zbieg okoliczności sprawił, że jesteśmy odizolowani i prowincjonalni. Tak więc w Indiach, których ludy traktowaliśmy jako różne zarówno od nas, jak i od siebie nawzajem, odnieśliśmy przynajmniej częściowy sukces. I tak w Irlandii, gdzie próbowaliśmy sprawić, aby zgadzały się one zarówno ze sobą nawzajem, jak i z nami, sprokurowaliśmy jeden wielki, niekończący się koszmar.

Nie w większym stopniu możemy podporządkować świat angielskiemu kompromisowi, co angielskiemu klimatowi; obie z tych rzeczy zaś, to kwestie nieogarnionej umysłem mgły i półmroku. Przyzwyczailiśmy się do nadawania różnym rzeczom błędnych nazw i wspierania ich błędnymi argumentami; a nawet – do czynienia rzeczy słusznych w niesłusznej sprawie. Mamy rządy partyjne, złożone z ludzi, którzy udają zgodę tam, gdzie tak naprawdę się nie zgadzają. Mamy partyjne debaty, których uczestnicy udają, że nie zgadzają się ze sobą tam, gdzie panuje między nimi pełna zgoda. Mamy całe partie polityczne, nazwane od spraw, których już nie wspierają albo od projektów, o wniesieniu których nawet by się im

nie śniło. Mamy całą masę pozbawionych znaczenia, parlamentarnych ceremonii, które nie są już nawet symboliczne; zasadę, zgodnie z którą parlamentarzysta ma okręg wyborczy, ale nie ma nazwiska; albo zasadę, według której, aby przestać być posłem, trzeba zacząć być ministrem. Wszystko to prostym ludziom, modlącym się w jerozolimskich kapliczkach, wydałoby się najbardziej zabobonną i bałwochwalczą maskaradą. Można uważać to, co mówią, za fantazję, to zaś, w co wierzą – za fanatyzm, niemniej nie mówią oni jednej rzeczy, mając na myśli drugą. Grek może mieć rację albo jej nie mieć, kiedy mieni się być prawosławnym, niemniej naprawdę uważa się za prawo-sławnego; w sensie zgoła odmiennym od tego, w którym ktoś popierający nowe ustawy o samostanowieniu Irlandii uważa się za unionistę. Muzułmanin zdelegalizowałby cuchnącą urynę alkoholu, z tego względu, że jest muzułmaninem. Nie jest on jednak tak zidiociały, aby głosić, że pragnie ją zdelegalizować, ponieważ jest liberałem i gorącym zwolennikiem stronnictwa wolności. Istotnie, nawet w Anglii okaże się na ogół, że terminy teologiczne są poniekąd jaśniejsze i bardziej racjonalne od pojęć używanych w polityce i nauce popularnej. Człowiek ma przynajmniej bardziej logiczne pojęcie tego, o co mu chodzi, gdy nazywa siebie anglokatolikiem, niż gdy nazywa siebie Anglosasem. Lecz stary Żyd z wiszącymi po bokach głowy kędziorkami, powłóczący nogami w drodze od jednego z czarnych straganów Jerozolimy do drugiego,

nigdy nie zniżyłby się do mówienia, że jest synem czegoś takiego jak rasa anglosaska. Nie mówi on, że jest synem rasy aramejsko-semickiej. Mówi, że jest synem rasy wybranej, wyprowadzonej wśród gromów, cudów i wielkich bitew z ziemi egipskiej i z domu niewoli. Innymi słowy, mówi on coś, w czym naprawdę o coś chodzi – i o co jemu samemu chodzi, kiedy to mówi. Jeden z białych dominikanów czy brązowych franciszkanów z wielkich klasztorów Miasta Świętego może mieć rację albo jej nie mieć, utrzymując, że papiestwo jest konieczne dla jedności chrześcijaństwa. Niemniej nie spędza on życia na udowadnianiu, że papiestwo nie jest papiestwem, na tej zasadzie, na jakiej wielu naszych liberalnych konstytucjonalistów spędza je na udowadnianiu, że monarchia nie jest monarchią. Greccy księża poświęcają godzinę temu, co sceptykowi wydaje się bezsensownymi formalnościami przygotowań do Mszy świętej. Niemniej nie poświęciliby oni temu ani minuty, gdyby sami byli sceptykami i uważali owe formalności za bezsensowne – tak jak większość współczesnych ludzi uważa za bezsensowne formalności związane z obowiązkami obserwatora królewskiego w Izbie Lordów[58] czy przepisami niepozwalającymi gościom wychodzić poza

58 Oryg. *Gentleman Usher of the Black Rod* – urzędnik pracujący w parlamencie brytyjskim, w Izbie Lordów, zajmujący się nadzorem nad budynkami, służbami i bezpieczeństwem Pałacu Westminsterskiego.

określony teren w trakcie obrad parlamentu[59]. Byliby znacznie mniej rytualistyczni od nas, gdyby dbali o Mszę tak mało, jak my o laskę marszałkowską. W związku z tym należy uświadomić sobie, że owi nieuprzejmi i prości czciciele oddający się chyba wszystkim możliwym odmianom czci, rzeczywiście niepomiernie dziwiliby się wszystkim tańcom rytualnym i wymyślnej, ceremonialnej błazenadzie Jana Bulla[60], podobnie jak owym zabobonnym formułom i nadprzyrodzonym niemal inkantacjom, które nazywamy dzisiaj prostą angielszczyzną.

Zakładam, że zachowaliśmy jeszcze dosyć zdrowego rozsądku, aby nie chcieć przeszczepiać tych skomplikowanych konwencji i kompromisów do kraju podobnie bezwzględnej logiki i podobnie brutalnych podziałów. Możemy mieć nadzieję odtworzyć w nim nasze prawa – nie chcemy wszakże odtworzyć w nim naszych fikcji

---

59 W oryginale mowa o tzw. *Bar of the House*: znaku, wyznaczającym a parlamencie angielskim linię, za którą nie wolno przechodzić gościom w trakcie obrad jednej z dwóch Izb; obecnie w Izbie Gmin jest to po prostu biała linia, wyrysowana na podłodze, w Izbie Lordów zaś – metalowa rurka.

60 Postać literacka, stworzona w 1712 roku przez szkockiego pisarza, Jana Arbuthnota; stanowi personifikację Wielkiej Brytanii. Zazwyczaj przedstawiany jest jako przysadzisty, rzeczowy i nieco grubiański mężczyzna w średnim wieku. W czasach Rewolucji Francuskiej często zestawiany w angielskich karykaturach jako pozytywna antyteza chudych i antypatycznych sankiulotów.

prawnych. Nie chcemy przecież naciskać na wszystkich, aby zwracali się do tego albo tamtego polityka jako do „honorowego członka komisji do spraw Oazy Walleh”[61]; z tego względu, że aby zrzec się mandatu nasi posłowie muszą zacząć pełnić funkcję zarządcy Chiltern Hundreds[62], nie będziemy upierać się, że palestyńscy urzędnicy, aby złożyć rezygnację, powinni być zobowiązani zacząć pełnić funkcję zarządcy jakiegoś określonego przez niezwykle skomplikowane podziały administracyjne skrawka Moabu. A jednak, na znacznie bardziej subtelne i niebezpieczne sposoby, popełniamy dokładnie tego typu błędy. Przenosimy fikcje, a nawet hipokryzje, naszych własnych, zaściankowych instytucji z miejsca, w którym mogą być one tolerowane, do miejsca, w którym zostaną rozerwane na strzępy. Ograniczyłem się do tej pory do opisywania, zamiast

---

61 Oryg. *Waddy Walleh* – tłumaczenie prawdopodobne.

62 Aluzja do angielskiego zwyczaju, wedle którego poseł do parlamentu, jeżeli chciał zrzec się swojego mandatu, musiał zostać na chwilę „zarządcą” tzw. *Chiltern hundreds,* czyli trzech małych okręgów administracyjnych w okolicach wzgórz Chiltern. Wynikało to z faktu, że angielskie prawo nie uwzględniało możliwości rezygnacji z funkcji posła, z drugiej zaś strony – automatycznie pozbawiało parlamentarzystę jego godności w wypadku, w którym w czasie pełnienia swojego mandatu zajmował jakieś stanowisko w państwowej administracji i pobierał związane z nim wynagrodzenie. Wobec wszystkiego w długim procesie dziejowym wypracowano takie właśnie rozwiązanie. Funkcja „zarządcy” była zwykłą synekurą, a cała sprawa – jak widać – jednym wielkim dziwactwem, co też zapewne stało się przyczyną Chestertonowskich żartów.

krytykowania, do określania elementów problemu, zamiast proponowania rozwiązań; ponieważ sądzę, że bardziej zagraża nam niedocenienie trudności niż rozwlekłość opisów; że ze zbytnią łatwością przyjdzie nam zaprzeczać istnieniu trudności, raczej niż przesadnie krytykować rozwiązanie. Chciałbym jednak zakończyć ten rozdział jedną praktyczną krytyką, która – jak mi się wydaje – wynika wprost z tego wszystkiego, co powiedziało się do tej pory o naszych fikcjach prawnych i lokalnych anomaliach. Nasz rząd zrobił jedną przynajmniej rzecz, pozostającą w jak najlepszej zgodzie z rytualną rutyną naszego własnego parlamentu. To parlament Pooh-Bah, w którym każdy może być Wysokim Lordem Wszystkiego Innego[63]. To parlament Alicji w Krainie Czarów, w którym dana rzecz ma inną nazwę, niż się nazywa, a nawet – niż nazywa się nazwa tej rzeczy. Śmiercią i zniszczeniem jest wystawiać owe fikcje na słońce obcego kraju, w świetle którego będą one wyglądać jak rzeczy, a nie teorie. I wiedząc to wszystko, nie potrafię zrozumieć przyczyny, a nawet znaczenia, faktu, że jako przedstawiciela Wielkiej Brytanii

63 Postaci z komicznej opery Williama Gilberta i Artura Sullivana, pt. *Mikado; w* oryginale to Wielki Pooh-Bah miał tytuł Wysokiego Lorda itd. Określenie to weszło do potocznej angielszczyzny i oznacza kogoś, kto pełni obiektywnie niezbyt ważną funkcję, niemniej „nadrabia” jej nieistotność formalnym blichtrem.

w Palestynie wysłaliśmy nie kogo innego, tylko właśnie Herberta Samuela[64].

Słyszałem, jak popierano tę decyzję jako interesujący eksperyment syjonistyczny. Słyszałem też, jak potępiano ją jako tchórzliwe ustępstwo na rzecz syjonizmu. Osobiście uważam ją za rzecz z syjonizmem zupełnie i brutalnie sprzeczną. Syjonizm, na ile zawsze go rozumiałem – i, istotnie, na ile zawsze stawałem w jego obronie – sprowadza się do przekonania, że lepiej dla wszystkich stron byłoby, gdyby Izrael posiadał godność i indywidualną odpowiedzialność odrębnego narodu; tę zaś powinno się mu zapewnić, jeżeli to możliwe, czy może raczej: na tyle, na ile to tylko możliwe, darowując Żydom własną, narodową siedzibę, najlepiej w Palestynie. Gdzie znajduje się wszakże narodowa siedziba pana Herberta Samuela? Jeżeli

64 Sir Herbert Samuel (1870-1963) – angielski Żyd, pochodzący z rodziny bankierskiej, polityk Partii Liberalnej, minister w rządzie Herberta Asquitha (z przerwami 1908-1916) i Jakuba MacDonalda (1931-32). W wieku 22 lat, jako student Oksfordu, wyrzekł się judaizmu, nie przestał jednak przestrzegać rytualnych przepisów tej religii dotyczących obchodzenia szabatu i koszerności jedzenia (jak mówił, „ze względów higienicznych”) i pozostał członkiem społeczności żydowskiej. W latach 1920-25 pełnił, z ramienia Imperium Brytyjskiego, obowiązki Wysokiego Komisarza Palestyny. Do jego obowiązków należało m.in. ubieganie się na forum Ligi Narodów o brytyjskie zwierzchnictwo na terytorium tego kraju. Jego nominacja spotkała się z ogromnymi protestami społeczności arabskiej.

w Palestynie, nie może on pojechać do tego kraju jako przedstawiciel Anglii. Jeżeli zaś w Anglii, to póki co stanowi on żywy dowód na to, że Żyd nie potrzebuje narodowej siedziby w Palestynie. Jeżeli w syjonistycznych argumentach jest jakikolwiek sens, wybraliście dokładnie nie tego człowieka, co trzeba i wysłaliście go dokładnie nie do tego kraju, do którego trzeba było go wysłać. Potwierdziliście nie niepodległość, ale niesuwerenność Izraela, usprawiedliwiając przy tym jednak także najgorsze insynuacje co do niesuwerenności świata chrześcijańskiego. Logicznie biorąc, nie mogliście bardziej przekonująco dowieść, że Palestyna nie należy do Żydów, niż wysyłając Żyda, aby rościł do niej pretensje w imieniu Anglików. A jednak, w praktyce, wszyscy antysemici w oczywisty sposób powiedzą, że rości on do niej pretensje w imieniu Żydów. Łączycie ze sobą wszystkie możliwe wady wszystkich możliwych kierunków działania; akceptujecie całe ryzyko groźnej, syjonistycznej przygody, odrzucając w istocie wzniosły ideał syjonizmu. Zmuszacie Żyda, aby twierdził, że nie jest Żydem, tylko Anglikiem; nawet gdy pozwalacie, aby wszyscy wrogowie lżyli go za to, że nie jest on Anglikiem, tylko Żydem.

Ten rodzaj konfuzji lub kompromisu jest natomiast tak lokalny, jak londyńska mgła. Londyńska mgła to rzecz w Londynie zupełnie do zniesienia – istotnie, sądzę, że w Londynie to rzecz nader przyjemna.

Jest coś pięknego w tym wszechogarniającym brązowym półmroku, podobnie jak w czystym niebie Orientu i Południa. Niemniej, czymś dla londyńczyka okrutnie wprost niebezpiecznym jest nosić ową mgłę ze sobą, w krystalicznie czystym powietrzu stromych grani Syjonu lub pod straszliwymi gwiazdami pustyni. W takich miejscach różnice widzi się z nienaturalną niemal jasnością i nadaje się rzeczom barbarzyńsko proste nazwy. W Anglii możemy rozważać wszystkie możliwe aspekty człowieka takiego, jak Herbert Samuel; możemy rozważać go jako liberała lub jako przyjaciela fabiańskich socjalistów, lub jako potomka jednego z wielkich rodów bankierskich, lub jako posła do parlamentu, który powinien reprezentować pewną grupę górników z Yorkshire, lub na dwadzieścia innych, mniej lub bardziej bezosobowych sposobów. Niemniej, ludność Palestyny dostrzeże zaledwie jeden z aspektów jego bogatej tożsamości – i będzie to rzeczywiście aspekt nader osobisty. Dla zagorzałych muzułmanów, będzie on po prostu Żydem; dla zagorzałych syjonistów zaś, nigdy nie będzie prawdziwym syjonistą. Dla nich będzie on zawsze tym typem Żyda, który chętnie pozostałby do końca życia w Londynie i gotów jest reprezentować politycznie Westminster. Jednocześnie, w oczach masy chrześcijan i muzułmanów, praktycznie potwierdzi on tylko fakt, którego stanowi teoretycznie żywe zaprzeczenie. Jego obecność nie dowiedzie tego, że Żydzi dostali prawo do rządzenia Palestyną – lecz tego ledwie, że

rządzą oni Anglią. Póki co w żaden sposób nie zajmuję się kwestią prawdziwości podobnego twierdzenia; podaję je tutaj wyłącznie jako przykład gwałtownych i niemożliwych do przewidzenia reakcji, jakie wywołamy, jeśli wetkniemy nasz własny irrealizm między rozgrzane do czerwoności realia Bliskiego Wschodu; to coś, jakby wpychać bałwana śniegowego do rozgrzanego pieca. Nie mam nic przeciwko bałwanom, jako elementom naszego rodzimego sposobu świętowania Bożego Narodzenia; jak już zdążyłem zasugerować, uważam podobne świętowanie za wielką chwałę angielskiego stylu życia. Widziałem wszakże, jak śnieg topił się w stromej okolicy Jeruzalem; i wiem, jak wielki wodospad mógłby się z tego zrobić.

Kiedy rozważałem o wszystkich tych rzeczach, z nagła opanował mnie wielki niepokój – i moje myśli znalazły się bardzo daleko do miejsca, w którym stałem. Jakby nie patrzeć, Anglicy nie folgowali sobie w podobnym mnożeniu stron konfliktu i gmatwaniu fałszywej tożsamości w wypadku owego niepowtarzalnego sukcesu, jaki odnieśli w Indiach. Mogli się mylić bądź nie, niemniej co do kwestii relacji hindusko-muzułmańskich zachowali prawdziwy realizm; nie twierdzili, że Hindusi w istocie są muzułmanami i nie wysłali wykształconego Hindusa z Oksfordu, aby w ich imieniu rządził społecznością islamską. Może i nie dbali tam o takie rzeczy, jak syjonistyczne ideały; rozumieli jednak zdrowy rozsądek syjonizmu,

potrzebę rozróżniania rzeczy zupełnie od siebie odmiennych. Przypomniałem sobie jednak także, że ostatnio ich takt zawodził nawet w kwestii ich największego sukcesu; i że każda godzina przynosiła coraz gorsze i straszniejsze wieści o jego porażce w Irlandii. Przypomniałem sobie, że na początku czasów wiktoriańskich, wbrew radom nielicznej grupy najmądrzejszych i najsubtelniejszych ludzi tej epoki, włączyliśmy się na trwałe w tryumfalny pochód przemysłowego kapitalizmu; i że pochód ów przeżywa obecnie kryzys, który równie dobrze może zamienić się w katastrofę. I że teraz, co istotniejsze, nasza piękna patriotyczna tradycja polityki zagranicznej zdawała się powielać wszystkie te irracjonalne i chaotyczne ruchy. Opanował mnie dziwny lęk; i bynajmniej nie o Ziemię Świętą zacząłem się lękać.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, podobny owemu nieracjonalnemu napięciu i ukłuciu zimna, pojawiającemu się, gdy ktoś znajdujący się daleko od domu wyobraża sobie, że jego dobytek spłonął lub że jego bliscy nie żyją. Przynajmniej przez jeden straszliwy moment zastanawiałem się, czy nie wyczerpaliśmy przypadkiem możliwości kompromisu i wygodnych nonsensów, i czy w końcu konsekwentna głupota Anglii nie runie pod własnym ciężarem, jak konsekwentna niegodziwość Prus; jako iż z Boga szydzi się tak samo lekceważeniem rozumu, jak lekceważeniem sprawiedliwości. I wyobraziłem sobie,

jak jerozolimskie tłumy odpowiadają mi tymi samymi, ostrymi słowami, które kiedyś skierowane zostały do nich; tak, że potężny głos wołający z przeszłości wzdłuż *Via Dolorosa* przetoczył się po mnie niczym grom z górskich grani; i że twarze tych wszystkich obcych ludzi zwrócone są dzisiaj przeciwko nam – i rozkazują nam płakać nie nad nimi, którzy mają wiarę, jasność i cel, ale raczej nad sobą i losem naszych dzieci.

Rozdział VIII: Druga strona pustyni

Chodziła w Jeruzalem pewna historia, tak prawdziwa, albo tak dobrze opowiedziana, że mam jej aktorów niemal przed oczami, niczym postaci w kolorowych kostiumach, stojące na oświetlonej scenie. Wydarzyła się ona w ostatnich dniach tureckiej okupacji, gdy angielskie wojska tkwiły jeszcze u bram Gazy, heroicznie znosząc trudy pustynnego boju. W garnizonie obecne były także elementy niemieckie i austriackie, choć trzej sojusznicy, jak się wydaje, w dziwny sposób unikali raczej swojego towarzystwa. Do grupy austriackiej należała pewna dama, która, niczym babka lorda Lundyego, „miała swą godność – tę lub ową”[65]. Była ona bardzo piękna, bardzo modna, nieco frywolna, lecz zdarzały się jej również ataki katolickiej pobożności. Posiadała pewne niezwykle cenne, chrześcijańskie cnoty, na przykład absolutne miłosierdzie dla ubogich oraz absolutną nienawiść do Prusaków. Była ona pielęgniarką; a także – istnym utrapieniem. Jednego dnia, gdy jechała samochodem tuż za Bramą Jafy, ujrzała nagle jedną z owych postaci, które sprawiają, że Miasto Święte przypomina wieczny kryzys fabularny z poematu epickiego. Człowiek taki wchodzi za mury w najkoszmarniejszych łachmanach w taki sposób, jak gdyby

---

65 Aluzja do żartobliwego wiersza Hilarego Belloca.

zaraz miał zostać koronowany na króla; z głową wzniesioną do góry, jak gdyby dopiero co ujrzał na niebie gwiazdy apokalipsy i z gestem, wobec którego wieże obronne Jerozolimy mogą runąć w proch. Ten konkretny człowiek był zaś obdarty ponad całą tę ruchomą stertę łachów; był tak posępny, jak szubienica, słowa zaś, które wypowiadał z rękami wzniesionymi ku niebu, ewidentnie stanowiły słowa przekleństwa. Dama owa spytała go, przez swojego niemieckiego służącego, którego również widzę w mojej wizji, z jego drewnianą twarzą i roztaczaną przezeń aurą, w której wciąż czuć ciężką obecność wszystkich heraldycznych godeł Świętego Imperium Rzymskiego, o sens tych osobliwych działań. Rzeczony ambasador powrócił uroczyście za czas niedługi i powiedział: „Wasza Najwyższa, Najjaśniejsza Dostojność (czy jakkolwiek to idzie), człowiek ów mówi, że przeklina Anglików”. Na tę odpowiedź zarówno litość, jak i patriotyzm, poruszyły się w jej wnętrznościach; w związku z czym jeszcze raz wysłała swojego plenipotenta w drogę, aby dowiedział się, z jakiej właściwie przyczyny osobnik ów przeklina Anglików, albo historia jakiej, angielskimi rękoma uczynionej niegodziwości bądź tragedii stoi za zamaszystymi gestami jego rozpaczy. Drewniany pośrednik wrócił za moment po raz drugi i rzekł: „Wasza Ekstatyczna Ekscelencjo (czy jakkolwiek brzmi poprawna forma), człowiek ów mówi, że przeklina Anglików, ponieważ jeszcze nie przyszli”.

Opowieść niniejsza ma wiele morałów, poza ogólną prawdą, o której zaświadcza; tą mianowicie, że panowanie tureckie nie cieszyło się wielką popularnością nawet wśród muzułmanów, niemiecka wojna zaś nie cieszyła się wielką popularnością nawet wśród Turków. Nawet jeżeli wziąć pod uwagę wszystkie dedukcje dotyczące patrioty jako strony w sporze, oraz tego, że przyjmuje on do wiadomości wyłącznie te informacje, które mu pasują, fakt pozostaje faktem, że angielską ofensywę powszechnie uważało się tutaj za ratunek raczej, niż agresję. I że w wielu wypadkach uskarżano się jedynie na to, że ratunek ów nie przyszedł prędko; że angielskie wojska musiały wycofać się z Gazy po tym, jak udało im się ją zająć i jeszcze długi czas później nie mogły kontynuować swojego marszu na Jerozolimę. Tego rodzaju krytyka operacji militarnych jest zawsze, rzecz oczywista, zupełnie bezwartościowa. W wypadku dziennikarzy jest ona także zazwyczaj zarówno bezwartościowa, jak i szkodliwa. Znaleźli się w Londynie ludzie, których pesymistyczne jojczenie było jeszcze mniej usprawiedliwione, niż jojczenie owego biednego Araba; którzy przeklinali Anglików samemu będąc Anglikami, którzy robili to, nie jak on, na oczach jednego obcokrajowca, ale na oczach całej międzynarodowej opinii publicznej; i którzy reklamowali ich porażkę w łachmanach poniekąd mniej godnych szacunku od jego łachmanów. Nikt, kto nie zna ogromnego mnóstwa technicznych i lokalnych szczegółów, ostatecznie dostępnych wyłącznie

działającym na miejscu akcji oficerom sztabowym, nie może wydawać sądów w kwestii takiej, jak zdobycie i utrata Gazy; to nie kwestia braku wody, ale dokładnej wielkości jej niedoborów; nie przybycia posiłków, ale dokładnej ich liczebności; nie tego, że czas nagli, ale tego, ile dokładnie go jest. Nie może wiedzieć takich rzeczy ktoś, kto zajmuje się wydawaniem gazety na drugim końcu świata; te właśnie rzeczy zaś, dla walczącego na miejscu żołnierza, stanowią o różnicy między skokiem przez barykadę a skokiem w przepaść. Nawet ta ostatnia sprawa, jak ochoczo potwierdzi zapewne filozoficzny relatywista, to tylko różnica stopnia. To wszystko to jednak zaledwie dygresja, jako iż cel, dla którego przywołałem tutaj powyższą anegdotę, jest zgoła zupełnie odmienny. Chodzi o kształt innej jeszcze, i poniekąd bardziej nieuchwytnej, prawdy; której wagę należy przynajmniej w jakimś-tam stopniu docenić, jeżeli chce się zrozumieć głębsze problemy, trapiące Palestynę. Można by ją wyrazić w następujący sposób; przysłowiową niemal sprawą jest to, że wschodnie metody działania wydają się nam powolne; że Arabowie wloką się po drodze na utrudzonych wielbłądach, podczas gdy Europejczycy mkną mimo na motorach czy jednopłatowcach. W innym jednak, dziwniejszym sensie, to my wydajemy się im powolni, a oni mniemają o sobie, że posiedli sekret prawdziwej szybkości. Wobec owego sensu, dotykamy samej granicy Kraju

Błyskawic[66]; za obrębem którego dostrzec można, niczym we śnie, samochód, wlokący swoje cielsko po ziemi, jakby był ślimakiem.

Powiedziałem już, że istnieje też druga strona pustyni; choć jest coś dziwnego w mówieniu o drugiej stronie rzeczy tak pustej, ogromnej i przytłaczająco oczywistej. Naprawdę jednak – istnieje także jej druga strona, oprócz owych ogromnych i nagich prawd, podobnych gigantycznym kościom, które odnaleźli na niej Arabowie; istnieje, by tak rzec, awers oczywistości. I aby zasugerować, o co mi właściwie chodzi, muszę raz kolejny wrócić na jej piaski oraz do owych dni, które na niej spędziłem, przewożony wozem od obozu do obozu i wygłaszający to, co w nader uprzejmy sposób określano mianem wykładów. Jedyne, co mogę na ten temat powiedzieć, to że jeżeli istotnie wygłaszałem wtedy wykłady, nie potrafię pojąć, dlaczego nie wszyscy imają się zajęcia wykładowcy. Być może tajemnica się już wydała; i oto pustynia usiana jest całym mrowiem ludzi, odzianych w stroje wieczorowe i przemierzających jej połacie w poszukiwaniu publiczności. Tak czy siak, podczas moich własnych wędrówek, znalazłem się pewnego razu w niewielkim domu komendanta obozu

66 Prawdopodobnie aluzja do himalajskiej prowincji na północ od Darjeeling, znajdującej się pod brytyjskim panowaniem kolonialnym.

w Kantarze[67], jedynym domostwie jak okiem sięgnął, aż po linię horyzontu; z wysokości zaś drewnianej balustrady i werandy, okalającej jego szczyt, zobaczyć można było ciągnące się przez dziewięć mil szeregi namiotów. Sydney Smith[68] powiedział kiedyś, że bulwiaste kopuły Brighton Pavilion wyglądają tak, jakby Katedra św. Pawła przyszła na to miejsce i zaczęła pączkować; i że długi rząd jego szarych stożków wziął się chyba z tego, że Wielka Piramida w Gizie rozmnożyła się stosownie do rozmachu naturalnej płodności śledzia. A jednak, nawet tak głupia fantazja miała swoją poważniejszą stronę; ponieważ mimo iż piramidy owe musiały przeminąć, ich plan stanowił jedno z najwspanialszych dzieł ludzkości; i królowie, którzy w nich mieszkali, byli żywi. Jako iż to był właśnie ów wielki obóz, stanowiący oś naszej największej kampanii wojennej; i stojąc wtedy na drewnianym balkonie domu komendanta widziałem coś historycznego – tym bardziej, że być może nikt już nigdy tego nie ujrzy. Gdy zapadł zmrok i księżyc jaśniał wysoko nad tym ogromnym miastem z płótna, wdałem się w rozmowę z trzema czy czterema oficerami obozowymi; szpakowatymi i trzeźwymi mężczyznami, przez których przemawiał dobitnie niezwykle interesujący i niemal

---

67 Wł. Al-Kantara – miasto w północno-wschodnim Egipcie, położone nad Kanałem Sueskim.

68 Prawdopodobnie: Sydney Smith (1771-1845) – angielski pisarz i humorysta, duchowny anglikański.

zupełnie bezbarwny zdrowy rozsądek żołnierza. Wszystko, co mówili, było obiektywne; człowiek odczuwał to tak, jak gdyby wszystko, o czymkolwiek wspominali, stanowiło nie tylko myśl, ale rzecz; taką, jak choćby słupek lub palma. Sądzę, że na tym właśnie opiera się w pewnym stopniu owa sympatia między Anglikami i muzułmanami, która mogła dopomóc nam trochę w Indiach oraz kilku innych miejscach. Jako iż oficerowie ci odwoływali się do wielu muzułmańskich przysłów i tradycji – dosyć lekko, niemniej bez cienia pogardy, szczególnie zaś do kolejnego z mających formę przypowieści proroctw o końcu tureckiego panowania. Mówili, jakoby stare powiedzenie głosiło, że Turek nie opuści Palestyny dopóki nie popłynie przez nią Nil; i to przynajmniej powiedzenie ewidentnie świadczyło o poczuciu dumy i bezpieczeństwa, jak wiele tego typu przysłów; to tak, jakby powiedzieć „dopóki morze nie wyschnie" albo „dopóki słońce nie wstanie na zachodzie". W tym momencie jeden z nich uśmiechnął się i gestem poprosił nas o milczenie. I oto w ciszy owej oświetlonej światłem księżyca sceny, posłyszeliśmy brzęk pracującej pompy. Wody Nilu płynęły przez pustynię w metalowych rurach.

I pomyślałem sobie, że symbol ten, pomimo wszystkie próżności, był bardzo udany; jako iż, istotnie, to jest właśnie owa wyjątkowego charakteru rzecz, którą chrześcijaństwo potrafi zrobić, o którą zaś

islam, pozostawiony sam sobie, prawie w ogóle by nie dbał. Na temat tej wody, która ostatecznie dotarła poprzez wzgórza do samego Jeruzalem, słyszałem jeszcze cokolwiek nieco później, kiedy osobiście poszedłem w jej ślady; i wszystko, co usłyszałem, świadczyło o tej właśnie prawdzie, w całej jej rozciągłości; o tym, że miejscowi mieli takie poczucie, jakby w naszej maszynerii było coś z magii, i to w większości – białej magii; poczucie istnienia bardziej solidnego rodzaju służby publicznej, związanego z Zachodem raczej, niż ze Wschodem. Powiadają, że kiedy fontanna trysnęła po raz pierwszy w górach Miasta Świętego, a ojciec Waggett pobłogosławił ją na użytek ludzi, stojący mimo, stary Arab skomentował ten fakt w prostym i sugestywnym stylu swojego ludu: „Turcy byli tutaj przez pięćset lat – i nigdy nie dali nam ani kubka zimnej wody”.

Owo minimum prawdy co do wiarygodności różnych starań Zachodu notuję tutaj w pierwszej kolejności ze względu na fakt, że ta sama rozmowa po dłuższym czasie skręciła także, by tak rzec, ku Wschodowi. Ci sami ludzie, którzy o wszystkich rzeczach mówili w taki sposób, jakby były to stoliki i krzesła, z pełnym spokojem zaczęli mówić o rzeczach bardziej zadziwiających nawet, niż wirowanie stolika i krzeseł na seansach spirytystycznych. Były one tak fantastyczne, jak gdyby woda przypłynęła do nich niczym jakiś rodzaj wiatru, bez najmniejszego udziału rur czy pomp; albo jak gdyby

ojciec Waggett wyprowadził ją ze skały uderzeniem laski, jak Mojżesz. Opowiadali jak pewien samotny żołnierz na jednym z końców przewodu telegraficznego, ciągnącego się przez wielkie pustkowie, dowiedział się o czymś, co w tym samym momencie wydarzyło się setki mil od miejsca, w którym przebywał, niedługo potem zaś – spotkał najzwyklejszego w świecie Beduina, który również już o tym wiedział. Opowiadali, jak całe plemiona migrowały z miejsca na miejsce ze względu na wieści, które nawet za pośrednictwem najlepszych kabli białego człowieka miały prawo dotrzeć do nich dopiero jakiś czas później. Nie dawali dla owych zjawisk żadnego wyjaśnienia; wiedzieli po prostu, że były one realne, podobnie jak drzewa palmowe i księżyc. Nie twierdzili, że to kwestia „telepatii"; byli zbyt mocno związani z rzeczywistością, aby twierdzić coś podobnego. Słowo to, które zapewne wskoczy zaraz na usta zdecydowanie zbyt wielu moich Czytelników, uderza mnie przede wszystkim jako świadectwo dwóch przejawów naszego nowoczesnego postępu; miłości do długich słów i zupełnego braku zdrowego rozsądku. Może i była to telepatia, cokolwiek to znaczy; niemniej człowiek, zadowalający się mówieniem o telepatii w taki sposób, jakby chodziło o telegrafię, musi być głupi niemal do nieprzytomności. Skoro wszyscy wiedzą, jak to działa, dlaczego tego nie robią? Dlaczego kulturalny duchowny z Kornwalii nie wymienia zazwyczaj w wolnym czasie jakichś niezobowiązujących

spostrzeżeń ze swoim starym przyjacielem, pracującym na uniwersytecie w Aberdeen? Dlaczego zapracowany agent handlowy w Barcelonie nie załatwia zawodowych sprawunków po prostu myśląc o swoim wspólniku z Berlina? W zgodzie ze zdrowym rozsądkiem powiedzielibyśmy, rzecz jasna, że nazwa nie robi tu żadnej różnicy; że tajemnica polega na tym, dlaczego niektórzy to potrafią, inni zaś – nie; i dlaczego wydaje się to łatwe w jednym miejscu, a niemożliwe w drugim. Innymi słowy, sprowadza się ta rzecz do owej tajemnicy, którą spośród wszystkich tajemnic świat współczesny uważa za najbardziej powierzchowną i bezsensowną; do tajemnicy lokalności. W jakiś sposób dotyka przynajmniej najtrudniejszej ze wszystkich tez odnośnie zjawisk nadprzyrodzonych; że istnieją rzeczy takie, jak święta i bezbożna ziemia, jak ludzie natchnieni przez Boga i ludzie natchnieni przez diabła; że może istnieć coś takiego, jak święty gaj, a może nawet święty kamień; krótko mówiąc – że owa lotna nicość istoty duchowej, dobrej czy złej, całkiem dosłownie może zamieszkiwać w jakimś konkretnym miejscu i mieć zupełnie konkretne imię.

Mimochodem wspomnieć można, że ów tutejszy *genius loci* to także w znacznej mierze geniusz kierowniczy. Prawdą jest, że w dzisiejszych czasach parada teorii panteistycznej bardzo często łączy się wszędzie z wydatnym praktykowaniem partykularyzmu;

i że wszędzie ludzie zaczynają marzyć o tym, by znajdowali się gdziekolwiek. A nawet tam, gdzie prawda ta nie dotyczy ludzi, wydaje się, że dotyczy ona przynajmniej owych tajemniczych sił, które ludzie na powrót zaczynają badać. Słowa, których używamy, zwracając się do sił wyższych mogą być ogólnikowe i uniwersalne, niemniej słowa, których, jak ludzie mówią, one używają, kiedy zwracają się do nas, są prowincjonalne, a nawet – prywatne. Podczas gdy „Centrum Nowej Myśli"[69] chciałoby przekraczać przestrzeń i wynajdywać coraz to bardziej uniwersalne formy czci, aż do osiągnięcia poziomu „świątyni nie ręką ludzką uczynionej", „Stowarzyszenie Badań Parapsychicznych"[70] zajmuje się przeprowadzaniem praktycznych eksperymentów wokół konkretnego nawiedzonego domu. Ludzie mogą stać się kosmopolitami, duchy niemniej – zachowują patriotyzm. Różni ludzie mogą spodziewać się doznać uzdrowienia przy świętej studni albo się tego nie spodziewać, nikt jednak na

---

69 Oryg. *Higher Thought Center* – stowarzyszenie założone w XIX wieku w USA, zajmujące się krzewieniem ideologii „Higher Thought" lub też, jak częściej się ją nazywa „New Thought". Ideologia ta głosi wszechobecność „Nieskończonej Inteligencji", boskość natury ludzkiej oraz leczniczy charakter określonych praktyk mentalnych.

70 Oryg. *Psychical Research Society* – stowarzyszenie założone w 1882 roku w Anglii, mające na celu badanie zjawisk uchodzących za paranormalne. Ciekawą jego cechę stanowi to, że pozwala na zaangażowanie w swoją działalność zarówno wierzącym w owe zjawiska, jak i sceptykom. Istnieje do dziś.

pewno nie spodziewa się doznać go dziesięć mil od niej; i nawet sceptyk, który przychodzi udowodnić, że jakiś cmentarz wcale nie jest nawiedzony, musi ów cmentarz nawiedzić – jak duch. Wizja półbogów z kołatkami i stołami kuchennymi lub demonów, które – jak można by rzec – pilnują ognia w domowym kominku, może mieć w sobie coś delikatnie komicznego. Niemniej *spiritus movens* owej mrocznej tajemnicy lokalności jest czymś tym bardziej niepodważalnym, że porusza się on pod prąd większości nowoczesnych teorii i skojarzeń. Prawda jest taka, że – jeśli zastanowić się nad tym bardziej transcendentalnie – nie bardziej wiemy co to jest miejsce, niż co to jest czas. Nie wiemy, że siły, o których nie wiemy nie mają możliwości koncentrować się w czasie i przestrzeni lub doświadczyć w jakimś ich punkcie czegoś, co przypomina kryzys. I jeśli coś podobnego czuje się w ogóle gdziekolwiek, w sposób konieczny i nienormalnie intensywny czuje się to we wszystkich domniemanie świętych i poświęconych miejscach. Czuje się to wprost nadzwyczajnie na wszystkich owych ziemiach Bliskiego Wschodu, które leżą w okolicy góry Syjon.

W krajach owych rozwija się w umyśle wrażenie zdecydowanie zbyt wielkie dla większości najnowszych religijnych czy naukowych

definicji. Fikcyjna heraldyka Haeckela[71] w oczywisty sposób jest tutaj tak niewystarczająca, jak jakakolwiek osobliwie czarująca, stara kronika, śledząca genealogię angielskich monarchów poprzez władców Troi aż do dzieci Noego. Nie ma tu zgoła żadnej różnicy, poza tą, że teorii z czasów wieków ciemnych nie da się nijak udowodnić, podczas gdy ową trawestację teorii Darwina da się w tym lub innym punkcie obalić. Zawęziłbym jednak sztucznie znaczenie moich słów, gdybym zasugerował, że to ledwie kolejny przyczynek do wiktoriańskiej zabawy w „spór Nauki z Religią". Pochodzenie człowieka spowija jakaś znacznie większa tajemnica, z której tak jedna, jak i druga strona sporu nigdy nie zdołała zdać sobie sprawy; podróżnik zaś naprawdę zdaje sobie z niej sprawę na tych obcych i pradawnych równinach. Jakże pięknie wyraził ją jeden z najbardziej obiecujących spośród tych, których perspektywy literackie w tak wielkiej chwale zostały zniweczone przez wydarzenie Wielkiej Wojny; porucznik Warre-Cornish[72], który

---

71 Ernst Haeckel (1834-1919) – niemiecki biolog, podróżnik i filozof. Zwolennik darwinizmu. Jego książka *Natuerlische Schoepfungsgeschichte* w czasach młodości Chestertona stanowiła w Anglii coś w rodzaju „Biblii" zwolenników tzw. „światopoglądu naukowego".

72 Gerald Warre-Cornish (1875-1916) – angielski pisarz i żołnierz, przed wojną wykładowca języka greckiego. Podczas walk we Francji, w których ostatecznie poległ, sporządził angielski przekład listów św. Pawła Apostoła do Efezjan

zostawił nam niezwykły i uderzający opis człowieka, przybywającego w te strony z mistycznym zamysłem popłynięcia pod prąd strumienia czasu i dotarcia aż do samego źródła stworzenia. To tylko dygresja; niemniej zanim wrócimy do bardziej współczesnego zagadnienia paranormalnych sztuczek plemion Wschodu, dobrze będzie rozpoznać to bardzo realne, choć i znacznie bardziej ogólne, wrażenie dziejowe, dotyczące ziem, na których przyszło im żyć. Nazwałem je „wrażeniem dziejowym"; znacznie zasadniej można by jednak nazwać je „pradziejowym". Najlepiej można wyrazić je w sposób symboliczny, mówiąc, że legendarna lokalizacja Edenu znajduje się w Mezopotamii. Z równie dobrym skutkiem można jednak także odwołać się do konkretu doświadczenia i opowiedzieć o tym, jak pewien uczony człowiek poinformował mnie podczas mojego pobytu w tych stronach, że w Palestynie odkryto właśnie, pierwszy w ogóle raz w historii, pierwotną formę pszenicy.

To wypełniające podróżnika uczucie można delikatnie zarysować w następujący sposób; że tam, w owej legendarnej krainie pomiędzy Azją a Europą, naprawdę mogło stać się wszystko, cokolwiek się stało; że jeśli przez jakąkolwiek, to właśnie przez ową bramę Wschodu weszło na świat wszystko, co go ukształtowało i zmieniło.

---

i Koryntian, który ukazał się drukiem pod tytułem *St. Paul from the Trenches* (*Św. Paweł z okopów*) w roku 1938. Dziś postać prawie zapomniana.

Czymkolwiek jeszcze może wydawać się to wąskie pasmo ziemi, rzeczywiście wydaje się ono, duchowi, a niemalże także zmysłom, czymś w rodzaju mostu, po którym naprawdę mogły przejść nad archaiczną otchłanią brzemię i tajemnica człowieka. Istniały tutaj cywilizacje tak stare, jak wszelkie barbarzyństwo; i wszystko wskazuje na to, że starsze niż wszelkie barbarzyństwo. Żyje tutaj wielbłąd; ów ogromny, nienaturalny przyjaciel człowieka; prehistoryczne zwierzątko domowe. Nie wiadomo o nim, by kiedykolwiek nie był udomowiony, ze względu na co może skłonić niektórych do przelotnej refleksji nad tym, czy kiedyś przypadkiem wszystkie zwierzęta nie były udomowione. Jak powiedziałem gdzie indziej, zwierzęta mogą być ledwie menażerią uciekinierów; wieloryb może być słoniem, który poszedł pływać i nigdy nie wrócił, tygrys zaś – kotem, który wziął swoją karmę (łącznie z karmicielem) w zęby i uciekł do dżungli. To wszystko (śmiem sądzić) nie jest prawdziwe; jest jednak prawdziwe dokładnie w takim samym sensie, w jakim prawdziwy jest Pitekantrop, Człowiek Pierwotny lub wszystkie inne swobodne domysły snute na podstawie wątpliwych kawałeczków kości i ości. Prawdę stanowi zaś w tym wypadku jakaś trzecia rzecz, zbyt kolosalna, aby ludzie mogli ją pamiętać. Czymkolwiek była, być może widział ją wielbłąd; niemniej wobec wyrazu malującego się na twarzy tego wiekowego sługi rodziny, czuję, że nigdy nam o niej nie powie.

Nazwałem ją drugą stroną pustyni; i w innym sensie, jest to zupełnie dosłownie jej druga strona. To drugie wybrzeże owego falującego i wypalonego przez słońce morza. Patrząc na nią z zachodu i rozważając głównie kwestię muzułmańską, czujemy, że pustynia to zaledwie jałowe pogranicze chrześcijaństwa; niemniej jeśli spojrzeć na nią z drugiej strony, okazuje się ona barierą między nami a pogaństwem, znacznie bardziej tajemniczą, bardziej potworną nawet, niż cokolwiek muzułmańskiego. Istotnie, należy zdać sobie z tego sprawę jak najwyraźniej, jeżeli chce się zrozumieć prawdziwą wartość muzułmańskiego zrywu. Przynależał on do pustyni, stanowił jednak raczej przejaśnienie w spowijającej ją chmurze; promień bladego, lecz czystego światła wśród kłębów pary wodnej, ukręconych nad nią na kształt słupów dymu, przywiewanego z leżących dalej, obcych ziem. Wyrobił on w sobie niewzruszoną nienawiść do bałwochwalstwa, ponieważ twarz miał zwróconą w kierunku nieprzebranej rzeszy bałwochwalczych kultów krajów świtu; i gdy spoglądałem na wschód, wydawało mi się, że świadom jestem początku tego innego świata; i dostrzegam, niby las włóczni albo mrowie twarzy widzianych we śnie, bogów Azji, zasiadających na tysiącu tronów.

Nazywanie tych ziem krainą magii, a nawet – czarnej magii, to nie tylko kwestia zwykłego romantyzmu. Ludzie dostarczający nam tej atmosfery to nie romantycy, lecz realiści. Każdy wyczuwa ją w twórczości pana Rudyarda Kiplinga; i kiedy jednego razu podzieliłem się z pewnym anglo-hinduskim oficerem paroma uwagami na temat odrażającego arcydziełka pt. „Znamię bestii”[73], oficer ów odparł ponuro: „To nieludzka opowieść. Ale te diabły naprawdę potrafią robić cholernie dziwne rzeczy”. Najzwyklejszym komunałem, by przywołać tu ledwie jeden przykład z całych setek bardziej godnych uwagi, jest wspominać o niezliczonych światkach słynnej sztuczki z mango[74]. W tym wypadku również zmuszeni jesteśmy popłakać sobie od czasu do czasu nad słabością umysłową, która z tak wielkim pośpiechem zbywa ten problem odwołaniem do pojęcia hipnotyzmu. To tak, jak gdyby na pytanie w jaki sposób jednemu hindusowi udało się zabić trzysta innych osób odpowiadać, że to prosta kwestia składania ofiar z ludzi. Nic z tego, co znamy pod nazwą „hipnotyzmu” nie będzie w stanie pozwolić komukolwiek zmienić budowy oczu tłumu nieznajomych; całkowicie przytomnych i stojących w pełnym świetle słońca; i jeśli to rzeczywiście

---

73 Oryg. „The Mark of the Beast” – opowieść niesamowita autorstwa Rudyarda Kiplinga, traktująca o problemie wilkołactwa.

74 Tradycyjna hinduska sztuczka magiczna, polegająca na wywoływaniu iluzji drzewa mangowego, wyrastającego z nasionka w ciągu kilku minut.

hipnotyzm, to tak zatrważająco zogromniały, że domagający się nowego wyjaśnienia dla samego wyjaśnienia; na pewno zaś czegoś, co wyjaśni je lepiej, niż greckie słowo, oznaczające sen. Niemniej wrażenia dotyczące tej bardziej szczegółowej kwestii to ledwie przykład znacznie bardziej uniwersalnego wrażenia co do całej azjatyckiej atmosfery; cała zaś owa atmosfera to ledwie przykład jakiejś jeszcze większej rzeczywistości, na opisanie której próbuję znaleźć tutaj odpowiednie słowa. Azja to wielka figura czegoś, czego obecność, a nawet opresyjność, cały świat, tak Wschodu, jak i Zachodu, zaczyna coraz mocniej wyczuwać. Można to nazwać spuszczeniem świata duchowego z łańcucha; rodzajem parapsychicznej anarchii; dżunglą drzewek mangowych. Wywiera zaś na świat współczesnego Zachodu presję tym większą, ze względu na niedawny upadek różnych materialistycznych zapór, które go dotąd powstrzymywały. Prosto mówiąc, ogólne nastawienie nauki nie tylko uległo dziś modyfikacji; ale zostało wręcz całkowicie odwrócone. Nie mówię tego z zupełnie czystą przyjemnością; pod pewnymi względami wolę nasz materializm od ich spirytualizmu. Niemniej – na dobre czy na złe – współcześni naukowcy istotnie zajmują się dzisiaj niszczeniem swojego własnego, naukowego świata.

Agnostycy musieli powrócić do agnostycyzmu; i zaczynają powoli przychodzić po tym szoku do siebie. Odkrywają, że znaleźli się w rzeczywiście nieznanym świecie, rządzonym przez naprawdę nieznanych bogów; świecie znacznie bardziej mistycznym, a na pewno znacznie bardziej tajemniczym. Jako iż w epoce wiktoriańskiej agnostycy nie byli tak naprawdę agnostykami. Znacznie bardziej adekwatnie można by ich określić mianem nabożnych materialistów; a w każdym razie: szczerych wyznawców monizmu. Przynajmniej w podświadomości mieli oni zakodowaną jasną i spójną koncepcję swojego raczej mechanicznego kosmosu; z tego też względu nie mogli zgodzić się na to, aby wpadł do tej maszyny najmniejszy choćby pyłek nadprzyrodzoności. Lecz dzisiaj bardzo trudno jest naukowcowi stwierdzić, gdzie właściwie kończy się to, co nadprzyrodzone lub zaczyna to, co naturalne, i jaką nazwę powinno się nadać tak jednej, jak i drugiej rzeczy. Słowo „agnostyk" przestało być ledwie grzecznym określeniem na ateistę. Stało się słowem realnym, oznaczającym bardzo realny stan umysłu, świadomego wielu możliwości znacznie przekraczających horyzonty ateizmu i niewykluczającego tych, które wiążą się z wielobóstwem. Nie jest to już tylko kwestia określenia albo odrzucenia jakiejś jednej, centralnej siły we wszechświecie, ale znalezienia równowagi umysłowej wobec chaosu mnóstwa zupełnie nowych sił, które, jak się wydaje, zachodzą na siebie i mogą nawet popadać w konflikty. Sama

natura stała się nienaturalna. Od drugiej strony pustyni znowu wieje wiatr, tym razem jednak nie niosąc ze sobą szlachetnego truizmu, że „Bóg jest Bogiem", ale raczej owo drugie motto głębszej anarchii kontynentu azjatyckiego, które pan Kipling ujął w formie miejscowego przysłowia w przywoływanej już tutaj opowieści: „Twoi bogowie i moi bogowie – któż może wiedzieć, którzy są silniejsi?" Czytałem w moich latach chłopięcych pewną mistyczną powiastkę, z której pamiętam tylko obraz krzewu różanego, wyrastającego w niewytłumaczalny sposób na środku pokoju. Posługując się tym obrazem na użytek argumentacji, z łatwością możemy wyobrazić sobie jakiegoś pół-przytomnego człowieka, który myśli, że popadł w delirium albo przynajmniej nie obudził się jeszcze do końca, ponieważ widzi taki właśnie magiczny krzew, wyrastający wbrew rozumowi na środku jego sypialni. Wszystkie ściany i meble są tak solidne i znajome, jak były wcześniej, stół, zegar, telefon, lustro, czy cokolwiek jeszcze innego; nie ma tam nic nienaturalnego oprócz owej wiszącej w powietrzu, zielono-czerwonej halucynacji albo iluzji optycznej. Tak właśnie przedstawiało się nastawienie, przejawiane wobec Róży Szaronu, mistycznej róży z jednej ze świętych tradycji Palestyny, przez każdego wykształconego człowieka około roku 1850, kiedy racjonalizm osiemnastego stulecia miał rzekomo znaleźć pełne potwierdzenie w nauce dziewiętnastego stulecia. Nasz bohater czuł do róży niejaki sentyment: wciąż jeszcze cieszył się z tego, że ma ona

zapach oraz swoistą atmosferę; choć pamiętał również, co delikatnie psuło mu samopoczucie, że ma także kolce. Niepokoiło go w niej jednak głównie to, że była niemożliwa. Tym zaś, co sprawiło, że uważał ją za niemożliwą, był fakt jej niespójności z całą resztą świata. Stanowiła ona samotny i potworny wyjątek od tego rodzaju reguły, od której żadne zgoła wyjątki miały nie zachodzić. Nauka nie przekonała go, że cuda zdarzają się rzadko, ale że nie zdarzają się w ogóle; i dlaczego miałyby one zdarzać się tylko w Palestynie i tylko przez bardzo krótki czas? To była pojedyncza, bezsensowna sprzeczność z samym w sobie kompletnym kosmosem. Ponieważ umeblowanie stawało się z każdą chwilą bardziej dopasowane, a ściany – coraz solidniejsze. Człowiek ten rozpoznał już nawet, niczym słynny umierający kochanek Browninga, własny portret wiszący na ścianie i buteleczki z lekarstwami stojące na kominku. Innymi słowy, do tej pory nauka skutecznie przyczyniała się do trwałości rzeczy; Newton pomierzył ściany i sufity oraz obrachował dokładnie ich trójwymiarowość. Darwin pracował już nad uporządkowaniem zwierząt w sposób tak zgrabny, jakby stanowiły one rząd krzeseł, a Faraday – związków chemicznych tak przejrzyście, jakby chodziło o poukładanie buteleczek z lekami. Od środka wieku osiemnastego do środka wieku dziewiętnastego nauka nie tylko dokonywała coraz to nowych odkryć, lecz także wszystkie owe odkrycia wiodły ją

w jednym ledwie kierunku. Dziś nauka również dokonuje odkryć; wiodą ją one jednak w kierunku dokładnie przeciwnym.

Bo sprawy przedstawiają się zgoła inaczej, gdy ów leżący na łóżku człowiek spogląda na sypialnię. Nie tylko krzew różany zachowuje wciąż swoją oczywistość; ale wszystkie inne rzeczy zaczynają wyglądać bardzo dziwnie. Wydaje się, że perspektywa się skrzywiła; ściany różnią się swoimi wymiarami do tego stopnia, że naszemu bohaterowi zdaje się, że odchodzi od zmysłów. Na tapecie pojawia się nowy wzór: osobliwe spirale w miejsce dawnych, krągłych kropek. Wydaje się, że stół przeszedł sam z siebie na drugą stronę pokoju i wyrzucił buteleczki leków przez okno. Telefon zniknął ze ściany; lustro nie odbija tego, co znajduje się naprzeciwko. Jego wiszący nad kominkiem portret ma twarz inną, niż on.

To coś w rodzaju wizji owej zasadniczej zmiany, jaka dokonała się w całej ogólnej tendencji filozofii naturalnej w ostatnich dwudziestu latach. Mało ważne, czy uznamy to za rozwój czy ruinę naukowego uniwersum. Mało ważne, czy powiemy, że otworzyły się w nim większe przepaście, czy też że po prostu odpadło mu dno. Dosyć oczywiste jest, że idee, z którymi współcześni naukowcy toczą obecnie wojnę, są znacznie bardziej nieokiełznane i nieuchwytne, niż fakty z epoki Huxleya. Nie chcę zaczynać dyskusji na temat

jakiegokolwiek szczegółowego wypadku: to zbiorczy skutek ich wszystkich razem wziętych czyni to wrażenie kwestią zdrowego rozsądku. Prawdą jest, że perspektywa i wymiary sypialni naszego bohatera się zmieniły; uczniowie Einsteina powiedzą mu, że linie proste są krzywe i być może dłuższe w jedną stronę, niż w drugą; jeżeli to nie jest koszmar, to co nim jest? I przecież to czysta prawda, że zmienił się zegar – jako iż czas przekształcił się w czwarty wymiar albo coś jeszcze zupełnie innego; o telefonie zaś można całkiem zasadnie powiedzieć, że ustąpił miejsca niewidzialnemu telepacie. Prawdą jest, że zmienił się wzór na tapecie – ponieważ zmienił się wzór świata jako takiego; mówią nam, że nie składa się on z atomów, przypominających krągłe kropki, ale elektronów, przypominających spirale. Pierwszej klasy naukowiec na własne oczy widział, jak stół zaczął poruszać się sam z siebie i wszedł po schodach na piętro. Nieważne, czy stoją za tym duchy; wystarczy, że niewielu ludzi upiera się dzisiaj, że stoją za tym wyłącznie spirytyści. Nie zajmuję się tutaj wiarą, ale wątpliwościami; wyłącznie faktem, że wszystkie rzeczy na świecie stały się głębsze i bardziej niezrozumiałe. Niektórzy naprawdę wyrzucają lekarstwa przez okna; i przynajmniej niektórzy z nich doprowadzają w sposób czysto psychologiczny do uzdrowień, które kiedyś zostałyby nazwane cudotwórstwem. Nie staram się określić, jak daleko może to zajść; chodzi mi tutaj właśnie tylko o to, że tego nie wiemy, że nawiązaliśmy kontakt ze sprawami, o których

w ogóle wiemy niespotykanie niewiele. Najistotniejsze jednak jest tutaj nie to, że nauka zajmuje się tym, co nieznane, ale że niszczy ona to, co wydawało się niewątpliwe. Niemal wszystkie ostatnie odkrycia naukowe miały charakter destruktywny – i to nie w odniesieniu do starych dogmatów religijnych, ale raczej w stosunku do niedawnych dogmatów naukowych. Nie udało się zachować wszystkiego z zasady zachowania energii. Atom rozpadł się na atomy. I tańcząc jak mu pan Einstein zagra, samo prawo grawitacji przestaje być tak zupełnie *gravis.*

Kiedy zaś nasz bohater spogląda na własny portret, naprawdę nie dostrzega na nim samego siebie. Dostrzega swoje drugie „ja", według niektórych stanowiące przeciwieństwo jego regularnego „ja"; jego podświadome „ja" lub podprogowe „ja", o którym mówi się, że z furią włada jego snami, albo „ja" wyparte, które go nienawidzi, choć jest przed nim ukryte; albo „alter ego" podwójnej osobowości. Nic nie wnosi do obecnego tematu dyskutowanie o wartości tych wszystkich spekulacji, albo o tym, czy należą one do sfery szaleństwa czy sztuki medycznej. Chodzi mi tylko o wskazanie prostego faktu historycznego; że gdyby rozmawiało się z utylitarystą i racjonalistą z czasów Benthama, namawiającym ludzi, aby postępowali zgodnie z zasadami „oświeconego egoizmu", prawdopodobnie zdziwiłby się on solidnie, gdyby na swoje *dictum* usłyszał w odpowiedzi: „A o jakie

‘ego’ Panu chodzi; podświadome, świadome, nieświadomie mordercze czy wyparte, czy o jeszcze jakieś inne, które szczęśliwie mamy akurat na składzie?” Gdy nasz bohater spogląda zatem na swój portret, jego twarz naprawdę przetapia się w twarz obcego człowieka albo przybiera na krótkie momenty jakieś straszne, złowrogie rysy. Krótko mówiąc, gdy spogląda on na sypialnię jako taką, to właśnie owa wygodna i solidna część jego wizji przepoczwarza się i rozpada na kawałki. To ściany i meble stają się jedynie snem i wspomnieniem. Kiedy zaś zwraca swój wzrok z powrotem na ten niepasujący do niczego krzew róży, wydaje mu się, że zaczyna nie tylko go widzieć, ale także czuć jego zapach; wyciąga doń swoją rękę – i jeden z jego palców, raniony kolcem, zaczyna krwawić.

Nie byłoby niczym specjalnie zaskakującym, gdyby na końcu naszej opowieści jegomość ów odzyskał pełną świadomość i zorientował się, że przysnął na hamaku w ogrodzie różanym. Nie jest to wcale aż tak nierozsądne, jeśli się nad tym zastanowić; a przynajmniej, jeśli zastanowić się nad całością sprawy. Nie był w błędzie myśląc, że jakaś całość z natury swej powinna być spójna, a jedna część nie pasowała do drugiej. Mylił się tylko co do tego, która część jest mylna ze względu na swoje niedopasowanie. Cała zaś racjonalistyczna wątpliwość, odkąd pojawiła się w wieku osiemnastym na fali ostatnich podrygów renesansu, opierała się na pojęciu stałości

faktów. Cuda były potworne, ponieważ przeczyły prawu naturalnemu, które z konieczności jest prawem niezmiennym. Cudowności Starego Testamentu lub wielkie czyny Nowego były wybrykami, ponieważ stanowiły wyjątki; stanowiły zaś wyjątki, ponieważ istniała reguła – i to do tego reguła zupełnie niezmienna. Innymi słowy: nie istniał krzew różany wyrastający z dywanów zadbanych i schludnych sypialni; z tego względu, że krzewy różane nie wyrastają z dywanów zadbanych i schludnych sypialni. Nie uwzględniała ona jednak jednej możliwości; że ktoś może śnić o pokoju w takim samym stopniu, jak o róży; i że w regułę można powątpiewać w takim samym stopniu, jak w wyjątek.

Gdy tylko naukowcy zaczęli wątpić w zasady gry, zabawa się skończyła. Nie mogli już więcej wykluczać wszystkich starych cudów jako niemożliwych, wobec wszystkich nowych cudów, których możliwość musieli dopuścić. Sami mierzyli się od teraz z wielką liczbą niewiadomych; jaką władzę ma umysł nad materią; kiedy materia to tylko złudzenie umysłu; co to jest tożsamość, co to jest indywidualność, czy w ostatnich skrajnościach matematyki istnieją jakieś ograniczenia dla zasad logicznych? Tysiące przesłanek mówiło im, że ich pozbawiony cudów świat przestał być wodoodporny; że zaczęły nękać go powodzie, przychodzące z rejonów, których głębi nie potrafili w żaden sposób zgłębić, błądząc

po nich w towarzystwie fantastycznych ryb głębinowych. Z ledwością mogli zachować nawet co do kwestii ryby, która połknęła Jonasza, nie dysponując tu żadną przesłanką z wyjątkiem bardzo prawdziwego założenia, że w morzu żyje więcej ryb, niż kiedykolwiek z niego wyszło. Logicznie biorąc, równie ciężko byłoby im postawić jasną granicę w sprawie cudownego połowu na Jeziorze Galilejskim. Nie mówię, że muszą oni (albo nawet że ja muszę) polegać na tych akurat konkretnych opowieściach; mówię, że problem polega teraz na określeniu jakichś granic, i to zupełnie nowych granic, po tym jak stare, i znacznie bardziej oczywiste granice uległy całkowitemu unicestwieniu. Każdy może określać je na własną rękę, jako ledwie kwestię gustu i pewnego prawdopodobieństwa; ale nie stworzymy żadnej filozofii, dopóki nie będziemy w stanie określić ich także dla innych. Współczesny naukowiec zaś, nie może określić ich dla innych. Dawniej łatwo dało się zrozumieć kontrast pomiędzy prawem grawitacji a bajeczką o Wniebowstąpieniu. Dzisiaj nie da się już dostrzec podobnego kontrastu pomiędzy zjawiskiem lewitacji, o którym dyskutuje się teraz jako o realnej możliwości, a Wniebowstąpieniem, które ciągle odrzuca się jako cud. Nie twierdzę nawet tego, że faktycznie nie ma między nimi większej różnicy; twierdzę tylko, że współczesna nauka zagmatwała się w zbyt wiele wątpliwości i możliwości, aby mogła być traktowana jako autorytet, który mógłby ową różnicę zdefiniować. Twierdzę, że im więcej nauka

wie o tym, co zdarzyło się, albo o czym tylko mówi się, że się zdarzyło, w mnóstwie współczesnych pokojów gościnnych, tym mniej wie na temat tego, co zdarzyło się bądź nie zdarzyło na owym wyniosłym i owianym legendą wzgórzu, z którego wyrasta jedna z wież Jeruzalem, widoczna nawet zza linii Jordanu.

Niemniej tą częścią historii Palestyny, która opisana została w Nowym Testamencie, zajmę się wprost dopiero w następnym rozdziale; tutaj natomiast poruszam kwestią znacznie bardziej ogólną. Prawda jest taka, że za pośrednictwem tysięcy różnych kanałów, umysł współczesny odzyskał pewną rzeczywistość. Nie jest nią chrześcijaństwo. Przeciwnie, czymś znacznie prawdziwszym wydaje się powiedzieć, że chodzi tu o pogaństwo. I rzeczywiście, chodzi tu o pogaństwo w bardzo specyficznym sensie; bo chodzi o politeizm. Termin ten wprawi wielu ludzi w zadziwienie, nie tych jednak, którzy znają świat współczesny najlepiej. Kiedy powiedziałem pewnemu znakomitemu psychologowi z Oksfordu, że różnimy się w poglądach na naturę wszechświata, odparł: „Dlaczego ‘wszechświata’? Dlaczego nie miałby to być ‘wieloświat’?” Istotę politeizmu stanowi kult bogów, którzy nie są Bogiem; to znaczy: którzy niekoniecznie są autorami i autorytetami wszystkich rzeczy. Ludzie czują coraz wyraźniej, że istnieje we wszechświecie wiele duchowych sił, najmądrzejsi zaś – że niektórym z nich powinno się

ufać bardziej, niż innym. Sądzę, że pojawi się niedługo tendencja do wybierania sobie swojej ulubionej duchowej siły, czyli, innymi słowy, swojego ducha opiekuńczego. Pan H.G. Wells, którego, jak nikogo innego, nazwać można geniuszem pomiędzy współczesnymi pisarzami (i człowiekiem współczesnym pomiędzy geniuszami) zrobił swego czasu tę właśnie rzecz; wybrał sobie boga, który, po prawdzie, przypominał jednak bardziej demona. Zatytułował swoją książkę *Bóg, król niewidzialny*, ciekawą wszakże jej cechę stanowi to, że szczególnie podkreślał w niej fakt, że jego Bóg różnił się od Boga innych ludzi tym właśnie, że nie był królem. Bardzo starannie wytłumaczył swoim czytelnikom, że jego bóstwo nie rządzi światem w jakikolwiek wszechmocny czy nieskończony sposób; ale działa wpływem, niczym każdy pospolity, błąkający się po świecie duch. Nie było ono także jakoś szczególnie niewidzialne (o ile niewidzialność można w ogóle jakoś stopniować). Niewidzialny Bóg pana Wellsa przypominał jego słynnego niewidzialnego człowieka. Czuje się, że może on ukazać się dosłownie w każdym momencie, przynajmniej jednemu ze swoich gorliwych wyznawców; i że, niczym w starożytnej Grecji, w lasach Essexu może zabrzmieć głos – głos pana Wellsa, wołający: „Ujrzeliśmy, on nas ujrzał, widzialny Bóg”[75]. Nie mówię o tym pogardliwie, przeciwnie wręcz: z niemałym zrozumieniem;

75 Cytat z wiersza „Dolores” Swinburne’a.

sądzę, że rzeczą wartą podobnie wielkiego człowieka jest uznać i ująć ogólny sens bogatszego i pełnego przygód świata duchowego, który nas otacza. To wielka emancypacja z ołowianych okowów materializmu, tak ciążącego ludzkiej wyobraźni czterdzieści lat temu. Chodzi mi jednak w tej chwili o to, że to emancypacja pogańska, a wręcz politeistyczna, w prawdziwym, filozoficznym sensie wyboru jednego, konkretnego ducha spośród wszystkich, które mogą zamieszkiwać świat duchowy. Chodzi mi o to, że w kulcie, którym pan Wells obdarza swego boga nie ma nic, co mogłoby powstrzymać pana Williama Archera[76], również po emancypacji, przed adoracją innego boga w innej jeszcze świątyni; lub pana Arnolda Bennetta, gdyby zechciał w podobny sposób uwolnić swój umysł, przed kłanianiem się trzeciemu bogu w trzeciej świątyni. Wyznać muszę, że wyobraźnia zawodzi mnie w kwestii obrazu i symboliki bałwochwalczych zachowań pana Archera i pana Bennetta; i gdybym musiał wybierać spomiędzy tej trójki, najprawdopodobniej zostałbym akolitą w świątyni pana Wellsa. Czy tak jednak, czy inaczej, ogólna tendencja tego wszystkiego zmierza

76 William Archer (1856-1924) – szkocki pisarz i krytyk literacki, przyjaciel Bernarda Shawa, jeden z założycieli *English Spelling Society,* zajmującego się propagowaniem umiejętności czytania i pisania, między innymi przez propozycje reform angielskiej pisowni. W czasach Chestertona postać nader wpływowa.

w kierunku politeizmu, w takiej formie mniej więcej, w jakiej istniał on w starej cywilizacji pogan.

Tę samą, współczesną cechę charakterystyczną, da się odnaleźć w spirytualizmie. Spirytualizm również ma tendencję do politeizmu, nawet jeżeli upodabnia się on bardziej do kultu przodków. Lecz niezależnie od tego, czy chodzi tu o wywoływanie duchów czy wzywanie bogów, cecha owa sprawia w umyśle wrażenie czegoś mniejszego, niż boskość; nie żebym się z kimś w jakikolwiek sposób z tego powodu spierał. Opisuję po prostu bieżący rozwój wypadków; i wydaje mi się jasne, że zmierza on do wzywania pomocy sił duchowych, niezależnie od ich pozycji w tym nieznanym świecie i bez żadnego doktrynalnego projektu tego świata. Najbardziej prawdopodobnym rezultatem wydaje się być mnogość kultów parapsychicznych, osobowych i bezosobowych, od najmętniejszej czci dla żywiołów natury po najkonkretniejsze deifikacje kryształów i totemów. Kiedy mówię, że agnostycy odkryli nareszcie agnostycyzm i powoli dochodzą po tym szoku do siebie, nie mam zamiaru kpić tutaj z faktu tożsamości słowa „agnostycyzm" ze słowem „ignorancja". Przeciwnie, sądzę, że ignorancja to wielka sprawa; ponieważ może być twórcza. Rzeczą zaś, którą może stworzyć, i którą zapewne niedługo naprawdę stworzy, jest jedna z zapomnianych sztuk ludzkości; mitologia.

Jednym słowem, świat współczesny prawdopodobnie skończy się tam, gdzie zaczyna się Biblia. Wobec nieuniknionych konfliktów jednego ducha z drugim, jednego bóstwa z drugim bóstwem, wkrótce znajdziemy się w położeniu pozwalającym pełniej oddać sprawiedliwość nie tylko Nowemu, ale i Staremu Testamentowi. Nasi potomkowie równie dobrze mogą zrobić to, z czego tak naśmiewamy się w odniesieniu do biblijnych Żydów; szukać po omacku własnego boga, gdy zaś go znajdą – przylgnąć do niego, jako do przerastającego wszystkich rywali, wydających się posiadać taki sam stopień realności. Oni również mogą uważać go w pierwszym rzędzie nie za jedynego, nie za najwyższego nawet, ale zwyczajnie – za najlepszego; i odwoływać się do cudów swojej historii, aby udowodnić, że jest także najpotężniejszy. Oni również mogą z początku sądzić, że jest on tylko ich bogiem, zanim odniosą go także do innych; on również, w wyniku konfliktu z kolosalnym bałwochwalstwem i niebotyczną tyranią duchową, może objawić się tylko jako Bóg Bitew i Pan Zastępów. To tutaj, między ciemnymi pustkowiami i górami spowitymi przez chmury miało miejsce to, co nawet ludziom obojętnym musi wydawać się zmaganiem olbrzymów, zmieniającym dotychczasowy kurs świata; to tutaj Jehowa górskich grani strącił z tronu Baala pustyni i Dagona morskich wód. Tutaj wędrował i trwał wobec niebezpieczeństw ów dziwny, straszny i niezłomny lud, który

wyniósł ponad wszystkie swe cnoty i występki jedną niezniszczalną ideę; że był on ledwie narzędziem w owym potężnym ręku. Tutaj miał miejsce pierwszy tryumf tych, którzy, w sensie przerastającym poniekąd nasze rozumienie, dokonali dobrego wyboru jednej z wielu niewidzialnych sił, z którymi się zetknęli, i zorientowali się, że wybrali boga nad wszystkimi bogami. Tak więc przyszłość może ponieść szkodę nie ze względu na utratę, ale wielorakość wiary; jej los może zaś znacznie bardziej przypominać ową mglistą i mityczną wojnę na pustyni, niż suchy blask teizmu bądź monizmu. Nie powiedziałem do tej pory nic na temat mojej własnej wiary, albo na temat owego imienia, przyzywając którego – jak jestem przekonany – świat postąpiłby nadzwyczajnie wprost mądrze. Uważam jednak, że tradycja zapoczątkowana przez ową bitwę plemienną, stoczoną na tej odległej ziemi Wschodu, naprawdę zdołała usprawiedliwić samą siebie, prowadząc nas ostatecznie do jakiejś trwałej prawdy; i że usprawiedliwi kiedyś wszystkie swoje dzieci. To, co przetrwało w epoce ateizmu jako najbardziej niezniszczalne, w epoce politeizmu przetrwa jako najbardziej niezbędne. Gdyby wobec wielu bogów nie dało się akurat dowieść, że jest ono czymś najpotężniejszym, niektórzy ludzie i tak wiedzieliby, że jest czymś najlepszym. Jego dominująca obecność przetrwałaby czasy mgły i zamętu, w których uważałoby się ją wyłącznie za jeden mit z wielu mitów lub jednego człowieka spośród wielu ludzi. Nawet stara, pogańska próba

człowieczeństwa i realności ciała, odnosząc się pobieżnie do której zacytowałem tu wcześniej wers poświęcony pogańskiemu politeiście, wyśpiewany przez neopogańskiego poetę, to próba, którą tajemnica wcielona przejdzie najpomyślniej ze wszystkich. I jakkolwiek dużo albo jakkolwiek mało nasze własne dociekania duchowe pomogłyby tym ludziom spojrzeć w twarz ich niewidzialnych królów, nie znajdą oni nigdzie wizji bardziej wyrazistej od wizji człowieka, wędrującego po górach z odsłoniętą twarzą, widzianego od ludzi i samemu widzącego; widzialnego boga.

Rozdział IX: Bitwa ze smokiem

O Lyddzie, względnie: Ludd, mówiło się już coś-niecoś w tej książce jako o legendarnym miejscu narodzin św. Jerzego oraz jako o znajdującym się na skraju pustyni obozie wojskowym, z terenu którego, jak się złożyło, po raz pierwszy dane mi było zobaczyć kolorowe pola Palestyny, przypominające równiny samego Raju. Stanowiąc obozowisko żołnierzy, wydawała się ona miejscem dla św. Jerzego nader odpowiednim; i istotnie, można powiedzieć, że cała ta czerwona i pusta ziemia rozbrzmiewała jego imieniem, dzwoniąc niczym tarcza z miedzi bądź brązu. Jego imię nie pojawiało się zresztą wyłącznie w chrześcijańskich okrzykach wojennych; pewna interesująca i twórcza gościnność umysłu muzułmańskiego, jakiś niewinny i naśladowniczy entuzjazm, sprawił, że muzułmanie również na poły przyjęli swego rodzaju chrześcijańską mitologię i uczynili św. Jerzego pewnego typu abstrakcyjnym bohaterem. Mówi się, że to właśnie na tych piaskach Ryszard Lwie Serce po raz pierwszy wezwał błogosławieństwa świętego żołnierza nad angielskimi wojskami i przyozdobił ich sztandary symbolem jego krzyża. Niemniej, imię to pojawia się nie tylko w opowieściach na temat zwycięstwa Ryszarda, ale również w opowieściach jego wrogów, kończących się opisem wielkiego zwycięstwa Saladyna. W owym mętnym i brutalnym sporze, który wypuścił na świat

katastrofę pod Hittin[77], gdy Wielki Mistrz Zakonu Templariuszy, Gerard Anglik z Bideford w Davon, poprowadził w porywie dementywnego heroizmu kilka swoich kopii na całą muzułmańską potęgę, poległ pomiędzy tymi olśniewającymi fanatykami jeden chrześcijański wojownik, który uczynił swym mieczem tak wielką masakrę w szeregach wroga, że zwycięscy muzułmanie samo jego ciało traktowali jako coś niemal nadprzyrodzonego; i ponieśli je ze sobą ze wszelkimi honorami, utrzymując, że było to ciało św. Jerzego.

Lecz skoro funkcję obozu wojskowego uważać można za odpowiednie tło dla opowieści o św. Jerzym, położenie owego obozu można uważać za odpowiednie tło dla bardziej fantastycznej opowieści o św. Jerzym i smoku. Punkt, w którym zielona kultura pól styka się z czerwoną ruiną pustyni bardzo dobrze nadaje się na miejsce symbolicznego zmagania się człowieka z potworem. Prawdę mówiąc, śmiem wspomnieć, legenda jako taka umiejscawia ów pojedynek gdzieś indziej, niemniej używam tutaj owej legendy wyłącznie jako legendy, albo wręcz: jako funkcjonalnej figury

77 Bitwa pod Hittin, stoczona 4 lipca 1187 roku, zakończona wielką klęską krzyżowców, z której państwa łacińskie w Palestynie nie zdołały się już podnieść. Ze strategicznego punktu widzenia, była ona nie do wygrania, ze względu na co, trzeba dodać: słusznie, przywoływana jest do dziś jako przykład bezrozumnego fanatyzmu.

retorycznej. Pragnę użyć jej tutaj wyłącznie jako pewnego rodzaju panoramy, mogącej wyjaśnić pewnego rodzaju paradoks, nader istotny w odniesieniu do naszego obecnego nastawienia do wszystkich palestyńskich tradycji, nie wyłączając bardziej świętych nawet od tej, która dotyczy św. Jerzego. Dotknęliśmy już owego paradoksu w poprzednim rozdziale, poświęconym duchom bądź przesądom wielobóstwa, podobnych tym, które wiązały się ze Starym Testamentem, jest on jednak jeszcze bardziej prawdziwy w odniesieniu do krytyki i apologetyki, które łączą się z Nowym. Paradoks ten przedstawia się zaś następująco; że nigdy nie przekonujemy się tak dobitnie o prawdziwości naszej religii, jak w momentach, w której przekonujemy się co do naszych błędnych pojęć na jej temat. Chodzi mi o to, że ostatecznie przekonuje nas do czegoś nie ten dowód, którego szukaliśmy, ale ten, którego nie szukaliśmy. Przekonanie pojawia się wtedy, gdy trafimy na potwierdzenie niemal tak nieprzyjemne, jak zaprzeczenie. Taki jest właśnie sens pozbawionej kabli telegrafii lub pozbawionej słów telepatii Beduinów. Nadprzyrodzona sztuczka wędrującego po pustyni plemienia obdartusów nie stanowi tego typu nadprzyrodzoności, który spodziewalibyśmy się odkryć; jest to jednak jedyny typ nadprzyrodzoności, który rzeczywiście odkrywamy. Owe pustynne głazy, niczym kości pogrzebanego na

pustyni olbrzyma, nie wystają z ziemi tam, gdzie powinny, niemniej rzeczywiście z niej wystają – i potykając się o nie, upadamy na twarz.

Cokolwiek byśmy myśleli na temat samego św. Jerzego, w opowieści o św. Jerzym i smoku większość ludzi widzi wyłącznie zwyczajną bajkę. Śmiem twierdzić, że się nie mylą; i przywołuję ją tutaj wyłącznie jako metaforę na użytek argumentacji. Załóżmy jednak, na użytek argumentacji, że ktoś doszedłby do wniosku, że naprawdę istniał kiedyś człowiek taki jak św. Jerzy, pomimo wszystkich owych nonsensów na temat smoka i chimery ze skrzydłami i szponami, które w jakiś sposób dostały się później do jego historii. Być może jegomość nasz przejawia pewną stronniczość ze względu na swój patriotyzm, albo jakieś inne zapatrywania etyczne; i uważa świętego za dobry ideał społeczny. Być może wie on o tym, że pierwotne chrześcijaństwo, nie będąc bynajmniej religią pacyfistów, w znacznej mierze stanowiło religię żołnierzy. Tak czy siak, samego w sobie św. Jerzego uważa on za całkiem konkretną i historyczną postać; i nie wątpi w to, że da się odnaleźć jego ślady lub traktujące o nim źródła. Dochodzimy teraz do sedna argumentu; otóż załóżmy, że człowiek ów udaje się w podróż na miejsce owego legendarnego pojedynku; i że znajduje na nim stosunkowo niewiele śladów po samym św. Jerzym, bądź że są to ślady raczej marnej jakości. Załóżmy jednak, że tym, co naprawdę tam znajduje, są kości jakiegoś gigantycznego potwora,

niepodobnego żadnemu stworzeniu poza opisywanym w legendzie smokiem. Albo załóżmy, że znajduje tam wyłącznie starożytne wschodnie płaskorzeźby bądź hieroglify, przedstawiające rytuał składania takiemu potworowi w ofierze dziewic, z mnóstwem przesłanek wskazujących na to, że nawet w granicach czasów historycznych jedną z takich ofiar stanowiła księżniczka. Nie ma żadnych wątpliwości, że podobne potwierdzenie prawdziwości legendy wywarłoby na nim wielkie wrażenie – mimo iż (a może raczej dlatego właśnie że) dotyczyłoby ono nie tej jej części, w którą wierzył, ale tej właśnie, w którą nie wierzył. Nie znalazł tego, co spodziewał się znaleźć, znalazł jednak to, co chciał – i znacznie więcej, niż chciał. Nie znalazł choćby jednego szczegółu, bezpośrednio świadczącego o prawdziwości przekazu o św. Jerzym. Znalazł jednak bardzo pokaźne świadectwo prawdziwości przekazu o św. Jerzym i smoku.

Ufam, że nie muszę koniecznie upewniać Czytelnika, że nie uważam podobnego wypadku za rzecz w jakimkolwiek stopniu prawdopodobną; albo że to tylko fantazja, którą posługuję się tutaj wyłącznie ze względu na klarowność wywodu. Zresztą, nawet nasz bohater niekoniecznie wcale musiałby wobec powyższego uwierzyć zaraz w prawdziwość tej tradycyjnej opowieści – niemniej na pewno musiałby uznać przynajmniej tyle, że stanowi ona *jakąś* tradycję

jakiejś prawdy; że coś w niej jest, a nawet: że jest w niej więcej, niż wcześniej sobie wyobrażał. Sednem sprawy byłby zaś tutaj fakt, że jego rozum nie przewidział rozmachu tego objawienia. Człowiek ów dowiódł istnienia nieprawdopodobieństwa, a nie rzeczy prawdopodobnej. Rozum pouczył go już co do rozumnej części sprawy; fakty jednak, pouczyły go co do części fantastycznej. I nawet jeśli ktoś chciałby zachować tutaj możliwie jak największą ostrożność, musiałby przyznać choć tyle, że cała ta opowieść jest znacznie bardziej wiarygodna, niż się to komukolwiek wydawało. Jak już wspomniałem, trudno przypuszczać, że coś podobnego wydarzy się w związku z tą konkretną palestyńską opowieścią. Niemniej dokładnie coś takiego dzieje się obecnie w związku z najświętszymi i najwspanialszymi ze wszystkich palestyńskich opowieści. Dokładnie coś takiego wydarzyło się w związku z ową centralną postacią, wobec której zarówno potwór, jak i bohater, stanowią ledwie ozdobne symbole; i której niepojęty tragizm sprawia, że nawet krzyż św. Jerzego nie stanowi własności św. Jerzego. Trudno przypuszczać, by okazało się to prawdziwe w wypadku pustynnego pojedynku św. Jerzego ze smokiem; niemniej wiadomo już, że jest to prawdziwe w wypadku pustynnego pojedynku Jezusa z Szatanem. Św. Jerzy to ledwie sługa, smok zaś – to ledwie symbol, wszakże dokładnie w odniesieniu do owej centralnej rzeczywistości, tajemnicy

Chrystusa i Jego panowania nad mocami ciemności, paradoks ten okazał się faktem.

Schodząc z wysokości Jerozolimy w kierunku Jerycha więcej niż jeden raz tknięty zostałem niefrasobliwym i możliwe że nawet bluźnierczym wspomnieniem o stadzie świń, które rzuciły się w morze ze stromego urwiska. Nie upieram się przy paraleli osobistej; jako iż pomimo wszystkie moje podobieństwa do świni, nie jestem raczej świnią latającą, porywczą i prędkoskrzydłą; i jeśli rzeczywiście opętał mnie demon, to na pewno nie niebieski demon samobójstwa[78]. Niemniej wyrażenie to wracało mi na myśl raz po raz, przez całą moją wędrówkę – głównie ze względu na fakt, że podróż w kierunku Morza Martwego naprawdę wiąże się ze zbieganiem po stromym urwisku. Istotnie, ma się przy tym takie wrażenie, jakby cała Palestyna była jednym wielkim urwiskiem. Jakby wszystkie kraje świata były płaskie pod niebem, ten jeden zaś przechylił się na bok. Ów gigantyczny gest geografii lub geologii, ów ześlizg jakby jakiejś ogromnej lawiny to coś, czego żadna mapa, książka, a nawet zdjęcie nie potrafi w żaden sposób oddać. Wszystkie zdjęcia Palestyny, jakie zdarzyło mi się do tej pory zobaczyć, stanowią ledwie szczegółowe opisy, zestawienia ubiorów lub zarysy kątów architektury, po

78 *Blue demon* – wyrażenie tradycyjne w angielskim (dlaczego „blues”, na przykład? Bo niebieski to kolor żałoby i smutku).

większej części: widoki różnych słynnych miejsc; nie mogą one uchwycić bezdennej wizji tej długiej pochyłości. Jechaliśmy małym, rozklekotanym Fordem po stromych, dziurawych drogach między przypominającymi kolumny, prążkowanymi skałami; lecz nieco niżej, dróg już w ogóle zabrakło; i nasz samochód długo musiał przebijać niczym czołg przez linie skalistych brzegów aż do dna wyschłych koryt rzecznych, zanim udało się mu wreszcie dotrzeć do owych złowrogich i bezbarwnych krajobrazów, które otaczają Morze Martwe. Cały zaś ten dystans wydaje się wystarczająco duży na mapie i wystarczająco długi podczas podróży samochodowej, aby człowiek mógł poczuć się podczas niej tak, jakby przyjechał w inną zupełnie część świata; niemniej do tego stopnia stanowi on jedną, spójną pochyłość terenu, że nawet kiedy wyjedzie się już daleko poza linię Jordanu do krainy Al-Sharif, wciąż dostrzec można, małą i bladą, jak gdyby spowijały ją chmury, wieżę rosyjskiego (jak mniemam) kościoła na wzgórzu Wniebowstąpienia. I choć historia stada świń w rzeczywistości łączy się z innym miejscem, ze względu na samą stromiznę tego większego stoku oraz tajemnicę tego większego morza, nieustannie prześladowała mnie podczas mojej podróży jej fantastyczna odpowiedniość. Wyobraziłem sobie nawet, że ktoś nawet mógłby łowić je w podobnym morzu na wędkę – świnie przeobrażone w potwory; świnie morskie albo czworonożne ryby,

obrzmiałe i ze złymi oczyma, z glonami zamiast szczeciny, porastającymi całe ich ciało; duchy Gadary.

I w tamtym właśnie momencie przypomniałem sobie, w charakterze ciekawostki, a wręcz niespodziewanej zbieżności z tematem, że ta sama dziwna opowieść przeznaczona została na podstawę tekstową centralnego dla ery wiktoriańskiej sporu chrześcijaństwa z nowym duchem krytycznym[79]. Wzięło w nim udział dwóch z największych ludzi wieku dziewiętnastego; Huxley, reprezentujący naukowy sceptycyzm i Gladstone, reprezentujący biblijną ortodoksję. Starego protestanta uważało się wtedy powszechnie za przedstawiciela przeszłości, o ile nie przeszłości zupełnie martwej; młodego naukowca zaś – za przedstawiciela przyszłości, o ile nie ostatniego słowa świata. A jednak, przyszłość okazała się zupełnie inna, niż się ludzie wtedy spodziewali; i może się jeszcze okazać, że ostatnie słowo świata odwróci w prosty sposób wszystkie pojęcia, które mieli o świecie oni oraz ich współcześni. Obecny pogląd filozoficzny

79 Jest to aluzja do debaty, jaka odbyła się między Williamem Gladstonem, konserwatywnym politykiem angielskim i wielokrotnym premierem, a Tomaszem Huxleyem (dziadkiem Juliana), między 1885 a 1891 rokiem. Panowie dyskutowali o relacji wiary i nauki na podstawie opisu stworzenia i właśnie cudu spod Gadary. Obecnie można znaleźć sugestie, że wynik debaty wcale nie był tak jednoznaczny, a Huxley wygrał w znacznej mierze dzięki sztuczkom erystycznym.

w ciekawy sposób stanowi dokładne zaprzeczenie filozoficznego poglądu tamtych czasów. Gladstone przegrał rzeczoną debatę, lecz ostatecznie okazało się, że miał rację. Huxley wygrał ją w cuglach – i okazało się, że się mylił. W każdym wypadku, okazało się, że mylił się srodze co do kierunku rozwoju świata i prawdopodobnego kształtu następnego pokolenia. To, co on uważał za bezdyskusyjne, dzisiaj stanowi przedmiot płomiennych dyskusji; to zaś, co uważał za martwe, dzisiaj przejawia cokolwiek przesadną żywotność.

Huxley nie był tylko geniuszem logiki i retoryki; był to także człowiek bardzo męskiej i wielkodusznej moralności. W sensie moralnym, zasługuje on na znacznie więcej zrozumienia, niż bardzo wielu z różnych mistyków, którzy zajęli jego miejsce. Niemniej – naprawdę zajęli oni jego miejsce. W obrębie większej części mód intelektualnych naszych czasów, większość z tego, co uważał za trwałe – przeminęło, większość zaś z tego, co uważał za przemijające – ciągle trwa. W gadarejskiej dyspucie z Gladstonem ogłosił on, że ma na celu oczyszczenie chrześcijańskiego ideału, który uważał za sam przez się wspaniały, z chrześcijańskiej demonologii, którą uważał za samą przez się śmieszną. A jednak, jeśli wzięlibyśmy pod rozwagę któregokolwiek z przedstawicieli następnego pokolenia, z dużym prawdopodobieństwem okazałoby się, że to wzniosły ideał pana Huxleya stał się teraz przedmiotem drwin, jego śmiesznostkę

natomiast traktuje się z jak największą powagą. Mniemam, że pan Jerzy Moore[80] może stanowić przykład nader typowego dziecka epoki, która nastała po epoce Huxleya. Posiada on jeden z najbardziej krytycznych, wdzięcznych i nastrojowych talentów tej epoki. Przeżył większość jej konfiguracji i przyswoił sobie większość obowiązujących w niej mód. Wyznawał, w tym lub innym czasie, większość panujących w owej epoce opinii. Nade wszystko – nie tylko myślał samodzielnie, ale czynił to z wyjątkową doprawdy pompą i pychą; uważał siebie za najbardziej wolnego spośród wolnomyślicieli. Niech nam będzie wolno posłużyć się nim tutaj jako figurą i próbą tego, co naprawdę stało się z Huxleyowską procedurą oddzielania ziarna od plew. Huxley zacytował jako wyraz niezniszczalnego ideału ów szlachetny werset z proroka Micheasza, mówiący że „pokazał ci Pan, człowiecze, co jest dobro"; po czym zapytał pogardliwie, czy ktokolwiek kiedykolwiek ośmieliłby się powiedzieć, że sprawiedliwość nie jest wartością samą w sobie lub że litość i miłosierdzie to cechy niegodne podziwu, i czy w jakichkolwiek innych czasach tak dobrze rozumieliśmy onieśmielającą wielkość ideałów naszej kultury. Wszakże być może już w tamtym momencie, pan Jerzy Moore antycypował sobie

80 Jerzy Moore (1852-1933) – irlandzki pisarz, poeta, dramaturg i krytyk literacki. Przedstawiciel naturalizmu. Prawdopodobnie jedyny człowiek, do którego Chesterton czuł prawdziwą antypatię.

swobodnie, żeglując, jak sam powiedział, „w okolicy skał przybrzeżnych otaczających jaskinię Zaratustry”, pomysły Nietzschego. Powiedział on kiedyś, na ile dobrze pamiętam, że Cromwella powinno się podziwiać dokładnie za jego niesprawiedliwość. Otwarcie sugerował, że Chrystusa powinno się potępić – nie za to, że zabił stado świń, ale za to, że uzdrawiał chorych. Krótko mówiąc: uważał, że sprawiedliwość nie jest wartością samą w sobie, bo w ogóle nie jest wartością, litość i miłosierdzie zaś miał za cechy odrażające i podziwu niegodne; co do kwestii mądrej pokory, dystansu i rozumienia onieśmielającej wielkości ideałów naszej kultury natomiast, sugerował raczej, jak się zdaje (i przynajmniej w tamtym wypadku), że jego wysoce zróżnicowane ideały były interesujące wyłącznie z tego powodu, że to on właśnie je wyznawał. To prawda, że część z tych tez znalazła wyraz wyłącznie w książce *Wyznania młodego człowieka*; niemniej chodzi mi tutaj dokładnie o to, że stanowiła ona rzeczywiście wyznania młodego człowieka, podczas gdy wyznania Huxleya były najwyżej, w porównawczej skali, wyznaniami starego człowieka. Tendencja nowych czasów, w różnych wypadkach w bardzo różnym stopniu, dążyła do podważenia nie tylko chrześcijańskiej demonologii, nie tylko chrześcijańskiej teologii, nie tylko chrześcijańskiej religii, ale z pewnością także chrześcijańskiego ideału etycznego, który

wielkiemu agnostykowi wydawał się tak niewzruszony, jak gwiazdy na niebie.

Lecz świat nie tylko drwił sobie z wyznawanej przezeń moralności, ale w tym samym czasie przywracał także do życia ów wyśmiewany przezeń mistycyzm. Następną fazę rozwoju samego pana Moore'a, którego stosuję tutaj jako typ tamtego okresu, stanowiło poważne i pełne sympatii zainteresowanie mistycyzmem irlandzkim, uosabianym przez pana W.B. Yeatsa. Na własne uszy słyszałem jakoś w tamtym czasie fantastyczną historię, opowiadaną przez pana Yeatsa dla podkreślenia jak konkretna, a nawet komiczna, jest rzeczywistość spraw nadprzyrodzonych. Mówił on, że spotkał kiedyś irlandzkiego rolnika, który jednego dnia został wyciągnięty z łóżka i pobity przez miejscowe wróżki. Załóżmy teraz, że pan Yeats opowiedziałby panu Moore'owi, funkcjonującemu wtedy w takiej samej, pełnej czaru atmosferze, inną jeszcze opowieść tego samego rodzaju. Załóżmy, że powiedziałby mu, że świnie jego znajomego rolnika stały się przedmiotem antypatii jakiegoś maga z kategorii tych, których tak bardzo wychwala, który wpędził w te czworonogi cały hufiec złych wróżek, tak że wpadły one, w jakimś dzikim tańcu, do znajdującego się w wiosce jeziorka. Czy pan Moore uznałby niniejszą opowieść za w jakimkolwiek stopniu mniej wiarygodną od poprzedniej? Czy uznałby ją za coś gorszego od tysiąca innych rzeczy,

w które mistyk współczesny wolny jest wierzyć bez żadnego problemu? Czy zerwałby się na równe nogi i zakomunikował panu Yeatsowi, że między nimi wszystko skończone? Zdecydowanie: nie. Na pewno przynajmniej wysłuchałby go on z poważnym, więcej nawet: uroczystym wyrazem twarzy. Pomyślałby, że to jakaś mała, ponura groteska wiejskiego diabelstwa, dziwna opowieść o goblinach, ani bardziej, ani mniej wiarygodna od setek innych, paranormalnych fantazji czy fars, na poparcie których da się znaleźć naprawdę wiele dowodów. Byłby on gotów pobawić się możliwością podobnego wypadku, gdyby znalazł jego opis gdziekolwiek indziej, tylko nie w Nowym Testamencie. Co zaś do bardziej wulgarnych i powszechniejszych trendów, które nastały po ruchu celtyckim, zostawiły one podobne drobnostki daleko za sobą. I były one kierowane nie przez twórczych artystów, jak pan Yeats bądź nawet pan Moore, ale przez rzetelnych i profesjonalnych naukowców, takich jak Sir William Crookes i Sir Artur Conan Doyle. Z większą łatwością przychodzi mi wyobrażenie jakiegoś złego ducha, plączącego nogi Bogu ducha winnej świni, niż dobrego ducha, plączącego nogi stolika nocnego. Nie zamierzam jednak wdawać się tutaj w polemikę, ponieważ jedyne, co usiłuję zrobić, to opisać towarzyszącą tym sprawom atmosferę. Cokolwiek stało się w mniej odległych latach, na pewno nie stało się to, czego spodziewał się Huxley. Przeciwko moralności chrześcijańskiej dokonała się

rewolucja, gdzie zaś nie dokonał się powrót chrześcijańskiego mistycyzmu, mistycyzm powrócił bez chrześcijaństwa. Powrócił mistycyzm jako taki – ze wszystkimi swoimi fazami księżyca, z całym swoim półmrokiem, talizmanami i zaklęciami. Mistycyzm jako taki powrócił – i przywiódł ze sobą siedem diabłów gorszych, niż on sam.

Niemniej owa naukowa zbieżność z tematem jest jeszcze bliższa i ściślejsza. Ma ona znaczenie nie tylko w ogólnej kwestii cudów, ale w szczegółowej kwestii opętania. Opętanie to ostatnia możliwa rzecz, którą wybrałby sobie za przedmiot swojego pisarstwa oświecony chrześcijański apologeta. Gladstone tego pojęcia bronił – lecz nie zdecydował się postąpić wbrew swoim intelektualnym schematom i choć trochę nad nim pomyśleć. Ta sprawa to doskonały model praktyczny tego, co nazywam nieoczekiwanym znalezieniem dowodu, i to znalezieniem go w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. To nie teologiczne, ale psychologiczne badania zawiodły nas na powrót w owe mroczne podziemia duszy, gdzie sama tożsamość wydaje się roztwarzać lub rozszczepiać, a człowiek nie jest nawet samym sobą. Nie twierdzę, że psychologowie przyznają się do odkrycia istnienia czegoś takiego, jak opętanie demoniczne; gdyby zaś tak było, na pewno nazywaliby oni tę rzecz jakoś inaczej, na przykład „demonomanią". Niemniej mówią oni o zjawiskach, które

wydają się być równie bliskie nowemu supernaturalizmowi, i równie dalekie od starego racjonalizmu. Rozdwojenie osobowości nie różni się aż tak bardzo od opętania. I jeżeli dogmat podświadomości naprawdę pozwala stać się agnostykiem, agnostycyzm ów działa w dwie strony. Nikt rozsądny nie może powiedzieć, że istnieje w nim jakaś rzeczywistość, której nie jest świadomy, jest jednak zupełnie świadomy faktu, że nie wchodzi ona w kontakt z niczym, czego byśmy nie znali. Nie może powiedzieć, że w jego domu znajduje się jakaś zapieczętowana komnata lub piwnica, o której zupełnie nic nie wie; lecz ma zupełną pewność, że nie wychodzi z niej żaden rodzaj tunelu, prowadzący w szeroki świat. Nie może powiedzieć, że w ogóle nic nie wie na temat jej rozmiarów, kształtu lub wyglądu, poza tym, że na pewno nie znajdzie się w niej relikwii palca św. Katarzyny Aleksandryjskiej lub że na pewno nie straszy w niej duch Heroda Agrypy. Jeżeli istnieje jakakolwiek legenda, tradycja czy wiarygodne prawdopodobieństwo świadczące, że jednak tak jest, nie może on nazwać niemożliwością czegoś, o czym nie tylko nie wie, ale czego nie jest nawet świadomy. Wracamy zatem do tej samej rzeczywistości: że stary, spoisty kosmos zależał od starej wizji spoistej świadomości. Jeżeli zajmujemy się niewiadomymi, nie możemy zaprzeczyć ich związkom z innymi niewiadomymi. Jeżeli mam „ego”, o którym nie potrafię niczego powiedzieć, jak mogę powiedzieć, że to w ogóle moje „ego”? Jak mogę powiedzieć nawet, że

zawsze je miałem albo że wcześniej nie znajdowało się ono gdzieś indziej? Jasne jest, że nawet jeśli nie rzuciliśmy się w nią sami z jakiegoś urwiska, na pewno przynajmniej zostaliśmy rzuceni na bardzo głęboką wodę,

Warto dodać, że to, czego rzeczywiście nam brakuje, to nie nadprzyrodzoność, ale zdrowa nadprzyrodzoność. Nie cud – ale cud uzdrowienia. Nader dobrze rozumiem tych, którzy twierdzą, że większość z tych rzeczy jest cokolwiek makabryczna i bliższa diabelstwu raczej, niż bóstwu, niemniej nazywanie jakiegoś zjawiska „diabolicznym" trudno uznać za argument przeciwko istnieniu diabolizmu. Sprawa okaże się jeszcze bardziej klarowna, jeżeli wyjdziemy poza obszar tej maleńkiej i dobrze oświetlonej wysepki, na której żyją uczeni, i na moment zbłądzimy w półmrok i cienie, tak naturalne przecież dla literatury i konwersacji. Istnieje obecnie cała masa fikcji literackiej i modnej gadaniny, w wypadku której zupełnie zgodnie z prawdą powiedzieć można, że brakuje nam nie demonów, ale mocy wyrzucania demonów. Łączy ona okultyzm z obscenicznością; materialistyczny sensualizm ze spirytualistycznym szaleństwem. Z opowieści o wydarzeniu pod Gadarą nie pominęliśmy niczego, poza Zbawicielem – zostawiliśmy sobie zarówno diabłów, jak i świnie.

Innymi słowy: nie znaleźliśmy św. Jerzego. Ale znaleźliśmy smoka. Znaleźliśmy na pustyni, jak już mówiłem, kości potwora, w którego istnienie nie wierzyliśmy – znacznie bardziej niepodważalnie, niż ślady stóp bohatera, w którego istnienie wierzyliśmy. Znaleźliśmy je nie dlatego, że się tego spodziewaliśmy – ponieważ nasze postępowe umysły spodziewały się znaleźć ślady czegoś znacznie bardziej optymistycznego, a wręcz optymalnego; nie dlatego, że tego chcieliśmy, ponieważ nasz nowoczesny nastrój, podobnie jak w ogóle natura ludzka, zdecydowanie skłania się ku przyjemniejszym i bardziej krzepiącym rzeczom; nie dlatego nawet, że dopuszczaliśmy coś podobnego jako realną możliwość, ponieważ naprawdę sądziliśmy, na ile w ogóle myśleliśmy o tej sprawie, że to zupełnie niemożliwe. Znaleźliśmy je, ponieważ tam *były*, i że musimy co jakiś czas na nie wpadać, nawet jeżeli tylko się o nie potykając. Metoda Huxleya obaliła jego wnioski. Jak już mówiłem, wnioski owe zostały, że tak powiem, kompletnie odwrócone. Dyskutuje się o tym, co miał za bezdyskusyjne; co zaś miał za niemożliwe, stało się możliwe. Chrześcijańska etyka nie przetrwała w formie humanitarnej moralności – zamiast tego chrześcijańska demonologia przetrwała w formie pogańskiej demonologii. Przetrwała one jednak nie dzięki uczonemu tradycjonalizmowi w stylu Gladstone'a, ale raczej dzięki nieustępliwej, obiektywnej ciekawości, którą tak gorąca zalecał Huxley. My na Zachodzie naprawdę „podążyliśmy po ścieżkach

rozumu tak daleko, jak się tylko dało”, i oto rozum nasz przywiódł nas w rewiry, które wszyscy prawie racjonaliści uznaliby za irracjonalny koszmar, wyjęty z wizji szaleńca. Terror naukowy szybko miał zamienić nas wszystkich w racjonalistów; niemniej dzisiaj wydaje się, że szybko zamienia wszystkich w irracjonalistów. Naukę Einsteina można by określić raczej jako „podążanie po ścieżkach nierozumu tak daleko, jak się tylko da” w celu przekonania się, czy mózg pęknie pod naporem koncepcji, że przestrzeń jest zakrzywiona a linie proste zawsze się spotykają. Nauka Freuda natomiast sprawia, że sama próba określenia znaczenia słów „rozum” i „nierozum”, i postawienia tutaj jakiejś jasnej granicy, po prostu traci sens. Bo skoro człowiek nie wie nic na temat swojego drugiego „ja”, skąd może wiedzieć, że jego drugie „ja” czegoś nie wie? Nie może już z dumą stwierdzać, że wie przynajmniej tyle, że nic nie wie. Bo to jest właśnie to, czego nie wie. Jego umysłowi odpadła podłoga, a ziejąca niżej otchłań może zawierać w sobie zarówno podświadomą pewność, jak i podświadome wątpliwości. Jest do tego stopnia ignorantem, że nie może pozwolić sobie nawet na luksus ignorancji; i musi uznać się za agnostyka nawet w kwestii tego, czy w ogóle jest agnostykiem.

Tak właśnie przedstawia się kłębek, a może wręcz supeł, w który zwinął się nasz smok nawet w naukowych krainach Zachodu. Supeł ów tylko opisuję; bynajmniej się nim nie zachwycam. Jak większość

ludzi gustujących w tradycji katolickiej, jestem na to za bardzo racjonalistyczny; jako iż katolicy to nieledwie jedyni ludzie, którzy bronią dzisiaj rozumu. Nie mówię tutaj jednak o prawdziwym i naturalnym związku rozumu z tajemnicą, ale o fakcie historycznym, że tajemnica najechała obszary naturalnie znajdujące się pod władzą rozumu; szczególnie europejskie królestwa motoru i telefonu. Kiedy ktoś taki, jak pan William Archer, wygłasza mistyczne wykłady na temat snów i psychoanalizy, mówiąc, że w oczywisty sposób Bóg nie stworzył człowieka zwierzęciem rozumnym, każdy mający znajomość tradycji i znakomitego dorobku tego twardego i rzutkiego Szkota uzna to wydarzenie za cud. Przyznam, że nigdy bym nie przypuścił, że pan Archer jest ulepiony z tego samego materiału, co sny; i jeśli rzeczywiście na starość (używam tutaj tego terminu w mistycznym i wyłącznie względnym sensie) zamienia się w mistyka, możemy spokojnie uznać, że orientalna powódź wzmaga się szybko i dociera do miejsc, które nie tylko są wysokie, ale także – suche. Niemniej zmiana ta jest znacznie bardziej ewidentna dla kogoś, komu zdarzyło się zbłądzić pomiędzy owe wzgórza Orientu, gdzie strumienie okultyzmu zawsze są wezbrane, zwłaszcza zaś w ową krainę, leżącą między Azją, gdzie okultyzm to niemal oczywistość, i Europą, gdzie okultyzm nieustannie powraca, za każdym razem ze świeższą i młodszą energią. W tej dzielącej dwa światy dziczy, w której ostre skały

wyrastają z ziemi niczym kości smoka, prawda zaczyna jaśnieć jakimś dziwnym blaskiem.

Gdy zdążałem w dół po owej pochyłej ścianie bądź ramieniu świata z Miasta Świętego ku pogrzebanym pod ziemią biblijnym miastom równin, zdało mi się, że coraz jaśniej i jaśniej dostrzegam całą ową zachodnią ewolucję wschodniej tajemnicy i to, jak wokół tego jednego, wysokiego miejsca obracało się, niczym wokół osi, całe przeznaczenie ludzkości. Podjąłem na nowo ów tok myślenia, którego tropem podążałem na pustyni, opisany w poprzednim rozdziale, dotyczącym bogów Azji i starożytnego porządku religijnego, i powiódł mnie on dalej, między tutejszymi wzgórzami, odsłaniając przede mną w końcu widok czy wizję nowego porządku i cywilizacji chrześcijańskiej. Biorąc rzecz obiektywnie i z zewnątrz, historia ta przedstawia się w sposób, który został już tutaj luźno zarysowany; jako pojawienie się na tej prastarej i tajemniczej ziemi czegoś, co niewątpliwie, w perspektywie tamtych czasów, było zaledwie jednym plemieniem pośród wielu plemion, oddającym cześć jednemu bogu spośród wielu bogów. Niemniej równie ewidentnym i obiektywnym faktem jest to, że bóg ten stał się potem Bogiem. Ciągle patrząc na sprawę obiektywnie, należałoby powiedzieć, że następny etap tej historii stanowi wydanie przez owo plemię i jego religię na świat proroka, który mówił o sobie, że jest więcej niż prorokiem. Stara

religia zabiła tego proroka; niemniej – prorok ten również zabił tę starą religię. Zginął po to, aby ją zniszczyć, ona zaś – zginęła, kiedy go zabiła. I z równie niewątpliwym realizmem utrzymywać mógłby ktoś, że w samej sprawie bądź jej konsekwencjach nie ma choćby cienia normalności. Wszystkie elementy składowe tej tragedii nigdy nie były już takie, jak wcześniej – i nigdy nie były takie, jak cokolwiek innego na świecie. Kościół nie jest taki, jak inne religie; same jego zbrodnie były unikalne. Żydzi nie są tacy, jak inne rasy; pozostają unikalni i niezrozumiali – tak dla siebie, jak i dla innych. Imperium Rzymskie nie skończyło tak, jak inne imperia; nie przeminęło jak Asyria czy Babilon. Przeszło ono długi okres żalu za grzechy, intensywnego tak bardzo, że ocierającego się o szaleństwo, zakończonego powrotem do równowagi psychicznej – tak dziwnym historycznie, jak poprzednie sprawy, niezależnie od tego, czy uznamy, że to coś tak upiornego, jak galwanizowany trup, czy tak pełnego chwały, jak bóg, który powstał z martwych. Sama ta ziemia i samo to miasto nie są jak inne miasta czy ziemie. Napięcie i niezgoda dzisiejszej Jerozolimy, niezależnie od tego, czy uznamy je za efekt chrześcijańskiej rekonkwisty, żydowskiego spisku czy zastarzałego sporu Europy z muzułmanami, również stanowią ledwie zjawiska czy też siły skupione i puszczone w ruch w tym jednym, tajemniczym momencie całej historii tego miasta. W równym stopniu

ogłaszają one światu paradoks oszałamiającej znikomości oraz olśniewającej wielkości tego miejsca.

Nade wszystko jednak, prorok, o którym tu mowa, nie był – i nie jest – taki jak inni prorocy; dowód na to można zaś znaleźć przede wszystkim nie wśród tych, którzy w niego wierzą, ale wśród tych, którzy w niego nie wierzą. Wciąż żyje – nawet jeżeli się go nie przyjmuje. Jaki pożytek ma człowiek współczesny z mówienia, że Chrystus to ledwie jedna z wielu podobnych postaci, takich jak Attis czy Mitra, kiedy za moment przechodzi do ganienia współczesnych chrześcijan za nieprzestrzeganie nauki Chrystusa? Nie wpada on nagle w złość i nie zaczyna miotać gromów za to, że żyjemy „niemitraistycznie", na takiej zasadzie, na jakiej bardzo często i bardzo gniewnie (i zazwyczaj bardzo sprawiedliwie) wytyka nam, że żyjemy nie po chrześcijańsku. W trakcie wielkiej wojny trudno było uświadczyć gdziekolwiek grupę zagorzałych, młodych agnostyków, oskarżonych o zdradę za ekstrawagancką interpretację kilku uwag, przypisywanych Attisowi. Dość nieprawdopodobne wydaje się, by Tołstoj napisał kiedyś książkę poświęconą przekonaniu czytelnika, że wszystkie choroby współczesności powinny być leczone na zasadzie dosłownego i bezwzględnego stosowania się do wszelkich nakazów Adonisa. Trudno uświadczyć młodych bolszewików, nazywających siebie mitraistycznymi socjalistami na podobnej

zasadzie, na jakiej wielu z nich nazywa siebie chrześcijańskimi socjalistami. Nawet same herezje i szaleństwa naszego czasu, choć kompletnie odpadłe już od zachodnich tradycji ortodoksji i zdrowego rozsądku, dowodzą, że problem jest ciągle żywy, a na związane z nim imię naprawdę można jeszcze zaklinać ludzi. Niech krytycy spróbują zaklinać ludzi na jakiekolwiek inne imię. W prawdziwych centrach współczesnych dociekań i aktywności intelektualnej, mocą innego imienia nie poruszą oni nawet mistyka – mocą imienia Jezus poruszą natomiast nawet materialistę. Istnieją ludzie, którzy odrzucają Boga, ale przyjmują Chrystusa.

Niemniej owa zastarzała, lecz ciągle żywa moc tej legendy, nawet w wypadku tych, dla których to naprawdę niewiele więcej, niż tylko legenda, interesuje nas tutaj z jednego jeszcze powodu. Jezus z Nazaretu, biorąc rzecz z czysto ludzkiej strony, stał się dziś prawdziwym herosem humanitaryzmu. Nawet osiemnastowieczni deiści, negując jego bóstwo, zazwyczaj wiele sił poświęcali wychwalaniu jego człowieczeństwa. W wypadku dziewiętnastowiecznych rewolucjonistów, powiedzieć, że wywyższali go oni jako człowieka, to nie powiedzieć prawie nic; jako iż, istotnie, wywyższali go oni zazwyczaj jako nad-człowieka. Innymi słowy, wielu z nich mówiło o nim jako o człowieku głoszącym zdecydowanie najwyższą i przedziwną formę moralności,

wyprzedzającą radykalnie nie tylko jego własne, ale praktycznie biorąc: także i nasze czasy. Zrobili z jego mistycznych rad, jak osiągnąć życie doskonałe, jakiegoś osobliwego typu socjalizm, pacyfizm czy komunizm, który oni sami uważają raczej za coś, co być powinno, ale czego jeszcze nie ma; absolutny szczyt powszechnej miłości. Nie próbuję w tym momencie ustalić, czy mają co do tego rację, czy nie; twierdzę tylko, że faktycznie dostrzegli oni w tej postaci figurę humanitaryzmu i szczerej troski o szczęście człowieka. Każdy zna owe oszałamiające i czasem nawet obłędne wypowiedzi, które rzeczywiście udowadniają i uzmysławiają racjonalność podobnych interpretacji. Do współczesnych idealistów w szczególny sposób przemawiają rzeczy takie, jak choćby ów nadzwyczajnie poetycki paradoks lilii polnych; dla nich stanowiący wyraz radości życia porównywalny w swym rozmachu do tego, co spotykać można w poezji Shelleya czy Whitmana, ruchu powrotu do natury radykalizmem swym przerastającego nieskończenie wszelkie wysiłki Tołstoja czy Thoreau. Istotnie, zastanawiam się często, jak to się stało, że ci, którzy patrzą na sprawę czysto humanistycznie bądź historycznie (a więc z tego punktu widzenia krytycy idealni) nigdy nie pokusili się o głębszą analizę czysto poetyckich lub retorycznych aspektów tej perykopy. Z pewnością niewiele jest wspanialszych przykładów subtelnej architektury stylu, niż ta jedna wypowiedź dotycząca kwiatów; jej niemalże leniwy początek, przygodne

odniesienie do pospolitej dzikiej rośliny, nagły rozkwit małego, fioletowego pączka w potężne przybytki, pałace i wielkie imię historii narodu; i na koniec, za jednym ruchem dłoni, niby za jakimś gestem najwyższej pogardy, zwrot oczu ku trawie, która dzisiaj jest, a jutro wyrzuca się ją na spalenie. Potem następuje, jak bardzo często w Ewangeliach, owo „o ile bardziej", które przypomina niebieską wędrówkę gwiazd, drabinę twórczej logiki wyobraźni. Istotnie, to a *fortiriori* oraz ta umiejętność myślenia na trzech poziomach (ośmielam się przy okazji nadmienić), to rzecz we współczesnej debacie nadzwyczajnie wprost potrzebna. Najwyraźniej wiele umysłów nie jest w stanie ogarnąć trzech wymiarów – albo faktu, że sześcian nieskończenie płaszczyznę, płaszczyzna zaś – linię; na przykład, że obywatel to coś więcej niż wszystkie klasy społeczne, a jednak – dusza to coś więcej niż największy obywatel. Teraz zajmujemy się wszakże wyłącznie pojedynczymi aspektami owej wieloaspektowej tajemnicy, która, jak się składa, naprawdę zgadza się z nastrojem współczesności. Nawet jeśli sądzi się ją według naszej nowoczesnej metody „czystej" sztuki lub idealistycznej ekonomii, wszyscy przyznają, że Chrystus rozumiał wszystko, co jest do rozumienia z owej uniwersalnej idei obecnie znajdującą mało skądinąd wyrafinowaną trawestację w socjalizmie lub ideologii „prostego życia". Celowo skupiam się najpierw na tym optymistycznym, by nie powiedzieć: panteistycznym, a wręcz

pogańskim aspekcie chrześcijańskich Ewangelii. Jako iż tylko wtedy, gdy zrozumiemy, że Chrystus, jeśli patrzy się nań wyłącznie jako na proroka, w swojej miłości do rzeczy naturalnych może być – i jest – prawdziwym trybunem ludu, będziemy mogli poczuć ową kolosalną i tragiczną energię jego świadectwa o wstrętnej stronie rzeczywistości – istnieniu rzeczy nienaturalnych. Zamiast, jak to przed chwilą uczyniłem, wybierać sobie jeden fragment Ewangelii, przeczytajcie ją całą, uważnie i uczciwie, za jednym razem, a na pewno odniesiecie jedno przynajmniej jasno określone wrażenie, nieważne, czy będzie w waszym wypadku ono dotyczyć człowieka, czy mitu. Że egzorcysta góruje w niej zdecydowanie nad poetą, a nawet nad prorokiem; że cała historia między Kaną a Kalwarią to wielka wojna z demonami. Lepiej niż setki poetów rozumiał Jezus piękno kwiatów, rosnących na polu bitwy; niemniej – wyszedł na nie i walczył. I jeśli większość jego słów w ogóle cokolwiek znaczy, znaczy tyle, że oto pod tuż naszymi stopami, niczym przesłaniana przez kwiaty przepaść, rozciąga się jakieś niewyobrażalne zło.

Krótko mówiąc, chciałbym zwrócić tutaj nieśmiało uwagę na fakt, że umysł, który ponad wszelką wątpliwość wiedział wiele z tego, co my wiemy na temat etyki i ekonomii, mógł wiedzieć znacznie więcej niż to, co my zaczynamy wiedzieć, na temat psychologii i zjawisk parapsychicznych. Pamiętam jak czytałem swego czasu, nie bez

rozbawienia, pewien artykuł w *Hibbert Journal,* którego autor samo to, że Chrystus uznawał demonologię, uważał za wystarczający powód do zanegowania jego bóstwa. Jedno ze zdań owego artykułu, pielęgnowane przeze mnie w pamięci przez te wszystkie lata, brzmiało jak następuje: „gdyby był Bogiem, wiedziałby, że nie istnieje coś takiego, jak opętanie". Nie wydaje się, żeby krytyk ten kiedykolwiek zdał sobie sprawę z frapującego faktu, że podobna krytyka nie obraca się wokół pytania o to, czy Chrystus jest Bogiem, ale raczej o to, czy pewien krytyk z *Hibbert Journal* jest Bogiem. W kwestii tej tajemnicy, podobnie zresztą jak i drugiej, na ten moment wyznaję agnostycyzm; przypuszczałbym jednak, że osobiste medytacje Wszechwiedzy na temat zła mogą stanowić rzecz cokolwiek trudną do odgadnięcia. O roli Chrystusa w Ewangeliach oraz życiu współczesnym powiem na razie tylko tyle; że jeśli rzeczywiście był on Bogiem, to prawdopodobnie znał następne wielkie odkrycie naukowe, podobnie zresztą, jak ostatnie, nie wspominając nawet (rzecz w kulturze racjonalistycznej nieprawdopodobnie rzadko spotykana) o czwartym od końca. Nikt zaś nie śmie sobie nawet wyobrażać, co będzie następnym odkryciem w nauce psychologicznej; i jedyne, co możemy na ten temat powiedzieć, to że jeżeli ukaże nam ono demony, a imię ich będzie Legion, nie będzie to dla nas specjalne zaskoczenie. W każdym razie jednak, skończyły się czasy „wszechwiedzy" podobnej do tej

posiadanej przez krytyka z *Hibbert Journal,* który wie doskonale, co by wiedział, gdyby był Bogiem wszechmogącym. Czym jest ból? Czym jest zło? Co autorzy Ewangelii rozumieli pod pojęciem diabła? Co my rozumiemy pod pojęciem szaleństwa? Następne pokolenie, zapytane przez jakiegoś czcigodnego, wiktoriańskiego krytyka i katechetę: „Co wie Bóg?", nie uzna raczej za przesadnie niepoważne odpowiedzieć: „Bóg jeden wie".

Powiedziało się już coś wcześniej odnośnie stromej scenerii, przez którą podróżowałem, myśląc o tych wszystkich sprawach; o poczuciu jakiejś cichej katastrofy i pierwotnego pęknięcia w owych głębokich podziałach urwisk i grani. Poruszały mnie one tym głębiej, że moja percepcja była niemal tak podświadoma, jak podświadomość, o której wtedy dumałem. Po raz kolejny uległem mojemu staremu nawykowi zapominania, gdzie właściwie idę i widzenia rzeczy tylko jednym okiem, w ślepej abstrakcji. Z tego rodzaju transu roztargnienia wybudziłem się dopiero na widok krajobrazu, który mógłby obudzić dosłownie każdego. Mógłby obudzić kogoś naprawdę śpiącego; niemniej i tak myślałby on, że to wciąż jakiś koszmarny sen. Mógłby obudzić umarłych; niemniej prawdopodobnie myśleliby oni, że znajdują się w piekle. W połowie zbocza, pokrywała miejscowe wzgórza jakaś dziwna bladość, mająca w sobie coś pierwotnego, jak gdyby kolory nie zostały jeszcze stworzone. Był tylko jakiś zimny

i wyblakły błękit płaskiego nieba, na tle którego tym mocniej zaznaczała się poszarpana linia horyzontu. Być może przyzwyczajeni jesteśmy po prostu do sytuacji odwrotnej, w której to chmury poruszają się i zmieniają, wzgórza zaś – trwają, mocne i spokojne; niezależnie jednak od wszystkiego, było w tych cichych niebiosach oraz zimnych konwulsjach terenu coś takiego, jak gdyby właśnie na moich oczach rodził się nowy świat. Lecz jeśli naprawdę leżały one między chaosem a stworzeniem, stworzenia tego dokonywał Bóg, a przynajmniej – bogowie, nadając tej anarchii jakiś rozumny cel. Na ostatnim etapie mojej drogi w dół zbocza, na którym wybudziłem się z moich medytacji, wyglądało to już zupełnie inaczej. Można powiedzieć o tym tylko tyle, że cały krajobraz wyglądał jak człowiek dotknięty trądem. Pokrywały go chorobliwe plamy bieli, srebra i szarości, z rozrzuconymi tu i ówdzie cętkami uwiędłych roślin, niby zielonymi wrzodami zarazy. W kształcie swoim nie tylko wyrastał on w rogi i grzywy, przypominające fale czy chmury, ale – jak mniemam – naprawdę się zmieniał, niby fale czy chmury, jakkolwiek odrażająco powolnie. To bagno jest żywe. I po raz kolejny uznałem, że słaba pamięć naprawdę niesie ze sobą pewne korzyści; ponieważ ujrzałem tę nieprawdopodobną krainę, zanim zdołałem przypomnieć sobie jej nazwę, lub starożytną tradycję, wyjaśniającą jej naturę. Potem zaś zniknęły nawet owe zielone wrzody – i wszystko zdawało się stapiać w jedną, pustą przestrzeń pod słońcem, kiedy wszedłem,

pośród owych wielkich przestworów, otaczających martwe zupełnie morze, w straszliwą ciszę Sodomy i Gomory.

Jako iż to są właśnie fundamenty upadłego świata, i morze pod poziomem mórz, po których żeglują ludzie. Wody przebiegają niby obłoki i ryby igrają niby ptaki nad ową zatopioną ziemią. I to tutaj właśnie tradycja umiejscowiła tragedię potężnej perwersji ludzkiej wyobraźni; potworne narodziny i śmierć prawdziwie odrażających rzeczy. Mówię to bez cienia pychy; podobne rzeczy są odrażające nie dlatego, że są nam dalekie, ale dlatego, że są nam bardzo bliskie; w każdym umyśle, a na pewno w moim, pogrzebane zostały rzeczy tak złe, jak wszystkie, nad którymi zamknęły się wody tego gorzkiego morza – i jeśli nie przyszedł On po to, aby wydać im bitwę, choćby tylko w ciemnościach ludzkiego umysłu, trudno mi pojąć, dlaczego w ogóle przyszedł. Na pewno nie tylko po to, żeby mówić o kwiatach czy socjalizmie. Im bardziej prawdziwie jesteśmy w stanie widzieć w życiu baśń, tym bardziej opowieść ta zamienia się w walkę ze smokiem, pustoszącym baśniowe królestwo. Nie zamierzam zajmować się teologią, kryjącą się za tym nośnym symbolem; niemniej pewien jestem, że wszystkie symbole świata, jeśli symbolizowały cokolwiek, symbolizowały dokładnie to. Pamiętam pewnych znakomitych specjalistów od teologii liberalnej, którym trudniej było uwierzyć w jednego diabła, niż w wiele. Twierdzili oni,

że Nowy Testament potwierdza istnienie złych duchów, ale nie jakiegoś jednego, konkretnego wroga ludzkości. Podobnie jak niektórzy (o ile mi wiadomo) chcieliby tragedii Hamleta bez księcia Danii, inni chcieliby tragedii piekła bez Księcia Ciemności. Nie powiem na temat tych rzeczy nic poza tym, że mnie osobiście Ewangelia wydaje się mówić znacznie bardziej konkretnie o znacznie bardziej konkretnym problemie. Głos, który słyszy się w niej jako głos autorytetu, przemawia do armii; dominującą zaś w nim nutę stanowi motyw zwycięstwa raczej, niż pokoju. Kiedy apostołowie powrócili do swojego mistrza po tym, jak po raz pierwszy zostali rozesłani na cztery strony świata, nie powiedział im on, że „wszystko jest aspektem powszechnej harmonii" lub „wszechświat ewoluuje ku doskonałości", lub „wszystko ma swój koniec w Nirwanie", lub „kropla wody wraca do rozjaśnionego słońcem oceanu". Podniósł na nich oczy i rzekł: „widziałem Szatana spadającego z nieba jak błyskawica".

Potem zaś ja podniosłem oczy – i ujrzałem w długich, poszczerbionych płaszczyznach dróg, skał i przepaści coś z potężnej szybkości podobnego pioruna. To, co zobaczyłem, to nie było miejsce, ale raczej scena; jak wtedy, gdy Michał stanął w gniewie na drodze Księcia Pychy. Pod moimi stopami, królestwo zła leżało rozwalone i rozrzucone po równinach, niczym złoty kielich roztrzaskany

w gwiazdy[81]. Sodoma leżała zmiażdżona, niczym Szatan, na samym dnie świata. W oddali zaś, wysoko, blada, mała, lecz ciągle widoczna, majaczyła wieża kościoła Wniebowstąpienia, niczym miecz Archanioła, wzniesiony do salutu po zadanym ciosie.

---

81 Aluzja do Księgi proroka Jeremiasza (51,7).

Rozdział X: Niekończące się imperium

Jedna z największych przygód podróżowania polega na odkrywaniu nie tyle, że popularne powiedzenia są fałszywe, ale raczej, że znaczą one więcej, niż znaczą. Nie w pełni jesteśmy w stanie docenić moc tego twierdzenia, jeżeli nie ujrzeliśmy kryjącego się za nim faktu. Obrazy rzeczy, których nie znamy, tworzymy sobie z rzeczy, które znamy; i zakładamy, że opowieści podróżników znaczą za granicą tyle samo, co znaczyłyby w domu. Jeżeli powie się komuś, kto zna wyłącznie rzeczywistość kościołów angielskich, że niektóre francuskie kościoły są bardzo uczęszczane, natychmiast wyobraża sobie tę rzecz po angielsku. Wyobraża sobie określony, gęsty tłum ludzi w najlepszych obraniach, wspólnie przychodzących do kościoła na jedenastą rano i wspólnie wychodzących zeń w porze lunchu. Nie wyobraża sobie owego szczególnego wrażenia, jakie odniósłby na miejscu; mnóstwa przypadkowych ludzi, wchodzących i wychodzących cały bity dzień, czasami na raczej krótką chwilę, jak gdyby kościół stanowił dla nich coś w rodzaju świętej karczmy. Lub załóżmy, że ktoś, kto zna wyłącznie angielskie sklepy z piwami, słyszy po raz pierwszy o niemieckiej instytucji ogródka piwnego – prawdopodobnie nie wyobraża on sobie nieśpiesznego rytuału tego niezwykłego miejsca. Nie wie, że o ile klient nie zamknie gwałtownie pokrywki swojego kufla, zdecydowanym gestem i robiąc przy tym

trochę hałasu, piwo będzie płynęło do tego naczynia bez ustanku, niby z jakiegoś naturalnego źródła; jako że picie piwa uważa się tam za naturalny stan człowieka, niepicie piwa zaś – za poważne, a nawet patologiczne odchylenie od normy. Nie przywołuję tego przykładu z pogardą; Boże uchowaj. Powiedziałem już tak wiele na temat nieludzkiej strony sprusaczonych Niemiec, że cieszę się, mogąc złożyć ten przelotny hołd owym bardziej szlachetnym niemieckim tradycjom, które dają nadzieję, że Niemcy kiedyś odżyją i staną się na powrót częścią chrześcijaństwa. Używam go wyłącznie jako jednego z wielu wypadków, w których powszechnie znane nam rzeczy, takie jak chodzenie do kościoła czy picie piwa, znaczą coś więcej – i coś znacznie bardziej szczególnego – niż moglibyśmy wnosić na podstawie obyczajów naszej własnej ojczyzny. Zasada ta jest prawdziwa także w wypadku sformułowania, które wszyscy słyszeliśmy w związku z opuszczonymi miastami czy świątyniami Wschodu: „Beduini obozują w ruinach". Kiedy czytałem, setki razy, o Arabach, obozujących w pobliżu jakiegoś opuszczonego miasta bądź świątyni w pobliżu Nilu czy Eufratu, zawsze wyobrażałem sobie, że są oni podobni do Cyganów, obozujących w okolicy Stonehenge. Cyganie zawsze budowali swoje proste schronienia blisko kamieni, nie wiem czemu – być może wykorzystując je jako naturalną ochronę przed wiatrem, potrzebną choćby przy rozpalaniu ognia; co do innych spraw: całe pokolenia Cyganów mogłyby obozować w tym

miejscu, nie robiąc nikomu i niczemu większej różnicy. To zaś, co więcej niż raz dane mi było zobaczyć w Egipcie i Palestynie, to rzecz znacznie bardziej interesująca. Wyglądało to tak, jak gdyby Cyganie zdecydowali się przemeblować Stonehenge i zamienić je w wygodną rezydencję. Wyglądało to tak, jakby otworzyli nad tym kamiennym kręgiem coś w rodzaju gigantycznego parasola, i specjalnie porozwieszali między jego częściami zasłony, tak, aby przeobrazić starą świątynię druidów w coś w rodzaju pawilonu z kamienia i płótna. Z jednej strony – jest w tym znacznie więcej wandalizmu, z drugiej – znacznie więcej praktyczności; niemniej jest to praktyczność, która nigdy nie osiąga poziomu prawdziwej, twórczej niezależności, przejawiającej się w znalezieniu sobie własnego miejsca na świecie i wybudowaniu tam własnego domostwa. Tak właśnie przedstawia się ogólne nastawienie Araba; i przenika ono całą jego historię. Jakkolwiek wspaniałe może być arcydzieło takie, jak Meczet Omara, zawsze przypomina w pewien sposób pawilon z płótna. Opiera się na chrześcijańskich fundamentach, zbudowano go z fragmentów innych budowli, stanowi coś, co wybredniejszych gustów architekci nazywają fikcją albo wręcz: oszustwem.

Często widywałem stare, zrujnowane domy, po których zostały ledwie dwie kamienne ściany, do których miejscowi nomadzi domontowali jeszcze dwie ściany z płótna, tworząc w ten sposób jak

najdoskonalszą w kształcie i jak najbardziej niedorzeczną kolorystycznie kostkę. Arab potrzebuje formy i nie zwraca uwagi na niedorzeczność kolorystyczną, nie przeszkadza mu także fakt, że to ktoś inny budował trwałą część tej całości, on zaś – ledwie dobudował do niej ruderę. Możecie mówić, że w szlachetności swojej rycerz pustyni jest ponad wszelką zazdrość lub że nie ma ambicji artystycznych, lub ma w sobie za dużo z koczownika, aby niepokoił się drobnostką taką jak to, że mieszka w domu, który tylko w połowie należy do niego, w połowie zaś – do kogoś innego. Prawdziwa obecna tu cecha wymyka się prawdopodobnie prostym pochwałom czy przyganom; możemy tylko powiedzieć, że Arab w interesujący sposób posiada coś w rodzaju względnie zdrowego rozsądku; który można by wręcz nazwać krótkowzrocznie zdrowym rozsądkiem. Jakkolwiek go jednak określimy, to jest właśnie to, co naprawdę dostrzec można w całym arabskim podboju i całej arabskiej kulturze, w całej ich ogromie i ograniczeniu. To właśnie przejawia się we wszystkim, w czym koczownicy owi zawiedli bądź osiągnęli sukces. W tym właśnie sensie są oni konstruktywni i w tym właśnie sensie – niekonstruktywni; w tym sensie artystyczni i w tym sensie – nieartystyczni; w tym sensie praktyczni i w tym sensie – niepraktyczni; w tym sensie przebiegli i w tym sensie – niewinni. Zasłony, które porozwieszaliby dookoła Stonehenge, mogłyby stanowić wspaniałą kompozycję kolorów. Sztandarów, które by na

nim zatknęli, mogliby bronić z prawdziwą odwagą i entuzjazmem. Modlitwy, które by w nim recytowali, mogłyby w gruncie rzeczy naprawdę odpowiadać godności człowieka, na pewno zaś stanowiłyby one spory postęp w porównaniu do wcześniejszych związków tego z ofiarami z ludzi. Wszystko to jest w odniesieniu do islamu jak najbardziej prawdziwe, i religia ta bardzo często rzeczywiście zajmuje miejsce kultów bałwochwalczych i czysto negatywnych. Niemniej – Arabowie nie zbudowaliby Stonehenge; z ledwością, by tak rzec, zadaliby oni sobie trud, aby podnieść choć jeden z jego kamieni. Nie zbudowaliby nawet Stonehenge; o ile mniej Sailsbury, Glastonbury lub Lincoln?

Ten właśnie element wypływu arabskiego sprawia, że po całych wiekach supremacji i, w pewnym sensie, sukcesu, pozostaje on w subtelny sposób czymś powierzchownym. Kiedy widzi się pustynię pierwszy raz w życiu, widzi się ów wpływ tak, jak go pierwszy raz opisałem, wyraźnie obecny i bardzo potężny, niemalże – wszechobecny i wszechpotężny. Sądzę wszakże, że tak dla mnie, jak i dla innych, jest on uderzający przynajmniej częściowo z tego względu, że jest także obcy. Islam tak bardzo różni się od chrześcijaństwa, że gdy człowiek ujrzy tę kulturę po raz pierwszy w życiu, wydaje mu się, że znalazł się w zupełnie nowym świecie. Lecz, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, w miarę, jak przyzwyczajałem

się do tutejszych, obcych barw, zwłaszcza zaś – w miarę, jak poznawałem coraz więcej ze starożytnych metropolii, w których tworzyła się historia, stawałem się świadom jakiejś jeszcze innej rzeczy. Było to coś głębinowego, czego upływ czasu ani nie zniszczył, ani, w pewnym sensie, nawet nie zmienił. Nie był to już element muzułmański, ani tym bardziej współczesny; nie orientalny, a jednak – różny kompletnie od wszystkiego, co dane mi było zobaczyć wśród współczesnych narodów Zachodu, spomiędzy których przyszedłem. Przez długi czas nie potrafiłem nazwać tej historycznej atmosfery. Aż pewnego dnia, stojąc w jednym z greckich kościołów, tych domów ze złota, pełnych bogatych i barwnych obrazów, wydało mi się, że na mnie spłynęła. A brzmiała ona: imperium. I na pewno nie chodziło o ów przejściowy najazd azjatyckich bandytów, który nazywamy Imperium Tureckim. Tym, co przykuło moją uwagę w owym barwnym wnętrzu, była rzeźba dwugłowego orła w pozycji, która czyniła go czymś niemal tak samo symbolicznym, jak krzyż. Każdy słyszał, rzecz jasna, o sytuacji, którą fakt ten może sugerować – o tym, że kościół rosyjski za bardzo przypominał kościół państwowy i biały car zdecydowanie za bardzo wszedł w kompetencje Białego Chrystusa. Niemniej, orzeł, którego widziałem, nie pochodził Imperium Rosyjskiego; czymś prawdziwszym chyba byłoby powiedzieć, że to Imperium Rosyjskie pochodziło z (czy od) tego orła. Dwugłowy orzeł to starożytne godło podwójnego Imperium Rzymu

i Bizancjum; z jedną głową spoglądającą na wschód, drugą – na zachód, jak gdyby rozwijał on swoje skrzydła od świtu aż do zmierzchu. O ile się nie mylę, symbol ów zaczął mieć jakiś związek z Rosją dopiero za czasów Piotra Wielkiego, choć wcześniej służył za godło Austrii, jako reprezentującej Święte Cesarstwo Rzymskie. I to, co – jak poczułem – zawisło wtedy nad tamtą kaplicą i krajobrazem, było czymś starszym nie tylko od Turcji czy Rosji, ale również – od samej Austrii. Zacząłem rozumieć jakie to dziwne światło pada o wieczorze na Syrię i Palestynę; poczucie spokojnej rutyny obyczaju, przypominającej tę, o której mówi się, że stanowi o unikalnej godności cywilizacji Chin. Zacząłem rozumieć nawet ów dziwny rodzaj jakby rozespania, tak charakterystycznego dla wytwornych i przystojnych księży prawosławia, przechadzających się w swoich długich szatach wzdłuż okolicznych ulic. Otóż pop to nie arystokrata, ale po prostu urzędnik; w którego ruchach do dziś dostrzec można subtelne ślady egzotycznej rutyny państwowej. W takim stopniu, w jakim orzeł ten stanowił symbol nie tyle imperialnego pokoju, ale raczej toczonych daleko stąd, imperialnych wojen, symbolizował on wojny, o których my, na Zachodzie, prawie w ogóle nie słyszeliśmy; stanowił godło państwowego formalizmu regulującego nawet fantazje poetów.

Jechał poczet z Isfahanu, gdzie Herakliusz Persów bił,

z tyłu wojsk – szły jeńców tłumy, a na czele – orzeł lśnił[82].

Taka właśnie jest owa twarda rzeczywistość, która ciągle leży u podstaw lekkiej tajemnicy arabskiego jeźdźca; to właśnie widzi się w arabskich pawilonach z płótna, kiedy człowiek przyzwyczai się już do zwiewności kolorowych sukien i zacznie spoglądać raczej na kamienne ściany. To również była rzecz w swojej wielkości wymykająca się prostym pochwałom lub przyganom, ogromna biurokracja, drobiazgowa, a jednak: pełna imponującej godności, najbardziej cywilizowana rzecz na świecie, kierująca wieloma innymi cywilizacjami. To był niekończący się koniec świata; wiecznie powtarzający swoją bujną ostateczność. Kroczyłem ciągle w świetle owego długiego wieczora ziemi; i cezar, mój pan, królował z Bizancjum.

Trzeba jednak koniecznie pamiętać, że imperium owo istniało nie tylko o swoim wieczorze. Bizancjum nie zawsze było bizantyjskie. Nie zawsze również tron tej potęgi znajdował się w mieście

---

82 Aluzja do cesarza Herakliusza, jednego z najwybitniejszych cesarzy Bizancjum, panującego w latach 610-641, wsławionego wielkim zwycięstwem w wojnie z Persją (622) i odbiciem z jej rąk Jerozolimy. Niektórzy historycy uznają tę wojnę za pierwszą krucjatę. Wiersz, z którego pochodzi rzeczony dystych, niestety – pozostaje nieznany.

Konstantyna, pierwotnie będącym jedynie małym przyczółkiem stolicy Cezara; i rzeczywiście, nikt nie pamiętałby o Konstantynopolu, gdyby nie Rzym. I istotnie, im więcej widziałem z setek różnych, maleńkich drobiazgów Palestyny, tym wyraźniej umysł mój zwracał się w kierunku owej pierwotnej idei, którą można nazwać Śródziemnomorzem; i faktowi, że podzieliło się ono na dwa imperia, pozostając jednak jedną cywilizacją – na podobnej zasadzie, na jakiej podzieliło się na dwa kościoły, pozostając mimo to jedną religią.

Na tym małym świecie z każdym słowem łączy się historia; i nigdy nie jest to wyraźniejsze, niż w wypadku słów niewłaściwych. Można na przykład powiedzieć, że w niektórych wypadkach słowo „rzymski" tak naprawdę oznacza „grecki". Patriarcha grecki nazywany jest czasem patriarchą rzymskim; podczas gdy prawdziwy patriarcha rzymski, który rzeczywiście urzęduje w Rzymie, nazywany jest ledwie patriarchą łacińskim, jak gdyby urzędował w jakimś małym miasteczku w Lacjum. Prawda, kryjąca się za tą konfuzją, to prawda o pięciu niezwykle istotnych wiekach historii, zakrytych przed oczyma nawet bardzo wykształconych Anglików przez dwa fałszywe przekonania; że Imperium Rzymskie było wyłącznie dekadenckie oraz że wieki średnie były wyłącznie ciemne. W rzeczywistości, nawet wieki ciemne nie były wyłącznie ciemne. I nawet Imperium

Bizantyjskie nie było wyłącznie bizantyjskie. Fakt, że specyficzne określenie zepsucia pochodzi w naszym języku właśnie od chrześcijańskiej nazwy tego miasta mnie osobiście wydaje się trochę niesprawiedliwy – ponieważ gdy Konstantynopol stał się muzułmański, to na pewno również i tym bardziej sztywny i skostniały. Nie jestem aż tak wymagający, by żądać od kogokolwiek popularyzacji terminu „konstantynopolitański". Niemniej, na pewno lepszy termin na sztywność i skostnienie stanowiłby „stambulizm". Dla muzułmanów wszakże, oraz innych ludów Bliskiego Wschodu, tym, co liczyło się w Bizancjum, był fakt, że wciąż było ono spadkobiercą wielkiego imienia Rzymu. Rzym przybył na wschód i wzniósł przeciwko nim to rzymskie miasto, i choć mieszkający w nim kapłan lub żołnierz mógł mówić po grecku, niemniej rządził – po rzymsku. W tych dniach nieustającej krytyki wszystkiego krytycy Bizancjum mogą uważać je za cywilizację upadłą. Niemniej, w dniu bitwy jego wrogowie uważali je po prostu – za cywilizację. Saladyn, największy z Saracenów, nie nazywał greckich biskupów fanatycznymi fantastami lub bandą wstrętnych wariatów – nazywał ich on, ze zdrowszym instynktem dziejowym, „mnichami cesarskiego plemienia". Fakt, że słowo to przetrwało, znaczy tylko tyle, że nawet po tym, jak stolica imperium upadła, ludzie ci widzieli siebie przede wszystkim jako urzędników cesarza, walczącymi w jego imieniu z całą siłą Azji. To ledwie jeden przykład z jakichś dwudziestu – lecz

taki jest właśnie powód, dla którego w tym odległym miejscu Grecy, którzy nie zachowują jedności z Rzymem, do dziś dnia w dziwny sposób nazywani są czasem „Rzymianami".

Ta cywilizacja zaś, to nasza cywilizacja – i nigdy żadnej innej nie mieliśmy. Nie odziedziczyliśmy kultury teutońskiej – nie w większym stopniu, niż druidzką; nie w połowie tego stopnia, nawet. Ludzi twierdzących, że parlamenty, obrazy, ogrody, drogi czy uniwersytety to wynalazki rasy teutońskiej z północy, można załatwić jednym pytaniem: dlaczego ich ukochana rasa teutońska nie wynalazła ich na północy? Dlaczego Partenonu nie wybudowano pierwotnie w okolicy Poczdamu, albo czy dziesięć miast Hanzy rywalizowało między sobą o to, które z nich stanie się miejscem narodzin Homera? Być może, zresztą, do tego czasu zdążyły zacząć; niemniej ich lokalna iluzja straciła już powszechność oddziaływania. W każdym razie koncepcja, jakoby rzymskie drogi zostały wybudowane z inspiracji Teutonów, wydaje się czymś poniekąd osobliwym; podobnie jak teza, że pierwsze parlamenty powstawały w Hiszpanii, ponieważ wymyślono je w Niemczech. Gdybym szukał w tych okolicach innego lokalnego symbolu w rodzaju dwugłowego orła, spokojnie mógłbym znaleźć coś podobnego w wypadku lwa. Zarówno w chrześcijańskiej sztuce hagiograficznej, jak i heraldycznej, lwa spotyka się, oczywiście, wystarczająco często.

Obok jaskini betlejemskiej, o której zaraz powiem jeszcze kilka słów, znajduje się jaskinia św. Hieronima, w której mieszkał on razem z prawdziwym bądź legendarnym lwem, z tak subtelnym poczuciem humoru uwiecznionym przez Carpaccia oraz setki innych malarzy religijnych. Fakt, że pojawia się on w sztuce chrześcijańskiej, to rzecz naturalna; niemniej fakt, że pojawia się on także w sztuce muzułmańskiej, to już coś znacznie bardziej zadziwiającego, biorąc pod uwagę, że muzułmanom teoretycznie nie wolno wykonywać wizerunków żywych stworzeń. Niektórzy mówią, że perscy muzułmanie nie są aż takimi szczególarzami; jakkolwiek by to jednak tłumaczyć, dwa lwy o wysoce heraldycznym wyglądzie wyrzeźbione są na saraceńskiej bramie Jerozolimy, nazywanej przez chrześcijan bramą św. Szczepana; i najbardziej kompetentni sędziowie w tej sprawie wydają się zgadzać ze sobą co do tego, że, podobnie jak saraceńska „muszla Syjonu", przynajmniej częściowo zostały one skopiowane z tarcz i herbów krzyżowców.

I lwy wyrzeźbione na bramie św. Szczepana spokojnie mogłyby stanowić treść całej książki, dotyczącej tego problemu. Jako iż jeżeli są one, jakkolwiek tylko pośrednio, znakiem obecności łacinników wieku dwunastego, są one także znakiem obecności starszych źródeł, z których łacińskie życie wzięło swój początek. Owe dwa lwy kroczą, jak powiedzieliby urzędnicy heraldyczni: *passant, w* dwóch

przeciwnych kierunkach, jak gdyby chodziły tam i z powrotem. I ten fakt również może mieć, poza heraldycznym, także znaczenie symboliczne. Bo jeśli krzyżowcy zanieśli symbol lwa na południe, jawnie wbrew konwencjonalnym upodobaniom muzułmańskiej sztuki dekoratywnej, stało się to tylko z tego względu, że wcześniej Rzymianie zanieśli go na północ, ku zimnym morzom i dzikim lasom tamtych krain. Obraz lwa powędrował z północy na południe tylko dlatego, że pojęcie lwa na długo wcześniej powędrowało z południa na północ. Chrześcijanie mieli lwa symbolicznego, którego nigdy nie widzieli na oczy, muzułmanie zaś – lwa realnego, którego zdecydowanie nie chcieli zamienić w symbol. Jako iż losy tego jednego stworzenia Bożego dowodzą ponad wszelką wątpliwość zarówno, że cała nasza cywilizacja wywodzi się ze Śródziemnomorza, jak i że udawanie, iż wywodzi się ona z wybrzeży Morza Północnego, to zwyczajny nonsens. Te dwa heraldyczne kształty na bramie, obecnie stanowiące dwie ćwiartki angielskiego godła państwowego, mogły zostać zapożyczone z jakiejś andegaweńskiej lub normańskiej tarczy rycerskiej. Mogły zostać zainspirowane, pośrednio albo bezpośrednio, osobą owego wielkiego, andegaweńskiego króla Anglii, którego tytuł przypisywał mu serca lwa. Mogą w jakiś luźny sposób pochodzić z tego samego źródła, co dyrdymały bądź dowcipy naszych rodzimych gazet satyrycznych, pojawiające się za każdym razem, gdy mowa w nich o Lwie Albionu. Niemniej – dlaczego w ogóle na fladze

angielskiej znajdują się lwy, czy to francuskie, czy po prostu feudalne? Gdyby brać pod uwagę ich związek z Anglią czy Francją, równie dobrze mogłyby to być krokodyle lub wielbłądy. Dlaczego o angielskim królu mówiło się, że ma serce lwa, a nie, na przykład, tygrysa? Dlaczego nasze patriotyczne rysowanki ostrzegają świat, by nie drażnił właśnie *Lwa* Albionu?; dlaczego nie Nosorożca? Byłoby to przecież podobnie dziwne. Dlaczego książęta Francji i Anglii nie uczynili sobie symboli rodowych z dzików, na które przecież często polowali? Jeśli Normanowie naprawdę byli Nordykami, wilkami morskimi skandynawskiego piractwa, dlaczego nie umieścili na swoich tarczach trzech wilków? Dlaczego Jan Bull nie zadowolił się angielskim bykiem, albo angielskim buldogiem?

Na pytanie to można odpowiedzieć, cokolwiek przekornie, że sam termin „Jan Bull" ma obce pochodzenie. Nazwisko przywędrowało do nas z Rzymu przez Francję; imię zaś – z Palestyny przez Rzym. Jeśli teutońską generalizację dałoby się w jakikolwiek sposób usprawiedliwić, powinniśmy spodziewać się, że jego nazwisko będzie brzmieć „ox", a nie „bull"; i powinniśmy spodziewać się, że ojcem chrzestnym tej postaci będzie Odyn albo Zygfryd, nie zaś żywiący się szarańczą prorok z palestyńskiej dziczy albo mistyk, spoglądający swoimi płomiennymi oczyma na lazur morza otaczający wyspę Patmos. Jeżeli naszym bohaterem narodowym jest

Jan Bull, a nie Olaf Ox, jest tak dokładnie z tego powodu, że lazur mórz wplótł się niczym lazurowe nici w wszystkie gobeliny naszych tradycji; lub że, innymi słowy, kultura nasza, podobnie jak kultura Francji czy Flandrii, wywodzi się ze Śródziemnomorza. I jeśli sprawdza się to w wypadku angielskiego słowa „bull", jeszcze lepiej sprawdza się w wypadku angielskiego słowa „lion". Ów późniejszy symbol wystarczy jako dowód tego, że kultura nasza wzięła się nie tylko ze Śródziemnomorza, ale zarówno z północnej, jak i południowej części Śródziemnomorza. Innymi słowy, że Imperium Rzymskie otaczało cały obszar tego wielkiego akwenu, skrzyżowanie trzech kontynentów; którego sama nazwa oznaczała nie tylko morze, znajdujące się w środku jakiejś ziemi, ale morze, które znajduje się w środku wszystkich w ogóle ziem, które miały największe znaczenie dla naszej cywilizacji. Jedną z owych ziem, i to tą właśnie, która na dłuższą metę miała znaczenie największe ze wszystkich, była Palestyna.

W tym punkcie dokładnie dotykamy największej różnicy zachodzącej pomiędzy Ryszardem Lwie Serce i którymkolwiek z niezliczonych, współczesnych żołnierzy angielskich, mających serca w równym stopniu lwie, co on. Jego wyższość nie miała charakteru moralnego, ale intelektualny; polegała na tym, że wiedział on, gdzie był i po co tam był. Wynikała z faktu, że w jego czasach wciąż tliło się jeszcze

coś w rodzaju pamięci o Cesarstwie Rzymskim, które niektórzy chcieli odtworzyć jako Święte Cesarstwo Rzymskie. Chrześcijaństwo ciągle stanowiło nieledwie jedną wspólnotę polityczną; i dla Ryszarda przewędrowanie z jednego jej krańca, przypadkowo nazywanego Anglią, na drugi, przypadkowo nazywany Palestyną, wydawało się czymś zupełnie naturalnym. Możemy uważać, że w wypadku tego konkretnego konfliktu miał rację albo jej nie miał, jego doraźne metody możemy uważać za niewinne albo pozbawione skrupułów; niemniej nie ma prawie żadnych wątpliwości co do tego, że on sam uważał to, co robił, nie tyle za podbój, ale raczej – odbicie utraconych wcześniej ziem. Nie był on wcale podobny do kogoś, kto atakuje zupełnie obce ludy, zamieszkujące jakąś nieodkrytą dotychczas wyspę. Nie budował on przyczółka w jakiejś nowej krainie, nie nazywał swoim imieniem nowego kontynentu, nie mógł więc szczycić się realizacją jakiegokolwiek z owych ideałów imperialnej innowacji, stanowiących obecnie zasadnicze natchnienie dla co bardziej oświeconych z naszych pionierów, eksterminujących całe plemiona i wyniszczających całe republiki za jedną kopalnię złota bądź pole naftowe. Pewnego dnia, gdy nasz nowoczesny system edukacyjny zostanie jeszcze bardziej rozbudowany i wmuszony jeszcze większej ilości ludzi, cała przeszłość Palestyny może ulec całkowitemu zapomnieniu; i w tych szczęśliwszych czasach, podróżnik doświadczy, być może,

wszystkich tych świeżych sentymentów, które wiążą się z postawieniem pierwszego kroku na nowej i nienazwanej ziemi. Mając za nic wszystkie mętne i zastarzałe legendy miejscowych, być może uczyni sam sobie później zaszczyt nazwania góry Synaj Górą Higginsa, lub określenia na sporządzanej przez siebie mapie okolicy Betlejem mianem Brownsville. Król Ryszard jednak, przy całej swojej żądzy przygód, nie mógł doświadczyć całej świeżości tego typu przygody. Jego wyprawa do Azji nie była do tego stopnia romantyczna i losowa; faktycznie, jej celem nie była nawet Azja. Jej celem była *Europa Irredenta.*

Takie postawienie sprawy to już jednak właściwie aluzja do tego, co wydarzyło się później i czym trzeba się zająć w późniejszej kolejności. Początkowo mówię tu o Imperium jako rzeczywistości pogańskiej i politycznej; i łatwo domyśleć się, jakie znaczenie miała krucjata z czysto pogańskiej i politycznej perspektywy. Można je ująć w jednym zdaniu: chodziło o to, że Rzym musiał odzyskać to, czego Bizancjum nie potrafiło utrzymać. Niemniej wydarzyło się także coś, co wpłynęło na Rzym bardziej, niż mógłby to sobie uzmysłowić człowiek, pędzący swe życie – jak jak z moich niewinnych fantazji – pod panowaniem cesarzy wschodu. Kiedy powiedziałem, że bizantyjska cywilizacja wydawała się ciągle panować w tych wschodnich prowincjach, miałem na myśli to, że Imperium poniosło

tu dotkliwszą porażkę – lecz jego funkcjonowanie zostało zakłócone w dużo mniejszym stopniu. Ta starożytna pogoda jest bardzo przejrzysta; i niewiele chmur prawdziwej rewolucji odcięło kiedykolwiek tę ziemię od jej starożytnego słońca. Może się to wydawać zagadką i paradoksem; w świetle faktu, że to tutaj właśnie obca religia zwyciężyła i zdołała skutecznie rządzić. Niemniej zagadka owa, stanowi także wyjaśnienie. Na Wschodzie ciągłość kultury została zakłócona wyłącznie przez chaotyczne negacje islamu. Na Zachodzie zaś – przez twórcze pierwiastki chrześcijaństwa. Na Zachodzie chrześcijaństwo zbudowało rzeczy tak wielkie, że przesłoniły one widok jego własnych początków; na Wschodzie widzi się je w perspektywie niekończących się korytarzy, z krągłymi, bizantyjskimi łukami i dumnymi, bizantyjskimi kolumnami. Tak właśnie, jak skłonny jestem sądzić, przedstawia się główna różnica, bezbłędnie wyczuwana przez przychodzącego z zachodu Europy podróżnika na jej wschodnich ziemiach; to jakaś pustka lub wyrwa. To nieobecność groteskowej energii gotyku, nieobecność eksperymentów z instytucją parlamentu i koncepcją reprezentacji ludowej, nieobecność średniowiecznego rycerstwa, nieobecność nowoczesnego pojęcia narodowości. Na Wschodzie cywilizacja żyła, albo – jak kto woli – trwała, nieprzerwanie; na Zachodzie – umarła i narodziła się na nowo. Przez długi czas wszakże, powinno się o tym pamiętać, Wschodowi musiało się

wydawać, że tylko umarła. Tereny Rzymu zniknęły z oczu ludzi, spowite mgłami barbarzyńskiej wojny, tereny Bizancjum zaś – wciąż lśniły, złote i zachwycające w pełnym świetle słońca. Ludzie Wschodu nie zdawali sobie sprawy, że ich splendor kostniał i wyjaławiał się, i nawet wobec wczesnych zwycięstw islamu mogli nie uświadamiać sobie faktu, że panowanie ich było nie tylko skostniałe, ale i – kruche. Ukazanie świat prawdy stało się przeznaczeniem czegoś jeszcze innego. Krucjaty miały wiele znaczeń; niemniej w tej konkretnej kwestii znaczyły one jedną tylko rzecz, przypominającą słowo, które przyszło do nich na wielkich skrzydłach zachodniego wiatru. I słowo to przypominało tekst starej, irlandzkiej piosenki: „zachód się zbudził". Usłyszeli oni w oddali krzyki nieznanych tłumów i poczuli, jak ziemia drży pod stopami maszerującego motłochu; po tym wszystkim zaś, dał się słyszeć w oddali tętent końskich kopyt, brzęk uprzęży i głos rogów wojennych; nowi królowie wydający gromkie rozkazy i całe szeregi pełnych nadziei, młodych ludzi, wykrzykujących w starym, rzymskim języku: „Id Deus vult!"; Rzym powstał z martwych.

Niemal każdy podróżnik spośród tysiąca rzeczy, na które patrzył, byłby w stanie wskazać ledwie kilka takich, które naprawdę zobaczył. To znaczy: takich rzeczy, które uderzyły go z jakąś interesującą jasnością; w ten sposób, że rzeczywiście widzi je takimi,

jakimi wie, że są. Prawie mógłbym powiedzieć, że może w nie uwierzyć, nawet pomimo tego, że je zobaczył. W kwestii tego oświecenia nie ma żadnej reguły; wydaje się, że to kwestia czystego przypadku; i ktoś, kto czegoś podobnego doświadczy, może mówić wyłącznie za siebie, bez jakichkolwiek prób przeprowadzenia krytycznego porównania z innymi. W tym właśnie sensie mogę powiedzieć, że Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem ma w sobie coś, czego nie da się opisać, co jednak przynagla mnie, poza wszelką możliwością wyrazu, do podjęcia się tutaj tej desperackiej próby. Do kościoła wchodzi się przez drzwi tak małe, że można by je wręcz nazwać dziurą w ścianie, w których wielu ludzi dopatrywało się, jak mniemam – słusznie, symbolu idei pokory. Mówi się także, że drzwi te wykuto w ten właśnie sposób, aby zapobiec wtargnięciu wielbłąda na świętą liturgię, niemniej nawet ta interpretacja powtórzyłaby ledwie tę samą intuicję, na mocy swego niekwestionowanego związku z przypowieścią o uchu igielnym. Osobiście zgadywałbym, że – na ile cel tego wszystkiego miał charakter praktyczny – chodziło o obronę przed zwierzem znacznie bardziej drapieżnym, niż wielbłądy, na przykład: Turkami. Jako iż cały kościół z całą pewnością zamieniono w fortecę, okna zostały zamurowane, ściany zaś zwiększały swoją grubość przez wszystkie, albo prawie wszystkie, lata miejscowej wojny religijnej. W pustych przestrzeniach powyżej tych maleńkich drzwi, wisiała w dawnych

czasach mozaika przedstawiająca Trzech Króli, która to kiedyś ocaliła to święte miejsce przed zniszczeniem – w czasie owego osobliwego interludium pomiędzy upadkiem Rzymu a pojawianiem się Mahometa. Bo kiedy Persowie, którzy wcześniej zniszczyli Jerozolimę, wjechali w tryumfie do wioski Betlejem, podnieśli oczy i ujrzeli ponad drzwiami bazyliki obraz z kolorowego kamienia – obraz przedstawiający ich samych. To oni podążyli na zachód za dziwną gwiazdą i oddali hołd nieznanemu dziecięciu. Jako iż chrześcijański artysta, zgodnie z jakąś starożytną tradycją, zawierającą w sobie wieczną prawdę, namalował tych trzech mężczyzn w długich szatach i wysokich nakryciach głowy, pochodzących z Persji. Czciciele Słońca przybyli ze wschodu, aby oddać cześć gwieździe. Lecz nawet jeśli ta część kościoła była tak goła i łysa, jak teraz, albo też istotnie pokrywało ją złoto i wizerunki Persów, jego wnętrze w każdym wypadku wydałoby się, w porównawczej skali, niespodziewanie ciemne. W miarę, jak przyzwyczajenie zamienia ciemność w półmrok, półmrok zaś – w szare światło dnia, przedmiotem pierwszego wrażenia stają się dwa rzędy wysokich kolumn. Wykonane są one z czerwonego, ciemnego kamienia, przypominającego bardzo ciemny, czerwony marmur; i wieńczy je akant w stylu korynckim. Wyrzeźbiono je i postawiono na polecenie Konstantyna; za nimi zaś, na drugim końcu kościoła, z boku ołtarza, mieszczą się pogrążone w mroku

schody, prowadzące, pod wykutymi w kamieniu baldachimami, do stajni, w której narodził się Chrystus.

Ze wszystkich rzeczy, które widziałem, najbardziej przekonujące były właśnie owe czerwone kolumny Konstantyna. Na wyjaśnienie tego sentymentu chciałoby się powiedzieć tysiące rzeczy, których nie da się powiedzieć. Nigdy wcześniej nie czułem tak bardzo wyraźnie wielkiego faktu naszej historii; że religia chrześcijańska przypomina ogromny most nad niezmierzonym morzem, który sam jeden stanowi łączność między nami a ludźmi, którzy stworzyli świat, a jednak na zawsze z niego zniknęli. By ująć to zwięźle, a wręcz: brutalnie, w tym jednym punkcie dało się czuć z Rzymianinem prawdziwą solidarność – a nie tylko go podziwiać. Wszystkie pozostałości po pogaństwie to ledwie świetne skamieliny; bo nigdy nie będziemy mogli poznać życia, które się w nich tliło. Wiemy, że tu albo tam stała świątynia Wenus albo ołtarz Westy; ale kto wie, lub chociaż udaje, że wie, co tak naprawdę czuł Rzymianin w stosunku do Wenus lub Westy? Czy dziewice Westy były kimś w rodzaju dziewic chrześcijaństwa, czy też kimś zupełnie innym? Czy miał on do Wenus stosunek zupełnie poważny, niczym satanista, czy ledwie żartobliwy, jak chrześcijanin? Jeśli duch tamtych czasów różnił się od ducha naszych czasów, nigdy nie będziemy mogli go zrozumieć, jeśli zaś był taki sam – znajdował on wyraz w obrazach, które już go nie wyrażają.

W tym miejscu jednak, on i ja wreszcie się spotykamy; i kłaniamy się ostatecznie tym samym obrazom.

W każdym razie, nigdy nie potrafiłbym oddać słowami owych fal współodczuwania, które przechodziły przeze mnie w tamtym półmroku wysokich kolumn, przypominających odzianych w czerwień olbrzymów, stojących w bezruchu i spoglądających na ową pogrążoną w ciemności dziurę w ziemi. Tutaj właśnie zatrzymała się na moment potężna cywilizacja cesarstwa, kiedy przemierzała w tryumfie cały świat; przyszła tutaj o wieczorze swojego istnienia, z całym swoim przepychem, podążając śladami trzech wschodnich królów. Jako iż przyszła ona, podążając nie tyle za spadającą gwiazdą, ale za gwiazdą, która naprawdę spadła, wybijając w ziemi kolebkę ciemniejszą, niż grób. I pan z wieńcem wawrzynów na głowie, odziany w złowieszczy karmazyn, spojrzał w ową ciemność, a gdy podniósł następnie oczy ku niebu, zobaczył, że wszystkie gwiazdy na jego własnym niebie są martwe. Nie były już one bogami, ale lśniącym pyłem, rozsypanym przypadkiem w przerażającej pustce Lukrecjusza. Gwiazdy stały się tak skostniałe, jak były mocne; nigdy nie umierały, ponieważ nigdy nie żyły; jak przekleństwo ciążyła im nieuleczalna nieśmiertelność, stanowiąca ledwie przedłużenie śmiertelności; zostały związane żelaznym łańcuchem przyczyn i stały się tak niezmienne, jak umarli. Niewielu

dałoby się znaleźć współczesnych, którzy nie znają tego nastroju, chociaż to nie współcześni go odkryli; stanowił on ostateczny i pozornie nieodwracalny nastrój niemal wszystkich starożytnych. Jedynie nad ową ciemną norą Betlejem dostrzegli oni gwiazdę, wędrującą po niebie, jakby była zagubioną iskrą; i zrobiła ona to, czego wiekuiste słońca i planety zrobić nie umiały. Zniknęła.

Są i tacy, których obecność podobnej purpury w pobliżu prostej stajenki betlejemskiej z jakiegoś powodu brzydzi. Niemniej dziwnym wydaje się fakt, że zawsze atakują ją oni w taki sposób, jakby była ona przejawem jakiejś ślepej wulgarności, niczym czerwony plusz jakiegoś parweniusza; zwyczajnego braku wrażliwości na zwyczajną niestosowność. Jako iż w rzeczywistości, wrażliwości brakuje w tym wypadku nie artystom, ale krytykom. Istotnie, ich niewrażliwość to niewrażliwość raczej męcząca w swojej naturze – ta sama, którą da się zaobserwować u tak wielu sceptyków, zajmujących się naukowo folklorem. Ich znak szczególny stanowi chroniczna nieumiejętność dostrzeżenia tego, co w danej opowieści kluczowe i najistotniejsze, nawet jeśli to ledwie opowieść fantastyczna. Biorąc pod uwagę, że starzy, nabożni doktorowie i rysownicy dokładali ogromnych starań, by jak najmocniej podkreślić cierpienia i ubóstwo świętych z jednej, a przepych i pychę królów z drugiej strony, i czynili z tego absolutne centrum swojej wizji, można chyba założyć przynajmniej tyle, że

sami nie byli nieświadomi oczywistości tego kontrastu. Przyznaję, że ten typ niewrażliwości, a nawet głupoty u sceptyków, osobiście bardzo mnie męczy. Nie przeszkadza mi człowiek, który nie wierzy w jakąś opowieść – niemniej ktoś, kto opowiada jakąś historię, nie rozumiejąc w ogóle, o co w niej chodzi, jeśli popatrzy się na nią jako na historię, a nawet jako na kłamstwo, potrafi zanudzić mnie (jeśli mogę się tak wyrazić) na śmierć. Ten zaś, kto uważa podobny kontrast – na przykład kontrast zachodzący między szatą króla a szmatą żebraka – za pospolity kicz, radujący serce prymitywa, najzwyczajniej w świecie nie rozumie znaczenia świadomego projektu w sztuce. Przypomina człowieka, który po usłyszeniu opowieści o królu i żebraczce[83] powiedziałby ociągając się, że nie jest przekonany, czy podobny związek rzeczywiście zasługiwałby na miano *mariage du convenance*; przy czym sformułowanie to (jak

83 Chodzi o opowieść o królu Kopetule (oryg. *Copethua*), młodym, afrykańskim księciu, który przez całe życie nie interesował się kobietami, dopóki nie spostrzegł z okna swojego pałacu młodej żebraczki, Penelofony, odzianej w strzępy najgorszych łachmanów. Oczywiście, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Jak to w bajkach bywa, wszystko skończyło się dobrze – miłość została odwzajemniona, para wzięła ślub, Penelofona została królową i wraz ze swoim mężem rządziła mądrze i sprawiedliwie, zaskarbiając sobie wielką sympatię poddanych. Po śmierci, dwoje kochanków pochowanych zostało w jednym grobie. Aluzje do tej opowieści znaleźć można np. w tragedii Szekspira pod wdzięcznym tytułem *Romeo i Julia.*

mogę nadmienić nawiasem, wszakże – nie bez zdenerwowania) nie oznacza we francuskim „małżeństwa fikcyjnego”, podobnie jak *hors d’oeuvre* nie znaczy w tym języku „bezrobotny”; lecz bardziej adekwatnie można by je przetłumaczyć jako „dobrana para”. Ale nikt przecież nigdy nie sądził, że król i żebraczka mogliby stanowić konwencjonalną „dobraną parę”; gdyby tak było, nikt nigdy nie uznałby tej opowieści za wartą opowiedzenia. To coś takiego, jakby powiedzieć, że Diogenes, rzucając swoje słynne „nie zasłaniaj mi słońca” i wybierając beczkę nad pałac Aleksandra Wielkiego prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z możliwości, które dawała grecka architektura; albo, że Nabuchodonozor, jedząc trawę, w oczywisty sposób postępował niezgodnie z dworską etykietą, albo przygotował sobie potrawę, której nie znajdzie się na pewno w żadnej modnej książce kucharskiej. Nie przeszkadza mi, jeśli uczony sceptyk nazwie podobną historię legendą albo wprost kłamstwem; płaczę nad nim jednak, jeżeli nie potrafi dostrzec jej sensu, czy – mógłbym wręcz powiedzieć – komizmu. Nie sprzeciwiam się mu, gdy odrzuca jakąś historię jako niewiarygodną historię; uważam wszakże, że jego nieumiejętność dostrzeżenia finału lub kulminacji niewiarygodnej historii, samego wierzchołka czy iglicy tej niesamowitej wieży, jest czymś w najwyższym stopniu godnym pożałowania.

Ta nudna wątpliwość mąci jasność spojrzenia na wiele świętych rzeczy w dokładnie taki sam sposób, jak czyni to w wypadku betlejemskiej kaplicy. Stosuje się ją również do samej bożej rzeczywistości tego miejsca, gdy sceptycy naśmiewają się z małych rozmiarów, lokalności, prowincjonalnej konkretności oraz zapyziałości tego bożego początku; jak gdyby dało się zdyskredytować i uciszyć chrześcijan uwydatniając kontrast, który bez ustanku ogłasza się z krzykiem w tysiącach chrześcijańskich hymnów, pieśni czy kazań. W tym konkretnym wypadku, rzecz jasna, obowiązuje dokładnie ta sama zasada. Można sądzić, że opowieść ta jest niesamowita; niemniej gdyby nie jej niesamowitość, na pewno nikt by jej nigdy nie opowiedział. Lecz ten konkretny przypadek mniejszego kontrastu, tego zachodzącego pomiędzy cesarską pompą a wiejską biedą cieśli i pasterzy, sam jeden wystarczy do zobrazowania ujawniającej się tutaj, błędnej koncepcji sztuki. Jeśli chodzi o to, że cesarz przyjechał oddać cześć cieśli, czymś z artystycznego punktu widzenia bezwzględnie koniecznym jest uczynić cesarza jak najbardziej cesarskim, cieślę zaś – jak najbiedniejszym; jeżeli rzeczywiście pragniemy pokazać prosto prostym ludziom, że w tej kaplicy królowie nie są więksi, niż pasterze, czymś koniecznym jest dać królom korony, a pasterzom – kije pasterskie. I jeśli współcześni intelektualiści tego nie wiedzą, to dlatego, że nikt jeszcze nie oszalał do tego stopnia, aby podjąć próbę

popularyzacji współczesnego intelektualizmu. Ta koncepcja pompy jako czegoś popularnego, koncepcja mądrego pobłażania ludzkiej naturze w kwestii kolorów i symboli, gra wielką rolę w wypadku mnóstwa nieporozumień odnośnie pierwotnego entuzjazmu, który rozszerzył się z tej betlejemskiej groty na całe Imperium Rzymskie. Ciekawe, że współcześni intelektualiści często krytują wczesne chrześcijaństwo nie za wąskość, ale właśnie szerokość horyzontów. Krytykują je, ponieważ okazało się ono pragnieniem wszystkich narodów, ponieważ odpowiadało rzeźbiarstwu wielu religii, ponieważ bałwochwalcom jawiło się jako coś równie magicznego, jak ich bałwany, patriotom zaś – jako coś równie godnego miłości, jak ich ojczyzna. Oprócz niniejszej kwestii sztuki popularnej, w wielu podobnych kwestiach zobaczyć można mnóstwo przykładów tego samego, nielogicznego uprzedzenia. Nic nie obnaża tak skutecznie antychrześcijańskich uprzedzeń historyka, niż momenty, w których zaczyna potępiać chrześcijan za dokładnie te same ludzkie słabości, które wychwalał pod niebo w odniesieniu do pogan. Te same rozwiązania artystyczne i alegorie, te same frazeologie i filozofie, które najpierw pojawiają się jako dowody pogańskiego zdrowia, później pojawiają się jako dowody chrześcijańskiego zepsucia. To wspaniale, że poganie byli pogańscy – lecz niewybaczalne, że chrześcijanie byli spoganizowani. Nigdy nie ustają w opowiadaniu nam o chwale starożytnej Grecji, o wielkości starożytnego Rzymu –

Kościół wszakże ma u nich złą opinię dokładnie dlatego, że zaspokoił grecki intelekt i władał z rzymską mocą.

O owej pierwszej, podjętej przez teologię próbie sprostaniu roszczeniom filozofii, nie będę się tutaj zanadto rozpisywał. Nadmienię tylko, że totalnym błędem jest sugerować, jak uczynił to choćby pan Wells w swoim *Zarysie historii powszechnej,* że subtelności teologiczne stanowiły proste odstępstwo od pierwotnej prostoty religii. Prosta religia może lepiej odpowiadać tym, którym religia wydaje się prostą sprawą; niemniej musi istnieć naprawdę wielu ludzi, którym religia wydaje się raczej trudną sprawą – na pewno pośród tych, którzy nad nią myślą, szczególnie zaś pośród tych, którzy o niej wątpią. Żeby posłużyć się tutaj konkretnym przykładem, nie ma żadnego zgoła wyrażenia, które częściej służyłoby jako model prostoty humanitarnym zwolennikom „religii powszechnej", niż owo słynne zdanie, że „Bóg jest Miłością". I nie ma żadnego teologicznego sporu Soborów Kościoła, który częściej byłby przez nich, a zwłaszcza przez pana Wellsa, piętnowany jako bezsensowny i bezpłodny, niż podniesiona na Soborze w Nicei kwestia współwieczności Syna Bożego. A jednak, owo subtelne sformułowanie stanowi jedynie metafizyczne wyjaśnienie prostszego sformułowania; i czymś zupełnie możliwym byłoby zamienić je w popularne wyjaśnienie – mówiąc, że Bóg nie mógłby

kochać, gdyby nie istniało nic, co mógłby kochać. Z początku zaś, Sobory były zgromadzeniami o bardzo popularnym, by nie powiedzieć: pieniackim, charakterze. Były niezmiernie demokratyczne, by nie powiedzieć, że wręcz przesadnie demokratyczne; prawdziwy argument, jaki można przeciw nim ukuć, jest taki, że podejmowano na nich, w burzliwych głosowaniach i nie bez uciekania się do przemocy, decyzje, które w ostatecznym rozrachunku powinni podejmować działający w spokojniejszej atmosferze eksperci. Można chyba jednak całkiem rozsądnie uważać, jak sądzę, że w miarę upływu czasu zainteresowanie greckiego intelektu podobnymi sprawami zmieniło charakter z popularnego na bardziej profesjonalny czy oficjalny; i że ślady podobnych rzeczy ostatecznie zaczęły zacierać się w oficjalnej religii Wschodu. Zupełnie inaczej wyglądało to w wypadku bardziej poetycznej, a zatem i bardziej praktycznej, religii Zachodu. Zupełnie inaczej wyglądało to w wypadku owego bezpośredniego odwoływania się do patosu i pasji, widocznym na wielobarwnym obrazie Pasterza i Króla. Na Zachodzie, świat nie tylko przedłużył swoje życie, ale wręcz – odzyskał swoją młodość. Takie jest właśnie znaczenie owego ruchu, który opisałem jako przebudzenie się Zachodu i zmartwychwstanie Rzymu. I cały sens tego ruchu leżał w tym, jak chciałbym tu zasugerować, że był to ruch ludowy. Powrócił on z dokładnie taką samą, dziwną i prostą energią, która łączy się z opowieścią

o wydarzeniach w Betlejem. Nie na próżno odziany w purpurę Konstantyn przyszedł tutaj, aby zajrzeć do pogrążonej w ciemności groty pod jego stopami; i gwiazda nie zmyliła go na jego drodze, kiedy wydawało się, że kończy ona swój bieg w samych wnętrznościach ziemi. Ludzie, którzy za nim podążyli, przeszli jak gdyby przez długi i nisko sklepiony tunel wieków ciemnych; niemniej znaleźli oni drogę, jedyną drogę, wyjścia z owego świata śmierci i podróż ich zakończyła się w świecie żyjących. Wyszli oni na powierzchnię w świecie cudowniejszym, niż jakikolwiek, na który kiedykolwiek przedtem lub potem spoglądały ludzkie oczy; usłyszeli oni uderzenia młotków setek szczęśliwych rzemieślników, raz jeden w historii pracujących w zgodzie z własną wolą, i ujrzeli św. Franciszka, przemierzającego ziemię z aureolą wokół głowy, otoczonego – niby obłokiem – chmarą rozśpiewanych ptaków.

Rozdział XI: Znaczenie krucjaty

Istnieją trzy przykłady pracy, którą wykonał Zachód na wielkim wschodnim stoku Góry Oliwnej; i tworzą one jak gdyby trójkąt, stanowiący ilustrację prawdy o różnych rodzajach wpływu, jaki Zachód wywarł na Wschód. U podnóża tego wzniesienia, w miejscu, w którym, jak się domniemywa, znajdowało się Getsemani, rośnie pielęgnowany przez franciszkanów ogród oliwny, w nim zaś – omszała oliwka, o której mówi się, że była świadkiem straszliwego konania Chrystusa. Biorąc pod uwagę ogromnie stary wiek oraz powolny wzrost drzew oliwnych, trzeba powiedzieć, że tradycja ta nie jest tak nieracjonalna, jak się wielu wydaje. Niezależnie wszakże od tego, czy jest ona słuszna pod względem historycznym, czy nie, pod względem artystycznym na pewno nie jest błędna. Instynkt (jeżeli to tylko instynkt), który uwagę tak wielu artystów przykuł właśnie do wzrostu i kształtu tego szarego i poskręcanego drewna, był instynktem prawdziwie twórczym. Jedną z osobliwych cech tego osobliwego, południowego drzewa, stanowi jego niemalże przerażająca twardość; przypadkowo, uderzenie w gałąź oliwki przypomina uderzenie o kamień. Ze swoją kamienną powierzchnią, karłowatym rozmiarem oraz dziwnymi dziurami i wypróchniałościami, często bardziej przypomina ono grotę, niż drzewo. Z tego względu nie wydaje się czymś przesadnie

nienaturalnym traktowanie go jako świętej groty; podobnie jak wizja świata, w której ta przedziwna roślina Azji mogłaby trwać po sam koniec wieków, na kształt rzeźbionego pomnika. Same nawet migoczące lub dygoczące liście żywej oliwki mogą mieć własną legendę, podobną tej o osice; jak gdyby przyprószył je siwizną ów strach z apokaliptycznego paradoksu Boga widzącego własną śmierć. Dziecko z jednej z okolicznych wsi powiedziało mi, łamaną angielszczyzną, że w tym właśnie miejscu Bóg się modlił. Nie wiem jak inni, ale ja na pewno nie mógłbym prosić o wspanialsze i bardziej prowokacyjne ujęcie tego wszystkiego, co różni chrześcijanina od muzułmanina czy Żyda; *credo quia impossibile.*

Otóż w okolicy tego straszliwego miejsca, jerozolimscy franciszkanie zrobili coś, co wielu dobrym i rozważnym ludzi wyda się tragicznie nieadekwatne; co mnie zaś wydaje się absolutnie i bezwzględnie trafione. Urządzili oni ów ogród zwyczajnie jako ogród, najzupełniej naturalnie – ponieważ najzupełniej sztucznie. Przygotowali klomby w kształcie gwiazd i księżyców, i ubarwili je kwiatami jak gdyby wyjętymi z ogródka za wiejską chatą. Zestawienie tych skąpanych w świetle słońca, pogodnych wzorów z zalegającym w centrum, strasznym cieniem, niewątpliwie stanowi niestosowność – w tym sensie, że jest to kontrast. Niemniej, jest to kontrast poetyczny, jak w wypadku ptaków wijących sobie gniazda na murach świątyni lub

kwiatów rosnących na grobie. Najlepsza propozycja ujęcia w słowa tego, co ja przynajmniej czuję w związku z całą sprawą, mogłaby brzmieć mniej-więcej tak; wyobraźmy sobie grupkę dzieci, podobnych tym, które Chrystus błogosławił w Jerozolimie, którym po wszystkich wypadkach powierzono na zawsze opiekę nad miejscem jego boleści; prawdopodobnie uczyniłyby one z tym miejscem – jeżeli w ogóle cokolwiek – to właśnie coś takiego. Mogłyby pociąć je w dziwaczne kształty i nakropić czerwonymi stokrotkami lub żółtym nagietkiem. Naprawdę, nie wiem, czy jest cokolwiek lepszego, co mogliby uczynić w tej kwestii ludzie dorośli – biorąc pod uwagę, że i tak wszystko, co uczyniłby największy spośród nich, z konieczności wydawałoby się równie małe. „Jakżebym mógł – tańczący w Twoim świetle giez – ośmielić się być nabożnym?”[84]. Franciszkanie nie ośmielili się być nabożnymi; jedyne, na co się ośmielili, to radość. Być może, że wyobrażenie Chrystusa przebywającego w tym ogrodzie to dla ludzkiej wyobraźni zbyt straszliwa przygoda. Nie ma jednak najmniejszej trudności z wyobrażeniem sobie w nim św. Franciszka z Asyżu; a w przypadku instytucji mającej na karku przeszło osiemset lat, coś takiego mówi bardzo wiele.

84 Aluzja do wiersza angielskiego poety, Coventry Patmore’a.

Tuż nad tym malutkim ogrodem, ocieniając go, a prawie wręcz przyćmiewając, znajduje się świetny, złocony budynek ze złotymi kopułami i minaretami lśniącymi w świetle słońca i wypełniającymi to wspaniałe miejsce niemal bezwstydnym przepychem; rosyjski kościół, wzniesiony nad górną częścią ogrodu i należący do Greckiej Cerkwi. W tym wypadku również wielu z zachodnich podróżników poczuje niejaki niepokój; i pomyśli sobie, że ta złota budowla zdecydowanie za bardzo przypomina bajkowy pałac z jakiejś pantomimy. W tym jednak wypadku po raz kolejny się z nimi nie zgodzę, choć może już nie tak zdecydowanie. Może być i tak, że przyjemność z oglądania go to rzecz dziecinna raczej, niż dziecięca; mogę sobie jednak wyobrazić dziecko klaszczące w swoje małe dłonie na sam widok tych wielkich kopuł, przypominających na błękitnym tle nieba ogromne bańki ze złota. To coś jak pałac Aladyna, wszakże mający swoje miejsce w sztuce – na podobnej zasadzie, na jakiej Aladyn ma swoje miejsce w literaturze; szczególnie – skoro to literatura orientalna. Na owej ziemi skrzących się na złoto meczetów, podobny kościół mogli zbudować owi mądrzy misjonarze z Chin, którzy nie bali się przedstawiać Dwunastu Apostołów jako ubranych w chińskie szaty. I skoro mówi się, że Rosjanin ma w sobie zarówno coś z dziecka, jak i Azjaty, podobny styl naprawdę może być całkiem szczery, a nawet cechować się w całym swoim przepychu pewną odmianą prostoty. Jest on autentyczny zgodnie z wymogami swojego

rodzaju; zbudowano go dla tych, którym się podoba; ci zaś, którym się on nie podoba, zawsze mogą popatrzeć sobie na coś innego. Podobne rzeczy można określić jako tandetne, na pewno nie jest to jednak to, co ja określam mianem fałszywego. Coś, co rzeczywiście mógłbym określić jako fałszywe, znajduje się natomiast na jeszcze bliżej szczytu tego samego wzgórza; wzbijając się pod samo niebo i dominując nad wszystkimi okolicznymi dolinami.

Warto, jak sądzę, zwrócić uwagę na naturę owej różnicy. Dom Niemiecki, który służył za coś w rodzaju pałacu dla niemieckiego cesarza, to bardzo duży budynek z bardzo wysoką wieżą, zaprojektowany – jak mniemam – z wielką troskę o sprawność, solidność i ogólną wygodę, wyposażony w tysiące różnych elementów podkreślających jego nowoczesność w porównaniu do elementów otoczenia, do osobliwego ogrodu franciszkanów czy fantastycznej świątyni Rosjan. To coś, co potrafię opisać tylko jako „ładny" budynek; w stylu podobnym do tego, w jakim bardziej wulgarne umysły epoki wiktoriańskiej zwykły rozprawiać o „atrakcyjnych" kobietach. Gdy nazywam go „ładnym" budynkiem, chodzi mi o to, że od samego szczytu jego oszałamiająco strzelistej wieży po sam spód jego najgłębszego fundamentu, nie znajdzie się na nim ani śladu piękna. Niemniej, ów negatywny fakt sam w sobie nie znaczyłby nic; budynek ten mógłby być po prostu brzydki i utylitarny,

jak fabryka czy więzienie; tymczasem – nie jest. Jest on tak pretensjonalny jak złocone kopuły poniżej; wszakże podczas gdy pretensjonalność drugiej z tych budowli, to rzecz dobra i niewinna, jego pretensjonalność jest zła i zepsuta. To, co mnie w nim drażni, to fakt, że nie zbudowały go dzieci, nawet nie dzikusi, tylko profesorowie; i to profesorowie, którzy wykładali sztukę *ex professo*, ale nie potrafili jej tworzyć. Architekt wiedział wszystko o stylu romańskim – poza tym, jak w nim budować. Czujemy wyraźnie, że skumulowali oni na tym miejscu całą uczoność, organizację, obycie i bogactwo świata, aby wykonać tę jedną, konkretną rzecz; i wykonali ją źle. Wykonali ją źle nie ze względu na przesądy, nie ze względu na fanatyczne wyolbrzymienia, nie ze względu na prowincjonalną ignorancję, ale ze względu na czystą, wzniosłą, wewnętrzną, intelektualną niekompetencję, tak często towarzyszącą intelektualnej pysze. Z całej setki spraw, wspomnę tutaj zaledwie o jednej. Wszystkie kolumny w kaplicy Kaisera w jednym sensie rzeczywiście bardzo pasują do tego miejsca; każda z nich ma spuchniętą głowę. Kolumna jako taka jest smukła, zwieńczenie jej wszakże – nie tyle duże, co nabrzmiałe; i ma się takie wrażenie, jakby obrzmiewało ono ku *dołowi*, jak gdyby napierając potężnie na coś, co nie potrafi go utrzymać. To jest nonsens; nie tyle w świetle zasad którejś z konkretnych szkół architektonicznych, o których profesorowie mogą sobie poczytać w bibliotekach, ale w świetle

najgłębszej, instynktownej koncepcji architektury jako takiej. Normański kapitel może być ciężki, ponieważ kolumna normańska jest gruba, i całość wyraża tutaj słoniowatą masywność i spokój. Kolumna gotycka zaś, może być smukła, ponieważ istotę jej stanowi energia; i energia owa wyraża się przede wszystkim w sylwetce, wzbijającej się w górę niczym życie drzewa, niczym strumień wody tryskającej z fontanny, a nawet niczym huk rakiety. Ale smukły element u dołu, w oczywisty sposób miażdżony przez opasły element u góry, mocą jednej z owych cudownych pomyłek, której błąd jest tak samo precyzyjny, jak precyzyjna jest prawdziwość arcydzieła, sugeruje słabość. Do tego wszystkiego zaś, dochodzi jedna, niemożliwa do zniesienia intuicja; że Rosjanie i franciszkanie, nawet jeśli przypisujemy im fantastyczną ignorancję, przynajmniej spoglądają w niebo; i dobrze wiemy, w jaki sposób patrzyliby na nich z góry uczeni Niemcy, zamknięci w swojej potwornej wieży na szczycie wzgórza.

Konkluzja ta jest zaś prawdziwa tak w wypadku morału, jak i elementów artystycznych współczesnego Jeruzalem. Aby pokazać, że nie jestem wcale niesprawiedliwie stronniczy, szczerze powiem, że nie widzę zbyt wielu powodów do narzekania w owym powszechnym tutaj przedmiocie narzekań; mozaikowym portrecie cesarza na suficie kaplicy. To tylko jedna z wielu postaci;

i umieszczanie wizerunku fundatora pomiędzy kościelnymi dekoracjami to dosyć dobrze znana praktyka. Prawdziwy przykład owej cechującej barbarzyński imperializm, zadziwiającej tępoty moralnej, stanowi inna zgoła postać, której, jak się zdaje (i rzecz to ciekawa), poświęcano jak dotąd znacznie mniej uwagi. Jest to sprawa tym bardziej niezwykła, że postać ta stanowi ledwie artystyczny cień autentycznego faktu; i ledwie zapis, w formie zarysu i reliefu, tymczasowej maskarady, którą człowiek ten organizował sobie beztrosko w zupełnie biały dzień. Chodzi mi tu o wprawiającą w osłupienie sztuczkę przebierania się za krzyżowca. Biorąc pod uwagę okoliczności, była to rzecz znacznie bardziej absurdalna i pomylona, niż gdyby zapełnił on cały sufit wizerunkami cherubinów, z których każdy miałby jego własną twarz lub wytapetował wszystkie ściany dekoracyjnymi malunkami swoich osobistych cesarskich wąsów.

Niemiecki cesarz przybył do Jerozolimy pod turecką eskortą, jako turecki sprzymierzeniec i tylko i wyłącznie ze względu na tureckie zwycięstwo i supremację. Innymi słowy, przybył on do Jerozolimy wyłącznie dlatego, że krzyżowcy ją stracili; przybył tam wyłącznie dlatego, że krzyżowcy byli gromieni, niszczeni i wyżynani w pień przed i po katastrofie pod Hittin; dlatego, że Krzyż upadł w strugach krwi przed Półksiężycem – tylko zaś pod znakiem Krzyża mógłby on

wjechać do tego miasta naprawdę bezpiecznie. Przebierać się za krzyżowca w takich okolicznościach, jakby się szło na jakiś fantazyjny bal kostiumowy, stanowiło mieszaninę szaleństwa i wulgarności, która dosłownie zapiera dech w piersiach. Nie ma żadnego powodu obwiniać go za sojusz z Turkami; sojusz z Turkami zawierały setki ludzi; Anglicy zaś zdecydowanie zbyt często. Niemniej, jeżeli ktokolwiek pragnie zrozumieć prawdziwą różnicę, inną od wszelkiej obłudnej paplaniny gazetowego patriotyzmu, zachodzącą między Anglikami a Niemcami, (których wzajemną przyjaźń i przymierze nasze obecnie jakże „patriotyczne" gazety uwielbiały wychwalać jeszcze na bardzo krótki czas przed wybuchem wojny), niech potraktuje to jedno wydarzenie jako swoistą próbę. Lord Palmerstone[85], na przykład, był wiernym przyjacielem Turcji. Wyobraźcie sobie Lorda Palmerstona wystrojonego w kolczugę i tarczę rycerzy Grobu Pańskiego.

85 Henry Temple, 3-ci wicehrabia Palmerstone (1784-1864) – angielski polityk stronnictwa torysów, premier i minister spraw zagranicznych. Przeciwnik rozszerzania praw wyborczych na robotników i zwolennik doktryny „równowagi sił w Europie". Autor zdania: „Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników, ani wiecznych wrogów; wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony".

Oczywiste jest to, że Palmerstone powiedziałby, że nie bardziej dba o krucjatę, niż o oblężenie Troi; że w swoich poczynaniach dyplomatycznych kierował się wyłącznie patriotyczną analizą istniejącej sytuacji; i że uważał wojny religijne dwunastego wieku za stertę śmiecia i zamierzchłych przesądów. Mówiąc to, byłby w zupełnym błędzie – ale mówiłby to także z zupełną szczerością; angielski arystokrata wieku dziewiętnastego, prawdziwy spadkobierca angielskiej arystokracji wieku osiemnastego; której poglądy na życie były po prostu poglądami Woltera. Wszystko to zaś, stanowi coś w rodzaju alegorii. Jako iż wolteriański obraz krucjat to ciągle możliwie najbardziej rozumna opcja ze wszystkich prostych potępień ruchu krzyżowego. Jeżeli krucjaty nie były twórczym ruchem religijnym, to były zwyczajnie niszczycielskim uniesieniem zabobonu; i niezależnie od tego, czy za Wolterem nazywamy ideę walki w imię krzyża zabobonem, czy też – za Villehardouinem[86] – religią, ci dwaj obdarzeni jasnym umysłem Francuzi zgodziliby się przynajmniej co do tego, że istniał tu jakiś motyw i staraliby się wyjaśnić fakty. Lecz tak jak istnieje niezdarny niemiecki budynek, łączący w sobie cechy pomnika i parodii, istnieje także niezdarna niemiecka teoria dziejowa, naraz prześmiewcza i protekcjonalna. Według wspomnianej teorii, najważniejszą dotyczącą krucjat prawdą

86 Gotfryd z Villehardouin (1150-1212) – marszałek Szampanii, kronikarz i uczestnik IV krucjaty.

jest ta, że nie były to wcale krucjaty. Że stanowiły one coś, co profesorowie, w zamierzchłych, przedwojennych czasach, zwykli określać mianem „teutońskiej wędrówki ludów”. Gotfryd i św. Ludwik nie walczyli, jak powiedziałby Villehardouin, za prawdę; nie walczyli oni nawet za to, co, jak powiedziałby Wolter, uważali za prawdę; takie rzeczy były w rzeczywistości ledwie czymś, o czym myśleli oni, że o tym myślą, myśląc tak naprawdę o czymś zupełnie innym. Nie skłoniła ich do działania ani pobożność, ani sztuczki klechów, tylko jakaś nowa i niespodziewana forma nomadyzmu. Nie inspirowała ich ani wiara, ani fanatyzm, tylko jakieś niespotykanie bezcelowe zamiłowanie do podróży zagranicznych. Teoria, wedle której wojna między dwiema wielkimi religiami daje się wytłumaczyć zjawiskiem „Wanderlust” z jakieś dwadzieścia lat temu miała wśród niemieckich profesorów historii status obowiązującej i – razem z wieloma innymi ich poglądami – bardzo często przyjmowali ją także angielscy profesorowie historii. Podobnie jak resztę śmiecia, ją również pochłonęło trzęsienie ziemi – w 1914 roku.

Od tamtego momentu, na ile mi wiadomo, jedyna osobą, cierpliwą na tyle, by ją ponownie wykopać, był pan Ezra Pound. Jako amerykański poeta, jest on bardzo dobrze znany; jako jednostce, jak uważam, nie można odmówić mu także wielkiego talentu i obycia w świecie. Niedawno wszakże podjął się z nieznanych bliżej względów próby

odzyskania teutońskiej teorii wędrówki ludu, na którą udał się Piotr Pustelnik, usiłowania jego zaś znalazły swój wyraz w prozie; w artykule dla gazety *New Age*. Nie mam powodu podawać w wątpliwość faktu, że powinniśmy zaliczać go do grona naszych najlojalniejszych sojuszników; niemniej dosyć ewidentnie należy on także do grona tych ludzi, którzy, nie wykazując zupełnie nastawienia pro-niemieckiego, mimo wszystko są w stanie być zwyczajnie niemieccy. Teoria teutońska była bardzo teutońska; niczym Dom Niemiecki, stojący na szczycie wzgórza, została ona skonstruowana z wielką dbałością oraz wiedzą, by zaraz potem zgnić od fundamentu aż po strych. Nie rozumiem, skoro już o tym mówimy, dlaczego sojusz z panem Poundem, którym wciąż mamy okazję się cieszyć, nie powinien być traktowany w taki sam sposób, jak inne omawiane tu wydarzenie historyczne; lub dlaczego ostatnia wojna nie miałaby stanowić kolejnego przykładu *Wanderlust*. Wszak armię amerykańską musiały wyrzucić na wschodnie, europejskie wybrzeża dokładnie te same, nieokreślone potrzeby nomadyczne, które onegdaj wyrzuciły armię chrześcijańską na wybrzeża Palestyny. Na pewno generał Pershing, podobnie jak Piotr Pustelnik, to po prostu taki niespokojnego usposobienia gentleman, który odkrył, że częste zmiany otoczenia korzystnie wpływają na zdrowie. Amerykanie twierdzili, a może nawet myśleli, że walczą o demokrację; krzyżowcy zaś twierdzili, a może nawet myśleli, że walczą za chrześcijaństwo.

Ale skoro wiemy, o co krzyżowcom chodziło, lepiej, niż oni sami, nie bardzo rozumiem dlaczego nie mielibyśmy cieszyć się tą samą, cenną wszechwiedzą, także w odniesieniu do Amerykanów. Istotnie, nie bardzo rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy się nią cieszyć (bo byłaby to rzecz naprawdę nader ucieszna) w odniesieniu do jakiegokolwiek, pojedynczego Amerykanina. Z pewnością to ten sam włóczęgowski duch sprawił nie tylko to, że pan Pound przybył do Anglii, ale także, że przybył specyficznie na Fleet Street. Mroczna tendencja plemienna, tak potężna i niewidzialna jak wicher, zaniosła na swych skrzydłach jego samego oraz jego artykuł, niczym liście jesienne, na sam próg redakcji *New Age.* Lub jakiś ślepy, pradziejowy poryw, pozbawiony zupełnie racjonalnych motywów, sprawił, że pewnego dnia włożył na swą głowę kapelusz i wyszedł z domu, dzierżąc w dłoni zapakowany w kopertę list, aby wrzucić go do najbliższej skrzynki pocztowej. Próżno polemizować na gruncie czysto logicznym z podobnie pierwotnym pożądaniem; sama natura stała za pozornie bezmyślną losowością tego czynu. Teraz zaś, gdy wszystko się już nieodwołalnie wykonało, pan Pound może spojrzeć za siebie i śledzić wzrokiem ogromne linie straszliwych praw statystycznych; aż tam, gdzie z mocy bezwzględnej konieczności określona liczba podobnych Amerykanów zwyczajnie musi w określonym czasie napisać określoną liczbę podobnych listów, na

takiej samej zasadzie, na jakiej liście spadają z drzew na jesień, a na wiosennych łąkach ponownie wyrastają kwiaty.

Prosto mówiąc, teorie tego rodzaju stanowią bluźnierstwo przeciwko godności intelektu człowieka. I jest to w takim samym stopniu bluźnierstwo, co błąd; ponieważ przebiegają one całą ziemię w poszukiwaniu zwierzęcego wyjaśnienia dla czegoś, dla czego w oczywisty sposób istnieje wyjaśnienie ludzkie. To coś, jak gdyby jakiś uczony uświadamiał mi, że zdarza mi się usiąść na czworonożnym krześle wyłącznie ze względu na przyćmione pozostałości instynktów zwierząt czworonożnych. Otóż, odpowiadam: czynię to wyłącznie dlatego, że z siadaniem na jednonożnym krześle, według wszelkich prognoz, mogą się łączyć pewne niedogodności. Lub jak gdyby dowiedziałbym się od kogoś, że moje zamiłowanie do morskich kąpieli wynika wyłącznie z faktu, że jakieś wczesne formy płazów wyszły z morza na suchy ląd. Odpowiem, że wiem, dlaczego pływam w morzu; dlatego, że boska iskra rozumu podpowiada mi, że pływanie w ziemi byłoby poniekąd mniej satysfakcjonującym zajęciem. By ująć rzecz zwięźle, tego rodzaju ewolucjonistyczne teoretyzowanie zasadza się na wynajdowaniu nieprzekonujących wyjaśnień dla rzeczy, które w ogóle nie wymagają wyjaśnienia. W przypadku zaś owych wielkich ruchów politycznych czy religijnych, dzięki którym ludzie od czasu

do czasu potrafili, pod tym lub innym względem, który, jak im się wydawało, wymagał zmiany, naprawdę zmienić świat, sprawa ta jest dokładnie tak samo prosta. Krucjaty stanowiły ruch religijny, były jednak także ruchem w pełni racjonalnym; można by wręcz powiedzieć, że racjonalistycznym. Bez większych problemów mógłbym zrozumieć wypadek, w którym pan Pound napisałby, że podobna kampania wojskowa w obronie jakiejś doktryny to rzecz niemoralna; i rzeczywiście, bardzo często bywała ona w przeszłości, i dziś być może naprawdę na ogół jest, straszliwie niemoralna. Jeżeli jednak twierdzi on, że była ona czymś irracjonalnym, wybrał sobie dokładnie tę jedyną rzecz, której nie można jej zarzucić.

To nie oświecenie, ale – przeciwnie – ignorancja i zaściankowość sprawia, że większość z nas nie zauważa tego faktu. Niemniej to, że wojna religijna sama w sobie to rzecz znacznie bardziej racjonalna, niż wojna patriotyczna, z całą pewnością jest faktem. Sam często broniłem wojny patriotycznej, a wręcz do niej zachęcałem, i gotów jestem zarówno bronić, jak i zachęcać do patriotycznych uczuć. Nie można wszakże w żaden sposób zaprzeczyć, że więcej ze zwyczajnej namiętności, więcej ze zwyczajnych upodobań i uprzedzeń, krótko mówiąc: więcej ze zwyczajnego, życiowego przypadku, jest w toczeniu walk z innym narodem, niż inną religią. Krzyżowiec to człowiek w każdym możliwym sensie bardziej racjonalny niż

współczesny poborowy czy zawodowy żołnierz. Ma on bardziej racjonalny cel, który stanowi rozumne i zrozumiałe zjawisko konwersji; podczas gdy cel współczesnego militarysty w znacznie większym stopniu mącą chwilowe uniesienia pychy i jednostronne poczucie satysfakcji. Krzyżowiec chciał uczynić Jerozolimę miastem chrześcijańskim; niemniej współczesny Anglik nie pragnie uczynić Berlina miastem angielskim. Jedyna relacja, jaką z nim ma, to zdrowa nienawiść biorąca się z faktu, że Berlin jest miastem pruskim. Muzułmanin pragnął uczynić chrześcijanina muzułmaninem; lecz nawet Prusak nie pragnął nigdy zrobić z Francuza Prusaka. Jedyne, czego chciał, to sprawić, aby Francuzi zaczęli Prusaków uwielbiać; i nie tylko środki, które wybrał do realizacji tego celu, były do niego poniekąd niedostosowane, ale sam cel stanowi rzecz cokolwiek słabo ugruntowaną i irracjonalną. Celem każdej wojny jest pokój; ale celem wojny religijnej jest, oprócz materialnego, także pokój mentalny; to znaczy: zgoda. Krótko mówiąc, wojny religijne w ostatecznym rozrachunku zmierzają do równości, podczas gdy wojny narodowe – do dominacji. Konwersja to jedyny typ podboju, z którego podbijani muszą się radować.

Tylko w tym jednym sensie naśmiewanie się z ludzi, którzy potrafią zabić kogoś za to, że wszedł na teren jakiegoś świętego miejsca, w wypadku nas, ludzi Zachodu, jest czymś zwyczajnie głupim – bo

przecież sami potrafimy zabijać tysiące ludzi za to tylko, że przeszli przez granicę między dwoma państwami. Czymś absurdalnym jest w naszym wypadku pogardzanie tymi, którzy przelewają krew za jakąś relikwię – bo przecież sami przelewamy ją za strzęp płótna. Nade wszystko jednak, krucjata, lub, jeśli już o tym mówimy, dżihad, to zdecydowanie bardziej filozoficzny rodzaj walki, nie tylko dzięki zawierającej się w niej idei niwelowania różnic między narodami, ale także dzięki rozpoznaniu zachodzącej tutaj różnicy jako najgłębszej możliwej różnicy w ogóle. Sugerowanie, że czyjeś poglądy polityczne mają znaczenie, religia zaś – nie, to zwyczajne stawianie rozumu na głowie. To tak, jak gdyby powiedzieć, że człowiek jest uwarunkowany przez miasto, w którym mieszka, ale nie przez świat, w którym żyje. To tak, jakby powiedzieć, że wnosi coś do naszego sposobu postrzegania tego człowieka fakt, że mieszka on w mieście oświetlonym przez obce latarnie, ale już nie to, że jest on obcym stworzeniem, które pędzi swój żywot pod obcymi gwiazdami. To dokładnie tak, jakby powiedzieć, że jakichś dwóch ludzi powinno mieszkać w tym samym domu, ale niekoniecznie w tym samym mieście. To dokładnie tak, jakby powiedzieć, że tak długo, jak czyjś adres zawiera w sobie słowo „Jork” nie ma najmniejszego znaczenia, czy chodzi tu o Nowy Jork; albo że jeśli ktoś mieszka w Essex, to nie ma znaczenia, czy mieszka w Anglii.

Abstrakcyjnie rzecz ujmując, cywilizacja chrześcijańska byłaby całkowicie usprawiedliwiona, gdyby samo pojawienie się jakiejś wielkiej, niechrześcijańskiej potęgi, obserwowała z niepokojem bądź podejrzliwością. Gdyby współcześnie jakieś państwo z niepokojem odbierało pojawienie się jakiejś nowej siły, wyłącznie z tego względu, że byłaby ona militarystyczna, socjalistyczna czy nawet tylko protekcjonistyczna, nikt nie odebrałby tego jako jakoś szczególnie dziwnej rzeczy. Czymś wszakże znacznie bardziej naturalnym jest świadomość różnicy dotyczącej nie tyle sposobu prowadzenia bitew, ale bitwy toczonej o kształt całego życia; nie tyle w pełni definiowalnej radości z posiadania dóbr, ale znacznie bardziej nieuchwytnego dobra radości; nie tyle z fiskalnych różnic między nami a obcymi, ale różnic duchowych, zachodzących nawet między nami i naszymi przyjaciółmi. Istnieją rzeczy, które różnicują się potężnie w zależności od różnic w poglądzie na prawdziwą naturę wszechświata. Jako iż sprawy naszego kraju bardzo często są od nas bardzo odległe; podczas gdy sprawy naszego kosmosu – zawsze są blisko; wobec ruchu pojazdów kołowych w naszym mieście, możemy po prostu zamknąć drzwi; lecz w naszej najbardziej wewnętrznej izdebce słyszymy dźwięk, który nigdy nie ustaje; turkot owego koła, które Dante oraz ludowe porzekadło ośmielili się ochrzcić mianem miłości, wprawiającej w ruch cały okrąg świata. Taki bowiem jest wielki paradoks życia; że nie tylko bywają koła wewnątrz innych kół,

ale również, że większe koła mieszczą się czasem wewnątrz mniejszych. Funkcjonowanie każdej ludzkiej społeczności zasadza się na jakiejś konkretnej koncepcji życia, śmierci i początku wszystkich rzeczy; i w zupełnie naturalny sposób każda ludzka wspólnota ma prawo postrzegać drugą ludzką wspólnotę, która odpowiada na te fundamentalne pytania inaczej, a więc i zupełnie inaczej funkcjonuje, jako coś, jest przynajmniej obce, a całkiem prawdopodobne, że także i wrogie. Istotnie, jak wykazałem, odnosząc się do pewnych teorii politycznych, uznajemy już tę prawdę w odniesieniu do jej małych i dyskusyjnych przykładów. Negujemy wyłącznie przykłady duże i zupełnie oczywiste.

Cywilizacja chrześcijańska mogłaby się zasadnie niepokoić, nawet gdyby nigdy nie została zaatakowana. A jednak, fakty historyczne są takie, że została zaatakowana. Nieufność krzyżowców do muzułmanów byłaby całkiem usprawiedliwiona nawet w wypadku, gdyby krzyżowcy właściwie nic o muzułmanach nie wiedzieli; fakty historyczne są jednak takie, że wiedzieli o nich sporo – a jeszcze więcej z nimi walczyli. Krytycy wypraw krzyżowych często zachowują się w taki sposób, jakby skierowano je przeciwko jakiemuś pokojowo nastawionemu plemieniu lub niewinnej niczemu świątyni na najwyższych szczytach Tybetu, o której do momentu inwazji nie wiedziano nawet, że istnieje. Wydają się zupełnie

zapominać o tym, że na długo zanim rycerze krzyża zaczęli marzyć o zdobyciu Jerozolimy, muzułmanie prawie że naprawdę zdobyli Paryż. Wydają się nie pamiętać, że jeśli krzyżowcy rzeczywiście o mało co podbili całą Palestynę, to był to ledwie odwet na muzułmanach, którzy wcześniej o mało co podbili całą Europę. Nie potrzebowali oni, tak jak to przed momentem uczyniłem, uciekać się do argumentów rozumu, mówiących, że podziały religijne naprawdę muszą robić różnicę; zrobiły ją one bowiem już wcześniej. Spotkali się oni z tą różnicą, że tak powiem, twarzą w twarz, obserwując zdumiewające przemiany cywilizacyjne, jakie zaszły w rzymskich prowincjach Hiszpanii i Barbarii. Krótko mówiąc, było to coś, co musi stać się w teorii i rzeczywiście stało się w praktyce; wskazywały na to wszystkie przewidywania i potwierdzały to wszystkie doświadczenia. Przemyślawszy go teoretycznie i praktycznie doświadczywszy, krzyżowcy zdecydowali się w równie praktyczny sposób poradzić sobie z tym problemem. Na początku chodziło o najprostsze prawa ludzkiej psychiki; na końcu o najsubtelniejsze prawa sztuki wojennej. Krucjaty stanowiły kontruderzenie. To broniąca się armia w odpowiednim czasie przeszła do ataku i zepchnęła przeciwnika na powrót do obozu. I ten właśnie proces, rozumny od pierwszego aksjomatu po ostatni czyn, wybrał sobie pan Pound jako przykład automatycznej wędrówki dzikiego zwierza po świecie. Niemniej, tak bardzo inteligentny człowiek nie popełniłby

nigdy tak nieprawdopodobnego błędu, gdyby nie inny jeszcze błąd, który koniecznie należy w tym miejscu rozważyć. Sugerować, że ludzie zaangażowani, słusznie czy niesłusznie, w podobnie logiczną operację militarną i polityczną zaledwie migrowali sobie niczym ptaki wędrowne albo rój pszczół to coś tak nonsensownego, jak powiedzenie, że amerykańska kampania na rzecz prohibicji stanowiła powrót do zwierzęcego stanu chłeptania wody, jako psy zwykły chłeptać[87], albo że pan Rowland Hill wprowadził do obiegu znaczki pocztowe[88] wyłącznie ze zwierzęcego zamiłowania do lizania różnych rzeczy, jako koty zwykły lizać. Dlaczego mielibyśmy wyjaśniać innym ludziom motywy ich postępowania, skoro oni sami są w stanie wyjaśnić je nam – i to w sposób bardzo rozumny?

Porównałem to napuszone szalbierstwo „naukowej szkoły historycznej" do napuszonego i niezdarnego budynku, wzniesionego przez naukowych Niemców na Górze Oliwnej, ponieważ obydwie te rzeczy w taki sam sposób zastępują średniowieczną prostotę nowoczesną głupotą. Ale na tej samej zasadzie, na jakiej Dom Niemiecki ostatecznie znajduje się w pięknym otoczeniu, i naprawdę mógłby być ładnym budynkiem, istnieje także inna jeszcze prawda, w pewien sposób analogiczna, którą niemieccy historycy od

87 Aluzja do Księgi Sędziów (rozdział 7).

88 W 1839 roku.

wędrówek ludów całkiem prawdopodobnie mogli mieć na myśli, różna od tego wszystkiego, co rzeczywiście powiedzieli. Jest jeden wzgląd, pod którym wypadek krucjat różni się zasadniczo od współczesnych przedsięwzięć politycznych, takich jak choćby prohibicja czy wprowadzenie do obiegu znaczków pocztowych. Nie odnoszę się tutaj do takich przypadkowych osobliwości jak ta, że prohibicja mogła zostać wprowadzona wyłącznie dzięki ogromnej sile współczesnej plutokracji, lub że nawet poręczność współczesnych form opłaty pocztowej przychodzi w pakiecie ze skrajnie potężną kontrolą policyjną. Chodzi mi tutaj o pewną głębszą różnicę; i może być ona także tym, o co w gruncie rzeczy chodzi wspomnianym krytykom. Niemniej różnica owa to nie kwestia ewolucji, ale raczej rewolucji.

Pierwsza krucjata nie była plemienną migracją; stanowiła rzecz znacznie bardziej intelektualną i pełną godności; mianowicie: zamieszki. Aby zrozumieć tę wojnę religijną, musimy sklasyfikować ją nie tyle z innymi wojnami naszej historii ale raczej – z rewolucjami naszej historii. Jak postaram się pokazać nieco później, cechowała się ona całym złem i całym dobrem wydarzeń takich, jak Rewolucja Francuska czy Rewolucja Rosyjska, będąc jednak rewolucją znacznie bardziej ludową, niż one. Prawdziwie współczesny umysł uzna oczywiście, że określenie jej mianem „ludowej” sprowadza się do

przyznania, że była ona „zwierzęca". W tych czasach, gdy gazety i przemówienia pełne są słów takich jak „demokracja" i „auto-determinacja", cokolwiek, co rzeczywiście przypomina ruch masy gniewnych ludzi, uważane jest za rzecz niewiele lepszą od dzikiego pędu byków lub bezładnej ucieczki szczurów. Nowi socjologowie nazywają to „instynktem stadnym", na podobnej zasadzie, na której starzy reakcjoniści nazywali to „bestią wielogłową". Obie te grupy zgadzają się ze sobą co do tego, że świeczki niewarte jest ustalać ile dokładnie głów liczy podobne stado bydła. W obliczu tego typu modnych porównań, mówienie o migracji ptaków czy insektów w porównawczej skali wydaje się nader łagodną retoryką. Niemniej, z dość dużą dozą pewności zaryzykować możemy tezę, że zarówno socjologowie, jak i reakcjoniści, się w tej sprawie mylą. Z faktu, że wyznawane przez ludzi ideały coraz bardziej i bardziej przemawiają do ludzkości nie wynika, że ludzie stają się w związku z tym coraz mniej ludzcy. Podobnie, nie możemy wydedukować, że ludzie stają się bezmyślni tylko z tego faktu, że stają się także coraz bardziej jednomyślni. W rzeczywistości, moralnych energii tłumu nie odnajdzie się w stadzie byków czy wilków, podobnie jak zbrodni, których ów tłum się dopuszcza, nie może dokonać stado owiec czy ławica śledzi. Nigdy nie słyszano o takim przypadku, by jakieś ptaki oblegały ptaszarnię z samej tylko zasady, wyłącznie dlatego, że więziono w niej kiedyś kilka innych ptaków, tak jak tłum Francuzów

obległ i zdobył prawie zupełnie już pustą Bastylię wyłącznie dlatego, że stanowiła ona historyczny symbol tyranii. I nigdy nie słyszano, aby tysiące szczurów ginęło wyłącznie po to, aby odwiedzić miejsce, w którym znajdowałaby się jakaś konkretna pułapka, w której postradał życie jakiś konkretny szczur, na tej samej zasadzie, na jakiej biedni chłopi pierwszej krucjaty ginęli tysiącami wyłącznie za strzęp widoku Grobu Pańskiego albo drzazgę z prawdziwego Krzyża. W tym sensie, to znaczy: jeżeli szczur to jedyny prawdziwy racjonalista na świecie, krucjata rzeczywiście była przedsięwzięciem irracjonalnym. Niemniej czymś nie irracjonalnym, ale właśnie głęboko racjonalnym wydaje się w tym wypadku zaznaczyć, że inspiracje podobnego tłumu to nie kwestia owych różnorakich instynktów, które dzielimy ze zwierzętami, ale dokładnie kwestia idei, których zwierzęta (przy wszystkich swoich zaletach) nigdy nie zrozumieją.

Osobliwą cechą pierwszej krucjaty było to, że stanowiła ona ruch ludowy w zupełnie nowym i nienormalnym sensie. O mało co mógłbym powiedzieć, że stanowiła ona jedyny prawdziwy ruch ludowy, jaki kiedykolwiek istniał na świecie. Bo nie było to coś, za czym lud podążał; było to coś, co lud sam prowadził. Nie tylko stanowiła ona w istocie swojej rewolucję – ale jedyną rewolucję w dziejach (przynajmniej według stanu mojej wiedzy), którą

rozpoczęły masy, działając z własnej inicjatywy i praktycznie bez żadnego wsparcia ze strony tzw. klas[89]. Kiedy masy zadziałały, klasy się dołączyły; i zupełną prawdą jest, że same masy zawiodły, podczas gdy połączone siły mas i klas – odniosły zwycięstwo. Ale to niewykształceni kształcili wykształconych. Przypadek krucjat jest dokładną odwrotnością najczęstszej sytuacji, w której idee rodzą się najpierw w umysłach kilku filozofów, by potem dopiero za pośrednictwem większych bądź mniejszych demagogów stać się własnością wielkiej demokracji tłumu. W wielkim stopniu tak właśnie się rzeczy miały w wypadku Wielkiej Rewolucji Francuskiej; prawdopodobnie w jeszcze większym stopniu w wypadku Rewolucji Rosyjskiej; i nie musimy zatrzymywać się w tej chwili nad podobnymi subtelnościami jak to, że Rousseau miał rację, a Karol Marks się mylił. W przypadku pierwszej krucjaty tym, który mylił się bądź miał rację, był szary człowiek. Przybył do Palestyny w furii, po tym, jak obrażono jego własne, prywatne wyobrażenia o świecie bądź modlitwy, jak gdyby przybył walczyć własnym, prywatnym pogrzebaczem lub nożem do mięsa. Nie był uzbrojony w nowoczesny oręż błyskotliwości i logiki, rozdawany z wielkich arsenałów akademii. W akademiach średniowiecza błyskotliwości i logiki znalazłoby się pod dostatkiem; ale typowym przywódcą krucjaty był

89 Oryg. *Masses and classes*, popularne w angielskim rozróżnienie socjologiczne.

nie Abelard czy Akwinata, ale Piotr Pustelnik, którego z ledwością nazwać można trybunem ludu, raczej już sztandarem, pod którym ten lud walczył. I to właśnie jego armia, lub raczej – jego gigantycznych rozmiarów motłoch, jako pierwszy pomaszerował na drugi koniec świata, aby ginąć za wyzwolenie Jeruzalem.

Według historyków, w skład tego wielotysięcznego wojska wchodziło zaledwie dziewięciu rycerzy. Każdemu, kto wie cokolwiek na temat średniowiecznej wojskowosci, fakt ten musi wydać się zupełnie osłupiający. Rzeczywiście, dawno rozerwanym na kawałki błędem jest utożsamianie średniowiecza z feudalizmem. W epoce tej istniały tysiące demokratycznych instytucji, takich jak choćby cechy; czasami przypadało aż dwadzieścia cechów na jedno, małe miasteczko. Prawdą jest jednak także to, że organizacja wojskowa średniowiecza była niemal zupełnie feudalna; istotnie, moglibyśmy wręcz powiedzieć, że „feudalizm" stanowił nazwę organizacji wojskowej tego czasu. Że tak ogromna liczba żołnierzy w ogóle zdecydowała się iść do bitwy, mając między sobą zaledwie dziewięciu dowódców, wydaje mi się autentycznym cudem wspólnej woli ludu. To tak, jak gdyby w następnych wyborach powszechnych do parlamentu tylko dwóch głosujących miało możliwość czytać gazety codzienne.

Tłum ów poszedł zatem do boju przeciw muzułmańskiej machinie wojennej i został zmasakrowany; lub też, jak mógłbym bardziej mistycznie powiedzieć, poniósł śmierć męczeńską. Wielu z wielkich królów i rycerzy, którzy poszli w ich ślady, nie zasłużyło tak bardzo jednoznacznie prostotą i czystością swoich motywów na otoczenie ich głów światłem aureoli. Kanonizacja tak wielkiej liczby ludzi może być rzeczą niemożliwą i na pewno spotkałaby się z oporem współczesnej opinii publicznej; przede wszystkim dlatego, że folgowali oni po drodze swojej demokratycznej brutalności mordując różnorakiej maści lichwiarzy; a podobne zajęcie w naturalny sposób napełnia współczesne społeczeństwo gniewem graniczącym z histerią. Z powodu wrodzonej perwersji, skłonny jestem bardziej płakać nad tysiącami pomordowanych chłopów niż kilkoma morderstwami na lichwiarzach; niezależnie od wszystkiego jednak, chłopi owi nie ginęli na darmo. Narodziła się wspólna świadomość wszystkich stanów – w czasach, kiedy wszystkie one miały wspólną wiarę – i w bój poszła inna jeszcze armia, o bardzo innym poziomie umiejętności i wyszkolenia; dowodzona przez najzdolniejszych dowódców i jednych z najbardziej rycerskich gentlemanów epoki. Bo, rzecz to ciekawa, do armii owej przyłączył się niejeden człowiek wysokiej kultury, o wierze tak prostej, jak każdy chłop i równie wielkiej gotowości do oddania życia i zniesienia wszystkich tortur wyłącznie dla imienia Jezus.

Zawołanie rodowe materialistów stanowi teza, że prawda historyczna jest śmiercią romansu. Umysł współczesny ją pielęgnuje, ponieważ jest depresyjna; niemniej, tak się składa, że nie jest prawdziwa. Prawdziwie realistyczne badanie przeszłości niczego nie potwierdza z tak niezbitą pewnością jak tego, że ludzie romantyczni naprawdę byli romantyczni. To raczej powieści historyczne z tych lub innych powodów sprawiają, że człowiek współczesny zwyczajnie nie potrafi uwierzyć iż przywódca tego nowego rycerstwa, Gotfryd z Bouillon, nie był tylko pospolitym przykładem brutalnego barona. Wszystkie zaś fakty historyczne jednoznacznie świadczą o tym, że zdecydowanie bardziej przypominał on rycerza Okrągłego Stołu. Prawdę mówiąc, był on człowiekiem lepszym niż większość rycerzy Okrągłego Stołu, w postaci których autor tej baśni, wiedząc że pisze baśń, z dużą dozą taktu zdecydował się wkomponować także domieszkę niecnoty. Prawda jest nie tylko dziwniejsza, ale często także świętsza od fikcji. Ponieważ prawda jest realna, fikcja zaś – musi być realistyczna. Interesujące, że Gotfryd z Bouillon według wszelkich przesłanek zachowywał się jak na bohatera przystało nawet w tych godnych podziwu wydarzeniach, które powszechnie (i być może słusznie) uważa się w całej sprawie za najzwyklejszą fikcję pod słońcem. Tak też był on godnej bohatera budowy – przystojny, rudobrody mężczyzna wielkiej siły i śmiałości; i on właśnie jako pierwszy

z walczących dostał się na mury Jerozolimy, czego nie powstydziłby się żaden z bohaterów powieści przygodowych dla chłopców. Zdziwi jednak zapewne realistów fakt, że był on także człowiekiem nieskazitelnie uczciwym, a także nieskazitelnie rzetelnym praktykiem europejskiej teorii szlachetnego rycerza. Wskazuje na to właściwie wszystko, co o nim wiemy; od jego pierwszego przejścia ze strony cesarza na stronę papieża (i ludu), po jego godną podziwu odmowę objęcia rządów królewskich nad miastem, które zdobył; „nie przyjmę korony ze złota, tu, gdzie mój Mistrz nosił koronę z cierni". Był władcą sprawiedliwym i prawa, które ustanowił, przepaja najszczerszy duch służby publicznej. Jednak nawet jeżeli odrzucilibyśmy wszystko, co tylko napisali o nim chrześcijańscy kronikarze, z tego względu, że być mu przyjaciółmi (co samo w sobie stanowiłoby zresztą żałośnie zogromniały optymizm co do kwestii stosunków krzyżowców zresztą chrześcijaństwa), i tak słowa jego wrogów wystarczyłyby, aby oczyścić go ze wszystkich zarzutów i uznać, że rzeczywiście wysłużył sobie koronę męstwa. Jako iż kronikarz saraceński napisał o nim, z pełną gracji prostotą, że gdyby prawda i honor zniknęły prawie zupełnie ze świata, i tak pozostałoby ich wystarczająco dużo, póki żyłby na nim hrabia Gotfryd.

Sojusznikami Gotfryda byli Tankred Włoch, Rajmund z Tuluzy, dowodzący oddziałami z południa Francji, oraz Robert z Normandii,

syn żądnego przygód Wilhelma Zdobywcy, dowodzący Normanami i Anglikami. Niemniej, jak sądzę, przypuszczenie, że cała krucjata w nagły i nienaturalny sposób zesztywniała w najbardziej rygorystyczną, rycerską dyscyplinę, byłoby nie tylko błędne, ale stałoby się przyczyną nie tylko mylnego jej rozumienia, ale i wewnętrznego bezsensu. O ile się nie mylę, większą część tej armii nadal stanowił motłoch. To a *priori* jest bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że ten wielki ruch ludowy nadal przemożnie porywał lud. Wskazuje na nie tysiąc faktów z dziejów kampanii wojskowej; nadzwyczajna emocjonalność, która sprawiała, że cała rzesza mężczyzn wspólnie zawodziła i zanosiła się płaczem, istotna rola demagoga, Piotra Pustelnika, którą odgrywał pomimo braku związków ze sprawami *stricte* wojskowymi, a także potężne różnice, zachodzące zarówno pomiędzy dowódcami, jak i szeregowcami. To tłum nieokrzesanych i prostych ludzi padł twarzą w święty proch na niewyraźny jeszcze widok małego, górskiego miasteczka, do którego tłukli się po świecie przez dwa tysiące mil. Tankred dostrzegł je jako pierwszy, ze szczytu wzgórza nieopodal Betlejem, które z ochotą otworzyło bramy setce jego włoskich rycerzy; jako iż tak jak dziś, wtedy również stanowiło ono wyspę chrześcijaństwa na wielkim morzu islamu. W tym samym czasie Gotfryd przybył na miejsce traktem wiodącym od strony Jafy i również ujrzał na własne oczy wizję pragnienia całego świata. Ale najbiedniejsi nawet ludzie wokół

niego prawdopodobnie czuli dokładnie to samo, co on; wszystkie szeregi wojska uklękły wspólnie na piasku, i cała ta historia to ledwie jedna fala niezliczonych i bezimiennych ludzi. To motłoch powstał, jak jeden mąż, w obronie wiary. To motłoch był za ową wiarę, naprawdę – jak jeden człowiek, torturowany. W tamtym momencie został on już przemieniony nie tylko przez pasję, ale i ból. Ci, którzy wiedzą, co to znaczy walczyć na tutejszych pustyniach w porze wiosennej, nawet jeżeli dysponuje się nowoczesnym transportem zaopatrzenia, technologią, mapami i kalkulacjami, wiedzą również, że tamten stan rzeczy można by opisać wyłącznie jako piekło pełne bohaterów. Pojęcie, czym musiało być to wszystko dla tych biednych, zapyziałych czynszowników i chłopów z wiosek Północy, którzy w najkoszmarniejszych snach nawet nie widzieli nigdy podobnych krajobrazów lub podobnego słońca, którzy nie rozumieli, jak w ogóle możliwe jest dla człowieka żyć w podobnym piecu, i dla których ulga nie mogła przyjść ani od nich samych, ani z zewnątrz, przekracza możliwości ludzkiej wyobraźni. Przybyli na miejsce umierając z pragnienia, padając z wycieńczenia, opłakując umarłych, gnijących gdzieś przy drogach, po których przeszli; przybyli na to miejsce wysuszeni na wiór albo już nawet dygoczący w gorączce – i dokonali tego, czego przyszli tam dokonać.

Ponadto, jasne jest, że ludzie ci mieli nie tylko charakterystyczne cnoty, ale i charakterystyczne przywary tłumu. Szokująca masakra, której dopuścili się w nagłym momencie odprężenia po odniesionym sukcesie, ponad wszelką wątpliwość stanowiła masakrę dokonaną przez motłoch. Sprawa jest tym bardziej rewolucyjna, że motłoch ów musiał być po większej swojej części francuski. Należała ona do tej samej kategorii, co masakry wrześniowe i stanowi jeszcze jeden dowód na prawdziwość tezy, że pierwsza krucjata była czymś równie rewolucyjnym, co Rewolucja Francuska. Należała ona do tej samej kategorii, co masakra w noc św. Bartłomieja, również stanowiąca poryw czysto ludowego fanatyzmu, skierowany przeciwko tym, których uważano za anty-narodową kastę arystokratów. Czymś praktycznie samym przez się oczywistym jest fakt, że chrześcijańscy dowódcy jej nie chcieli i próbowali ją zatrzymać. Tankred obiecał muzułmanom, którzy schronili się w meczecie, że ocalą życie, ale tłum najwyraźniej zdecydował się go zignorować. Rajmund z Tuluzy osobiście uratował tych, którzy schronili się w Wieży Dawida i wysłał ich bezpiecznie, razem z należącym do nich majątkiem, do Aszkelonu. Lecz rewolucja, zarówno z całym swoim dobrem, jak i całym swoim złem, szalała już wtedy, poza wszelką kontrolą, na ulicach Miasta Świętego. I w niczym nie można dostrzec równie jasno rewolucyjnego ducha, jak w obrazie wszystkich tych chłopów, czynszowników i wasali, zjednoczonych w jednej, dzikiej konwulsji

buntu, skierowanego nie tylko przeciwko zwyciężonym książętom islamu, ale i przeciwko zwycięskim książętom chrześcijaństwa.

Cały wysiłek oblężenia istotnie cechował się wysokim, a może nawet straszliwym, poziomem emocji. Ci, którzy zajmują się dzisiaj psychologią tłumu zgodnie powiedzą nam, że ktoś, kto w taki sposób cierpiał i w taki sposób zwyciężył, nie jest normalny; jego mózg znajduje się w stanie jakiegoś przerażającego ekwilibrium, z której może przejść tak w jedną, jak i drugą skrajność. Oblegający weszli przynajmniej do miasta w nastroju, w którym wszyscy mogliby zostać mnichami; zamiast tego jednak, zamienili się w morderców. Pewien niesamowicie uzdolniony generał, który odegrał decydującą rolę w naszej własnej, niedawnej kampanii wojennej w Palestynie, powiedział mi, z czymś w rodzaju czarnego humoru, że trudno mu dziwić się tej opowieści; ponieważ on sam wszedł do Jeruzalem, odczuwając jak gdyby furię rozczarowania; „przeszliśmy przez piekło, aby się tu dostać, i nigdy już tego miejsca nie odzyskamy". Tak właśnie przedstawia się zawsze wisząca nad naturą ludzką, smutna ironia, która sprawia, że wchodzimy do Miasta Świętego, jak gdyby było ono Miastem Niebieskim, oczekując rzeczy przerastający nieskończenie możliwości wszelkiego miasta tego świata. Wszakże bój, który doprowadził ostatecznie do sforsowania murów Jeruzalem, stanowił rzecz bardziej nieokiełznaną i nieprzewidywalną, niż

cokolwiek, co może wydarzyć się na nowoczesnej wojnie. Trudno mieć wątpliwości, dlaczego walczący za sprawę Krzyża tłum widział przed sobą coś w rodzaju twierdzy pełnej demonów, w otaczających ją wzgórzach zaś – krainę naraz zaklętą i przeklętą. Ponieważ w jednym, bardzo prawdziwym sensie tych słów – rzeczywiście tak się rzeczy miały; ponieważ wszystkie żywioły natury i wszystkie ludzkie działania stanowiły zupełną nowość. Wszystkie metody wojskowe ich wrogów stanowiły wypuszczone na nich, wściekłe tajemnice. Wszystkie ich własne metody były stworzone z niczego – stanowiły jeden wielki eksperyment nowości. Nie wiedzieli ani tego, co może stać się po drugiej stronie muru, ani tego, co może stać się po ich stronie muru; wszystko, co robili ich wrogowie, przypominało nagły cios wyprowadzony z ciemności i wszystko, co oni sami robili, przypominało skok w tę właśnie ciemność. Najpierw widzimy Tankreda, który próbuje zdobyć całe ufortyfikowane miasto, wspinając się na mury po jednej, wąskiej drabinie, jak gdyby ktoś chciał złapać górę na lasso. Następnie, widzimy jak z wież obronnych spada na atakujących przedziwny i przerażający deszcz ognia, jak gdyby sama woda mogła zapłonąć. Nadano potem tej rzeczy (którą prawdopodobnie była nafta) nazwę „ognia greckiego”; niemniej tym, którzy nigdy wcześniej jej nie widzieli (ani nie czuli), musiała się ona wydać jakimś płonącym olejem wziętym z ksiąg czarnej magii. W następnej kolejności, Gotfryd i kilku mądrzejszych żołnierzy

postanowiło wybudować drewniane wieże oblężnicze, by natychmiast zorientować, że nie mają drewna. Na tym kamienistym pustkowiu nie rosło prawie nic oprócz karłowatych drzewek oliwnych; poetycka fantazja, która po wielu wiekach splotła się z tymi wydarzeniami, opisuje, że nawet podczas wycinki prześladowały ich demony tego przerażającego miejsca. I rzeczywiście, fantazja ta ma w sobie ziarno bardzo istotnej prawdy, ponieważ walczyła przeciw nim sama natura tej ziemi; i każde z tych skarlałych drzew, twardych, wypróchniałych i poskręcanych, mogło wydawać się im uśmiechniętym złowrogo goblinem. Mówi się, że znaleźli oni przez przypadek drewno ukryte w jakiejś grocie; powyłamywali szkielety zrujnowanych domów; w końcu, skontaktowali się w jakiś sposób z pewnym rzemieślnikiem z Genui, który zabrał się do roboty z większymi sukcesami; zdejmując skóry ze stosów zabitych w walce zwierząt i przykrywając nimi belki. Wznieśli trzy, poruszające się na kołach wieże, ludzie zaś i zwierzęta ciągnęły je z ogromnym wysiłkiem w kierunku wysokich baszt obronnych. Odpowiedziały im miejskie katapulty i z nieba spadły strugi pożerającego wszystko ognia; drewniane machiny zachwiały się w posadach i dwie z nich stanęły nagle w bezruchu, kompletnie bezużyteczne. W miarę zaś, jak zapadał zmrok, wielka łuna przed nimi musiała im uświadamiać, że trzecia, nawet jeśli może się jeszcze poruszać, stoi w płomieniach.

Całą noc Gotfryd starał się odwrócić te katastrofę. Kazał rozebrać jedną z wież dokładnie na miejscu, w którym stała, i wzniósł ją powtórnie na wzgórzu na północ od miasta, na którym obecnie zobaczyć można wspomnianą już sosnę, rosnącą za Bramą Heroda. I cały czas, gdy pracował, jak głosi opowieść, złowrodzy czarnoksiężnicy stali na murach, czyniąc nieznane cuda, mające na celu zniweczyć wysiłki człowieka. Jeśli ten wielki rycerz miał delikatną choćby żyłkę do symbolizmu, mógł zobaczyć w swoim własnym zmaganiu się z twardą materią drewna cokolwiek z owego rzemiosła, które łączyło się z początkiem jego własnej wiary, oraz świętego fachu cieśli. I rzeczywiście, podstawowy plan każdej roboty ciesielskiej zawsze stanowi krzyż – i jest w tej alegorii coś więcej, niż tylko przypadek. Poprzeczna pozycja belek naprawdę łączy się z wieloma z owych matematycznych prawd, które wykazują analogię do prawd moralnych i niemal każdy zasadniczy kształt, który te belki spaja, stanowi jakby cień owego mistycznego drzewa życia, na podobnej zasadzie, na jakiej trzy wymiary stanowią jakby cień Trójcy Świętej. Tutaj właśnie spotykamy prawdziwą tajemnicę równości; jako iż dłuższa belka może wydłużać się aż do nieskończoności, nigdy jednak nie znajdzie się ani o centymetr bliżej owego symbolicznego kształtu bez pomocy krótszej. Tutaj właśnie ma miejsce owa wojna i zaślubiny dwóch przeciwnych sobie sił, wzajemnie się zwalczających i wspierających; miejsce spotkania

dwóch przeciwności, wobec których wcześniej, jak wyrażamy to przy użyciu czegoś w rodzaju świętoszkowatej alegorii, staliśmy na skrzyżowaniu dróg. Tutaj właśnie dajemy naszą dumną odpowiedź na zjadające samo siebie koło Azji. Założenie, że ludzie tacy jak Gotfryd potrafili w tak subtelny sposób łączyć mistykę z metafizyką, może wydać się dosyć nieprawdopodobne, choć na pewno jest także dalekie od niemożliwości (czasy były wtedy dostatecznie filozoficzne); niemniej autor prawdziwego romansu, opiewającego jego czyny, miałby pełne prawo wyposażyć go w zrozumienie symbolicznego znaczenia jego własnej wieży – wieży wznoszącej się wysoko ponad nim i przebijającej się przez obłok nocy, jak gdyby chciała ona zdobyć samo niebo lub pokazywała całemu światu sieć swoich belek, czerniejących tym bardziej w świetle wschodzącego słońca; szturmującej niebiosa i wystawionej na uderzenia wszystkich wiatrów, drabiny naraz i labiryntu, naśladującej, dopóki całkiem nie spowił jej półmrok, układ znaku krzyża.

Kiedy nadszedł świt, wszyscy owi przymierający głodem chłopi, spoglądając na wysokie, niemożliwe do zdobycia mury miejskie, mogli czuć się tak, jakby spoglądali w twarz samej rozpaczy. Nawet koszmary, które mieli tamtej nocy, koszmary o przerażających nekromantach, spoglądających na nich z wysokości tych umocnień, mocą tajemnych znaków i zaklęć obracających wniwecz rezultaty

ich znoju, według wszelkiego prawdopodobieństwa mogły stanowić coś w rodzaju pesymistycznego pocieszenia, naraz przewidującego porażkę i tłumaczącego jej przyczyny. Miasto Święte zdążyło już stać się dla nich fortecą pełną czartów, gdy Gotfryd z Bouillon stanął ponownie, z mieczem w dłoni, na szczycie tej drewnianej machiny i wydał rozkaz, aby zawlec ją raz jeszcze, chwiejącą się i niepewną, w kierunku wież stojących po obu stronach jednej z bocznych bram. Pełznęli więc na powrót przez fosę pełną trupów, ciągnąc za sobą swój potężny dom z drewna, a huk i łoskot wojny rozszalały się znowu nad ich głowami. Grad strzał łomotał o tarcze, które chroniły ich od góry na kształt baldachimu, kamienie spadały na nich z nieba i miażdżyły, jakby byli komarami latającymi nad bagnem, z ziejących zaś greckim ogniem machin potoki wszystkich ich cierpień zalały ich niczym czerwone wody piekieł. Jako iż, istotnie, dusze tych chłopów aż do mdłości brzydzić się musiały podobnym wywróceniem świata do góry nogami, odczuwanym także przez stanowczo zbyt wielu chłopów w naszych własnych czasach, pod budzącymi grozę eskadrami śmiercionośnych machin wojennych – owocami „naukowej" wojskowości współczesnego świata; bluźnierstwem odwróconego porządku bitwy, w którym samo piekło wdarło się na niebiosa. Coś z oparów, którymi wymiotowała ta okrutna chemia, mogło zmieszać się wtedy z kurzem bitewnym i zaćmić nawet te strużki światła, które przedostawały się do nich,

zgiętych do ziemi i oślepionych jak wszyscy, którzy wykonują tak ciężką robotę i na których naciera tak wściekłe gradobicie śmierci, poprzez szczeliny wyszarpywane w chroniącym ich dachu tarcz przez spadające kamienie. Mogli już słyszeć – nie mając przy tym bladego pojęcia o tym, co działo się wtedy wokół nich lub nad nimi – jak przebijające się do nich przez zgiełk walki, bezimienne głosy, obwieszczające ze strzelistych minaretów zwycięstwo islamu, piszczą coraz ostrzej, jakby wiatr zadął w cienkie piszczałki dud. Można przypuszczać, że trudzili się oni i parli do przodu poprzez te podziemne ciemności, nie wiedząc, że wysoko ponad ich głowami, powyżej bitewnej mgły, wieża z drewna i wieża z kamienia spotkały się pośrodku nieba; i wielki Gotfryd, samotny i żywy, wskoczył na mury Jeruzalem.

Rozdział XII: Upadek rycerstwa

Na okładce niniejszej książki widnieje napis „Nowe Jeruzalem”, na jej pierwszej stronie zaś: zdanie na temat konieczności powrotu do rzeczy starych, zachodzącej nawet w wypadku, w którym chce się znaleźć rzeczy nowe, na podobnej zasadzie, na jakiej pewien człowiek mógłby po własnych śladach dojść z powrotem do drogowskazu. Zdroworozsądkowy charakter tego procesu w, rzeczywiście, nader tajemniczy sposób, pozostaje niezrozumiany. Jakakolwiek sugestia, że postęp dziejów w jakimkolwiek momencie zaczął iść w złym kierunku, niezmiennie spotyka się z ripostą, że ludzie idealizują przeszłość i tworzą mity o Złotym Wieku. Za każdym razem, gdy mój postępowy przewodnik doprowadzi mnie na bagno lub wwiedzie w pułapkę, skręcając w lewo przy czerwonej skrzynce pocztowej, zamiast w prawo przy niebieskim płocie karczmy „Wschodzące słońce”, Złoty Wiek Ludzkości jest pierwszym tematem, do którego odwołuje się, pragnąc ukoić moje skołatane nerwy. Tłumaczy mi, że idealizuję skręcanie w prawo. Przekonuje, że niebieski płot wcale nie jest aż tak niebieski, jak go malują. Mówi, że jest on niebieski tylko z odległości. Zapewnia mnie, że na słońcu, nawet wschodzącym, da się znaleźć plamy. Czasami perswaduje, że mylę się w moim niewzruszonym przekonaniu, jakoby płot miał być zrobiony z czystego szafiru, słońce zaś – z czystego złota. Krótko

mówiąc, zapewnia mnie, że popełniam błąd, zakładając, że skręt w prawo byłby rozwiązaniem doskonałym pod każdym możliwym względem; jak gdybym kiedykolwiek zakładał coś podobnego. Chcę powrócić w to konkretne miejsce, nie dlatego, że jest wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyłem, albo że to najlepsze miejsce, jakie mógłbym sobie wymarzyć; ale dlatego, że to miejsce tysiąc razy lepsze od bagna, w którą wwiedli mnie on i jemu podobni. Przede wszystkim jednak, pragnę wrócić tam nie dlatego, że wiem, że to właściwe miejsce, ale dlatego, że sądzę, że to właściwy skręt. I całkiem możliwe, że właściwy skręt zaprowadziłby mnie we właściwe miejsce; podczas gdy postępowy przewodnik ponad wszelką wątpliwość zaprowadził mnie w niewłaściwe.

Zupełną prawdą jest to, że generalnie mniej da się znaleźć wśród ludzi świadectwa wiary w przyszłe Nowe Jeruzalem, niż przeszły Złoty Wiek. Ani jedna, ani druga z tych koncepcji wszakże, niezależnie od tego, czy są to iluzje, czy nie, nie stanowi odpowiedzi na pytanie, jakie zadaje sobie prosty człowiek w prostej sytuacji, opisanej w naszej przypowieści; człowiek, który, jeśli chce, by jego przyszłość wyglądała choć trochę lepiej, musi szukać dla siebie jakichś wskazówek w przeszłości. A w każdym razie – wie na pewno tyle, że teraźniejszość runęła w gruzy. Otóż, dokładnie w ten sposób przedstawia się sprawa tego, co często potępia się dzisiaj jako

romantyczną i nierealistyczną próbę „powrotu do średniowiecza”. Po prostu niektórzy z nas przypuszczają, że w którymś miejscu skręcili w złą stronę – ponieważ ostatecznie znaleźli się w złym miejscu. I by to wiedzieć, nie trzeba wcale idealizować świata średniowiecznego – wystarczy popatrzeć realistycznie na świat współczesny. Ludzie tacy wcale nie sądzą, że świat średniowieczny był idealny – widzą tylko, że świat współczesny jest niepokojąco nieidealny. Impulsu nie stanowi tutaj bynajmniej bajkowa wiara, jakoby człowiek stworzony został do życia w Nowym Jeruzalem z pereł i szafiru, czy w niezwykłej i mieniącej się mnóstwem barw karczmie wieków minionych; ale mocne, wewnętrzne i osobiste przekonanie, że na pewno nie został stworzony do życia w bagnie.

Jako iż w tym, co mówimy i piszemy o historii, dokonuje się – i będzie się dokonywać – zmiana o charakterze coraz bardziej i bardziej totalnym. Dotąd, chwaliło się każdy element przeszłości, który prowadził w jakiś sposób do obecnego stanu rzeczy – i ganiło każdy, który prowadził do czegokolwiek innego. Krótko mówić: wszyscy szukali w przeszłości przyczyn naszego sukcesu. W krótkim czasie, wszyscy mogą zacząć szukać w niej przyczyn naszej porażki. Mogą zacząć mówić o niej w taki sposób, w jaki mówi się o wypadku samochodowym lub bankructwie; gdzie popełniono błąd? Mogą zacząć pisać o niej książki takie, jakie bywają pisane przez generałów

po klęsce militarnej; kto jest winny? Wyjaśniając przyczyny porażki, chcąc nie chcąc będziemy się musieli do niej przyznać.

Ponieważ industrializm nie stanowi już prostego, wulgarnego sukcesu. Przeciwnie: dziś to zjawisko zbyt tragiczne, aby mógł być wulgarne. Gdy zgromadziły się nad nią chmury zagłady, cywilizacja współczesna zyskała coś z godności Wieży Babel lub Babilonu. Czy nazwiemy je przekleństwem kapitalizmu, czy koszmarem bolszewizmu, nie ma żadnego znaczenia; bogaci utyskują tak samo, jak biedni; wszyscy są niezadowoleni – nikt zaś bardziej od tych, którzy są niezadowoleni z niezadowolonych. W sprawie tego rozdźwięku panuje między nami pełna harmonia; o tej chorobie wszyscy myślimy podobnie, niezależnie od tego, co myślimy o diagnozie czy proponowanych lekarstwach. Niezależnie od tego, jaka droga z przeszłości mogłaby nas doprowadzić we właściwe miejsce, praktyczne fakty z teraźniejszości i przyszłości w coraz bardziej i bardziej niezbity sposób będą świadczyć o tym, że obecnie jesteśmy nie tam, gdzie być powinniśmy. I dla wielu wraz z upływem czasu przeczucie zamieniać się będzie w coraz większym i większym stopniu w prawdopodobieństwo; że możemy wyglądać przyszłego wieku lub przyszłego świata, w którym ujrzymy odbudowę Nowego Jeruzalem oraz blask, którym rozjaśni ono nasze ziemie – możemy go też nie wyglądać; ale na własne oczy ujrzymy upadek Babilonu.

Istnieje wszakże jeszcze drugi sposób, w który metafora rozwidlenia dróg wyjaśni ostatecznie nasze stanowisko. Społeczeństwo średniowiecza nie stanowiło właściwego miejsca; ale właściwy skręt. Ledwie dobrą drogę; a może nawet: ledwie początek dobrej drogi. Średniowiecze w żadnym wypadku nie było epoką, w której wszystko było w porządku. Byłoby się bliższym prawdy, gdyby powiedzieć, że wszystko było w niej nie w porządku. Stanowiła ona moment, w którym świat mógł rozwinąć się w dobrym kierunku – i rozwinął się w złym kierunku. Albo raczej, by ująć rzecz ściślej, moment, w którym świat *rozwijał* się w dobrym kierunku, a jednak ktoś sprawił, że rozwinął się w złym. Tak właśnie przedstawia się historia średniowiecznych państw i średniowiecznego ledwie Jeruzalem; istotnie, według wszelkich znaków, próbowano zrobić z tego miasta coś w rodzaju ideału średniowiecznej państwowości. O tej koncepcji Jeruzalem jako Nowego Jeruzalem, o utopijnym aspekcie przygody Królestwa Łacińskiego, będzie można powiedzieć coś za krótką chwilę. Tymczasem, Jerozolima odegrała inną jeszcze i ważniejszą, jak sądzę, rolę, w całym tym wielkim postępie i reakcji, jaką wywołał, które zostawiły nam w schedzie problem współczesnej Europy. I rola ta łączy się ściśle z tym, co powiedziało się do tej pory o różnicy pomiędzy celem, a drogą, która mogła nas do niego doprowadzić; z ową cechą charakterystyczną omawianej tu cywilizacji: z faktem,

że była to cywilizacja potencjalna raczej, niż perfekcyjna; ale że aby po niej płakać, nie trzeba jej idealizować. To zaś, co mam do powiedzenia w całej sprawie, to ledwie przypuszczenie; prawie mógłbym powiedzieć, że ledwie podejrzenie. Tak czy siak, coś w rodzaju domysłu; który jednak, dla mnie przynajmniej, okazał się drogowskazem.

Średniowieczyzna umarła, umarła jednak młodo. W momencie śmierci zaś – czy może raczej: na krótko przed śmiercią – była cywilizacją naraz silną i niespełnioną. To nie kwestia sympatii i antypatii, ale umiejętności porównywania różnych wypadków historycznych. Weźmy choćby wypadek Cesarstwa Rzymskiego. Otóż z historycznego punktu widzenia nie da się powiedzieć o nim zbyt wiele, i na pewno nie to, co się często mówi; nie to, na przykład, że Cesarstwo Rzymskie „zrobiło co miało zrobić” – bo to bezsensowny dogmatyzm; nie to, że „zrobiło wszystko, co mogło” – bo to bezsensowne spekulacje. *Można* powiedzieć jednak przynajmniej tyle, że Cesarstwo Rzymskie zrobiło *coś* – i że wiedziało, co robi; i że później na długi czas, i nawet w sensie dosłownym, spoczęło na laurach. Załóżmy jednak, że Rzym upadłby w momencie, w którym ledwie połowa Galii została podbita, Kartagina – w połowie ledwie pokonana, albo nawet: gdy samo miasto zdążyło się już schrystianizować, większość prowincji jednak jeszcze nie. W takim

wypadku w uzasadniony sposób moglibyśmy powiedzieć nie tylko, że Rzym nie zrobił tego, co mógł, ale że nie zrobił nawet tego, co naprawdę robił. I w dużym stopniu tak to właśnie wygląda w wypadku cywilizacji średniowiecza. Średniowiecznicy nie tylko nie zrobili tego, co mogli, ale nie dokończyli tego, co rzeczywiście robili. I świadczą o tej dziwnej, niesamowitej i niespełnionej obietnicy czasu nie tylko sukcesy, ale przede wszystkich chyba porażki tych ludzi. Widać ją, na przykład, w samych niedoskonałościach ich sztuki. Poziom wszystkich sztuk, z których uformował się szkielet architektury gotyckiej, był nie tyle niższy, niż być powinien, ale niższy, niż naprawdę by był. Nie ma żadnego powodu, dla którego ich rzeźba nie miałaby stać się równie doskonała, co ich architektura; żadnego powodu, dla którego ich wyczucie formy nie mogłoby stać się równie doskonałe, co ich wyczucie koloru. Statua taka, jak św. Jerzy wielkiego Donatella, wyglądałaby piękniej pod gotyckim, niż klasycznym łukiem. W gotyckich budowlach przygotowano już przecież nawet odpowiednie nisze dla rzeźb. Ta sama prawda, rzecz jasna, dotyczy nie tylko stanu rzemiosła, ale także statusu rzemieślnika. Najlepszym dowodem na to, że system cechowy miał w sobie jakieś tajemnicze dobro, które nie w pełni zdołało się urzeczywistnić, jest fakt, że najbardziej postępowi ludzie naszej postępowej epoki na nowo go odkrywają, świadomie czy nieświadomie cofając się w swym

postępie o pięćset lat wstecz. Najlepszym dowodem na to, że obrócony w ruinę dom był bogaty, jest to, że nasi pionierzy kopią teraz w jego ruinach w poszukiwaniu bogactw. Fakt zaś, że nowe cechy naprawdę wnoszą sporo nowego, i proponują mnóstwo rozwiązań starym cechom zupełnie nieznanych, nie tylko jest prawdziwy, ale stanowi część ogólniejszej prawdy, której tutaj bronię. Nowe cechy wnoszą bowiem po prostu tę nowość, którą stare cechy wniosłyby prędzej czy później we własnym zakresie, gdyby nie umarły młodo. Odnowa rzeczy zniszczonych nie implikuje konieczności powtarzania aktu zniszczenia. Niemniej, jeżeli w nowych cechach rzeczywiście da się znaleźć pewne elementy, których nie da się znaleźć w starych, w starych z pewnością istniały takie zjawiska, których nie da się, przynajmniej na razie, nie widać w nowych; takie, na przykład, jak przejawianie się w rękodziele indywidualnego poczucia humoru. Chodzi tu jednak nie tyle o to, że pracownicy pracowali w tamtych czasach dobrze – ale że pracowali coraz lepiej; nie tyle o to, że mieli myśl lotną i świeżą – ale że myśl ta stawała się coraz świeższa i coraz lotniejsza. Cała ta ludowa energia i humor wzrastały w każdym dosłownie zakątku Europy, aż nagle coś się stało – i wszystko zniknęło. Mróz ściął je w samym środku wiosny.

Niektórzy ludzie skarżą się, że w naszych czasach człowiek pracujący nie wykazuje żadnego osobistego zainteresowania swoją

pracą. Dobrze byłoby jednak zdać sobie sprawę z tego, że gdyby je okazywał, irytowałby tych ludzi w znacznie większym stopniu. Robotnik średniowieczny interesował się własną pracą tak intensywnie, że zdarzało mu się na własną rękę wywoływać demony, rzeźbiąc je w kątach budynków, wyłącznie według osobistego gustu i chęci. Czasami nawet wykonywał wizerunki sponsorujących jego pracę księży, nadając im wygląd tak brzydki, jakby byli samymi diabłami; rzeźbiąc antyklerykalne karykatury na samych stallach i tronach duchowieństwa. Gdyby współczesny pan domu, wchodząc do własnej łazienki, zorientował się, że hydraulik powyginał kurki od umywalki w dwa wizerunki szczerzących zęby, rogatych biesów, mógłby poczuć się nieco zaskoczony. Gdyby zaś ów pan domu, wracając wieczorem do siebie, zorientował się, że nowa kołatka to przypadkowo on sam, tylko że, powiedzmy, w nieco brzydszej wersji, jego zaskoczenie mogłoby nawet przerodzić się w delikatną dezaprobatę. Fakt, że nasi budowniczowie i murarze nie dorzucają zazwyczaj w gratisie kilku gargulców do mniejszych willi mieszkalnych, w ostateczności może być zatem czymś całkiem korzystnym. Na dobre jednak, czy na złe, niewątpliwą prawdą jest to, że ów rys żywej, sprężystej wyobraźni ludu od upadku średniowiecza nie przebił się do żadnej szkoły architektury i żadnej większej formy społecznej. Wielkie, klasyczne budowle renesansu były czyste jak łza – dlatego niebezpiecznie przypominają czasami nowoczesne wille

w Balham. Niemniej ci, którzy najbardziej płaczą nad utratą tej niezwykłej formy sztuki ludowej, najlepiej wiedzą także, że sztuka ta, nawet w okresie największego rozkwitu, miała do siebie nie tylko pewien element ludowy, ale i barbarzyński. Mogą podobać się nam wszystkie odmiany średniowiecznej groteski – musimy jednak przyznać, że w pewnych wypadkach była to groteska w równym stopniu świadoma, co nieświadoma. Niektóre rzeźby były tak brzydkie, że aniołowie wydawali się niemal równie odrażający, jak diabły. To jednak właśnie stanowi kwestię, na którą kładę tutaj tak wielki nacisk; tajemnicę, dlaczego ludzie, którzy w tak oczywisty sposób dopiero zaczynali swoją pracę na świecie, mieliby ją tak gwałtownie przerwać.

Sympatyków średniowiecza oskarża się niekiedy, co samo w sobie jest wystarczająco absurdalne, o próbę udowodnienia, że był to czas doskonały. W rzeczywistości, wszystkie argumenty mediewistyczne opierają się na fakcie, że był on niedoskonały. Był niedoskonały w takim sensie, w jakim niedoskonałe jest rozwijające się jeszcze dziecko. Istotnie, był on niedoskonały w ten szczególny sposób, który większość współczesnych na ogół bardzo wychwala – znacznie bardziej na pewno, niż zwykłą dojrzałość. Stanowił on coś, co dzisiaj cieszy się znacznie większą popularnością, niż epoka doskonałości; epokę postępu. Być może jedyną prawdziwą epokę postępu w historii.

Rzadko kiedy ludzie z tak wielką szybkością i jednością dźwigali się z barbarzyństwa do cywilizacji, jak wtedy, gdy z końca wieków ciemnych dźwignęli cały kontynent do czasu uniwersytetów i parlamentów, katedr i cechów. Możemy powiedzieć, że do pewnego momentu wszystkie elementy tamtego świata, czy rozwinięte, czy nie, rokowały przynajmniej nadzieję na rozwój – i to wielki rozwój. Aż nagle coś zaczęło się sypać, równie zawrotnie, i cała chwała tej kultury wynika nie tyle z tego, czego dokonała, ale z tego raczej, czego mogła dokonać. Przychodzi tu na myśl jedna z owych typowych dla średniowiecza spekulacji, pełnych fantazji naturalnej dla istot prawdziwie wolnych, w której nauczyciele Szkoły próbowali wyobrazić sobie, jak potoczyłyby się losy każdej rośliny i każdego zwierzęcia, gdyby Adam nie zdecydował się zjeść rajskiego jabłka. Kultura ta pozostaje, by użyć tu żargonowego wyrażenia historycznego, jednym z wielkich „co by było gdyby" w dziejach.

Powiedziałem, że umarła ona młodo; być może jednak byłbym bliższy prawdy, gdybym powiedział, że nagle się zestarzała. Jak Gotfryda i innych jej wielkich bohaterów, w najlepszych latach życia zmogła ją jakaś tajemnicza choroba. Im więcej czyta się o historii, tym trudniej jest wytłumaczyć ów sekret średniowiecznej cywilizacji i jej tajemniczy rozkład od wewnątrz. Ledwie kilka pokoleń dzieliło świat, który czcił św. Franciszka od świata, który spalił na stosie Joannę

z Arc. Każdy by się spodziewał, że pomiędzy słoneczną tajemnicą Ludwika IX a mroczną tajemnicą Ludwika XI jedyną różnicę stanowić będzie data i cyfra. To naprawdę wielka zagadka historii; im bardziej realistycznie badamy sprawy średniowiecza, tym bardziej będzie nas dziwić ów szczególny, postępujący paraliż, który nagle dotknął rzeczywistość tak męską i tak pełną nadziei. Wzrostowi nieskuteczności społecznej towarzyszył wzrost patologii moralnej, szczególnie w wypadku klas rządzących; bo nawet na samym końcu chłopi i rzemieślnicy zachowali znacznie więcej zdrowia i energii. Wszyscy zaś dobrze wiemy, jak skończyła się ta historia; osobiście powiedziałbym, że jej uczestnicy dostali to, na co zasłużyli: reformację. Nie ma jednak tutaj znaczenia to, czy reformacja stanowiła ledwie rewoltę i rewanż, czy patologię i podbój. Katolicy i inteligentni protestanci zgodnie przyznają, że schizmę tę poprzedziło i spowodowało realne zło; i że wydała ona z siebie również realne zło, które podąża za nią aż do naszych czasów. Wiemy, by posłużyć się tutaj choć jednym przykładem, że spowodowała ona wojnę trzydziestoletnią, a wojna trzydziestoletnia spowodowała wojnę siedmioletnią, wojna siedmioletnia zaś – Wielką Wojnę, która niczym zaraza przeszła przez nasze własne domy. Po schizmie, Prusy mogły wrócić do pogaństwa i stworzyć własny system etyczny, zewnętrzny w stosunku do całego świata chrześcijańskiego. Niemniej, wciąż rozumnie można zapytywać, co tę schizmę

właściwie wywołało; i wciąż można na to pytanie rozumnie odpowiadać; coś, co poszło nie tak w epoce średniowiecza. Co jednak poszło wtedy nie tak?

Kiedy po raz ostatni spojrzałem na wieże Syjonu, wydawało mi się, że wiem, co. Nie da się tego udowodnić, ani obalić; i musi to brzmieć jak zwykły strzał ignoranta. Osobiście jednak, sądzę, że zmarła ona z rozczarowania. Sądzę, że całe średniowieczne społeczeństwo upadło, ponieważ wraz z utratą Jerozolimy – straciło serce. Proszę zauważyć, że nie mówię tutaj o porażce kampanii wojennej, a nawet – porażce krucjaty. Jako iż wojna z islamem nie została przegrana. Muzułmanin poniósł klęskę na prawdziwym polu bitwy, które stanowiła Hiszpania; jego panowanie w Afryce było zagrożone; jego imperialna potęga odniosła liczne rany i zaczynała powoli upadać. Nie chodzi mi o polityczne kalkulacje wojny o Morze Śródziemne. Nawet nie o papieskie definicje świętej wojny. A wyłącznie o ludowe wyobrażenie Miasta Świętego. Bo podczas gdy arystokraci mieli tylko perspektywę, lud – miał wizję; coś, czym kończą się wszystkie opowieści, coś, co znajduje się na końcu tęczy, coś, co leży za niezdobytymi górami i nieprzebytymi lasami. W Hiszpanii średniowiecznicy odnieśli zwycięstwo; ale ich twierdza nie znajdowała się w Hiszpanii. Ich twierdzę stanowił zamek na wschód od słońca i na zachód od księżyca, którego bajkowy książę nie mógł

już odnaleźć. Istotnie, ów głupi obraz wyjęty z książek dla dzieci to znakomita ilustracja tamtych wypadków. Ponieważ tajemnica tego zamku leży w tym, że stoi on w środku, lub – jak powiedziano by w tamtych czasach – w samym centrum ziemi. Znajduje się na wschód od słońca Europy, oświecającego świat ciepłym światłem rozsądku – światłem, w którym dojrzewać mogą rzeczy żywe i realne. Na zachód od księżyca Azji, tajemniczego i anarchicznego, z jego zimnymi kraterami wulkanów – srebrnego lustra poetów i niemal śmiertelnej obsesji szaleńców.

Jakby nie patrzeć, sugerowałbym, że dla przyczyn, które już sugerowałem, upadek Jerozolimy – i w tym sensie również: porażka wypraw krzyżowych – miał bardzo rozległe skutki. Dlatego, że krucjaty stanowiły ruch masowy, rozczarowanie, którym się zakończyły, również było masowe; i dlatego, że stanowiły one ruch masowy, ideałem ich był obraz; konkretny wytwór wyobraźni. Jako iż ludzie biedni w prawie każdym wypadku są partykularystami; i nikt w dziejach nie widział jeszcze czegoś takiego, jak tłum panteistów. W jednej z owych wydawanych przez średniowieczne cechy książek, które wszędzie wychodzą dziś na światło dzienne, natrafiłem pewnego razu na listę rekwizytów scenicznych, potrzebnych do wystawienia jakiegoś wiejskiego przedstawienia – jednego z wielu podobnych przedstawień, organizowanych przez średniowieczne

związki zawodowe, na potrzeby których cech szkutników przygotowywał Arkę Noego lub cech cyrulików dostarczał złotych peruk, mających służyć za aureole Dwunastu Apostołów. Lista owych prostych elementów wystroju sceny miała w sobie pewien interesujący błysk poezji, niczym improwizowana sceneria fantastycznej farsy dla dzieci; chmura, bożek z kijem w ręku – i, wyróżniające się pośród innych rzeczy – ściany i wieże Jeruzalem. Mogę sobie wyobrazić, jak cierpliwie malowano je i złocono – element specjalny, na kształt dwóch wanien pana Wincentego Crummelsa[90]. Mogę sobie jednak wyobrazić także to, że pod koniec wieków średnich, mistrzowi ceremonii spoglądanie na te wieże z drewna i tektury mogło zacząć sprawiać coś w rodzaju bólu – i być może odłożył on je do kąta, na podobnej zasadzie, na jakiej dziecko znudzi się zabawką, szczególnie jeżeli kojarzy mu się ona z rozczarowaniem lub fatalnym nieporozumieniem. W niektórych późniejszych wierszach gminnych da się wyraźnie zauważyć tendencję do, że tak powiem, boczenia się na krucjaty. Lecz choć ogólne uczucia ludu były w znacznym stopniu poetyczne, ta sama rzecz oddziałała przecież, proporcjonalnie do kontekstu, w porządku politycznym, który miał już charakter czysto praktyczny. Zapędy muzułmanów udało się zahamować – ale nie udało się zahamować

90 Aluzja do powieści Dickensa *Nicholas Nickleby.*

ich w wystarczającym stopniu. Cała historia tego, co zwykło się nazywać „kwestią wschodnią”, a także trzy czwarte wojen współczesnego świata, to skutki właśnie tego jednego faktu – że nie udało się ich zahamować w wystarczającym stopniu.

Jedyna rzecz, którą można uczynić z rzeczami niezdobytymi, to po prostu je zdobyć. Tylko ten jeden zabieg skutecznie wyleczy je z niezwyciężoności; albo, co jeszcze gorsze, z ich własnej wizji niezwyciężoności. Takie właśnie było przekonanie tych z nas, którzy nie chcieli zaakceptować tego, co uważaliśmy za przedwczesny pokój z Prusami. Taki jest właśnie powód, dla którego nie chcieliśmy słuchać ani torysowskiego pro-germanizmu Lorda Lansdowne'a[91], ani socjalistycznego pro-germanizmu pana Macdonalda. Jeżeli jakiś szaleniec tak bardzo ufa swojemu szczęściu, że wydaje mu się, że nikt nie jest w stanie go złapać, nie tylko pozostanie on przy swoich przekonaniach, ale będzie się w nich tylko mocniej i mocniej utwierdzał – do momentu, w którym rzeczywiście zostanie złapany. Im dłuższy pościg, tym pewniejszy będzie, że ucieknie; im węże drogi

91 Prawdopodobnie Henryk Karol Keith Petty-Fitzmaurice (1845-1927) – konserwatywny polityk brytyjski, pełniący w różnych momentach swojej kariery generalnego gubernatora Kanady, wicekróla Indii, ministra wojny i ministra spraw zagranicznych. Podczas I Wojny Światowej agitował za szybkim pokojem z Niemcami i łagodnym traktowaniem przegranych.

ucieczki, tym pewniejsza ucieczka. I istotnie, jeżeli naprawdę uda mu się uciec, będzie to wyglądało na cud i niemal na boską interwencję – nie tylko z perspektywy ściganego, ale także z perspektywy ścigających. Zło wyda się niepokonane głównie tym, którzy próbują je zwyciężyć. Ostatecznie będzie wyglądać tak, jakby naprawdę posiadło ono sekret sukcesu; ci zaś, którzy z nim przegrali, będą nosić w swoich sercach gorzką pamięć porażki. Sądzę, że to właśnie pamięć porażki był tym, co sprawiło, że wielkie nadzieje cywilizacji średniowiecznej powoli obumarły od środka. Chrześcijaństwo i rycerstwo rzuciły swoje siły przeciwko Mahoundowi – i Mahound nie uległ; cień jego rogatego hełmu, sierp Półksiężyca, wciąż zalegał na ich słonecznych dziedzinach; Rogi Hittinu. Słodkie strumienie życia, płynące do cechów i szkół, zakonów rycerskich i zakonów żebraczych, z nagła przedziwnie odmieniły się i ochłodziły. Zatem, sądzę, że gdyby wynegocjowany pokój nie zdławiłby prusactwa nawet w samych Prusach, to wszystkie wolnościowe ideały narodów romańskich, wszystkie narodowe swobody Anglików, a także cała teoria wielkiego eksperymentu demokratycznego w Ameryce, zaczęłyby umierać z głębokiej i podświadomej nawet rozpaczy. Głosowanie, ława przysięgłych, gazety nie byłyby już tym, jakie są teraz, czyli rzeczami, z których ciężko jest zrobić dobry użytek – czy jakikolwiek użytek w ogóle; stałyby się rzeczami, z których nikt już wcale nie próbowałby nawet robić użytku. Losy głosowania

przypominałyby raczej losy wasali krzyczących „haro”[92], historia ławy przysięgłych – historię pojedynków; z upływem czasy coraz więcej ludzi rozumiałoby nagłówki prasowe w równym stopniu, co znaczenie godeł heraldycznych. Jako iż owe średniowieczne wynalazki wydają się dziś stare i skostniałe z powodu porażki, która nie przestała być porażką mimo tego, że stanowiła więcej niż połowiczne zwycięstwo.

Szczegóły owej porażki spowija interesująca mgła ogólnego zamętu. Chrześcijańscy dowódcy, którzy odegrali w niej rolę wiodącą, bez cienia wątpliwości byli ludźmi innego poziomu moralnego, niż hrabia Gotfryd; w porównaniu, ich osobowości wydają się tajemnicze, a nawet tragiczne. Być może dwiema najważniejszymi osobami byli tu Rajmund z Trypolisu, wprawny żołnierz, oskarżany – jak się zdaje – przez swoich wrogów o zdecydowanie zbyt wydatną biegłość dyplomatyczną; i Renald z Chatillon, brutalny poszukiwacz przygód,

---

92 Zwyczaj pochodzący z prawa normańskiego, stanowiący jedną z procedur rozwiązywania konfliktów o sposób wykorzystania ziemi, zachodzących między wasalem a seniorem. Jeżeli właściciel jakiejś działki uważał, że jego senior chciał wykorzystać jego ziemię w sposób niesprawiedliwy, w obecności dwóch świadków i drugiej strony sporu krzyczał „haro”, co zobowiązywało ową druga stronę do zaprzestania niechcianych przez właściciela działań, przynajmniej do momentu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd. W niektórych częściach świata, na przykład na wyspie Guernsey, przepis ten obowiązuje do dzisiaj.

oskarżany przez swoich wrogów o zwyczajny bandytyzm. Cała ironia sytuacji polega zaś na tym, że Rajmund popadł w tarapaty po tym, jak zawarł z Saraceniami niepopularny pokój, Renald zaś – po tym, jak wypowiedział Saracenom bezsensowną wojnę. Renald domagał się od pewnych muzułmańskich podróżników, aby za przejazd jedną z tamtejszych dróg zapłacili coś, co on uważał za rodzaj feudalnej daniny bądź podatku, a co oni uważali za zwyczajny rozbój; i kiedy odmówili – zaatakował ich. Potraktowano to jako złamanie rozejmu; prawdopodobnie jednak łatwiej byłoby zbagatelizować sprawę i uznać Renalda za zwykłego rzezimieszka, gdyby nie to, że w tym samym czasie wielu uznawało wynegocjowany przez Rajmunda pokój za zwykły akt zdrady. Rajmund prawdopodobnie nie był zdrajcą – jako iż wskazówki wojskowe, których udzielał w samym momencie katastrofy, cechowały się rzetelnością i rozsądkiem, godnym tak mądrego weterana. I bardzo prawdopodobne również, że Renald nie był rzezimieszkiem – zwłaszcza nie we własnych oczach; i wydaje się, że można powiedzieć na jego korzyść znacznie więcej, niż chcą tego współcześni pisarze. Niemniej, sam fakt, że rywalizujące frakcje obrzucały się wzajemnie podobnymi oskarżeniami, wskazuje na pewne zmianę w stosunku do pierwszych dni przywództwa rodu Bouillon. Żaden oszczerca nie zasugerował nigdy, że Gotfryd był zdrajcą; żaden wróg nigdy nie uznał, że Gotfryd był zwykłym złodziejem. Dosyć jasne jest, że nastąpiła degeneracja; większość

ludzi wszakże nie zdaje sobie za dobrze sprawy z tego, że wpierw istniała naprawdę wielka rzecz, którą dopiero potem można było sobie degenerować.

Pierwsi krzyżowcy naprawdę mieli pewną koncepcję Jeruzalem jako Nowego Jeruzalem. Chodzi mi o to, że naprawdę mieli oni wizję tego kraju – nie tylko jako ziemi obiecanej, ale utopii, czy wręcz raju na ziemi. Niesamowity fakt, jaki rzadko kiedy zauważa się w związku z całą sprawą, jest taki: że przeprowadzony w Palestynie eksperyment społeczny wyprzedzał pod wieloma względami eksperymenty społeczne reszty chrześcijańskiego świata. Zmuszeni zaczynać od samego początku, naprawdę zaczęli oni od tego, co uważali za najlepsze pomysły własnego czasu; jak dowolna grupka socjalistów, zakładająca społeczność idealną w jednej ze współczesnych kolonii. Specjalista w zakresie historii tego okresu, pułkownik Conder[93] z Funduszu Eksploracji Palestyny[94], napisał, że rdzeń tamtejszego prawa powstał w oparciu o zalecenia samego

93 Klaudiusz Reginier Conder (1848-1910) – brytyjski żołnierz, odkrywca i antykwariusz. Uczestnik wyprawy wojskowej przeciwko egipskiej rebelii Ahmeda Urabiego.

94 Oryg. *Palestine Exploration Fund* – założone w 1865 roku przez grupę brytyjskich archeologów, pisarzy i duchownych anglikańskich stowarzyszenie, zajmujące się finansowanie różnorakich badań naukowych na terenie Palestyny. Istnieje do dziś.

Gotfryda, wydane w jego „Listach o Grobie Pańskim"; komentując je zaś, zauważa: „Prawo to opierało się na kodeksie Justyniana i cechowało się rozwiązaniami, które w tamtym czasie w Europie były jeszcze zupełnie nieznane, zwłaszcza jeśli chodzi o to, z jaką starannością zabezpieczały one sprawiedliwe traktowanie burżuazji i chłopstwa, oraz stowarzyszeń handlowych, których floty miały dla króla tak wielkie znaczenie. Nie tylko ludzie wolni, ale i ci, którzy technicznie rzecz ujmując stanowili warstwę kmieci, a faktycznie – rdzenną ludność – sądzeni byli przez przysięgłych, równych im co do stanu społecznego". Pierwotne urządzenia sądu dla rdzennych mieszkańców wydają mi się nadzwyczajnie liberalne, nawet według współczesnych standardów obchodzenia się z tubylcami. To, że w wielu podobnych kodeksach prawnych ze średniowiecza wolnych ludzi wciąż nazywało się kmieciami nie przesądza sprawy w większym stopniu, niż fakt, że w wielu nowoczesnych gazetach kapitalizmu współczesnych kmieci ciągle nazywa się wolnymi ludźmi. Cały sens instytucji kmiecia polegał na tym, że dzierżawił on ziemię w sposób przynajmniej tak samo trwały, jak włościanin ją posiadał. Był on, jak to się mówi, „przywiązany do ziemi"; dzisiaj zaś da się znaleźć bardzo wielu pozbawionych nadziei włóczęgów, umierających na ulicy lub śpiących po rowach, którzy prawdopodobnie nie obraziliby się, gdyby przywiązać ich do jakiejś niewielkiej działki. Nie byłoby czymś wiele gorszym od bezdomności

i głodu „przywiązanie” do małego ogródka warzywnego, w którym rosłyby fasola i rzepa, i z którego płodów większość można by zatrzymać dla siebie i zjeść; albo jakiegoś małego pola, za uprawę którego otrzymywałoby się zapłatę w formie znacznej części rosnącego na nim zboża. Współcześnie istnieje wielu ludzi, którzy – gdyby „przywiązać” ich do brzemienia podobnej, zielonej wyspy, lub skuć łańcuchami podobnie zielonych, żywych roślin – wyszliby na tym wcale nie tak tragicznie. Fakty są takie, rzecz jasna, że w całym świecie chrześcijańskim system ten ewoluował już wtedy bardzo dynamicznie w czyste włościaństwo; i dużo czasu minie, zanim industrializm wyewoluuje sam z siebie w coś cechującego się tak wielkim stopniem równości lub wolności. Wyraźniej niż cokolwiek innego pojawia się tutaj ów uniwersalny znak średniowiecznego ruchu cywilizacyjnego; dobrowolne uwalnianie niewolników. Na pewno jednak nawet najwiekszy entuzjasta nie będzie przeczył, że sporo z wczesnego sukcesu tej całej sprawy wzięło się z osobistych zalet pierwszych, świeżo przybyłych z Zachodu rycerzy; szczególnie zaś, z osobistej sprawiedliwości i umiarkowania Gotfryda oraz niektórych jego bliskich krewnych. Gotfryd zmarł młodo; większość z jego spadkobierców rządziła bardzo krótko, głównie ze względu na powszechność zachorowań na malarię oraz brak lekarstw. Królewskie mariaże z bardziej orientalną tradycją książąt armeńskich, przyniosły ze sobą nowe elementy luksusu i cynizmu;

i do czasu zawarcia przez Rajmunda z Trypolisu owego bardzo spornego pokoju, koronę zdążył odziedziczyć człowiek zwany Gwidonem z Lusignan, którego – jak się zdaje – uważano za osobę raczej średnio satysfakcjonującą. Spierał się on z Rajmundem, który piastował urząd zarządcy Galilei, wyrażona zaś przez drugiego z tych ludzi, interesująca i raczej niezrozumiała, zgoda na to, by muzułmanie przejechali przez jego ziemię w pokoju, lecz z bronią w ręku, doprowadziła do rzekomych muzułmańskich bluźnierstw przeciw Nazaretowi i buntu ogarniętego furią templariusza, Gerarda z Bideford, o którym wspominaliśmy już w tym rozdziale. Największym wszakże zagrożeniem było dla nich i ich Nowego Jeruzalem to, że oto pojawił się pośród muzułmanów człowiek obdarzony autentycznym geniuszem militarnym – i na całą tę krainę padł gigantyczny cień ambicji i zapału wielkiego Saladyna.

Wraz ze złamaniem rozejmu, a przynajmniej opowieścią, jaka o tym krążyła, niebezpieczeństwo grożące wszystkim chrześcijanom stało się oczywiste; i Rajmund z Trypolisu udał się do kwatery głównej, aby omówić sprawę z królem, swoim niedawnym przeciwnikiem; ale wydaje się, że został niemal otwarcie potraktowany jako zdrajca. Gerard z Bideford, fanatyk piastujący funkcję wielkiego mistrza zakonu templariuszy, zmusił króla do odrzucenia rad mądrzejszego żołnierza, który perswadował, że na bezwodnych pustkowiach,

rozciągających się pomiędzy wrogimi wojskami, armia Królestwa Jerozolimy najpewniej umrze z pragnienia. Ruszyli przez nie do bitwy – i do czasu, w którym pojawiły się w zasięgu ich wzroku owe dziwne wzgórza, które na zawsze pamiętać się będzie jako Rogi Hittinu, stali się wycieńczeni i niezdolni do walki. Kilka godzin później, zebrali się na tych wzgórzach ostatni rycerze jerozolimskiego wojska, którego ponad połowa poległa już w boju, aby w ostatnim akcie sprzeciwu i rozpaczy bronić najświętszej relikwii, jaką ze sobą nosili – fragmentu Prawdziwego Krzyża. W godzinę ową nadzieja zawiodła ich, jak sobie wyobrażam, więcej razy, niż sami byliby w stanie policzyć – i chwała wieków średnich bezpowrotnie minęła. Zginęło wraz z nimi całe Nowe Jeruzalem, stanowiące symbol nowego świata, wszystkie te wielkie i wzrastające aspiracje i możliwości cywilizacji chrześcijańskiej, których centrum stanowiła ta właśnie wizja, całe to „sprawiedliwe traktowanie burżuazji i chłopów oraz stowarzyszeń handlowych", wszystkie cechy, które wysłużyły swoje przywileje walcząc o sprawę Krzyża, wszystkie nadzieje na piękniejszą wersję prawa rzymskiego, przekształconego przez życiodajny wpływ chrześcijańskich ideałów rycerstwa i miłosierdzia. Tam właśnie dokonał się nasz pierwszy upadek i pierwszy zwrot naszego przeznaczenia; i w tamtej właśnie dziczy utraciliśmy wszystko, co powinniśmy byli kochać, i co jedynie długa i bardzo wytężona praca pozwoli nam z czasem odzyskać.

Rajmund z Trypolisu wyrąbał sobie drogę przez szeregi wroga i odjechał do Tyru. Króla oraz kilku pozostałych przy życiu szlachciców, wśród nich – Renalda z Chatillonn, przyprowadzono przed oblicze Saladyna do jego namiotu. Miała tam miejsce scena dziwnie typowa dla mieszających się ze sobą wątków właściwych wierze czy kulturze, która zatryumfowała tamtego dnia; majestatycznej, wschodniej uprzejmości i gościnności; nieokiełznanej, wschodniej nienawiści i nieustępliwości; Saladyn powitał monarchę i z wielką elegancją podał mu kielich szerbetu, który ten z kolei przekazał Renaldowi. „To ty, a nie ja, dałeś mu pić" powiedział Saracen, precyzyjnie przestrzegając litery obyczajów gościnności. Następnie rzucił się nagle, szalony ze wściekłości i miotający najgorsze obelgi, na Renalda i zabił swojego więźnia własnymi rękoma. Na zewnątrz, na polu bitwy, ścięto głowy dwóm setkom templariuszy i szpitalników; według jednego ze świadectw, które dane mi było czytać – dlatego, że się Saladyn po prostu nie spodobali, według drugiego – ponieważ byli to chrześcijańscy duchowni.

Większość wiktoriańskich książek dotyczących historii, szczególnie powieści historycznych, cechuje się wyraźną niechęcią w stosunku do chrześcijan i sympatią w stosunku do muzułmanów i Żydów.

Większość zaś ludzi współczesnych, czy może raczej – bardzo niedawnych, czasów, czerpała całe swoje pojęcie o dziejach właśnie z kartkowania powieści historycznych. W romansach tych, Żyd zawsze jest prześladowany – podczas gdy w rzeczywistości to on właśnie bardzo często był prześladowcą. W romansach tych Arab zawsze odznacza się orientalną godnością i uprzejmością, nigdy zaś – orientalną nieszczerością i okrucieństwem. Tę samą niesprawiedliwość da się poznać także w historii jako takiej, którą dzięki selekcji i opuszczeniom uczynić można czymś równie fikcyjnym, jak jakakolwiek fikcja. Na dwudziestu historyków, opisujących, jak oszalały tłum chrześcijan mordował muzułmanów po zdobyciu Jeruzalem, przypada może jeden, który wspomniałby, że muzułmański dowódca z zimną krwią rozkazał zamordować około dwie setki swoich najsławniejszych i najmężniejszych wrogów po zwycięstwie pod Hittin. W wypadku pierwszego z tych wydarzeń nie ma dowodów na to, że stał za nim Tankred – podczas gdy za drugim z całą pewnością stał Saladyn. A jednak, Tankreda opisuje się dziś w najlepszym wypadku jako postać niejednoznaczną, podczas gdy Saladyn przedstawiany jest jako przysłowiowy Bayard[95] bez strachu

95 Francuski żołnierz (1473-1524), dowódca wojskowy, uczestnik wojen włoskich. Jego szlachetność i waleczność przeszła niemal do legendy, ze względu na co stał się na zachodzie Europy tą pożyteczną społecznie osobliwością, jaką jest przysłowie.

i skazy. Obydwaj niewątpliwie byli tylko zwykłymi, niedoskonałymi ludźmi, żołnierzami, niemniej – nie sądzi się ich według jednej miary. Fakt, że zachodnia historiografia jest stronnicza na korzyść bohaterów Wschodu, może się wydać komuś nieco paradoksalny. Ale sprawa jest dostatecznie jasna; to pozostałości starego buntu wielu Europejczyków przeciwko ich rodzimej organizacji religijnej w naturalny sposób sprawiły, że przekopywali całe wieki w poszukiwaniu jej przewin i ofiar. To naturalne, że Wolter mocniej sympatyzował z braminem, którego nigdy nie widział, niż z jezuitą, z którym toczył zaciekły spór; i że bardziej nie lubił katolika, który był jego wrogiem, niż muzułmanina, który był wrogiem jego wroga. W atmosferze tych naturalnych i wybaczalnych nawet uprzedzeń pojawił się nagle zwyczaj przeciwstawiania nietolerancji krzyżowców tolerancji prezentowanej rzekomo przez cywilizację mahometan. Jako iż każdy medal ma dwie strony, niewątpliwie dałoby się opowiedzieć historię krucjat, co do szczegółów – wystarczająco poprawnie – w taki sposób, aby całkowicie wybielić muzułmanów i całkowicie potępić krzyżowców. Ale jakikolwiek przygotowany w ten sposób, rzetelny opis muzułmańskiej strony medalu, miałby tyle wspólnego z kwestiami tolerancji i nietolerancji, co ze współczesnymi ideami wolności i równości religijnej. Ponieważ świat współczesny sam nie wie, co właściwie rozumie pod pojęciem wolności i równości religijnej, ponieważ współcześni nie wymyślili

żadnej literalnie teorii tolerancji (a wszystkie ich mętne generalizacje można obalić przez dowolne odwołanie do jakichś dwudziestu konkretnych wypadków, od Thugów[96] po Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki), czymś w oczywisty sposób nierozsądnym byłoby oczekiwać, że współcześni owi pojmą jednak znacznie przecież jaśniejszą filozofię muzułmanów. Niemniej, choćby pobieżny zarys tego, o co w całej sprawie chodziło, może okazać się w tym wypadku czymś nader pożytecznym.

Pierwotnie islam nie był wcale ruchem przeciwko chrześcijaństwu. Nie patrzył on, by tak rzec, na zachód; patrzył na wschód, w kierunku bałwochwalstwa Azji. Lecz Mahomet uważał, że z azjatyckimi bożkami skuteczniej będzie się walczyć przy użyciu prostszej doktryny; ktoś mógłby wręcz powiedzieć: prostszego

96 Hinduskie bractwo religijne, zajmujące się rytualnym okradaniem oraz mordowaniem podróżnych (z naciskiem na to drugie). Zazwyczaj praktyki te motywowano kultem bogini Kali. Zlikwidowane przez brytyjską administrację kolonialną w drugiej połowie XIX wieku (co niewątpliwie stanowi dowód na to, że kolonializm był tylko barbarzyńskim aktem dominacji i okrucieństwa). Warto dodać (niechże będzie dane tłumaczowi powiedzieć coś od siebie), że na polskiej stronie wikipedii mówi się o tym, że motywacje Thugów były dla kultury zachodniej „niezrozumiałe”. To tak a *propos* Chestertonowskich uwag o współczesnym pojęciu tolerancji, które w miarę upływu czasu staje się, doprawdy, coraz dziwniejsze.

chrześcijaństwa. Bo zawarł on w tej doktrynie wiele rzeczy, które my, na Zachodzie, uważamy zazwyczaj za swoiste nie tyle dla chrześcijaństwa, co dla katolicyzmu. Wiele z tych rzeczy, które zostały odrzucone w protestantyzmie, nie zostało odrzucone w islamie. Tak też muzułmanie wierzą w czyściec i przyznają Matce Chrystusa przynajmniej pewien rodzaj szczególnej godności. Odnośnie podobnych spraw, mają oni w sobie niewiele z owego zgorzknienia, które nurtuje w narodzie żydowskim i o którym mówi się czasami, że jest odrażająco zjadliwe. Gdy byłem w Palestynie, pewien zacny muzułmanin powiedział mieszkającemu tam chrześcijaninowi: „My także, podobnie jak wy, szanujemy Matkę Chrystusa. Nie mówimy o niej nigdy inaczej, niż czcigodna Miriam. Nie śmiem powiedzieć, jak mówią o niej Żydzi”.

Prawdziwy błąd islamu to coś znacznie bardziej dynamicznego i nowoczesnego niż jakiekolwiek partykularne bądź przejściowe prześladowanie chrześcijan. Wziął się on z tego, że muzułmanie uważali swoją doktrynę za prostszą i zdrowszą odmianę chrześcijaństwa – podobnie jak czyni to wielu współczesnych chrześcijan. Myśleli, że może ona stać się uniwersalna tylko z tego powodu, że jest mało interesująca. Człowiek, który uważa głoszone przez siebie poglądy za truizm jest zaś znacznie bardziej nietolerancyjny od człowieka, który uważa głoszone przez siebie

poglądy za paradoks. Zarówno w wypadku muzułmanów, jak choćby i bolszewików, niespotykana agresja i brutalność w narzucaniu swojej doktryny innym ludziom wynika dokładnie z tego, że doktryny te wydają się się swym zwolennikom w oczywisty sposób odpowiednie dla każdego człowieka. Muzułmanie byli zamknięci dokładnie dlatego, że islam był otwarty. I dlatego, że był on miękki w swoich wymaganiach, jego rządy okazały się bardzo twarde. Ponieważ brakowało mu samokrytycznej złożoności, przyzwalał na owe proste i męskie, lecz w większości wypadków także skądinąd niebezpieczne upodobania, jakie często zaobserwować można u wodza lub feudała. Jako iż dysponował najprostszym możliwym rodzajem religii – monoteizmem, przyjął najprostszy możliwy system rządów – monarchię. Ten sam, prosty duch, przejawiał się zarówno w jego deizmie, jak i despotyzmie. Nie rosły na tej złotej pustyni kodeksy, prawo precedensowe, kompromisy statutów i ślubów rycerskich. Wielkie słońce jaśniało na niebie, a wielki Saladyn przebywał w swoim namiocie – i należało być mu posłusznym, dopóki ktoś go nie zamorduje. Ci, którzy narzekają, że nasze doktryny są zbyt skomplikowane, bardzo często zapominają, że owe skomplikowane doktryny Zachodu wydały na świat skomplikowane, zachodnie konstytucje; i że są one skomplikowane z tego względu, że są także wyzwolone. I prawdziwy morał, płynący z historii stosunków między dwiema wielkimi religiami, to coś

znacznie bardziej subtelnego i szczerego, niż jakakolwiek opowieść o tureckich okrucieństwach. Jest on taki sam, jak w wypadku historii chrześcijańskiego sprzeciwu wobec propozycji stworzenia nowego, pogańskiego Partenonu, w którym Chrystus stanąłby w jednym szeregu z Ammonem lub Apollinem. Dwukrotnie Kościół Chrześcijański odrzucił to, co wydawało się hojną propozycją otwartego, liberalnego umysłu; raz – nie chcąc uznać Chrystusa za jednego spośród wielu bogów i drugi raz – za jednego spośród wielu proroków; raz – nie chcąc uznać wszystkich idoli i drugi raz – odrzucić wszystkich idoli. Dwukrotnie podjął Kościół ryzyko i dwukrotnie samotnie przetrwał i samotnie zwyciężył, napełniając ziemię swym potomstwem; i zostawiając swoich przeciwników daleko na pustyni, na której wszystkie idole umarły, a wszyscy ikonoklaści – umierali.

Całą tę historię wszakże skryło przed naszym wzrokiem uprzedzenie znacznie bardziej ogólne, niż to, które dotyczy konkretnej kwestii krzyżowców i Saracenów. Współczesne, czy raczej – wiktoriańskie uprzedzenie do krzyżowców to rzecz pozytywna, a nie relatywna; i nawet gdyby nie mogło ono uniewinnić Saladyna, i tak dążyłoby z całych sił do skazania Tankreda. Istotnie, to uprzedzenie nie tyle do krzyżowców, co do wszystkich chrześcijan. Nie osądzi ono owych bohaterów wojny religijnej według tej samej, uczciwej miary, według

jakiej sądzi bohaterów jakiejkolwiek wojny patriotycznej czy imperialnej. Nie było nigdy bardziej szlachetnego bohatera, niż Nelson. Ani też bardziej narodowego. Ani normalniejszego. A jednak, Nelson zrobił to, czego Tankred praktycznie na pewno nie zrobił; złamał dane słowo i skazał swoich mężnych wrogów na karę śmierci. Jeżeli w innych czasach kwestię Nelsona zacznie traktować się w taki sam sposób, w jaki często traktowało się ostatnio *credo* Tankreda, ten jeden wypadek posłuży za wystarczający dowód nie tylko na to, że Nelson był kłamcą i łajdakiem, ale także, że nie kochał on wcale Anglii, nie kochał wcale Lady Hamilton, że żeglował na angielskich okrętach wyłącznie po to, aby kosić szmal z ładunku zatopionych okrętów francuskich, i z równą ochotą żeglowałby na francuskich okrętach, gdyby dawało mu to możliwość koszenia szmalu z ładunku zatopionych okrętów angielskich. Takiej natury jest właśnie ów spłowiały, złoty pył, rozsypywany w naszych czasach, niczym niesiony wiatrem pył pustyni, nad mieczami i relikwiami, nad krzyżami i złożonymi do modlitwy rękoma tych wszystkich ludzi, którzy maszerowali na Jerozolimę lub ginęli pod Hittin. W wypadku tych średniowiecznych pielgrzymów, każda niekonsekwencja stanowi haniebną hipokryzję; podczas gdy w wypadku bardziej współczesnych patriotów, nawet czyny haniebne stanowią ledwie niegroźną niekonsekwencję. Uwieńczyłem niniejszą opowieść odniesieniem do katastrofy pod

Hittin, dlatego iż to w tamtym miejscu zaczęła się cała reakcja przeciw tej pielgrzymce; i dlatego, że to wydarzenie właśnie było tym, które doprowadziło ostatecznie do utraty Jeruzalem. W innych częściach Palestyny, o Afryce i Hiszpanii nie wspominając, Zachód wyprowadzał ciągle świetne kontrataki, w wypadku których świetna odsiecz Ryszarda Lwie Serce nie stanowiła bynajmniej ostatniego słowa. Niemniej, niezmiennie uważam, że cała muzyka krucjat rozbrzmiewała, zmieniała się i – ostatecznie – zamilkła, mocą samej ledwie nazwy tego małego, górskiego miasteczka. Wszystkie inne z tutejszych nazw były tylko nazwami różnych miast na Wschodzie; to wszakże, znajdowało się bliżej człowieka średniowiecznego, niż jego sąsiedzi; stanowiło wioskę wewnątrz jego wioski – i dom wewnątrz jego domu.

Nad Betlejem wznosi się wzgórze o dziwnym kształcie, z całkiem płaskim szczytem, który sprawia, że osobliwie przypomina ono wyspę, zdatne do zamieszkania lecz niezamieszkałe, wokół niego zaś i za nim faluje cała kraina Moabu, niczym morze, ze swoimi krzywiznami i charakterystyczną mieszanką kolorów. Jego stabilność w pewien dziwny sposób przywodzi na myśl to, co często można wyczuć w tych krainach, w których mieszkały najstarsze kultury świata; że nie tylko cywilizacja, ale i rycerstwo może być czymś starszym niż historia. Być może owo stołowe płaskowzgórze,

ze swym okrągłym szczytem, nosi w sobie jakieś wspomnienie po pierwszym Okrągłym Stole. Być może to tylko fantastyczny efekt pory wieczornej, bo najbardziej czuje się to wtedy, gdy niskie niebo płynie z prądem zmiennych i ciepłych kolorów zmierzchu, w cieniu zaś, leżące u jego podnóża, pokruszone skały, przybierają kształty zmagających się ze sobą i ginących w walce paladynów. Wiem tylko tyle, że sam kształt tego wzgórza i perspektywa krajobrazu podsuwały wyobraźni podobne wizje, i dopiero później dane mi było usłyszeć lokalną legendę, mówiącą, że to właśnie w tym miejscu niektórzy z chrześcijańskich rycerzy stoczyli swój ostatni bój po tym, jak utracili Jeruzalem, w związku z czym nazywa się je Górą Łacinników.

Zginęli, a następne wieki przywaliły ich groby ciężkimi głazami pogardy; pogrzebano ich pod warstwą śmiechu i błazenady. Gdy renesans rozdął się w racjonalizm ostatnich wieków, nic nie wydawało się bardziej absurdalne niż to, że ktoś mógłby walczyć i wykrwawiać się na odległej pustyni, nie tylko za jakiś grób – ale za pusty grób. Ostatnia dotycząca ich legenda padła pod ciosami dowcipu Cervantesa, choć on sam przecież walczył w ostatniej krucjacie pod Lepanto. Zimna żywotność Woltera kopała ich, jakby byli stadem martwych osłów; Woltera, który, tak bardzo symbolicznie, poleciał zaraz emablować nowego „króla-sierżanta" Prusaków.

Niczym nieznanych gatunków zwierzęta pocięło ich na kawałki pogodne obrzydzenie Gibbona[97], pogodniejsze, niż to, z którym patrzył on na podobną brutalność Rewolucji Francuskiej. Do naszych czasów, nawet pospolita kpina stała się truizmem. Od długich lat stanowią oni etatowy przedmiot żartów każdego byle pismaka, określającego hełm mianem „cynowego garnka", każdego karykaturzysty z jakiejś gazety komicznej, rysującego otyłych ludzi, spadających z grzbietów wierzgających koni; każdego prącego do kariery polityka, opowiadającego o średniowiecznych przesądach. Ludzie wielcy i mali zgodzili się nimi gardzić; wyparły się ich ich dzieci i zwalczali ich biografowie; na zawsze mieli stanowić obwoźne pośmiewisko, mieli zostać zdyskredytowani, mieli być wykpiwani i wydrwiwani – i zawsze mieli rację.

Udowodniono im błąd, oni zaś mieli rację. Osądzono ich i zapomniano on nich, oni zaś mieli rację. Całe wieki po ich porażce, całe doświadczenie i koleje rozwoju odkryć politycznych ponad wszelką wątpliwość wykazały, że mieli rację, że zawsze mieli rację. Istnieje bowiem bardzo prosty dowód tej prawdy; to, że tę samą rzecz, którą wpierw odrzucano jako marzenie z epoki fantazji, w epoce faktów trzeba było zamienić w fakt. Teraz jest znacznie bardziej

97 Edward Gibbon (1737-94) – brytyjski historyk, poseł do parlamentu, mason. Autor dzieła *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego.*

pewne, niż było kiedykolwiek wcześniej, że Europa musi odzyskać jakiś rodzaj rządu, lub zarządu, nad tymi starymi prowincjami Rzymu. Czy lepiej, by Anglia sama przejęła władzę nad Palestyną, czy może, by zrobiła to cała Ententa, to – jak mniemam – niezwykle istotne pytanie. Niemniej, w każdym wypadku w jakiś sposób wraca się tutaj do idei Imperium Rzymskiego. Inne imperia, szczególnie zaś – owo wielkie marzenie i misja, jakim jest potężne imperium islamu, miały wszelkie możliwości, aby mu dorównać. Jeżeli ktokolwiek w historii zmierzał kiedyś prosto do zwycięstwa, to na pewno muzułmański sułtan, pędzący na swym arabskim rumaku. Jego imperium sięgało dalej, niż greckie Imperium Bizantyjskie; ostatnia szarża polskiego rycerstwa z ledwością powstrzymała jego pochód u samych bram Wiednia. Mógł pokazać światu dosłownie cokolwiek, co tylko mu w duszy grało – i pokazał śmierć, która mu grała w duszy. Panował i nie potrafił rządzić; był zwycięski i nie zwyciężył. Jego zdezorientowani i pokonani wrogowie wycofali się, on zaś utrzymał pozycję – i nie potrafił utrzymać się na nogach. Ostateczną porażkę poniósł wspólnie z drugą na poły pogańską potęgą z Północy, z którą sprzymierzył się w walce z kulturą Bizancjum i Rzymu. Przegrał – ponieważ barbarzyństwo nie może się ostać; ponieważ nawet wtedy, gdy zwycięża, upada na swoich przeciwników, aby ich zmiażdżyć. I po tych wszystkich wiekach, to my, z naszą bardziej zmęczoną i gorzką filozofią, z cięższym sercem, my właśnie zostaliśmy

zmuszeni uczynić dokładnie to, co próbowały uczynić wyprawy krzyżowe – i ze względu na co stały się one pośmiewiskiem. To, czego ludzie Zachodu nie zdołali zrobić za wiarę, inni ludzie Zachodu musieli zrobić bez wiary. Synowie Tankreda znów mieszkają w Trypolisie. Dziedzice Rajmunda znów mieszkają w Syrii. I ludzie z miast środkowej Anglii i Northumbrii raz jeszcze przeszli przez ów straszliwy piec pragnienia, gorączki i zaciekłej walki, aby zdobyć te same źródła wodne i oblegać te same miasta, co niegdyś. Stąpali po wzgórzach Galilei, a cień Rogów Hittinu nie padł na ich dusze; przeszli przez owe mroczne i tragiczne równiny, których chwałę ukryto przed nimi – i pomścili swych przodków, o których dawno zapomnieli. I najbardziej cyniczny ze współczesnych dyplomatów, układający się według prawideł najbardziej sceptycznej spośród współczesnych filozofii, nie umie znaleźć żadnego praktycznego, ani nawet czasowego wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazła się ta święta ziemia, poza oddaniem jej na powrót pod władzę korony Ryszarda Lwie Serce i krzyża św. Jerzego.

Przez krzywe wejście nieopodal wielkiej wyrwy w murze, dopiero co zeskoczywszy z konia przeszedł wysoki żołnierz, ubrany wyłącznie we współczesny strój jeździecki o kolorze pyłu. Żadna trąba nie poprzedziła swym dźwiękiem jego przyjścia, nie wszedł on także do miasta przez Złotą Bramę; lecz cisza pustyni pełna była jakichś

lotnych wiwatów, jak wtedy, gdy podmuch wiatru przynosi z daleka, niby szept, głosy tysięcy radujących się ludzi. Bo w tej godzinie zamilkły dawno okrzyk znalazł swe dopełnienie i coś, co uważano dotąd za czysty irracjonalizm, stało się na powrót częścią samej racji świata. I nareszcie, nawet na uczonych spłynęło w końcu oświecenie – i nawet mądrzy ją w końcu pojęli; potrzebę prawdziwie i istotnie międzynarodową, którą motłoch z ciemniejszej epoki miał wypisaną w swym sercu; coś, czemu dało się zaprzeczać, co dało się opóźniać, czego dało się unikać, ale przed czym nigdy nie można było uciec. *Id Deus vult.*

Rozdział XIII: Problem syjonizmu

Jest taki pogląd, za wyznawanie którego ja i moim przyjaciele byliśmy przez bardzo długi czas ganieni, a nawet piętnowani; i za wyznawanie którego, w czasie obecnym, jesteśmy mniej niż kiedykolwiek skłonni pokutować. Zawsze nazywało się go antysemityzmem; lecz zawsze czymś znacznie bliższym prawdy było nazywać go syjonizmem. W każdym wypadku, nazywając go syjonizmem, znacznie pełniej ujmuje się jego naturę, niezależnie od tego, czy jego centrum geograficzne rzeczywiście stanowi Syjon. Istota owej herezji była nadzwyczajnie wprost prosta. Polegała ona wyłącznie na mówieniu, że Żydzi to Żydzi; i, w konsekwencji logicznej – nie Rosjanie, Rumuni, Włosi, Francuzi lub Anglicy. Podczas wojny, gazety powszechnie określały ich mianem Rosjan; niemniej rytuał ów zużył się tak nieprawdopodobnie, że pamiętam, jak w jednym akapicie z pewnej angielskiej gazety znaleźć można było informację, jakoby Rosjanie z East End w Londynie protestowali przeciw przyjętym metodom racjonowania żywności, ponieważ ich religia zabraniała im jeść wieprzowinę. Interesujące, bo choć w Jeruzalem zdarzyło mi się poznać – przelotnie tylko, ale jednak – kilku popów Cerkwi prawosławnej, z nieznanych przyczyn ten akurat szczegół ich dyscypliny religijnej zupełnie mi umknął; i nawet rosyjscy pielgrzymi, na ile można wnosić z miejscowych relacji, mieli

równie lekki stosunek do sprawy. W tym momencie chodzi jednak o to, że jeżeli rzeczywiście kiedykolwiek coś lub kogoś w związku z tą kwestią zwalczałem, to nie Żydów, ale tego typu uwagi na temat Żydów; albo raczej – głupią i tchórzliwą obawę przed formułowaniem ich w taki sposób, żeby rzeczywiście stanowiły uwagi na temat Żydów. Niemniej, zarówno ja, jak i moim przyjaciele, w jakimś ogólnym sensie prowadziliśmy w tej sprawie dość spójną politykę; sprowadzającą się zasadniczo do przeświadczenia, że Żydom należy się status i godność osobnego narodu. Chcieliśmy, by w pewien sposób – i tak bardzo, jak to tylko możliwe – Żydzi mieli żydowską reprezentację, żydowskie społeczeństwo, żydowskie sądy i żydowski rząd. Jeżeli to jest antysemityzm – to jestem antysemitą. Lecz czymś bardziej racjonalnym wydawałoby się nazwać podobną postawę, jeśli czymkolwiek, to „semityzmem".

Za wyznawanie owego poglądu, jestem dziś, powtarzam, mniej niż kiedykolwiek skłonny pokutować. Dożyłem czasów, w których o tym, co odrzucało się jako fantazję, dyskutuje się jako o fakcie; i to jako o jednym z najbardziej przerażających faktów epoki. Dożyłem czasów, w których ludzie oskarżający mnie o antysemityzm stają się znacznie bardziej antysemiccy, niż jestem lub kiedykolwiek byłem. Słyszałem, jak w swoich wypowiedziach na temat Żydów uwłaczali wszelkiej sprawiedliwości ci sami ludzie, którzy kiedyś zdawali się

mniemać, że jakakolwiek wypowiedź na temat Żydów automatycznie jest niesprawiedliwa. Ale, przede wszystkim, na własne oczy widziałem oszalałe tłumy, ryczące ze wściekłością różne hasła skierowane nie tylko przeciwko Żydom, ale i przeciwko Anglikom – za to, że identyfikowali się z Żydami. Widziałem, jak cały prestiż Anglii obrócił się w ruinę wyłącznie ze względu na ową niską sztuczkę, polegającą na mówieniu o dwóch narodach tak, jakby stanowiły jeden naród. Widziałem, jak Anglików, przybywających do Jerozolimy w towarzystwie kogoś, kogo – zgodnie z tym, czego ich nauczono – uważali za rodaka i politycznego partnera, traktowano tak, jakby przybyli tam w towarzystwie ziejącego ogniem smoka. W taki właśnie sposób zachowują się nasze zimne fikcje w kontakcie z promieniami palącego słońca.

Dwukrotnie w życiu, i w obu wypadkach zupełnie niedawno, widziałem, jak angielskie nadęcie o mały włos nie doprowadziło do wielkiej, angielskiej katastrofy. Pierwszy raz – wtedy, gdy wszyscy wiktoriańscy historycy i filozofowie tłumaczyli nam, że nasi „niemieccy kuzyni” to istotnie nasi kuzyni, a nawet – że jest to bardzo istotne; że to coś w naturalny sposób miłego dobrego. W tym wypadku również zachodziła identyfikacja; w tym wypadku również zachodziła asymilacja; w tym wypadku również zachodziło zjednoczenie serc. Drugi raz w ciągu kilku krótkich lat, angielscy

politycy i dziennikarze przekonali się, jak przerażająco potrafi mścić się rzeczywistość. Udawanie, że coś jest tym, czym nie jest, to zajęcie, które przez pewien czas może cieszyć się zainteresowaniem, a niekiedy nawet popularnością. Niemniej to, co do czego zgodziliśmy się sądzić, że jest tym, czym nie jest, zawsze będzie nas maltretować i miażdżyć – z samego faktu, że jest tym, czym jest. Przez lata wmawiano nam, że Niemcy są w pewien sposób Anglikami, ponieważ należą do rasy teutońskiej; gdy odkryliśmy wszakże, kim naprawdę są Teutoni, okazało się, że tym gorzej dla nas. Przez lata wmawiano nam, że Żydzi są w pewien sposób Anglikami, ponieważ są także poddanymi brytyjskiego monarchy. I tym gorzej dla nas, że musimy ich teraz postrzegać nie tylko jako poddanych, ale wręcz – jako przedmiot; konkretnie: jako przedmiot zapiekłej nienawiści muzułmanów i Greków. Znajdujemy się w absurdalnej sytuacji, w której przedstawiamy tym ludziom jako nowego znajomego kogoś, kogo oni momentalnie rozpoznają jako starego wroga. Sytuacja jest absurdalna – ponieważ jest także fałszywa; lecz stanowi ona ledwie słuszną karę za ogólniejszy fałsz.

Czy ów wschodni gniew to rzecz racjonalna, czy nieracjonalna, będzie można zastanowić się za krótką chwilę; rzeczą wszakże totalnie nieracjonalną jest tutaj nie gniew, a zadziwienie; a przynajmniej: nasze zadziwienie ich zadziwieniem. Mamy pełne prawo być

nowocześni i wierzyć, że jakiś Żyd jest Anglikiem; nie ma jednak żadnego powodu, dla którego oni mieliby uważać tego jegomościa za Anglika, skoro zdążyli już wcześniej zorientować się, że jest on Żydem. Tak właśnie przedstawia się cały problem żydowskiej obecności w Palestynie; i można go rozwiązać wyłącznie albo według logiki syjonizmu – albo według logiki zimnej angielskiej dominacji i bezstronności; nie zaś według tego, co wszystkim w Palestynie wydaje się potwornym pomieszaniem tych dwóch systemów. Niemniej, oczywiście nie tylko ze względu na naszą klęskę w Palestynie zdaliśmy sobie wreszcie sprawę z istnienia problemu żydowskiego, który dawniej był manią, a dzisiaj jest modą. Ci sami dziennikarze, którzy kiedyś w bardzo grzeczny sposób odnosili się do Żydów jako do Rosjan, obecnie zasypują prasę niegrzecznymi artykułami na temat kilku Rosjan, którzy naprawdę są Żydami. Wielu z tych, którzy złego słowa by nie powiedzieli o Żydach-kapitalistach, obecnie mówi ich całkiem sporo o Żydach-bolszewikach. Ci, którzy odznaczali się niewinną nieświadomością w kwestii narodowości Ecksteina, nawet jeśli rzeczywiście przedstawiał się jako Eckstein, zdołali jednak odkryć prawdziwą narodowość Braunsteina – mimo tego, że przedstawia się jako Trocki. I doprawdy, wielu skutków tej katastrofy udałoby się uniknąć, gdybyśmy tylko zgodzili się nazywać rzeczy (i ludzi) zwyczajnie po imieniu.

Wyznam jednak szczerze, że niezupełnie podoba mi się ów nowy antysemityzm, będący zasadniczo zwykłym antysocjalizmem. Istnieją dobrzy, honorowi i wielkoduszni Żydzi wszystkich typów i szczebli – z bardzo wieloma z nich czuję się zaś mocno związany, jako z moimi przyjaciółmi tego samego szczebla społecznego, co ja; jeśli jednak musiałbym dokonać tutaj jakiegoś ogólnego wyboru pomiędzy pewnymi ogólnymi typami Żydów, powiedziałbym, że mam znacznie więcej sympatii do Żyda-rewolucjonisty niż do Żyda-plutokraty. Innymi słowy: znacznie więcej sympatii dla Izraelity, którego zaczęliśmy dyskryminować, niż do Izraelity, którego już dawno emancypowaliśmy. Mam do niego znacznie więcej szacunku jako do rewolucjonisty walczącego z uciskiem ubogich, choćby była to walka archaiczna i anarchiczna, niż jako do lichwiarza, żyjącego z ucisku ubogich. To nie biednych obcych, ale bogatych obcych życzyłbym sobie widzieć poza nawiasem naszego społeczeństwa. Osobiście, odrzucam bolszewizm całkowicie – nie dlatego, że jego działania są brutalne, ale dlatego, że sama jego myśl jest materialistyczna i zła. I jeśli ta skala wartości jest prawdziwa nawet w wypadku bolszewizmu, jest ona dziesięć razy bardziej prawdziwa w wypadku syjonizmu. I naprawdę nie rozumiem dlaczego wielka burza gniewu rozpętała się przeciwko Żydom dopiero w momencie, w którym niektórzy z nich poczuli zew znacznie bardziej czystego ideału; i że po tym, jak tolerowaliśmy ich różne zabiegi wobec naszej

ojczyzny, zwróciliśmy się przeciwko nim właśnie teraz, kiedy z zupełną szczerością szukają oni własnej ojczyzny.

Żeby jednak móc należycie osądzić ową żydowską perspektywę, musimy pogłębić nasze rozumienie samej natury problemu żydowskiego. Musimy rozważyć rzecz od początku – ponieważ dzisiaj wielu ludzi wciąż nie wie, że istnieje coś takiego, jak problem żydowski. Że tak jest, da się, rzecz jasna, udowodnić na podstawie samej historii Żydów i faktu, że przybyli oni ze wschodu. Żydzi krzyczą niekiedy rozdzierająco, by nie nazywać ich „ludźmi Wschodu", bo to rzekomo wielka niesprawiedliwość i uproszczenie; ale, prawdę mówiąc, pole do prawdziwych niesprawiedliwości i uproszczeń otwiera się dopiero jeśli uzna się ich za ludzi Zachodu. Bardzo często, jakiś dowcip o Żydach tak naprawdę jest dowcipem o tych, którzy go wymyślili; a właściwie – o tym, co myśleli oni akurat na temat Żydów. Reguła ta sprawdza się zwłaszcza, na przykład, w kwestiach religii i rytuału. Tak też nie możemy, na przykład, oprzeć się wrażeniu, że hebrajski zwyczaj nakładania sobie w akcie kultu na głowę cylindra ma w sobie coś delikatnie groteskowego. Komizm tej sytuacji w niejasny sposób miesza się do tego z innym typem humoru, dotyczącym innej klasy Żydów, noszących na głowie wielką liczbę kapeluszy; o których nie powinno się w związku z tym myśleć (choć niektórym może być trudno), że w porywie ekstrawaganckich

czy ekstremalnych wręcz uczuć religijnych budują oni z tych kapeluszy wielką pagodę, mającą dosięgnąć nieba. W zachodnich oczach, i w zachodnich warunkach, ów nadzwyczajny formalizm synagogi zawsze wygląda nieco fantastycznie. Wydaje się czymś dziwnym nosić nowoczesny cylinder w taki sposób, jakby był on mitrą czy biretem; czymś jeszcze dziwniejszym, że kapelusz zakłada się nawet przy okazji krótkiej modlitwy przed jedzeniem. Najdziwniej robi się zaś wtedy, gdy, na niektórych żydowskich przyjęciach oficjalnych, kelnerzy roznoszą kapelusze na tacach – i każdy z gości częstuje się takim kapeluszem, jak gdyby stanowił on jakiś rodzaj *hors d'oeuvre.* Ze wszystkich tych rzeczy łatwo można robić sobie żarty; musimy jednak zdać sobie sprawę z tego, że tak naprawdę byłyby to żarty z nas samych. Nie tylko to my się z tego śmiejemy, ale to my właśnie sprawiliśmy, że w ogóle jest to śmieszne. Nikt przecież zgoła nie będzie udawał, że ten konkretny typ nakrycia głowy to część owej nieokrzesanej symboliki, „przeciwstawnej rzeźbie i malarstwu", o której wspominał Renan, mówiąc o tradycjach cywilizacji hebrajskiej. Nikt nie może powiedzieć, że cylinder był jednym z owych dziwnych, symbolicznych przyrządów, wykorzystywanych w trudnej do zrozumienia służbie przy Arce Przymierza; nikt nie powie, że zleciał on z niebios pośród skrzydeł i kół z fantastycznych wizji proroków. Za tę konkretną, szaloną wizję, odpowiedzialność w całości spada na Zachód. Europa stworzyła dzwonnicę Giotta;

stworzyła jednak także cylinder. To my, ludzie Zachodu, musimy nieść to brzemię – zarówno odpowiedzialności, jak i samego kapelusza. Tylko ze względu na jego swoisty fason i kształt, hebrajski rytuał wydaje się niepoważny. Jeśli odprawi się go w jego oryginalnej, hebrajskiej formie, nie będzie niepoważny, ale przeciwnie – raczej bardzo wzniosły. Bo jego oryginalna forma to forma orientalna; Żydzi zaś – to ludzie Orientu; i znak szczególny wszystkich ludzi Orientu stanowi noszenie długich i szerokich chust. Obwiązywanie owych szerokich chust wokół głowy, to ponad wszelką wątpliwość gest dostojny, a nawet poetyczny, który doskonale pasowałby do konwencji owych wielkich i mrocznych szkiców Williama Blake'a. Może być prawdą, i osobiście sądzę, że tak jest, że hebrajski obyczaj nakrywania głowy podkreśla w pewien sposób bojaźń bożą, będącą początkiem mądrości, podczas gdy chrześcijański obyczaj odkrywania głowy mówi raczej o miłości bożej, będącej zwieńczeniem i koroną mądrości. Nie ma to jednak nic wspólnego ze smakiem i godnością tej ceremonii; i aby oddać sprawiedliwość tym dwóm rzeczom, musimy traktować Żyda jak człowieka Wschodu; więcej – musimy nawet ubierać go jak człowieka Wschodu.

Mówię o tym wyłącznie jako o jednym z wielu roboczych przykładów, z których wszystkie wskazywałyby na dokładnie to samo. Ilość zarzutów, które kieruje się pod adresem tego nieszczęsnego obcego,

zmalałaby znacznie, gdyby stał się on nie mniej, a właśnie – bardziej obcy. Wszystkie nieporozumienia wynikają bowiem w ostatecznym rozrachunku z tego, że Żyd za bardzo przypomina nas, a za mało – samego siebie. Tak się właśnie sprawy mają, na przykład, z osławioną kwestią jaskrawego prostactwa ubioru, a szczególnie barw tego ubioru, którymi pewnego sortu Żydzi rozjaśniają ziemię lub morze krajobrazów Margate czy wielu innych kurortów wakacyjnych. Kiedy widzimy na molo w Brighton jakiegoś obcokrajowca, który nosi żółte getry, szmaragdowozielony krawat i kamizelkę w kolorze magenty, czujemy, że chyba nie łapie on co bardziej subtelnych aspektów społecznego smaku i towarzyskiej delikatności. Gdyby natomiast obcokrajowiec ten, widząc nasze zniesmaczenie, zdecydował się zdjąć uroczyście swój zielony krawat z szyi i obwiązać go wokół głowy, mogłoby to sprawić spacerującym po molo w Brighton Anglikom niejaką niespodziankę. Niemniej, reakcja taka byłaby najzupełniej właściwa; i równie logiczna, co artystyczna. Gdy tylko zielony krawat stałby się zielonym turbanem, mógłby wyglądać równie stosownie, a nawet atrakcyjnie, co każdy zielony turban dowolnego pielgrzyma, zmierzającego do Mekki, lub dowolnego potomka Mahometa, przemierzającego majestatycznie uliczki Jafy bądź Jeruzalem. Jaskrawe kolory, które sprawiają, że Żydzi z Brighton wyglądają okropnie, nie różnią się niczym od tych, które sprawiają, że tłum muzułmanów wygląda malowniczo. Nosi się je

tylko w złym miejscu, w zły sposób, i w powiązaniu z typem i fasonem ubioru, który jako taki powinien być bardziej stonowany i powściągliwy. Niewiele można by powiedzieć w tej kwestii przeciwko podobnemu człowiekowi, poza tym, że jego instynkt artystyczny jest bardziej wyczulony na kolory, niż formę – zwłaszcza tę, którą my sami uznajemy za formę właściwą.

To wszystko ledwie symbol – niemniej: symbol do tego stopnia symboliczny, że sam bardzo często posługiwałem się nim jako symboliczną wizją rozwiązania problemu żydowskiego. Nieraz przychodził w całej debacie taki moment, że miałem ochotę powiedzieć tak: niech ostoi się całe liberalne ustawodawstwo, cały prosty i prawny system równości obywatelskiej; niech Żydom będzie wolno piastować jakiekolwiek stanowisko polityczne czy społeczne, jeśli tylko osiągną je w wyniku swobodnej i uczciwej rywalizacji; zatkajmy uszy i odsuńmy od siebie, przynajmniej na chwilę, wszystkie te nowe projekty reakcyjnych restrykcji, całą modną gadaninę o przywilejach rasowych; niech będzie wolno Żydowi pełnić funkcję Lorda Najwyższego Sędziego Anglii i Walii, jeżeli tylko jego nadzwyczajna prawdomówność i wiarygodność rzeczywiście czynią go najlepszym kandydatem na to stanowisko. Niech będzie mu wolno pełnić funkcję arcybiskupa Canterbury, jeżeli tylko nasza narodowa religia osiągnie kiedyś taki poziom chłonnej otwartości,

który uczyniłby podobną konwersję czymś niekontrowersyjnym, a nawet nieświadomym. Niech jednak obowiązuje jedna ustawa, o jednym zaledwie paragrafie; jedno, proste i powszechne prawo dotyczące Żydów – i żadne oprócz niego. Niech zostanie postanowione, dekretem Jego Najjaśniejszej Wysokości Króla, mocą i dzięki radzie Lordów tak duchownych, jak świeckich, i wobec zebranych w parlamencie przedstawicieli Gmin, że każdy Żyd obowiązany jest ubierać się jak Arab. Niech będzie mu wolno zasiadać w Izbie Lordów – ale niech zasiada w niej w stroju arabskim. Nie zamierzam zatrzymywać się teraz nad przyjemną, choć i nieco niefrasobliwą fantazją, jak bardzo coś podobnego zmieniłoby naszą scenę polityczną; wyobrażeniem tonącej w fałdach sukna postaci pana Herberta Samuela, pasiastej jak Beduin, albo pana Alfreda Monda[98], z całym jego naturalnym splendorem uświetnionym tylko przez wspaniałe i powłóczyste szaty Wschodu. Wszakże nawet jeżeli moje fantazje są cokolwiek pomylone, moje intencje są jak najbardziej poważne; i nie chodzi tu w żadnym wypadku o osobistą sytuację jakiegokolwiek Żyda. Chodzi o ogólną sytuację wszystkich Żydów – i o to, abyśmy my sami mogli ponownie nawiązać z nimi zdrowsze stosunki. Chodzi o to, że powinniśmy wiedzieć gdzie

98 Alfred Mond (1868-1930) – brytyjski polityk, przedsiębiorca, arystokrata, liberał, konserwatysta, człowiek wielu talentów, minister spraw zagranicznych w rządzie Lloyd George’a.

jesteśmy; i że w takim układzie oni również wiedzieliby, gdzie są – to znaczy: że są w obcej ziemi.

To ledwie dygresja i przypowieść – niemniej wprowadza nas ona w konkretną i kontrowersyjną materię problemu żydowskiego. Zaledwie parę lat temu przyznanie, że problem żydowski to naprawdę problem, a nawet – że Żyd to naprawdę Żyd, uznawano powszechnie za przejaw krwiożerczych skłonności. Mierząc się z wieloma nieporozumieniami, ja i niektórzy z moich przyjaciół zdecydowaliśmy się uparcie ignorować narzuconą w ten sposób zmowę milczenia; jednak fakty służyły naszej sprawie lepiej, niż słowa. Dzisiaj nikt nie jest bardziej świadom istnienia problemu żydowskiego, niż najinteligentniejsi i najbardziej idealistyczni spośród Żydów. Głupota obyczaju, zgodnie z którym Żydzi bardzo często ukrywali oryginalne brzmienie swoich żydowskich nazwisk, do dzisiaj musiała stać się ewidentna nawet dla tych, którzy się jej oddawali. By podać tutaj choćby jeden przykład sposobu, w jaki rzeczona fikcja fałszowała stosunki wszystkich i wszystkiego, starczy przypomnieć, że zaszkodziła ona samym Żydom, stając się w pierwszych latach wojny przyczyną ich całkiem nowej i całkiem niepotrzebnej niepopularności. Jakikolwiek biedny i skromny krawiec pochodzenia żydowskiego, który używał niemieckiego nazwiska wyłącznie dlatego, że przez krótki czas zdarzyło mu się

mieszkać w Niemczech, gdy tylko znajdował się w pobliżu dzielnicy Whitechapel, niezawodnie stawał się celem agresji werbalnej rozwścieczonego tłumu, niepotrafiącego wybaczyć mu inwazji na Belgię. Momentalnie brano go w krzyżowy ogień pytań, wrzeszcząc dlaczego zniszczył katedrę w Reims; i rozmawiano z nim tak, jakby zamordował siostrę Cavell nożycami z własnego warsztatu. Było to bardzo niesprawiedliwe; równie niesprawiedliwe, jak niesprawiedliwie byłoby pytać pana Bethmanna-Hollwega dlaczego zasztyletował Eglona i porąbał na kawałki Agaga. A jednak – odpowiedzialność za to przynajmniej częściowo spadała na samego Żyda i całość owej jałowej i niegodnej polityki, zgodnie z którą przedstawiał się on jako „Bernstein", podczas gdy jego prawdziwe nazwisko brzmiało „Beniamin".

W podobnych wypadkach zazwyczaj oskarża się Żydów o całe mnóstwo wad, których nie posiadają; niemniej – rzeczywiście mają oni pewne wady. Niektóre z zarzutów, jakie im się stawia, jak choćby w przywoływanych już tutaj kwestiach rytuału religijnego i upodobań artystycznych, wynikają wyłącznie z tego, że widzi się te sprawy w fałszywym świetle. Podejście do innych ich przywar również może brać się z tego, że widzi się je nie w tych miejscach, co trzeba. Przywary te, wszakże, istnieją; i nie było nigdy niczego niebezpieczniejszego dla wszystkich zainteresowanych, niż

niedawna moda na negowanie lub ignorowanie ich istnienia. Opierano się tutaj na prostym, snobistycznym zwyczaju tuszowania doświadczeń i dowodów większości ludzi – szczególnie ludzi ubogich. Opierano się tutaj na zawężaniu sporu wyłącznie do małego świata bogactwa i wysokiej kultury, jakże odległego od wszystkich realnie wchodzących w tę grę faktów. Jako iż bogaci to najwięksi ignoranci pod słońcem, i najlepsze, co można w podobnych wypadkach na ich temat powiedzieć, to tyle, że ignorancja ich bardzo często osiąga poziom słodkiej niewinności.

Weźmy najbardziej typowy przykład, podsumowujący całość tego absurdalnego zwyczaju. Jakiś czas temu, rozgorzał na łamach pewnej poważnej gazety codziennej spór dotyczący postaci Szekspirowskiego Szajloka. Różni wysokiej rangi autorzy i aktorzy, a wśród nich niektórzy z najbardziej błyskotliwych spośród żyjących Żydów, omawiali ten problem z najróżniejszych punktów widzenia. Niektórzy twierdzili, że Szekspir nie darzył Szajloka taką zupełną sympatią ze względu na uprzedzania czasów, w których przyszło mu żyć. Niektórzy zaś – że Szekspir darzył Szajloka taką zupełną sympatią, a nie powiedział tego tak zupełnie jasno wyłącznie ze względu na strach przed różnymi siłami, które w owych czasach odgrywały rolę dominującą. Inni jeszcze zastanawiali się, w jaki sposób i skąd właściwie Szekspir wytrzasnął historię podobnie

dziwną, jak ta o słynnym „funcie ciała”, i jak mogłaby się ona w ogóle łączyć z postacią równie szlachetną i intelektualistyczną, jak Szajlok. Krótko mówiąc, niektórzy z nich zastanawiali się, jak człowiek podobnie kolosalnego geniuszu mógł tak bardzo przypominać antysemitę, skoro w oczywisty sposób musiał być filosemitą. Wszyscy oni jednak tak lub inaczej przyznawali się w końcu do tego, że nie za bardzo rozumieją, o co w ogóle w całej sztuce chodzi. Korespondencja wypełniała kolumnę za kolumną i ciągnęła się tygodniami. Niemniej od samego jej początku aż po sam jej kres, żadnej dobrej duszy nie przyszło do głowy, aby wspomnieć chociaż o takim słowie jak „lichwa”. A to tak, jak gdyby dwudziestu inteligentnych krytyków przez miesiąc dyskutowało na temat *Makbeta,* mając przy tym ścisły zakaz używania słowa „morderstwo”.

Tak się natomiast składa, że sztuka pod tytułem *Kupiec wenecki* mówi właśnie o lichwie, jej fabuła zaś – to średniowieczna satyra na lichwiarstwo. Modnie jest dzisiaj twierdzić, że to opowieść niezdarna i groteskowa; w rzeczywistości jednak – jest ona zawrotnie wprost dobra. I morał z niej taki, że logika lichwy to wojna z życiem; wojna, która może skończyć się próbą odarcia człowieka nawet z owego krwistego domu, w którym to życie mieszka. Innymi słowy, jeżeli wierzyciel ma prawo odebrać drugiemu człowiekowi jego narzędzia pracy lub jego mieszkanie, równie sprawiedliwie może odebrać mu

także ręce lub nogi. I ta logiczna obserwacja znalazła wyraz nie tylko w średniowiecznych satyrach, ale i w bardzo rozsądnych, średniowiecznych prawach, ograniczających możliwości dochodzenia swego, nawet jeśli w grę wchodził „tylko" dorobek całego życia, a nie – jak u Szekspira – życie jako takie. I jeżeli wydaje się komuś, że lichwa nigdy nie może przybrać form dostatecznie podłych, aby zasługiwała na podobnie szalony portret, to taki ktoś albo wie o całej sprawie za mało – albo zdecydowanie za dużo. Albo jest jednym z owych niewinnych bogaczy, którzy nigdy nie stali się ofiarą lichwiarzy, albo – jednym z owych bogaczy potężniejszych i bardziej wpływowych, którzy sami zajmują się lichwiarstwem.

Wszystkie te rzeczy, powiadam, to fakt, z którym trzeba się zmierzyć, sprawa ta ma jednak także jeszcze drugą stronę – i to ją właśnie odkrył geniusz Szekspira. To, co próbował on zrobić, a czego nie próbowali zrobić średniowieczni satyrycy, to zrozumieć Szajloka; w jak najprawdziwszym sensie współodczuwać z Szajlokiem – lichwiarzem, na podobnej zasadzie, na jakiej współodczuwał z Makbetem – mordercą. Nie chodziło o to, aby przeczyć, że człowiek ów był lichwiarzem, ale o to, by wykazać, że lichwiarz był także człowiekiem. I elżbietański dramaturg rzeczywiście przedstawił go jako człowieka, podczas gdy średniowieczni satyrycy przedstawiali go jako potwora. Szekspir nie tylko przedstawia go jako człowieka, ale

i jako człowieka w pełni szczerego i szanującego siebie. O to jednak dokładnie tu chodzi: że to szczery człowiek, który szczerze wierzy w lichwiarstwo. To człowiek, który szanuje samego siebie – i nie brzydzi się sobą za to, że jest lichwiarzem. Jednym słowem, uważa on lichwę za coś normalnego. W tym właśnie słowie zawiera się cały problem odczuć, jakie budzą Żydzi w ogóle populacji. To, co Szekspir zasugerował na temat Żydów w sposób subtelny i spokojny, miliony prostych ludzi z każdej dosłownie części świata wyraziłoby w sposób brutalny i bezpośredni; niemniej w jednym i drugim wypadku chodziłoby o to samo. Odnośnie żydowskiego stosunku do interesów, prości ludzie myślą albo, że Żydzi są kompletnie niemoralni; albo że jeśli są moralni, to mają zupełnie inną moralność, niż my. W kwestii tego, czy jest to prawda, a także – jeżeli rzeczywiście jest to prawda – w kwestii przyczyn i możliwych usprawiedliwień tego stanu rzeczy, powiedzieć trzeba jeszcze wiele więcej, niż się dotychczas powiedziało. Niemniej, powtarza się tutaj, bez cienia wątpliwości, ta sama stara śpiewka: że najgorszym ze wszystkich możliwych lekarstw jest zaprzeczanie realności choroby.

Rozpoznanie rzeczywistości problemu żydowskiego to sprawa niezwykle istotna – istotna szczególnie dla samych Żydów. Udawanie, że problemu nie ma, to prokurowanie wybuchów zupełnie racjonalnej niecierpliwości, która, niestety, może wyrażać się tylko

w nie do końca racjonalnej formie antysemityzmu. W rodzimych sporach Palestyny i Syrii, na przykład, bardzo często można się zetknąć z ripostą, że Żyd nie jest gorszy od Ormianina. O Ormianinie również mówi się, że to niepopularny lichwiarz i kupiecki nuworysz; niemniej – Ormianin funkcjonuje w tamtejszej świadomości także jako męczennik za chrześcijańską wiarę i ofiara muzułmańskiej furii. To jednak jeden z tych argumentów, które zbijają same siebie. Przypomina sytuację sceptyka, mówiącego, że człowiek to tylko zwierzę; zdanie owo samo z siebie prowokuje odpowiedź: „ale za to jakie zwierzę!". Samo podobieństwo podkreśla tu różnicę. Czy można na serio sugerować, że w badaniu problemu podobnie międzynarodowego jak problem żydowski istotnie da się zastąpić Żyda Ormianinem? Czy kiedykolwiek moglibyśmy mówić o ormiańskiej konkurencji dla walijskich sklepikarzy lub tłumie Ormian na paradzie w Brighton? Czy ormiańskie lichwiarstwo mogłoby stać się równie popularnym tematem do rozmowy tak w jakimś obozie w Kalifornii, jak i jednym z klubów na Picadilly w Londynie? Czy w sztuce Szekspira to Ormianin górował tragicznie nad całą Wenecją renesansu? Czy w powieści Dickensa to realistycznie opisany Ormianin przyuczał małe dzieci slumsów do przestępczego fachu? Czy kiedy spotykamy pana Vernona Vavasoura, błyskotliwego finansistę, to zastanawiamy się zaraz, czy przypadkiem nie nosi on tak naprawdę ormiańskiego nazwiska,

pasującego jak ulał do jego ormiańskiego nosa? Czy prawdą jest, krótko mówiąc, to, że najróżniejszych typów ludzie, od chłopów polskich do chłopów portugalskich, mogą mimo wszystkie swoje różnice porozumieć się jako-tako odnośnie znanej im aż za dobrze kwestii ormiańskiej? W oczywisty sposób, nie ma w tym ani krzty prawdy; w oczywisty sposób, kwestia armeńska to ledwie lokalne zmartwienie niektórych chrześcijan, którzy mogą cechować się większą chciwością niż inni chrześcijanie. Niemniej – wszystko to jest prawdą w wypadku Żydów. Fakt, że to ledwie pół-prawda – i to pół-prawda, która, gdyby jej niczym nie uzupełnić, wyrządzałaby Żydom wielką niesprawiedliwość. A jednak – pół-prawda owa to też prawda, i musimy zdać z niej sobie sprawę tak dobrze i tak wyraźnie, jak tylko potrafimy. Prawda zaś jest taka, że zamiłowanie przejawiane przez Żydów do polityki międzynarodowej, to rzecz cokolwiek osobliwa. Jako iż nieufność wobec Żydów to jedno z tych nielicznych zjawisk politycznych, o których rzeczywiście można powiedzieć, że są międzynarodowe.

Czymś znacznie praktyczniejszym byłoby porównanie Żydów z Cyganami; jako iż drugi z tych ludów również żyje przynajmniej w kilku krajach i może zostać zbadany na podstawie kilku różnych świadectw. I w charakterze pewnego wstępu do sprawy, porównanie to jest naprawdę użyteczne. Obydwa plemiona są, każde na swój

sposób, pozbawione własności ziemskiej, a więc także, każde na swój sposób, anarchiczne. W obu wypadkach każdy rozsądny człowiek z łatwością dostrzeże realne powody ich niepopularności, nie uznając ich w żadnym wypadku za wystarczający powód do realnych prześladowań. Bardzo prawdopodobne, że w obu wypadkach dostrzeże jakiś rodzaj plemiennej przywary, przyznając przy tym, że w znaczniej mierze może być ona plemiennym przekleństwem. Czyli, krótko mówiąc, że to ów specyficzny, pozbawiony stałości i przywiązania tryb życia może stanowić przyczynę zarówno żydowskiego lichwiarstwa, jak i cygańskiego złodziejstwa; niemniej, czymś sprzecznym ze zdrowym rozsądkiem jest przeczyć powszechnemu doświadczeniu, że cygańskie złodziejstwo i żydowskie lichwiarstwo naprawdę istnieją. Porównanie niniejsze pozwala nam przejrzeć niektóre z owych mętnych uników, przy pomocy których ludzie współcześni próbowali nieraz umknąć przed tym doświadczeniem. Absurdem jest twierdzić, że niektórzy są uprzedzeni do żydowskich metod finansowych wyłącznie dlatego, że średniowieczny kościół zostawił nam w schedzie nienawiść do żydowskiej religii. Równie dobrze moglibyśmy powiedzieć, że niektórzy ludzie chowają przed cyganami swoje kurczaki wyłącznie dlatego, że średniowieczny kościół twardo potępiał wróżbiarstwo. Żyd nie zachowuje się rozsądnie mając pretensje o to, że to Szajlok, a nie Antonio, odgrywa u Szekspira rolę bezwzględnego lichwiarza;

i że to Fagin, a nie Sikes, jest u Dickensa paserem. To tak, jak gdyby jakiś Cygan miał pretensje o to, że w tej lub owej powieści jakieś dziecko zostaje porwane przez Cyganów, a nie przez księdza animującego parafialne spotkania matek. Sprowadza się to do narzekania na fakty i prawdopodobieństwo. Mogą istnieć dobrzy Cyganie; i wszyscy Cyganie mogą mieć jakieś szczególne dobre cechy; wielu z badaczy tego obcego plemienia, na przykład, wysławiało specyficzną godność i poczucie własnej wartości, które spotyka się u romskich kobiet. Żaden jednak badacz nie wysławiał ich nigdy za wygórowany szacunek do własności prywatnej, całą zaś argumentację dotyczącą cygańskiego złodziejstwa można w pewien ogólny sposób powtórzyć w odniesieniu do żydowskiego lichwiarstwa. Przede wszystkim jednak, pod jeszcze jednym względem porównanie to jest jeszcze bardziej do rzeczy. Chodzi o nadzwyczajnie istotny fakt, że Żydzi nie stają się narodowi tylko dzięki temu, że stają się częścią polityczną jakiegoś narodu. Równie dobrze moglibyśmy powiedzieć, że Cyganie mają kilka willi w Clapham – ponieważ ich karawany stoją w parku Clapham Common.

Ale, rzecz jasna, nawet to porównanie między dwoma wędrownymi ludami zawodzi w obliczu większego problemu. W tym wypadku również zaledwie próba skonstruowania paraleli sprawia, że

podstawowa w całej sprawie rzecz staje się jeszcze bardziej unikalna. Cyganie, podróżując przez wiele różnych miast, nie zaczynają skutkiem tego żyć w mieście – i czymś równie oczywistym wydaje się to, że Żyd niekoniecznie wcale musi stać się Anglikiem z samego faktu, że przejeżdża on przez Anglię w swojej podróży z Niemiec do Ameryki. Niemniej – Cygan nie tylko nie żyje w mieście, ale i nie twierdzi się, że żyje on w mieście. Na ścianach wozów jego karawany nie wymalowuje się zaraz nazwy i numeru lokujących ją przy Laburnam Road 123 w Clapham. Władze miejskie zauważają na ogół, że do nowego, stojącego w granicach ich zwierzchności budynku, przymocowane są koła – dlatego też nie popełniają podobnej pomyłki. Cygan może zatrzymać się w jakimś konkretnym okręgu – z reguły jednak nie zaczyna w związku z tym od ręki reprezentować owego okręgu w radzie miasta. Wypadki, w których wędrowny druciarz został ogłoszony burmistrzem któregoś z ważnych miast przemysłowych, muszą, w porównawczej skali, należeć raczej do rzadkości. I jeśli biednych włóczęgów romskiej krwi rzeczywiście prześladują sędziowie i burmistrzowie, jeśli rzeczywiście właściciele ziemscy pędzą ich precz z własnej ziemi, jeśli rzeczywiście znęcają się nad nimi policjanci i ogólnie: muszą się oni tułać się od jednego miejsca do drugiego, to w *ich* wypadku nikt nie podnosi specjalnie krzyku, że są oni prześladowani na tle religijnym; nikt nie organizuje zebrań w salach konferencyjnych, nie zbiera podpisów, nie śle petycji

do parlamentu; nikt nie grozi nikomu zorganizowanym wybuchem oburzenia Cyganów całego świata. Sytuacja Żyda między narodami jest bardzo różna od sytuacji druciarza między budynkami. Moralne elementy sprawy, do których można by się w obu wypadkach odwoływać, różnią się od siebie co do stylu i skali. Żaden Cygan nie jest milionerem.

Krótko mówiąc, problem żydowski różni się od czegokolwiek podobnego problemowi cygańskiemu pod dwoma wysoce praktycznymi względami. Po pierwsze – Żydzi już teraz dysponują ogromną, kosmopolityczną potęgą finansową. Po drugie zaś, nowoczesne społeczeństwa, w których żyją, zapewniają im również zasadnicze formy narodowej siły politycznej. W tym wypadku, żebrak jest rzeczywiście tak samo bogaty, jak kutwa, i żebraka owego rzeczywiście ogłasza się burmistrzem. Jak się niedługo okaże, istnieje także żydowska wersja tej historii, inna, choć z identycznym zakończeniem; wszakże prawda, o której się tutaj mówi, w żaden sposób nie zależy od życzliwego bądź nieżyczliwego nastawienia do ludu, którego dotyczy. To kwestia faktu, który uznać musi każdy rozsądny Żyd – i który najrozsądniejsi spośród Żydów ponad wszelką wątpliwość uznają. Udawanie, że Żydzi to tylko jakaś osobliwa angielska sekta religijna, na kształt Braci Plymuckich, czy Adwentystów Dnia Siódmego, wobec czegoś tak prostego

i niekwestionowanego, jak rodzina Rotszyldów, w każdym wypadku stanowi zajęcie zwyczajnie irracjonalne. Nikt nie mógłby udawać, że podobna angielska sekta byłaby w stanie umieścić pięciu swoich braci, a nawet pięciu kuzynów, w pięciu wielkich stolicach Europy. Nikt nie mógłby udawać, że Adwentyści Dnia Siódmego to siedmiu wnuków jednego dziadka, systematycznie rozmieszczanych wśród walczących ze sobą narodów świata. Nikt nie sądzi, że Bracia Plymuccy to w dosłownym sensie bracia, lub że prawdopodobnie dysponują oni taką samą siłą oddziaływania w Paryżu czy Piotrogrodzie, jak w Plymouth.

Ostatecznie, problem żydowski sformułować można bardzo prosto. Dla narodu normalne jest to, że zawiera w sobie rodziny. W wypadku Żydów, rodzina na ogół rozproszona jest między różne narody. Tym, którzy nie wierzą w istnienie narodów, tym, którzy naprawdę uważają, że narody nie powinny istnieć, fakt ów może się wydać kwestią raczej małej wagi. Lecz najzwyczajniej w świecie nie potrafię zrozumieć, jak komuś, kto faktycznie wierzy w patriotyzm, podobny stan rzeczy może wydawać się niegroźny. Z narodowego punktu widzenia, sytuacja, w której pewien niezaprzeczalnie potężny człowiek należący do jednego narodu związany jest z innym równie potężnym człowiekiem należącym do drugiego narodu więzami bardziej nawet prywatnymi i osobistymi, niż narodowość, jako taka

jest czymś zupełnie niedopuszczalnym. Nawet jeżeli w działaniu owych ludzi nie ma ani krztyny fałszu, samo ich położenie życiowe to już w pewnym sensie zdrada. W wypadku namiętnie patriotycznych narodów Europy, zwłaszcza Europy Zachodniej, taki układ jest po prostu nie do zaakceptowania. Dla patrioty żydowskiego powinien być on wszakże nie tyle nie do zaakceptowania, co nie do pomyślenia; pod pojęciem „patrioty żydowskiego" rozumiem zaś nie niby-Anglika ani niby-Francuza, ale kogoś, kto szczerze kocha i wspiera historyczny i wysoce cywilizowany naród żydowski.

Bo to, co można by tutaj skrytykować jako antysemityzm, to ledwie negatywna strona syjonizmu. Dla zwykłej wygody zacząłem od sformułowania tego poglądu zgodnie z uniwersalnymi odczuciami ludu, nazywanych przez niektórych ludowymi przesądami. Lecz podobnie prawdziwe rozróżnienie zachowuje swoją prawdziwość po obu stronach medalu. Załóżmy, że ktoś proponowałby wymieszać ze sobą Anglię i Amerykę, i zrobić z nich coś tak absurdalnego, jak choćby Imperium Anglosaskie. Ktoś mógłby na to powiedzieć: „Dlaczego mielibyśmy pozwolić, aby wesołe angielskie puby i wsie zostały zalane przez tych kołtuńskich, jankeskich prowincjuszy?" Ktoś inny zaś: „Dlaczego mielibyśmy pozwolić, aby prawdziwa demokracja naszego młodego kraju związała się z waszą starą, snobistyczną oligarchią?" Obydwa te poglądy to jednak ledwie różne

wersje tego samego poglądu, wyrażonego kiedyś przez pewnego wielkiego Amerykanina: „Żaden stworzony przez Boga lud nie jest na tyle dobry, aby mógł rządzić innymi”.

Podstawową cechą syjonizmu jest to, że – niezależnie od słuszności lub niesłuszności samego poglądu – proponuje on rzeczywistą odpowiedź zarówno na antysemityzm, jak i na oskarżenie o antysemityzm. Zwyczajowe formułki na temat prześladowań religijnych lub nienawiści rasowej nie stanowią odpowiedzi racjonalnych – albo żadnych w ogóle odpowiedzi. Ci Żydzi nie negują faktu, że są Żydami; nie negują faktu, że Żydzi mogą być niepopularni; nie negują faktu, że ich niepopularność może mieć inne powody, niż same tylko przesądy. Nie są oni zobowiązani utrzymywać, że kiedy jakiś dandys z Picadilly rozprawia o Żydach trzymających władzę, motywuje go do tego królujący na Picadilly fanatyzm teologiczny; albo że gdy jeden z młodych głuptasów podczas wyścigów konnych Derby Day mówi, że oszukał go jakiś parszywy Żyd, czyni to wyłącznie ze względu na przemożny wpływ chrześcijańskiej ortodoksji, będącej jedną z najbardziej rygorystycznych tradycji klubów jeździeckich. W przeciwieństwie do niektórych innych Żydów, nie muszą oni kadzić religii chrześcijańskiej w tak bardzo ekstrawagancki sposób i zakładać, że stanowi ona główną motywację połowy gniewnych konwersacji między bywalcami pubów, niemal każdego biznesmena,

który odnosi się nieufnie do zagranicznego finansisty, albo każdego niemal człowieka pracującego, który narzeka na właściciela lokalnego lombardu. Mania religijna, niestety, nie zdarza się tak często. Syjoniści nie muszą zaprzeczać żadnej z tych rzeczy; to, co oferują, to nie przeczenie, ale diagnoza i antidotum. Czy ich diagnoza jest trafna, czy ich antidotum – możliwe do zastosowania, zastanowimy się nieco później, przy okazji próby uczciwego podsumowania argumentów obu stron. Niemniej sama ich teoria, przynajmniej na oko, jest zupełnie racjonalna. Teoria ta głosi, że wszelkie nienormalne cechy Żydów wynikają z faktu, że znajdują się oni w nienormalnym położeniu. Parają się handlem raczej, niż produkcją, ponieważ nie posiadają na własność żadnej ziemi, na której mogliby cokolwiek produkować, i wyznają kosmopolityzm raczej, niż patriotyzm, ponieważ nie mają żadnego własnego kraju, w stosunku do którego mogliby być patriotyczni. Będąc włóczęgami, nie mogą zamienić się w rolników – podobnie jak nie mogli zbudować Świątyni Salomona wtedy, kiedy wznosili piramidy Egiptu. Błąkając się po pustyni koczownictwa, nie mogą poczuć ożywczego strumienia nacjonalizmu – podobnie jak nie mogli kąpać się w wodach rzeki Jordan wtedy, kiedy płakali nad rzekami Babilonu. Jako iż wygnanie to najgorszy rodzaj niewoli. Podkreślając ten fakt, syjoniści podkreślali przynajmniej pewną bardzo wzniosłą prawdę, znajdującą zastosowanie przy wielu innych zagadnieniach

moralnych. Prawdą jest, że dla kogoś, kogo serce przylgnęło do jakiegoś konkretnego domostwa lub kapliczki, odcięcie jest jednocześnie zamknięciem. Najciaśniejszym możliwym więzieniem jest dla takiej osoby – cały świat.

Dobrze będzie jednak zaznaczyć tutaj w skrócie, w jaki sposób zasada ta odnosi się do dwóch omówionych już antysemickich argumentów. Pierwszy z nich dotyczy lichwy i nieproduktywnych pożyczek, drugi – oskarżenia bądź to o zdradę, bądź to o apatriotyczną obojętność. Oskarżenie o lichwiarstwo uważa się zazwyczaj, nie bez rozsądku, jedynie za bardziej szczegółowy wypadek ogólniejszego oskarżenia o odtwórczy handel i niechęć do twórczego wysiłku fizycznego; nieproduktywna pożyczka to ledwie pomniejsza forma nieproduktywnej pracy. Z pewnością prawdą jest, że drugi zarzut spotyka się, jeżeli to w ogóle możliwe, częściej, niż pierwszy, szczególnie w wypadku stosunkowo prostych wspólnot, takich jak te, które istnieją w Palestynie. Pewien bardzo szczery Arab powiedział mi kiedyś, z niezwykłą mieszaniną prostoty i poczucia humoru, że „Żyd nie pracuje; a jednak się bogaci. Nigdzie nie da się uświadczyć pracującego Żyda; a jednak – ich majątek rośnie. Chciałbym wiedzieć jedno: dlaczego wszyscy tego nie robimy? Dlaczego my również nie mielibyśmy bogacić się w taki sposób?" To, nie muszę chyba tłumaczyć, zbyt daleko idące uproszczenie. Żydzi często pracują

bardzo ciężko przy pewnych rzeczach – szczególnie przy tych, które dotyczą intelektu. Niemniej, to samo doświadczenie, które podpowiada nam, że znamy wielu pracowitych żydowskich uczonych, prawników, lekarzy, pianistów, szachistów i tak dalej, stanowi w tym wypadku broń obosieczną. To samo doświadczenie, jeśli się je starannie przebada, z dużym prawdopodobieństwem powie, że nie zdarzyło nam się osobiście poznać zbyt wielu cierpliwych żydowskich oraczy, zbyt wielu niestrudzonych żydowskich kowali, zbyt wielu energicznych żydowskich ogrodników i kopaczy rowów, a nawet – zbyt wielu dynamicznych żydowskich myśliwych bądź rybaków. Krótko mówiąc, ludowe odczucie jest w tym wypadku wystarczająco zgodne z życiem, jak to często z ludowymi odczuciami bywa; choć niepopularnie jest mówić podobne rzeczy w dzisiejszych czasach demokracji i auto-determinacji. Żydzi generalnie rzeczywiście nie pracują na roli, ani nie trudnią się żadnym z licznych, przypominających rolnictwo, rzemiosł; Żydzi nie orzą; ale, odpowiadają syjoniści, bierze się to z faktu, że Żydzi nie mają nigdzie naprawdę własnej ziemi, którą mogliby orać. Takie właśnie podejście – to syjonizm; i takie właśnie podejście ma przynajmniej jakieś istotnie praktyczne miejsce zarówno w przeszłości, jak i przyszłości Syjonu.

Patriotyzm nie polega wyłącznie na umieraniu za własny naród. Polega on na umieraniu wespół z własnym narodem. Chodzi w nim o postrzeganie ojczyzny nie tylko jako prawdziwego miejsca odpoczynku, takiego jak karczma, ale także – jako miejsca ostatniego odpoczynku, takiego jak dom rodzinny, a nawet wprost grób. Nawet najwięksi spośród żydowskich dżingo nie czują czegoś podobnego w stosunku do swojego przybranego kraju; i wątpię, by najinteligentniejsi spośród Żydów w ogóle próbowali udawać, że tak jest. Nawet jeżeli potrafilibyśmy uwierzyć, że Disraeli żył dla Anglii, zwyczajnie nie możemy sobie wyobrazić, by mógł on wespół z nią umrzeć. Gdyby Anglia zatonęła w Atlantyku, nie poszedłby on na dno wraz z nią, ale z lekkością podryfował w kierunku amerykańskiej prezydentury. Nawet jeżeli jesteśmy najzupełniej przekonani, że pan Beit lub pan Eckstein miał w swych oczach patriotyczne łzy, kiedy otrzymywał od królowej Wiktorii koncesję na wydobycie złota, nie możemy sądzić, że pod jej nieobecność odmówiłby przyjęcia podobnej koncesji z rąk niemieckiego cesarza. Kiedy jakiś Żyd z Francji czy Anglii mówi, że jest dobrym patriotą, ma na myśli tylko tyle, że jest dobrym obywatelem – i byłby bliżej prawdy, gdyby powiedział, że jest dobrym wygnańcem. Czasami, istotnie, jest on okrutnie złym obywatelem oraz wygnańcem przykrym i potępienia godnym, nie zajmuję się jednak w tej chwili tą stroną zagadnienia. Przypuszczam, że człowiek taki, jak Disraeli, rzeczywiście zrobił ze

swoich relacji z Anglią coś w rodzaju romansu, na podobnej zasadzie, na jakiej człowiek taki jak Dernburg zrobił coś w rodzaju romansu ze swoich relacji z Niemcami – lecz chociaż rzeczywiście był to romans, nigdy nie pozwoliliby oni, żeby zamienił się w tragedię. Dołożyliby wszelkich starań, aby opowieść ta miała szczęśliwe zakończenie – szczególnie w wypadku ich samych. Żydzi owi nie umarliby wespół z żadnym spośród chrześcijańskich narodów.

A jednak – Żydzi umierali wespół z Jeruzalem. Taka jest właśnie pierwsza i ostatnia z wielkich prawd syjonizmu. Jeruzalem zostało zniszczone – i Żydzi zostali zniszczeni wraz z nim, ludzie, którzy nie chcieli już dłużej żyć, skoro upadła stolica ich wiary. Można powątpiewać, czy wszyscy syjoniści mają uczestnictwo we wzniosłym szaleństwie zelotów. A jednak, hipoteza, że syjoniści naprawdę mogą czuć coś podobnego w stosunku do Syjonu, nie jest wcale nonsensem. Nonsensem byłoby sugerować, że kiedykolwiek mogliby oni czuć coś podobnego w stosunku do Dublinu czy Moskwy. I w ten sposób przynajmniej, syjonizm zawiera w sobie wszystko, co jest prawdziwe zarówno w filosemityzmie, jak i antysemityzmie.

Truizmem jest powiedzieć, że ludzie niesławni są sławniejsi niż sławni. Jak zauważył Byron, w stylu charakterystycznego dlań, mizantropicznego morału, wyższe mniemanie mamy o Neronie-

potworze, który zabił własną matkę, niż o innym Neronie, szlachetnym Rzymianinie, który zwyciężył Hannibala. Imię „Julian" częściej przywodzi na myśl Juliana Apostatę, niż Juliana Szpitalnika; i to mimo iż kanonizacja drugiego z tych panów uwieńczona została ogłoszeniem go patronem karczmarzy. Najbardziej wszakże jaskrawy przykład tego niesprawiedliwego nawyku historycznego, to sprawa naraz najsławniejsza i najbardziej niesławna w całych dziejach. Jeżeli istnieje jedno imię własne, które weszło do powszechnego użycia, z całą pewnością jest nim imię „Judasz". Gdybyśmy chcieli je nazwać imieniem „chrzestnym", być może powinniśmy się nieco zawahać, chyba że chodziłoby o bardziej powściągliwą formę „Juda". Lecz i ta nawet, jako imię wierniejszego spośród apostołów, unaocznia tylko tę samą niesprawiedliwość; ponieważ, w porównaniu z drugą omawianą tu postacią, Juda wierny mógłby nazywać się wprost: Judą nieznanym. Krytyk, który powiedział, ironicznie czy niewinnie, „Jacyż z tych pierwszych chrześcijan byli okropni ludzie!", z niewinnością poradził sobie z całą pewnością lepiej, niż z ironią; jako iż wydaje się, że był on zupełnie niewinny bądź nieuświadomiony co do prawdziwego znaczenia chrześcijańskiej koncepcji komunii. Judasz Iskariota był jednym z najpierwszych spośród pierwszych chrześcijan. I sedno jego sprawy stanowiło dokładnie to, że zanurzał on rękę w tej samej misie, co jego Mistrz; zdrajca zawsze musi być najpierw przyjacielem –

inaczej nie mógłby stać się potem wrogiem. W tym momencie chodzi jednak o to, że imię tego człowieka wszędzie znane jest wyłącznie jako imię zdrajcy. Imię „Judasz” prawie zawsze znaczy Judasza Iskariotę; prawie nigdy zaś – Judasza Machabeusza. A jeśli w tumulcie politycznych demonstracji zdarzyłoby się nam krzyknąć je spontanicznie pod adresem któregoś z naszych polityków, w każdym wypadku moglibyśmy mieć pewien problem z uspokojeniem rzeczonego jegomościa i wytłumaczeniem mu, że dostrzegliśmy w nim po prostu coś z owego chwalebnego zapału i męstwa, które w dzień wielkiego wyzwolenia Izraelitów strąciło z tronu tyranię króla Antiocha.

Owe dwie możliwości użycia imienia „Judasz” dostarczają nam innego jeszcze, konkretnego skrótu syjonistycznej sprawy. Niezliczona liczba Żydów międzynarodowych otrzymała złe imię Judasza – i niektórzy z nich: z całą pewnością zasłużenie. Jeśli otrzymało się, zasłużenie czy nie, dobre imię Judasza, zupełnie inteligentnie i uczciwie można założyć, że stało się to nie z winy Żydów, a z powodu ich szczególnego położenia. Można zdradzić obcego człowieka jak Judasz Iskariota, w jego własnym domu; nie można jednak walczyć o świątynię obcego człowieka tak, jak Juda Machabeusz. Pośród wszystkich historii ludzkości, nie ma równie rewolucyjnej i prawdziwie porywającej, nie ma równie doskonałej

figury rycerskiego elementu każdej rebelii, jak owa wspaniała opowieść o Machabeuszu, który wbił nóż w brzuch słonia króla Antiocha i zginął, zmiażdżony przez tę ogromną i żywą warownię. Niemniej, czymś raczej nierozsądnym byłoby prosić pana Montagu[99], aby dźgnął nożem słonia, na którym, powiedzmy, jechałby Lord Curzon[100], z całym przepychem azjatyckiego imperializmu. Ponieważ pan Montagu nie walczyłby w ten sposób o wolność własnej ojczyzny; w związku z czym zgodnie z naturalną koleją rzeczy preferuje on angażować się albo w spekulacje srebrem albo w inne, skądinąd mniej dynamiczne i mniej skuteczne metody walki o wolność. Krótko mówiąc, cokolwiek byśmy myśleli na temat wybitnych finansistów i działaczy społecznych, jacy ujawnili się w Anglii w czasie afery Marconi oraz we Francji w czasie afery panamskiej[101], przyznać trzeba, że realizują się oni politycznie w formach pospolitszych i bardziej pokornych, niż cnotliwi lecz szaleni Machabeusze i zeloci. Dobrym obywatelem można być

---

99 Edwin Samuel Montagu (1879-1924) – angielski polityk liberalny żydowskiego pochodzenia, minister ds. Indii w latach 1917-22.

100 Jerzy Curzon (1859-1925) – brytyjski polityk, minister spraw zagranicznych, członek Partii Konserwatywnej.

101 Skandal korupcyjny z 1892, polegający na tym, że politycy III Republiki wzięli miliony franków łapówki za to, że nie ujawnili kłopotów finansowych korporacji budującej Kanał Panamski. Gdy zbankrutowała, 800 000 Francuzów straciło swoje udziały, których wartość szacuje się na 1,8 miliarda franków.

dosłownie wszędzie – nie da się jednak być bohaterem narodowym nigdzie; i dla tej konkretnej odmiany pasji patriotycznej konieczne jest posiadanie czegoś takiego, jak *patria.* Wobec powyższego, syjoniści zachowują się zupełnie racjonalnie – zarówno w kwestii oskarżeń o lichwę, jak i o zdradę – gdy twierdzą, że Żydzi mogą uzdrowić obydwie te sprawy, wracając do obiecywanej im przez syjonizm, narodowej siedziby.

Niestety, nie zawsze zachowują oni zdrowy rozsądek odnośnie swoich rozsądnych propozycji. Niektórzy z nich nabrali nader nieszczęśliwego nawyku ignorowania, a zatem: w domyśle negowania, tego samego zła, któremu mądrze usiłują zaradzić. O tej nieogarniętej niewinności wspomniałem już przy okazji pierwszego z omawianych tu zagadnień; tego rodzaju krytycyzmu, który dostrzega w Szajloku wszystko, poza ostrymi konturami problemu, którego jest figurą, a nawet – poza ostrzem jego noża. Poza tym, że pierwsza kwestia stanowi obecnie dla polityki palestyńskiej kwestię *par excellence.* Palestyna nie ma jeszcze patriotyzmu, który można by zdradzić; z całą pewnością ma jednak warstwę chłopską, którą można uciskać, szczególnie zaś – uciskać tak, jak uciskano już przy użyciu lichwy i spekulacji tak wielkie mnóstwo chłopów. Syryjczyków i Arabów, podobnie jak wszystkie rolnicze i pasterskie społeczności Palestyny, niepokoi, słusznie bądź nie, stopniowy

wzrost żydowskiej potęgi w ich kraju; z nadzwyczaj praktycznego i prostego powodu, że Żydzi mają na całym świecie taką reputację, jaką mają. Absurdem jest w wypadku ludzi tak inteligentnych, jak Żydzi, szczególnie zaś – tak inteligentnych, jak syjoniści – ignorować fakt podobnie ogromny i oczywisty, jak owa reputacja oraz jej naturalne skutki. Może jest ona w tym wypadku sprawiedliwa, może nie; lecz nie jest ona w żadnym razie czymś nienaturalnym. Może być ona skutkiem prześladowań – na pewno jednak jest to skutek zdecydowanie skuteczny. Może wynikać z nieporozumienia – niemniej, stanowi nieporozumienie, które jako takie należy zrozumieć. Słusznie bądź nie, niektórzy z mieszkających w Palestynie ludzi boją się Żydów jak szarańczy; uważają ich za pasożytów, żerujących na różnych społecznościach przy pomocy tysięcy metod finansowych kombinacji i ekonomicznego wyzysku. Mógłbym zrozumieć, gdyby Żydzi podobne oskarżenia odrzucali z oburzeniem, niestrudzenie dowodzili ich fałszu, albo – co byłoby najlepszą opcją – wyjaśniali to, co jest w nich z prawdy, jednocześnie wskazując elementy nieprawdziwe. To, co mnie dziwi, a mógłbym wręcz powiedzieć: wprawia w osłupienie, w nastawieniu niektórych całkiem szczerych i bystrych syjonistów, to fakt, że mówią, piszą i, wszystko na to wskazuje, rozumują oni w taki sposób, jak gdyby niniejszy stan rzeczy najzwyczajniej w świecie nie istniał.

Podam tu jeden, ciekawy przykład jednego z najlepszych i najinteligentniejszych spośród syjonistów. Dr Weizmann to człowiek szerokich horyzontów i ludzkiego stosunku do innych; i trudno doprawdy uwierzyć, że ktoś obdarzony podobnie subtelnym poczuciem humanitaryzmu, może być do tego stopnia wyzuty ze wszystkiego, co przypomina w jakiś sposób poczucie humoru. A jednak, w samym środku bardzo umiarkowanego i wielkodusznego przemówienia na temat „polityki syjonistycznej", naprawdę potrafi on powiedzieć rzeczy w stylu: „Arab nas potrzebuje – potrzebuje naszej wiedzy, naszego doświadczenia, naszych pieniędzy. Jeżeli nas nie przyjmą, wpadną w ręce innych ludów – wpadną w paszcze rekinów". Przez moment kusi człowieka, by zwątpić, czy ktokolwiek na świecie mógłby powiedzieć coś podobnego – poza Żydem, z jego osobliwą mieszanką subtelności i ślepoty, uwzniośleń i uproszczeń. To w znacznej mierze tak, jak gdyby prezydent Wilson powiedział: „Jeżeli Ameryka nie zacznie robić interesów z Meksykiem, zajmie się tym inna ze współczesnych sił ekonomicznych, mająca po swojej stronie monopolistów i wyspecjalizowanych w robieniu szwindli milionerów". Pytanie tylko, czy prezydent Wilson powiedziałby coś takiego? To tak, jak gdyby kanclerz niemiecki powiedział: „Musimy pośpieszyć na ratunek naszym biednym belgijskim sąsiadom, bo inaczej podbije ich państwo oparte na surowym militaryzmie i bezwzględnej biurokracji". Ale czy nawet kanclerz niemiecki

sformułowałby to dokładnie w taki sposób? Czy ktokolwiek ubrałby podobną myśl w takie same słowa i takie same struktury składniowe, co dr Weizmann? Czy nawet Turcy byliby w ogóle w stanie powiedzieć: „Ormianie nas potrzebują – potrzebują naszego porządku, naszej dyscypliny, naszego wojska. Jeśli nas nie przyjmą, wpadną w ręce innych ludów – być może nawet zacznie im grozić masakra”? Sądzę, że każdy Turek zrozumiałby, na czym dowcip polega, nawet jeżeli dowcip ów byłby tak ponury, jak same masakry. Jeżeli syjoniści naprawdę pragną ukoić obawy Arabów, ponad wszelką wątpliwość pierwszą rzeczą, jaką powinni zrobić, to zorientować się, czego właściwie Arabowie ci się obawiają. I nawet bardzo powierzchowne śledztwo niezawodnie ujawni, że obawiają się oni – głównie rekinów; i że w ich księdze heraldycznej bądź symbolicznej zoologii, to Żyd właśnie przyozdobiony został płetwą grzbietową i półksiężycem okrutnych zębów. To wszystko może być ledwie bajką o jakimś fantastycznym zwierzęciu; niemniej, w bajkę ową wierzą wszystkie plemiona świata – na pewno zaś plemiona tej konkretnej części świata.

Sytuacja przedstawia się wszakże jeszcze ciekawiej. Proste plemiona palestyńskie obawiają się nie tylko płetwy grzbietowej i atrybutów dentalnych, co do których dr Weizmann mógłby, z pewną dozą sprawiedliwości, powiedzieć, że ich nie posiada; obawiają się one

także kilku innych rzeczy, do posiadania których dr Weizmann otwarcie się już przyznaje. Mogą się one mylić, biorąc, na pierwszy, powierzchowny rzut oka, szanowanego profesora za rekina. Nie mogą jednak pozostawać w błędzie, jeżeli przypisują mu te cechy, które on sam podaje jako swój tytuł do szacunku. I mimo iż symbol rekina może być rzeczą nadto metaforyczną, a wręcz mitologiczną, nie ma najmniejszego problemu z opisaniem w prostych słowach, dlaczego właściwie Arabowie boją się Żydów. Otóż boją się oni, by ująć rzecz jak najbardziej precyzyjnie, ich wiedzy, ich doświadczenia oraz ich pieniędzy. Arabowie boją się dokładnie tych trzech rzeczy, których, według doktora Weizmanna, potrzebują. Różnica polega na tym, że Arabowie nazwaliby to wiedzą na temat finansowego krętactwa, doświadczeniem z intrygami politycznymi, i potęgą, którą zapewnia Żydom fura pieniędzy należąca nie tylko do nich, ale i do innych ludów świata. W wypadku dra Weizmanna i innych, prawdziwych syjonistów, podobne oskarżenie jest w oczywisty sposób niesprawiedliwe; niemniej – w wypadku wpływów żydowskich bardziej widocznego i wulgarnego typu, jego niesprawiedliwości trzeba dopiero dowieść. Czując tak mocno, jak czuję, moc prawdziwego znaczenia ruchu syjonistycznego, ośmielam się z najwyższym zapałem zaklinać Żydów, aby owego oskarżenia nie zbyli, ale rzeczywiście dowiedli, że jest niesprawiedliwe. Przede wszystkim jednak, zaklinam ich, aby nie zadowalali się

opowiadaniem nam wciąż od początku o swojej wiedzy, swoim doświadczeniu i swoich pieniądzach. Tego właśnie ludzie boją się jak zrazy albo trzęsienia ziemi; ich wiedzy, ich doświadczenia oraz ich pieniędzy. Nie ma potrzeby, aby dr Weizmann zapewniał nas, że nie chce wkroczyć do Palestyny jak Junkier, albo wywłaszczyć siłą tysiące Arabów; dr Weizmann nikomu nie przypomina Junkra; i żaden z wrogów narodu żydowskiego nie twierdzi, że pognębił on swoich przeciwników w podobny sposób od czasu wojny z Kananejczykami. Ale to, że Żydzi próbują nas uspokoić odwołaniami do własnej kultury ekonomicznej i wykształcenia handlowego przypomina sytuację, w której Junkrzy próbowaliby nas uspokoić odwołaniami do niezrównanej potęgi Kaisera i niezrównanej dyscypliny jego żołnierzy. Kiedy podobne cnoty biegają sobie po świeżym powietrzu, ludzie barykadują się w domach – lub też chowają na strychach.

Krótko mówiąc, palestyński strach przed Żydami, rozumny czy nie, to zjawisko, na które trzeba rozumnie odpowiedzieć. W wypadku rzeczy niepopularnej zajęciem jałowym jest odpowiadać przechwałkami, szczególnie jeśli dotyczą one tej właśnie cechy, która stanowi przyczynę niepopularności. Sądzę jednak, że naprawdę można znaleźć tu jakąś rozumną odpowiedź, a przynajmniej – rozumną próbę; i wielokrotne próby roztropnego namysłu. Zasada jest ta sama,

jak wyżej; to znaczy: że wszelkie podejmowane tu działania muszą zajmować się nie tylko cnotami narodu żydowskiego, ale i tymi konkretnymi cnotami, co do których naród żydowski oskarża się raczej o to, że ich nie posiada. Koniecznie trzeba zrozumieć to głębiej, niż się na ogół rozumie – i zdecydowanie lepiej, niż na ogół wyraża to język modnych kontrowersji. Chodzi tu bowiem o sukces albo fiasko całego ruchu syjonistycznego. Wielu syjonistów to wie; wątpię jednak, czy wielu anty-syjonistów wie, że oni to wiedzą. I niektóre wypowiedzi syjonistów, podobne tej, którą tu zacytowałem, zbyt często sprawiają wrażenie, jakby ignorowali oni to, w stosunku do czego wcale nie wykazują się ignorancją. To nie kwestia teoretycznej ignorancji; ani praktycznego ignorowania; nawet jeśli intelektualne nawyki syjonistów stwarzają pozory ignorowania teoretycznego. Nikt, kto widział jakąkolwiek żydowską osadę rolniczą, taką, jak choćby Riszon, nie może wątpić, że faktycznie istnieją jeszcze Żydzi, którym szczerze przyświeca wizja siedzenia pod własnym krzewem winnym i drzewkiem figowym, a nawet świadomi tego, że aby wizja ta mogła się ziścić, na początku należy owo drzewko figowe i krzew winny – zasadzić.

Prawdziwa próba, przy pomocy której ocenić można prawdziwą wartość syjonizmu, może wydawać się stawianiem sprawy na głowie. Otóż, syjonizm nie zwycięży ostatecznie dzięki serii zwycięstw, ale

właśnie – porażek, a może raczej: tego, co świat (i na pewno również świat żydowski) określa mianem porażek. Wszystko zależeć będzie nie od tego, czy Żydzi zdołają wspiąć się na szczyt drabiny, ale od tego, czy będą w stanie pozostać na dole; nie od tego, czy będą umieli stać się wielcy, ale od tego, czy będą umieli stać się mali. Często zauważa się, że inteligentni Izraelici zdobywają nieraz niemałą władzę i zaufanie społeczne poza Izraelem, jak Witte[102] w Rosji czy Rufus Isaacs[103] w Anglii. Na ogół, jak sądzę, nie służy to ich przybranej ojczyźnie; na pewno jednak w żadnym wypadku nie służy to konkretnej sprawie ich rzeczywistej ojczyzny. Społeczeństwo Palestyny nie może składać się wyłącznie z premierów i sędziów Sądu Najwyższego; jeśli zaś Żydzi nie będą należeć we własnym kraju do warstwy rządzonej, nie wyjdzie z tego żadna republika, tylko zwykła oligarchia. I znów, częstokroć mówi się, że Żydzi starożytni zrobili ze swoich przeciwników drwali i nosiwodów. Otóż, Żydzi współcześni sami muszą stać się drwalami i nosiwodami. Jeżeli nie będą potrafili tego zrobić, nie będą także potrafili stać się obywatelami, ale wyłącznie klasą obcych biurokratów,

---

102 Sergiusz Witte (1849-1915) – rosyjski arystokrata, polityk, minister finansów w latach 1892-1903 i permier w latach 1905-06.

103 Rufus Daniel Isaacs (1860-1935) – angielski arystokrata, polityk, wicekról Indii w latach 1921-25 oraz ostatni minister spraw zagranicznych z ramienia Partii Liberalnej.

najgroźniejszych i najbardziej zagrożonych członków społeczeństwa. W związku z tym, projekt państwa żydowskiego nie skończy się sukcesem, jeżeli Żydzi będą odnosić w nim sukcesy, a nawet – jeżeli będą oni w nim piastować stanowiska państwowe. Sukces nastąpi wtedy, gdy Żydzi będą w swoim państwie śmieciarzami, gdy będą w nim zamiatać ulice, gdy będą pracować w portach, kopać rowy, gdy będą tragarzami i murarzami. Dopiero, kiedy syjoniści będą w stanie wskazać jakiegoś żydowskiego robotnika, który się *nie* wybił, żydowskiego ogrodnika, który nie odpoczywa sobie teraz na jakimś stanowisku kierowniczym, chłopa, który pozostał chłopem, a nawet: wiejskiego idiotę idiotycznego przynajmniej na tyle, aby nie opuścił nigdy swojej wsi – wtedy istotnie cały świat zadmie w trąby i podniosą się odwieczne podwoje; bo oto odwróci Pan niewolę Izraela.

Pewni syjoniści, co do szczerych intencji których jestem osobiście zupełnie przekonany, o inteligencji których zaś – każdy mógłby się osobiście przekonać, powiedzieli mi, że w miejscach takich, jak Riszon, naprawdę da się znaleźć jak gdyby zręby tego ducha; zręby miłości chłopa do własnej ziemi. Pewna dama nawet, wyrażając swojego najgłębsze przekonanie co do tego faktu, nazwała to wręcz „cechą wybitnie nieżydowską". Zdawała sobie ona doskonale sprawę zarówno z tego, jak bardzo potrzebuje owej miłości żydowska ziemia

i jak mało ma jej żydowski naród. Krótko mówiąc, miała ona pełną świadomość prawdziwości owej pozornie stawiającej wszystko na głowie próby, o której już wspomniałem; tego, czy ludzie są godni robić za popychadła. Kiedy pogodny i ludzki Żyd zgadza się na tę próbę – i szczerze oczekuje od swoich pobratymców, że ją przejdą, wówczas widzę, że ma poważne intencje i nie wolno go lekko zbywać. Uważam, że, biorąc pod uwagę okoliczności, zbywać lekko coś takiego to wielka odpowiedzialność. Wszystkie nasze zastrzeżenia do Żyda sprowadzają się do tego, że nie obraca on ziemi szpadlem; wielką w stosunku do niego niesprawiedliwością jest odmawiać mu w momencie, w którym prosi: „dajcie mi ziemię, a będę ją orał; dajcie mi szpadel, a będę go używał". Jedyny powód, dla którego mu nie ufamy, to fakt, że nigdy nie będzie on w stanie naprawdę pokochać krajów swojej wędrówki; nie sądzę, aby dało się obronić udawanie głuchego w chwili, w której woła: „dajcie mi ziemię, a ją pokocham". Oczywiście, nader chętnie dałbym mu ziemię, albo pewną działkę ziemi (w jakim sensie, wytłumaczę za moment) – o ile będzie się z nią obchodził tak, jak zasugerowałem wcześniej. Jeżeli prosi o szpadel – musi go używać, a nie tylko zatrudniać, w sensie: zatrudniać pół setki pracujących szpadlami ludzi. Jeżeli prosi o ziemię – musi ją orać; to znaczy: naprawdę do niej przynależeć, a nie tylko sprawić, aby ona należała do niego. Musi wypracować w sobie prostotę, wielu powiedziałoby wręcz: prostactwo, wieśniaka. Nie tylko musi używać

szpadla, ale uważać go rzeczywiście za szpadel, a nie tylko za spekulację. Mocą jakiegoś prawdziwego nawrócenia, człowiek współczesny i człowiek miejski musi nie tylko żyć na określonej ziemi, ale wywodzić się z określonej ziemi, a także – uwolnić się od miejskiego nawyku nazywania „brudem" prochu, z którego powstaliśmy i w który się obrócimy. Trzeba mu obmyć się w błocie, aby stał się czysty.

Na ile coś podobnego może się naprawdę wydarzyć, trudno jest w warunkach obecnego kryzysu komukolwiek, a w szczególności zwykłemu gościowi na tej ziemi, ustalić. Wszyscy przyznają, że Żydzi zatrudniają wielu pracowników narodowości palestyńskiej bądź syryjskiej; i że sytuacja ta niesie ze sobą wszystkie niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z objęciem przez Żyda w tym kraju funkcji zwykłego kapitalisty. Żydzi tłumaczą to wszakże tym, że Arabowie zgadzają się pracować za niższe wynagrodzenia – i z konieczności stanowi to dla walczących o byt kolonistów sporą pokusę. Być może i tak, i być może, że Żydzi zachowują się jak na kolonistów przystało – ale jasno widać, że ciągle nie zachowują się jak przystało na ludzi pracy. To, że nie sprawdzają się w roli rolników, może nie wynikać z ich własnej winy; niemniej, jasno widać, że to nie oznacza jeszcze, że nie mogą być rolnikami. Jeżeli o o to chodzi, wciąż się jeszcze nie okazało, czy Żyd, jeśli się mu dobrze zapłaci,

rzeczywiście będzie dobrym pracownikiem rolnym. Z drugiej strony, przywódcy tych lokalnych eksperymentów, choć wciąż dalecy od wyższego materializmu chłopstwa, z pewnością nie przejawiają skłonności do niższego materializmu kapitalistów. Nie można mieć wątpliwości co do patriotycznego, a nawet poetycznego ducha, w którym wielu z nich żywi nadzieję, że ich starożytna dzika ziemia z czasem rozkwitnie niczym róża. Oni przynajmniej nie odwróciliby się nigdy od proroków Izraela – i to pomimo że prorokowali oni na próżno.

Próbowałem przedstawić sprawę syjonizmu uczciwie, z powodów, o których już wspominałem; dlatego, że uważam za rzecz w sensie intelektualnym niesprawiedliwą odrzucać każdą podejmowaną przez Żydów próbę normalizacji własnego położenia jako kolejną z ich nienormalności. Niemniej, mówię otwarcie, że ogromne trudności, które się z tym wiążą, to po prostu kwestia konkretnych warunków życia w Palestynie. Po prawdzie, największą z prawdziwych trudności syjonizmu stanowi fakt, że musi on realizować swoje cele właśnie na Syjonie. Istnieją wszakże i inne trudności, za które winę ponoszą, jeżeli nie konkretnie syjoniści, to w znacznej mierze Żydzi. Najgorszą z nich jest ogólne wrażenie bezwzględności w realizacji własnych interesów, sprawiane przez Żydów brutalniejszego i bardziej przedsiębiorczego typu,

wzbudzające bardzo gwałtowne i bardzo sprawiedliwe oburzenie. Kiedy przebywałem w Jeruzalem, otwarcie mówiło się, że żydowscy finansiści nie potrafią wybaczyć rządowi, że ten udziela rolnikom pożyczki na zbyt niski procent – a nawet otwarcie oskarżają go o miękkość i tchórzostwo. Gdyby było to prawdą, stanowiłoby cięższy zarzut przeciwko rządowi, niż przeciwko Żydom. Ogólna prawda przedstawia się jednak tak, że podobny stan emocjonalny wydaje się czynić prosty i pełny, palestyński patriotyzm narodu żydowskiego rzeczą praktycznie niemożliwą, w związku z czym – zmusza nas do zastanowienia się nad jakąś alternatywą, względnie: jakimś kompromisem. Najrozsądniejszy projekt kompromisu, z jakim spotkałem się dotąd pośród syjonistów, podsunął mi swego czasu dr Weizmann, człowiek nie tylko ogromnie inteligentny, ale także płomienny i bardzo ludzki. I sformułowanie, którego użył, stanowi klucz do mojej własnej, ogólnej koncepcji kompromisu społecznego w tej sprawie, chociaż on sam prawdopodobnie by na ową propozycję nie przystał.

Dr Weizmann sugerował, o ile go dobrze zrozumiałem, że nie sądzi, aby Palestyna mogła stać się pojedynczym i prostym terytorium narodowym, na wzór Francji; nie widzi jednak powodu, dla którego nie miałaby ona stanowić republiki kantonów, na wzór szwajcarski. Niektóre z tych kantonów mogłyby być żydowskie, inne arabskie

i tak dalej, w zależności od typu populacji. Pomysł ów sam w sobie jest znacznie bardziej rozsądny niż to, co podpowiada nam wiele innych głosów dobiegających z tego samego środowiska; odnoszę z niego jednak jeszcze szczególniejszego rodzaju korzyść. Koncepcja ta, niezależnie od tego, czy to dokładnie to, co dr Weizmann miał na myśli, czy nie, w oczywisty sposób wiąże się z koniecznością porzucenia idei jedności politycznej Palestyny i otwiera możliwość ustanowienia takiego systemu administracyjnego, w którym różne skupiska Żydów byłyby oddzielone od siebie skupiskami ludności innego pochodzenia. Otóż, jeżeli raz uzna się podobną propozycję za możliwą do przyjęcia, wydaje mi się, że możliwe okaże się także znaczące zwiększenie jej zasięgu. Wydaje się, że żydowskie kantony mogłyby istnieć nie tylko w Palestynie, ale i poza Palestyną, kolonie żydowskie w odpowiednich i odpowiedzialnie dobranych miejscach krain ościennych, lub też i nawet odległych krain świata. Mogłyby one pozostawać w unii z jakimś oficjalnym centrum, położonym w Palestynie, a nawet w Jeruzalem, gdzie w naturalny sposób powstałoby coś w rodzaju religijnej kwatery głównej tego rozproszonego plemienia i religii. Natura owego centrum to wewnętrzna sprawa Żydów; sądzę jednak, że gdybym sam był Żydem, wybudowałbym Świątynię nie zważając na jej położenie. Że można by im zwrócić jej stare miejsce, to, oczywiście, coś zupełnie nie do pomyślenia; skończyłoby się to świętą wojną od Maroka po Chiny. Ale

biorąc pod uwagę, że niektórych z największych czynów Izraela dokonano, a niektóre z jego najpiękniejszych pieśni – zaśpiewano, w czasie, gdy jedyną świątynią tego narodu była noszona po pustyni skrzynia, nie uważam, że niewinna zmiana otoczenia, w którym składałby on swoje ofiary, znaczyłaby tak wiele dla tej tradycji historycznej, jak dla wielu innych. Że Żydzi powinni mieć jakieś wielkiej godności miejsce rytualne w Palestynie, podobne wspaniałej budowli Meczetu Omara, to rzecz ponad wszelką wątpliwość słuszna i sensowna; bo żadna teoria nie może zaprzeczyć zachodzącemu tutaj związkowi historycznemu. Sądzę, że mówić, jak czynią to niektórzy antysemici, że Żydzi mają do tej ziemi takie samo prawo, co Jebuzyci, to zwykła sofistyka. Jeżeli istnieją jeszcze jacyś Jebuzyci, ich jebuzycka tożsamość pozostaje dla nich zupełnie nieznana. Mniemam, że za odpowiedź wystarczy tutaj doskonałe sformułowanie pewnego angielskiego księdza, pod wieloma względami nastawionego bardziej antysemicko, niż ja: „prawo ma ten lud, który pamięta". Najgorsi z Żydów, podobnie jak najlepsi, w pewien sposób ciągle pamiętają. Nienawidzi się ich, prześladuje, zastrasza – przyjmują fałszywe imiona i prowadzą fałszywe życie; lecz pamiętają mimo to. Kłamią, kręcą, zdradzają, uciskają; lecz pamiętają – mimo to. Im mocniej nienawidzimy podobnych cech charakteru Hebrajczyków i im bardziej podziwiamy męskie i podziwu godne usposobienie zmiennych i nomadycznych plemion

Palestyny, tym dobitniej musimy uznać zachodzący tu paradoks. Pozbawieni bohaterstwa mają pamięć swych bohaterskich czynów; bohaterscy zaś ludzie – nie mają o czym pamiętać.

Cokolwiek jednak naród żydowski zapragnąłby uczynić odnośnie swej narodowej kaplicy lub tego rodzaju absolutnego centrum, chodzi mi w tej chwili o to, że coś podobnego żydowskiemu planowi terytorialnemu rzeczywiście można by spróbować wcielić w życie, pod warunkiem, że Żydzi nie będą już przeżywać swojego rozproszenia jako jednostki, ale jako grupa. Wydaje się możliwe, że dzięki takiemu „poszerzeniu" definicji syjonizmu uda nam się ostatecznie rozwiązać nawet największy z syjonistycznych problemów – problem osiedlenia tak wielkiego narodu w tak niewielkiej krainie. Jako iż skoro korzystne jest dla Żydów odzyskać Ziemię Obiecaną, dla gojów korzystne jest pozbyć się problemu żydowskiego, i nie rozumiem zgoła, dlaczego oni mieliby odnieść tutaj korzyść, a my nie. W związku z tym, zostawiłbym pośród innych narodów tak niewielu Żydów, jak to tylko możliwe – i zapewnił im specjalną pozycję, którą najlepiej opisuje słowo „przywilej"; coś w rodzaju samorządnej enklawy z własnym prawem i wolnościami; dla przykładu, z całą pewnością zwolniłbym ich z poboru, który uważam w ich wypadku za wielką niesprawiedliwość. [Dopisek: Oczywiście, ów uprzywilejowany obcy nie miałby takich samych

praw, co miejscowi.] Żyda można traktować z takim szacunkiem, jak obcego ambasadora, ale tak obco, jak każdego obcego. Wreszcie, zapewniłbym taką samą, uprzywilejowaną pozycję wszystkim Żydom wszystkich krajów, jako rodzaj alternatywy wobec syjonizmu – gdyby syjonizm nie przeszedł opisanej przeze mnie próby; próby jedynie słusznej i jedynie przyzwoitej; gdyby Żydzi nie tyle zawiedli jako rolnicy, co zatryumfowali jako kapitaliści.

Należy dodać tutaj jedną rzecz; nietrudno zauważyć, że w nieunikniony sposób, i nawet wbrew moim własnym intencjom, wywód mój wrócił ostatecznie do powtarzającej się w tej książce konkluzji, opartej historycznie na dwóch rzeczywistościach: Imperium Rzymskim i wyprawach krzyżowych. Europejczyk może oddać Żydowi sprawiedliwość; ale to Europejczyk jest tym, który musi to uczynić. Możliwość podobna tej, którą wyżej nakreśliłem, i jakakolwiek zresztą inna możliwość, o której ktokolwiek byłby w stanie pomyśleć, momentalnie staje się niemożliwością, jeśli tylko zabraknie takiej lub innej idei zwierzchności świata chrześcijańskiego nad ojczyzną muzułmanina i Żyda. Osobiście sądzę, że lepiej byłoby, gdyby była to naprawdę ogólna zwierzchność świata chrześcijańskiego, niż konkretna zwierzchność Anglii. I uważam tak nie dlatego, że chciałbym aby Anglia stała się politycznie słabsza, ale przeciwnie – dlatego, że chcę, aby była coraz

silniejsza. Mniemam, że z takiej sytuacji dyplomatycznej wynika dla Anglii spore niebezpieczeństwo; to jednak naprawdę kwestia dyplomatyczna, stosowna dyskusja o której nie leży ani w granicach moich kompetencji, ani mojego obowiązku. Jeżeli myślę jednak, że czymś mądrzejszym byłoby, gdyby Anglia i Francja rządziły Syrią i Palestyną wspólnie raczej, niż osobno, to dopełnia to jedynie i pieczętuje ów wniosek, który nękał mnie, z upiorną niemal powtarzalnością, odkąd po raz pierwszy ujrzałem Jeruzalem, wznoszące się na górach niczym przyozdobione wieżami miasteczko Francji czy Anglii; i przez jeden krótki moment mroczna jego kopuła na powrót stała się Templum Domini, jego wieża zaś – Wieżą Tankreda.

Tak czy inaczej, z klęską syjonizmu upadłaby także ostatnia i najlepsza próba sformułowania racjonalistycznej teorii Żyda. Pozostałoby nam mierzenie się z tajemnicą, w związku z którą żaden inny racjonalizm nie był tak bliski znalezienia jakiejś racjonalnej przyczyny i lekarstwa na całą sytuację. Cokolwiek uczynimy, nie wrócimy już do owej zaściankowej niewinności i wygodnej nieświadomości, która pozwoliła wiktoriańskim agnostykom wierzyć, że problem semicki to ledwie krótkie szaleństwo średniowiecza. W tym wypadku również, podobnie jak wielu innych, nawet jeśli straciliśmy naszą wiarę, nie możemy wrócić do naszego

agnostycyzmu. Nigdy już go nie odzyskamy, podobnie zresztą jak żadnej innej formy ignorancji. Wiemy, że istnieje problem żydowski; mamy jednak nadzieję, że istnieje także żydowskie rozwiązanie. Jeżeli nie – nie ma żadnego innego. Nie możemy na powrót wierzyć, że Żyd to Anglik wyznający określone teorie teologiczne, nie bardziej, niż w inną część tego optymistycznego *credo* materializmu, którego świątynię stanowi Memoriał Alberta. System cechowy może zostać wypróbowany i okazać się porażką; nie możemy jednak więcej podziwiać zwykłego kapitalizmu za jego niewątpliwe sukcesy. Korupcję w polityce można atakować – i można w tej walce przegrać; nie możemy jednak więcej wierzyć, że w naszej polityce nie ma korupcji. Na podobnej zasadzie, syjonizm można wypróbować – i może okazać się on klęską; nie możemy jednak więcej mieszkać na Syjonie spokojnie. A raczej, powinienem powiedzieć, że jeśli Żyd nie będzie mógł mieszkać spokojnie na Syjonie, nigdy nie wrócimy już do dawnej spokojnej pewności, że może mieszkać spokojnie gdzieś poza Syjonem. Możemy jedynie pozdrowić go, ową niespokojną i tajemniczą postać, gdy nas mija, wiedząc, że jest w nim coś zarówno tajemniczego, jak mistycznego; i że czy nosi on w sobie boleść Chrystusa, czy boleść Kaina, musi nas minąć i iść dalej – ponieważ należy do Boga.

Zakończenie

Gdybym nosił na ulicach Londynu wielką czapkę w kształcie muszli św. Jakuba, mogłoby to zostać uznane za rzecz cokolwiek ostentacyjną. Co dopiero powiedzieć o noszeniu długiego kija, przypominającego tyczkę? Gdybym zaś nosił sandały, mogłoby to świadczyć o tym, że przychodzę z Letchworth[104] raczej, niż z Jeruzalem, z Letchworth, które to niektórzy utożsamiają z Nowym Jeruzalem, zstępującym z niebios od Boga. Jako iż brak mi było podobnych atrybutów, przeszedłem przez południową Anglię tak, jak mógłby przejść przez nią osobnik wracający z Ramsgate, czy skądkolwiek indziej; i jedynym symbolem, jaki pozostał mi z mojej pielgrzymki, był tani pierścionek w kolorze miedzi bądź mosiądzu. Jako iż wypisana była na nim, greckimi literami, nazwa „Jeruzalem", i choć może on mieć wartość mniejszą, niż mosiężny gwóźdź, nie sądzę, aby dało się go kupić na Strand w Londynie. Wszystkie owe wielkie i wiecznotrwałe rzeczy, wszystkie owe brązowe bramy i fioletowe mozaiki, barwne niczym pawie, wszystkie owe złote kaplice i kolumny z karmazynowego marmuru, skurczyły się i skupiły w tym jednym, malutkim, metalowym kółeczku na jednym z palców mojej dłoni. Nie mogłem oprzeć się poczuciu, że gdybym, na

104 Miasto w południowej Anglii, stanowiące próbę realizacji projektu miasta-ogrodu.

kształt Aladyna, ów pierścień potarł, wszystkie te wieże wyrosłyby na powrót przede mną. I ostatecznie fantazja owa miała w sobie także smak prawdy. Mówimy często, że Wschód się nie zmienia; ale w innym sensie, wrażenie, które wywiera, to właśnie wrażenie bezustannej zmienności, z całymi jego wędrownymi plemionami i niesionym przez wiatr piaskiem, na którym jeden z dżinów Orientu równie dobrze mógłby wyczarować pałac czy cudowny ogród, który zniknie po upływie doby. Gdy ujrzałem przysadziste angielskie chatki, wznoszące się wokół mnie pośród wilgotnej i zachwycającej gęstwiny pod deszczowym niebem, poczułem, że to my raczej budowaliśmy coś trwałego – a przynajmniej osiągnęliśmy jakiś rodzaj pokoju. I chodzi tu o coś więcej, niż zwykłe zadowolenie; bo o relatywne i rozsądne poczucie szczęścia. I oto wróciła do mnie niczym bumerang pewna niemożliwa raczej do opisania myśl, która krążyła wokół mojej głowy przez większą część podróży; że świat chrześcijański przypomina gigantyczną figurę z brązu, wytopioną w wielkim piecu Bliskiego Wschodu; że w Azji jest wyłącznie ogień, w Europie zaś – forma. Coś najbliższego temu, o co mi chodzi, zarysował pan March Philips[105] w swojej jakże fascynującej książce *Forma i kolor.* Kiedy mówiłem o idolach kontynentu azjatyckiego, wielu ludzi współczesnych mogło mamrotać pod nosem słowa

105 Być może Ambroży Lisle March Phillipps de Lisle (1809-78) – angielski arystokrata i konwertyta katolicki, pisarz, fundator klasztoru trapistów w Mount St. Bernard.

sprzeciwu wobec podobnego potraktowania wzniosłych ideałów Buddy i pani Besant[106]. Na co mogę odpowiedzieć tylko tyle, że wiem cokolwiek na temat owych ideałów – i osobiście wolę idole. Znacznie lepiej rozumiem naturalny entuzjazm w stosunku do jakiegoś ładnego, zielonego lub złotego idola, z dziewięcioma ramionami i trzema głowami, niż w stosunku do filozofii, której najlepszy symbol stanowi wąż zjadający własny ogon; wstrętny, kołowaty argument sceptyków, zgodnie z którym wszystko zaczyna się i kończy w umyśle. Znacznie chętniej stałbym się fetyszystą i miał z życia trochę radości, niż orientalnym pesymistą, od którego zawsze oczekuje się, że będzie się optymistycznie uśmiechał. Wydaje mi się, że wojująca wiara chrześcijan to jedyna rzecz na świecie, która znalazłszy się w owym mistycznym kole zdołała się z niego wyzwolić, stając się także czymś rzeczywistym. Mocą czegoś w rodzaju siły odśrodkowej, niczym wystrzelony z procy kamień, skierowała się ona ku zachodowi; i w ten sposób sprawiła, że obracający się wokół siebie umysł Wschodu, zgodnie ze słowami jerozolimskiego franciszkanina, wreszcie zrobił coś pożytecznego.

Tak czy inaczej, choć nie miałem akurat żadnych charakterystycznych atrybutów pielgrzyma, czułem wielkie

106 Anna Wood Besant (1847-1933) – angielska feministka i pisarka, druga, po „madame Bławackiej" przewodnicząca Towarzystwa Teozoficznego.

pragnienie, aby korzystać z łączących się z tym statusem przywilejów. Chciałem, w zgodzie ze średniowiecznym obyczajem, zażywać zabawy przy ogniskach kompletnie obcych ludzi, i opowiadać im niekończące się opowieści z moich wędrówek. Chciałem pozostać chwilę w Dover, i spróbować czegoś podobnego z mieszkańcami tego miasta. O mało co nie wysiadłem z pociągu na kilku przydrożnych stacjach, aby wyruszać z nich na poszukiwanie samotnych gospodarstw i uweselić je nieco wiadomościami z Ziemi Świętej. Bo zdawało mi się, że wszyscy moi rodacy muszą być moimi przyjaciółmi; wszystkie te angielskie miejsca znajdowały się teraz znacznie bliżej siebie, po podróżach, które w porównaniu wydawały się tak wielkie, jak przestrzenie pomiędzy gwiazdami. Chmielowe pola Kentu wydawały mi się tylko najdalszymi częściami mojego własnego ogródka; sam Londyn zaś – ledwie Londyńskim Przedmieściem. I Londyn naprawdę stanowił wtedy być może największe z przedmieść Beaconsfield. Do czasu gdy dotarłem do mojego miasteczka, zmierzch zaczął zapadać nad bukowym lasem oraz białym skrzyżowaniem dróg. Ciemność gęstniała, a przestrzeń zdawała się stawać coraz głębsza i bujniejsza w miarę, jak szedłem wzdłuż długich miejscowych traktów w kierunku mego domu; i z daleka, gdy się przybliżyłem, dobiegło mnie radosne szczekanie psa.

KONIEC